


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JERZY PRZEŹDZIECKI

Jasność nocy

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Wszystkie osoby występujące w tej książce, jak, też wydarzenia i sytuacje zostały wymyślone przez autora. Jakakolwiek zatem zbieżność z realnie istniejącymi osobami lub faktami, które miały miejsce w rzeczywistości, jest całkowicie przypadkowa.

I

Na stokach Obidowej sprzęgło wysiadło ostatecznie. Nie walczył już dłużej. Jakimś cudem udało mu się wykręcić i zjechać w dół, do warsztatu w Chabówce. Postawił samochód obok Peugeota 144 z wgniecionym dachem.

Przekazanie człowiekowi w poplamionym kombinezonie kluczyków i książki wozu było już tylko formalnością.

Z tylnego siedzenia podjął swą nieśmiertelną torbę podróżną z napisem „AIR FRANCE”.

– Jakby pan szanowny chciał do Krakowa, to jak raz jest okazja, bo syn jedzie wozem – posiadacz warsztatu, znajdującego się w podziemiach okazałej willi, spojrzał w górę na twarz swego marsowego klienta.

– Dziękuję, ale jadę akurat w odwrotnym kierunku – przeniósł swą torbę na lewe ramię.

– Moje uszanowanie panu. Więc tak, jak powiedziałem, jutro będzie gotowy.

Odprowadzał właściciela Trabanta wzrokiem. Wysoki, siwiejący na skroniach mężczyzna, w opiętych dżinsach i skórzanej kurtce, szedł wolno, wyprostowany, w kierunku wiaduktu nad torami. W miarę oddalania się wyglądał coraz młodziej.

Pierwsza zatrzymała się ciężarówka. Zdjął torbę z ramienia i wsiadł do szoferki, nie mówiąc ani słowa.

Kierowca, puciołowaty chłopak z podbitym okiem, zerknął na jego twarz.

– Ale ja nie do Zakopanego.

– Ja też nie – przybysz uśmiechnął się lekko i położył swą torbę za oparciem fotela. – Do Krościenka, a potem do Szczawnicy.

– Wsiądzie pan w Nowym Targu, na rynku. Tam jadę. – Ruszyli.

– Jasne – podróżny spróbował wyprostować długie nogi, ale bez powodzenia.

– Za mały dla pana – zauważył chłopak przy kierownicy. – Jak był w Warszawie de Gaulle, to też specjalne łóżko trzeba było dla niego robić, bo się w zwykłym nie mieścił.

– Zgadza się – rzekł mężczyzna.

– Ma pan wygląd na majora. Może nawet na pułkownika.

– Dziękuję.

– Obraził się pan?

– Nie. Dlaczego miałbym się obrazić?

– Przepraszam, można o coś zapytać?

„O Boże! Odchodzi mnie coraz bardziej ochota na rozmowę z normalnymi ludźmi. Przecież ten chłopak jest całkiem sympatyczny. Dlaczego mam ochotę podbić mu drugie oko?”

– Wał pan! – powiedział, nie patrząc na swego rozmówcę.

– Nie lubi pan oficerów?

– Wielu rzeczy nie lubię. Ale rzeczywiście, za oficerami nie przepadam.

– Musieli panu dać w kość, nie?

– Ale panu musiał ktoś dać w oko. A może to wrodzone?

– „Wrodzone”... Coś pan! – kierowca wybuchnął śmiechem. – Pan to jest fajny. Ojca bym chciał mieć takiego.

– Dziękuję – rzekł pasażer i zapalił papierosa. Podsunął paczkę chłopakowi, lecz ten odmówił ruchem głowy.

„Oto wykwit naszych czasów – tupeciarz, cwaniak, zdolny do klepięcia po ramieniu nawet Einsteina. Nie miałem racji – nic sympatycznego w nim nie ma. Więc może instykt mnie nie zawodzi?... Jeśli naprawdę nie zawodzi mnie instykt, to znaczy, że coraz mniej ludzi mi odpowiada.”

– Bo mój stary to nie ma odżywek, za to wszystko wie lepiej. A i tak zawsze dostaje w kość. Widok, co? – pucolowaty nieoczekiwanie wskazał rozległą dolinę.

Szosa wiała się szczytami wzgórz.

– Jak się jest tam na dole, to wieczorem wszystkie samochody, które tędy jadą, wyglądają, jakby leciały w powietrzu. Widać tylko światła – dodał po chwili.

„To Rabka – Mekka małych nieszczęśników chorych na alergię. Ileż razy przed laty, odwiedzając Andrzeja w kolejnym sanatorium, okłamywałem jego i siebie, że swędzące wypryski na skórze znikają i że oddycha już lżej, bez owych rzeżących poświsłów w oskrzelach. To działo się tak dawno temu.” Niespodziewanie naszło go przypomnienie własnej rozpaczki. Opanował się. „Ostatecznie Andrzej z tego wyszedł i jest dzisiaj dwudziestoparoletnim dryblasem o torsie gladiatora. Ty zaś masz pięćdziesiątkę i jeśli konsekwentnie nie będziesz stosował zasady niemyślenia o rzeczach przykrych, to wykończysz się podobnie jak wielu z twojego rocznika. A pamiętaj – nieobecni nie mają racji.”

Zmusił się do słuchania.

– Pan jeździ na deskach?

– Jeździłem – opuścił szybę i wyrzucił papierosa.

– To pan wie – rozpogodził się kierowca. – Pruje się do przodu, przeskakuje muldy, wytrzeszcza oczy, jak śnieg sypie, i dobrze jest. Nawet jak człowiek praśnie i przeturla się parę metrów po stoku, to wie, że żyje!

– Rozumiem – mężczyzna w dżinsach uśmiechnął się.

– Wiem, że pan rozumie. Dlatego mówię. Ja takiego, co sport lubi, poznaję od razu. Powiem panu, mój stary to nawet byłby fajny, gdyby nie truł wciąż o tej swojej przeszłości i wszystkiego do niej nie przymierzał. Wciąż nawija, jak to dawniej było dobrze, a dziś nie żyje, nie ma go. Nieraz to tak dobrze pogadać z kimś, kto wsiądzie i już się go więcej nie zobaczy, nie uważa pan?

– Uważam – pasażerowi udało się wyprostować wreszcie prawą nogę. Na jego pociągłej twarzy z dwiema już bruzdami po obu stronach ust pojawił się wyraz ulgi.

– Z panem można rozmawiać. Ma pan już trochę siwych włosów, ale jest pan dzisiejszy.

– Skąd pan wie? – uśmiechnął się pasażer.

– Nie zapuścił się pan. To widać. Brzucha pan nie ma. Bary jak trza. Miło spojrzeć.

– Dziękuję. Ile mogę mieć lat?

„Ty stary, mizdrzący się narcyzie! Wykorzystujesz każdą okazję, aby się podeprzeć w tej swojej walce z czasem. Nie powiesz mu przecież, że codzienna gimnastyka mężczy cię coraz bardziej i że przy dziesiątej »pompce« masz już dość!”

– No, może pan mieć... – rzekł z namysłem kierowca. – Ma pan już te czterdzieści trzy.

„Urwał ci siedem. Ciesz się. Psujesz się, widocznie, od środka.”

– Zgadł pan – powiedział. – A dlaczego pana ojciec jest niedzisiejszy?

– Bo wszystko ocenia... To trudne nawet... Tak, jakby przymierzał... Do wojny czy jak? Sam nie wiem...

„Jeszcze jeden połamaniec. Jak to dobrze, że już dawno przestałem rozpamiętywać tamte sprawy.”

– Co to znaczy? – zapytał.

– No właśnie. Pan nie rozumie i ja też nie. Jak Boga kocham, mój stary potrafi, na przykład, powiedzieć, że tylko w czasie wojny ludzie kochali naprawdę. Czy ktoś może się kapnąć, co to znaczy?...

„Po jaką cholere wsiadłeś do jego wozu? Teraz tylko nie angażuj się! Spokojnie!”

– Ja nie – skłamał.

– Jasne! – chłopak zbierał myśli. – Więc... – zaczął niezbyt pewnie. – Jak się jest obok kogoś takiego, kto wszystko mierzy swoją urwaną nogą, to choćby ten ktoś był największym bohaterem...

– Pański ojciec stracił nogę? – przerwał mu.

– No. Ale tylko do kolana. Protezę ma dobrą. Chodzi tak, że nic nie widać.

– „Uciekaj! Uciekaj natychmiast, bo inaczej wszystko gotowe wrócić.” Uczuł, że się poci.

– A dokąd?... – rzucił zmienionym głosem. Wypowiedział to wbrew samemu sobie.

– Nie rozumiem...

– Gdzie chodzi?

– Mój stary?... Różnie. Do klubu... Tam zbierają się tacy jak on i gadają razem o różnych bohaterstwach całymi godzinami. Czasem to istne kino, kiedy stamtąd wraca... – Chłopak roześmiał się. – Smeździ na przykład o jakimś pociągu, który wyleciał w powietrze, jakby wysadził go wczoraj. I powiedziałem panu, jak się jest z kimś takim, to nie ma rozmowy. Człowiek chce prędzej czy później zmyć się i zniknąć.

– Ucieka pan, rozumiem – mężczyzna kiwnął głową. – Daleko?

– Zależy. Ale tu nie chodzi o kilometry – dorzucił pośpiesznie kierowca.

– Rozumiem – pasażer ciężarówki odwrócił głowę. – Można nieraz uciec od kogoś, siedząc z nim w tym samym pokoju.

– Z nim nie da rady. Dopędza zaraz człowieka, wyprzedza i chce, aby biec za nim. Zawsze – za, a nigdy – przed.

– A może warto? – zaryzykował mężczyzna.

– Coś pan, jego śladem? – puciołowaty wzruszył ramionami. – Sto razy lepiej mylić się samemu i dostawać w kaczki kuper, jeśli się coś zrobiło „nie tak”, aniżeli cierpieć za szlachetność. Ja mówię otwarcie. Chcę wiedzieć, że żyję. Chcę to czuć. Lubię szmal. Nie myślę o innych, tylko o sobie. Chcę mieć w życiu dobrze. Nie chcę, żeby mnie każdy robił w konia, jak mojego starego.

„Drań podobny do Andrzeja. Też wymyślił sobie uzasadnienie swej niechęci do ojca. Ten tutaj »na bazie ekonomicznej«, zaś Andrzej dlatego, że znałem go, kiedy był słaby i przerażony światem. A prawdziwy mężczyzna nie lubi ludzi, którzy zapamiętali go w okresie słabości. W wypadku Andrzeja doszło jeszcze przeświadczenie, że rozwodząc się z jego matką, wyrządziłem jej krzywdę. Inna rzecz, iż ostatnio namnożyło się ludzi, którzy otwarcie przyznają się do własnych słabości, egoizmu, łajdactw i Bóg raczy wiedzieć czego, byle tylko zrzucić z siebie odpowiedzialność. Nie – poprawił się – nie zrzucić, aby jej w ogóle nie podejmować. Cynizm stał się ideologią wałkoni i impotentów.”

Znowu przestał mieć czucie w lewej dłoni, wzdłuż małego palca w kierunku przegubu. Rozmasował palec, poruszył nim kilka razy, lecz odrętwienie nie ustąpiło.

„Ten mi tu pieprzy o otwartości, a mnie wysiada serce i z coraz to większą szybkością zamieniam się w jeden blok wapna. Muszę rzucić palenie. Kiedy tylko przejedziemy z Kariną granicę, żegnam się z papierosami.”

Puciołowaty mówił bez przerwy i co jakiś czas zwracał głowę w stronę swego pasażera. Prowadził jednak pewnie i szpakowaty mężczyzna uczył, że sływa z niego powoli wszelkie napięcie. Jedno, co go jeszcze nie opuściło, to odruch spoglądania w lusterko nad głową.

– A pan był na wojnie? – kierowca znów zerknął w jego stronę.

– Nie.

– Miał pan fart, co?

– Właśnie.

„Za chwilę rozbiję mu ten głupi łeb!”

– Pan to jest fajny – chłopak przekręcił kierownicę. Jechali teraz samą krawędzią stromego zbocza. Drzewa zdawały się pędzić susami w dół. Zupełnie w dole świerki były granatowe i migająco pomiędzy nimi coś srebrzystego. Chyba potok.

„Jeszcze mi wystarczy czystych strumieni do samej śmierci. Ciekawe, czy można obliczyć, w którym roku kolorowe puszkę z plastiku po silnikowym oleju pokryją wszystkie puszcze świata tak dokładnie, że przestanie w nich zupełnie istnieć życie? Przecież ludzie są mądrzy. Ktoś musi robić już dziś takie obliczenia?”

– ... A jemu wolno, tak? – kierowca mówił teraz donośniej. – Po całym jego życiu nic nie zostało. Stale się mylił, ciągle zaczynał od początku i... nic! Dalej nie ma dla niego mądrych! Niech pan słucha – przed wojną dał do banku szmal za sprzedany dom. Dużo tej mamony było. Tak dużo, że można by mieć za to nie wiadomo co. Wybrał bank, który dawał najwyższy procent. A ten bank... – jak to się mówi?...

– Zbankrutował – dorzucił pasażer.

„Krytykę świata jednak chyba najwygodniej zaczynać od obalenia autorytetu własnego ojca. Skąd ja to znam?”

– Właśnie. Nic nie zostało. Ale on miał rację, bo chciał dobrze. Dla nas, dla przyszłości. Jak on o tym fajnie mówi! Popłakać się można. Potem znowu – wojna. Nowe straty, dał do przechowania wszystko, co miał, takiemu bauerowi z sąsiedztwa, bo – jak to sobie wykalkulował – „u tego porządnego Niemca będzie bezpieczne!” Potem sąsiad przestał być porządny i mało, zademonstrował ojca, że partyzantom pomaga. Więc ten chodu do lasu. No i przesiedział stary w partyzantce trzy lata, napał się w błocie, nagłódował, ale w czterdziestym piątym wrócił – bez nogi – i po wyleczeniu – bo gruźlicę w lesie podłapał, a nogę stracił – w interesy się wdał z takim jednym, z miasteczka. Cegielnię będą robić. No i robią. Przychodzi stalinizm i zabierają im wszystko, do ostatniej dachówki. Mało – domiar ojciec splanca przez parę lat. Wystarczy?

– Biedny człowiek – rzekł pasażer. – A co pan robi?

– Kupiłem ciężarówkę. Wożę, co podłeci, i wychodzę na swoje.

– A to oko?

– To inna sprawa – odparł niechętnie młody. – Miłosna. A co do tego, że ojciec ma być biedny, to nieprawda. Ma wszystko, czego mu potrzeba. Żeby się tylko nie wymądrzał. Najgorsze, że go słuchają.

– Kto?

– Wszyscy dookoła. Jak co powie, to święte. Nie może być inaczej.

– Widocznie coś w nim jest.

– Chyba tylko to, że umie gadać.

„Chyba nie tylko, szczeniaku. Co mnie to wszystko w końcu obchodzi? Po kiego diabła tego słucham? Ty jesteś inny. Andrzej był chorym dzieckiem i dlatego... dlatego... Twój syn nie może ci zarzucić niczego w tym rodzaju. Zawsze zaczynałeś wszystko wierząc, że... Będąc świadom, że wynika z tego, co robisz, jakiś konkretny profit. Właściwie to można by cię nawet nazwać cwaniakiem, spryciarzem, a już z całą pewnością człowiekiem zaradnym i chodzącym po ziemi”.

– Ile ma lat? – spytał po chwili.

– Ojciec? Sześćdziesiąt dwa.

– Rencista?

– Gdzie tam! Odbiło mu w drugą stronę. Produkcję podnosi. Za brygadzystę jest w spółdzielni inwalidzkiej: wiatrówki, płaszcze... Z zakładu by w ogóle nie wychodził.

– Umiał to robić? – mężczyzna sięgnął po papierosa.

– Nie. Kurs jakiś skończył – odparł niechętnie kierowca.

– Ile panu dał na samochód?

– On? Coś pan?... Nic. To ja sam... Pole jak raz zostało po dziadku. To się sprzedawało na parcele i... – nie dokończył. Spojrzał w lusterko nad głową i zjechał nieco w prawo, przepuszczając autobus.

– Gdyby pan dał radę przyspieszyć... to mógłbym się przesiąść. Przystanek jest przy rozwidleniu – szpakowaty mężczyzna zaczął szukać po kieszeniach.

– Zrobi się – puciołowaty mocniej ujął kierownicę i dodał gazu. – A pan jak żyje? – spojrział na swego pasażera. – Tak jakbym pana gdzieś już widział. W telewizji czy gdzie... A może w jakim filmie. Pan nie aktor?

– Aktor – mężczyzna o pociągłej twarzy zwrócił lekko głowę w stronę wyprzedzonego autobusu. – Ale bardzo kiepski – roześmiał się. – Już zaraz przystanek.

– W czym pan grał? – oczy chłopaka były uważne. Przyhamował. Samochód zatrzymał się.

– Gram na małej scenie. Na coraz mniejszej – nieznajomy wcisnął banknot w dłoń kierowcy. Ten podziękował, zerknął i wsunął w kieszeń.

– Robią jakiś film w Szczawnicy, że pan tam jedzie? – wykrzyknął w chwili, gdy jego pasażer wysiadł.

– To będzie jedno małe ujęcie wielkiego filmu. Ale ważne – szpakowaty mężczyzna przeniósł swą torbę na drugie ramię. Spoglądał w stronę zbliżającego się autobusu.

– „Ujęcie”? Tak? A fajna? – kierowca roześmiał się porozumiewawczo. – Tu mi się zgina, a tam łeb rekina – zrobił sprośny ruch ramieniem.

„Boże, spraw, aby ten człowiek zniknął z moich oczu!”, mężczyzna w dzinsach cofnął się o krok i odwrócił głowę.

I tak się stało. Ciężarówka ruszyła. Wsiadł do autobusu.

Wyjechał z Warszawy wieczorem ubiegłego dnia. Kłopoty ze sprzęgiem zaczęły się już w Górach Świętokrzyskich.

Był tak zmęczony, że omal nie przespał Czorsztyna. Autobus ruszał właśnie, kiedy otworzył oczy. Zdecydował się w ostatniej chwili. „Po co to robię? Przecież mógłbym wysiąść w Krościenku, jak planowałem, pogadać z doktorem i już za dwie godziny widzieć Karinę, mieć ją w zasięgu dłoni, patrzeć w jej oczy. Człowieku, przecież już za parę dni. wyjeżdżacie oboje za granicę, i to na miesiąc. W Warszawie pozostało masę spraw do załatwienia!”

Nacisnął oporną kławkę. Uchylił z wysiłkiem drzwi, rozwarł je szerzej, wysunął prawą nogę i zeskoczył.

Noga sprawowała się ostatnio tak dobrze, że zapomniał o zwykłej ostrożności. Niespodziewanie błysnęło mu pod czaszką wielkie, olśniewająco jasne słońce. Ból w kolanie, wierny jak najlepszy przyjaciel, odezwał się od razu potężnym łupnięciem. Przez moment nie wiedział, gdzie jest i co robi. Wpił paznokcie w wewnętrzną część dłoni. Przeczekał, póki jasność pod czerepem nie przygasła, a ból nie zamienił się w pulsowanie. Wtedy rozluźnił zaciśnięte palce i przeniósł podróżną torbę na drugie ramię. Był zlany potem.

Autobus zniknął już za zakrętem. Spojrzał na zegarek, zaraz potem w stronę rzeki. Była dziewiąta. W dole, gdzie płynął Dunajec, wisiała mgła. Rozejrzał się.

Przed dziesięciu laty spędził w tym miejscu dwa miesiące pracując jako lektor wakacyjnego kursu języka angielskiego. Ten kurs to był wówczas „szlagier” jednej z językowych warszawskich spółdzielni.

Przypominał sobie grupę dorosłych ludzi, którzy chodzili z nim co rano na kawę, śpiewając ku zdumieniu miejscowych angielskie piosenki.

Od tego czasu niewiele się tu zmieniło. Przed barem „Poprad” przybyły jedynie stoliki z kolorowymi parasolami, a kiosk z gazetami przesunięto nieco dalej.

Zapałił papierosa. Stał jeszcze chwilę dając wychnienie prawej nodze w ten sposób, że ciężar całego ciała przeniósł na lewą. „Wyskoczyłeś z autobusu, gdyż chcesz jeszcze raz popłynąć czystym nurtem rzeki, bo coraz mniej jest na świecie rzek takich jak ta, a masz już mało czasu na takie rzeczy.”

Kilku górali opodal baru, po drugiej stronie ulicy, spoglądało w jego stronę. Ruszył przed siebie, robiąc wszystko, aby nie kuleć. Zaraz za kioskiem, kiedy tamci nie mogli go już widzieć, przystanął i długo masował kolano obiema dłońmi. Kiedy znów się pojawił, szedł już normalnie i prawie bez wysiłku. Kupił papierosy. Twarz kioskarki w ciągu tych dziesięciu lat wyblakła tylko jak stara, źle przechowywana fotografia. Przez moment spoglądała na swego klienta z wyrazem koncentracji. Przy wydawaniu reszty spuściła oczy, lecz zaraz znowu je podniosła.

„Prawie mnie poznała, a ja prawie chciałem z nią pogadać. Coraz więcej tego »prawie« w życiu.”

Przez chwilę stał niezdecydowany na środku tego niby placynu, przy którym skoncentrował się cały czorsztyński handel.

Słońce wyszło zza chmur. Południowa ściana ruin zamku, wysoko w górze, wznosiła się w jednym miejscu jak palec mierzący prosto w niebo.

„Dobrze, że jest pogoda. W czasie tamtych wakacji, przed dziesięcioma laty, często lało całymi dniami.”

Zdjął skórzaną kurtkę, postawiwszy na ziemi torbę.

– Suka! – szepnął jeden ze stojących pod barem flisaków.

– A ni, bo pies! – odpowiedział mu drugi. Najbliżsi zachichotali.

– Pies, co suka suki – dorzucił trzeci. Tego już było za wiele. Zaczęli rechotać wszyscy. Staro Kubicę, który wypowiedział te słowa, obłąpił osłabły z zachwytu, dławiący się śmiechem drugi staruch, Józek z Potoka, Jarząbków syn, który turystom na spływie na kobzie podgrywał.

I wtem osadził ich wszystkich głos tamtego, co wysiadł z autobusu. Nie to, żeby zawołał głośno. Domyślili się raczej z ruchu jego warg, że coś mówi, gdyż gromki, rozgłośny śmiech wciąż jeszcze trwał.

Szczerze mówiąc, to z początku nie zrozumieli ani słowa. Głos był jednak ostry. Przebił się przez ich wesołość, jak igła przebija się przez wełniany sweter. Zamilkli, a wtedy powtórzył:

– Przepraszam. Spływ już czynny?

– No. Co by nie miał być? Czynny. Od pierwszego maja. Możemy jechać – ozwały się głosy.

Jeden Jarząbek nie powiedział nic, a tylko przystąpił do przodu mrużąc kaprawe oczy i patrzył na tamtego.

Nieznajomego chyba zdziwiło zachowanie starego, ale tego nie okazał. I trwało to dłuższą chwilę, kiedy tak stali – jeden wysoki, smukły, rozrośnięty w barach, a drugi pokurcz – i patrzyli na siebie, nic nie mówiąc.

Wreszcie Józek odezwał się pierwszy, a słowa wychodziły z jego ust niespiesznie i jakby w zalęknieniu.

– To przecież nie może być, coby...

– Proszę? – rzucił tamten, uśmiechając się. Zęby miał białe, chyba sztuczne.

– Pan porucznik! – wykrzyknął lub raczej zaskowyczał Jarząbek, a ten psi skowyt trwał w nim wciąż jeszcze nawet wtedy, gdy dopadł nieznajomego i oplótł ramionami. Trwało to chwilę. Wysoki spoglądał gdzieś ponad głową górala. Oswobodził się z jego objęć.

– Pan mnie bierze za kogoś innego – rzekł, odstępując o krok. Po jego twarzy przebiegały cienie.

– Nie pamięta mnie pan? – wymamlał stary. – To przecie... To przecie nie może być! Hacksnell, Newton w czterdziestym trzecim, mechanik Jarząbek, dywizjon... lotnisko... Jak raz, tamtego roku wyskoczył pan nad... nad Holandią, bo się panu... bo się panu maszyna zapaliła!... Potem ta maszyna wróciła, bo ją ugasili... ale bez... Pana porucznika nie było, a Wel-

lington wyglądał... odarty, sponiewierany!... Jak raz, mój ślub był tego dnia. Służby nie miałem... Muriel, pamięta pan?... Wróciłem siedem lat temu... Cichoście! – wrzasnął naraz, zwracając się w stronę śmiejących się kamratów.

– Musiało się panu coś pomylić – rzekł nieznajomy.

– Od gorzołki-miołki! – zawołał któryś.

Wszyscy czekali, co odpowie, lecz stary nie spojrział nawet w ich stronę. Przetarł oczy.

– Musiało mi się... Ano, musiało... – mamrotał przez chwilę pod nosem, spoglądając na nieznajomego mężczyznę jakby w osłupieniu. Potem podreptał w stronę drzwi baru.

– Z Anglii wrócił – rzekł Kubica do mężczyzny w dzinsach. – Od wojny tam siedział. Żonę ma Angielkę. Dzieci dorosłe zostawił, dom... A teraz od picia w głowie mu się miesza...

– Jak co dzień pół litry nie obciążnie, to chory – rzucił chudy góral w kwiecistym serdaku. Podszedł bliżej. – No jak, panie, pojedziemy?

– Ile to kosztuje? – spytał wysoki zmienionym głosem. Odchrząknął.

– Siedymset.

– Siedemset... – powtórzył tamten wolno. Spoglądał w stronę wejścia do baru.

– Ile? – spytał jeszcze raz.

– Taniej nie może być! – góral w serdaku wybałuszył oczy. – Powiedziałem. Jak pan sam chce płynąć, to kosztuje siedem stów.

– Kiedy... – zaczął mężczyzna – ...jeszcze pomyślę. Pójdę na przystań. Do widzenia!

Odprawiali go wzrokiem. Szedł wolno, jakby trochę kulejąc, w kierunku Niedzicy.

„Teraz myśleć tylko o tym, co widzę. O niczym innym, bo tylko to jest ważne, co dzieje się obecnie. Tego starego nie ma, nigdy go nie było. Nigdy, psiakrew, nie było palącego się Wellingtona. Nigdy z czegoś takiego nie skakałem. Nigdy nie zostawiłem samej załogi. Świeci słońce. Tam, po prawej, w górze, stoi kościółek. Po lewej rozsiane domki campingowe, zrobione z ogromnych beczek po piwie. Zabawne. Że też pracownicy browaru nie wolą spędzać wolnego czasu, na przykład, w domkach o kształcie grzybków, muchomorów. Takie już też gdzieś widziałem. Wszystko widziałem. Ale życie jest cudowne. Ta dolina... Piękna. W górze krąży bocian. Karina powinna mieć ze mną dziecko. Jak chłopak miałby osiemnaście lat, to ja dopiero sześćdziesiąt osiem. »Dopiero...«” – uśmiechnął się lub raczej wyczuł, że się uśmiecha. Przystanął. Kolejna chmura odpłynęła i dolina znowu wypełniła się słońcem. Pachniało siano. Owce na stoku wyglądały teraz jak białe larwy. Odetchnął spokojniej.

„Przejdzie ci – wszystko przejdzie.”

Tuż obok drogi stała kapliczka. Nachylił się. Chrystus, przegięty pod brzemieniem krzyża, pełzł tuż przy ziemi. W niskim, półkolistym sklepieniu świątynki pozycja jego była tak uzasadniona, iż sprawiał wrażenie, jak gdyby pragnął z niej wyjść za wszelką cenę i wyprostować się.

„Zabija mnie logika rozumowania. Pełzanie jest przecież o wiele bezpieczniejsze. W czasie wojny, na przykład, żołnierze...” – znowu rozejrzał się jakby szukając ucieczki.

„Na ruinach czorsztyńskiego zamku zrobili drewniany podest dla turystów. Dawniej tego nie było. Te drzewa to chyba modrzewie. Tu jest tablica z napisem Granica Państwa. Zgadza się. Czechosłowacja jest przecież tuż-tuż. Widać zamek niedzicki. Mgła już opadła. W tym zamku znaleziono podobno połowę spisanego pismem sznurowym testamentu Inków. Pisały o tym gazety. Dlaczego połowę? Ostatni właściciele tego zamku to chyba rodzina Salomonów... Zabawne, dlaczego nie Salomonów? Z tym całym testamentem to chyba humbug. Gdzie usłyszałem słowo humbug po raz pierwszy? Generał Latinik opowiada o swojej ostatniej rozmowie z cesarzem Franciszkiem Józefem. Upalne lato. Tryńcza 1936 rok. Staruszek w kapeluszu panama i w białych, krótkich szarawarach dyskutuje z moim ojcem w altanie obrosłej dzikim winem. Jest czymś podekscytowany. Wykrzykuje gniewnie, a ojciec go mityguje. Tak, wtedy padło to słowo...”

Dotarły do niego głosy. Spojrział przytomniej.

Środkiem drogi, bez ładu i składu, szła w jego stronę szkolna wycieczka.

„Aha, jest przecież maj – matury. Szkoły, aby mieć spokój, wysyłają niższe klasy, gdzie się da. Te siusmajtki mogą mieć po szesnaście lat.”

– Nie kurzcie, wariatki – wykrzykiwały, chichocząc, dziewczyny pod adresem dwóch, niższych od innych, których stopy wybijały błazeńsko defiladowy” krok. Te dwie, krocząc na przedzie, miały jeszcze dziecinne twarze i chłopiące sylwetki.

„Andrzej zawsze robił to samo, mimo próśb i nalegań, a potem kaszłał nocami. Zaraz... To mogło być jakieś piętnaście lat temu. Gdzie byliśmy wtedy na wakacjach?”

Przypomniał sobie ostrą, nieprzyjazną twarz Barbary z ostatnich lat przed rozwodem i zrobił wszystko, aby przestać o tym myśleć.

– Naprawdę, nie wygłupiajcie się! – wykrzyknęła znowu któraś z dziewcząt. Jedna z tych, które szły na czele wycieczki, zrobiła zabawnie porozumiewawczy grymas do stojącego mężczyzny.

Uśmiechnął się i coś z tego uśmiechu zostało na jego ustach w chwili, gdy przywarły doń na moment śmiałe, wielkie oczy wyrośniętej piękności. Miała wydatne piersi i czerwone wargi. Zdażył zauważyć tylko to. Zaskoczony niespodziewanym wyzwaniem, uciekł z oczyma. Dopięła swego.

Poddał się jej od razu. Jarząbek i tamte sprawy zniknęły. Uczuł ogromną ulgę. Przez moment widział nieznaną dziewczynę nago, a siebie samego sposobiącego się do miłostnego aktu. Było to przywidzenie groteskowe i pociągające zarazem. Nie myślał już jednak o niczym innym. Kochali się na trawie, opodal pelżającej postaci. Trwało to sekundę, nie dłużej. Oprzytomniał.

Trzydzieści parę lat różnicy. Co najmniej. Obejrzał się. Uczyniła to w tej samej chwili, tylko spoglądając w jego stronę, starszawa pani o zmęczonej twarzy, idąca na końcu gromady. Zapewne profesorka. „Mój rocznik. Tylko nie potrafi zdobyć się na niemyślenie o pewnych sprawach. A ja żyję dzisiaj, gimnastykuję się, chodzę w dżinsach i śpiewam najnowsze piosenki.”

Piękna dziewczyna odpalała papierosa od peta w ustach koleżanki, ściągając wargi jak do pocałunku. Miała długie, strzeliste nogi. Uśmiechała się.

„Kto ciebie wyjmie jeszcze w tym sezonie, nie będzie miał powodów do narzekania. Na pewno jesteś domyślna.” – Eskadra i problemy sprzed lat zniknęły zupełnie.

Dziewczyna musiała kątem oka dostrzec, że jest obserwowana. W jednej chwili stała się poważna. Wydmuchała dym, nadymając policzki, jak czynią to dzieci puszczające mydlane bańki.

„Ty stary łajdaku, czy to się nigdy nie skończy? Czy zawsze, aż do samej śmierci, będziesz musiał mieć coś na sumieniu?”

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

Łupnęło go już w parę minut później. Flisacka przystań zmieniła się. Teraz przypominała „wesole miasteczko”. Niedzicki zamek na stromym wzniesieniu, po drugiej stronie Dunajca, wyglądał jak rycerz w zbroi spoglądający na zgiełkliwą i kiczowatą karuzelę.

Mężczyzna w dżinsach przystanął w ogonku do okienka z napisem „Kasa”.

„Masz swoją współczesność. Włącz się! Śpiewaj za dudniącym głośnikiem, tak jak inni! Jedz kielbaski z rożna! Kupuj tandetne pamiątki, jak ten tłumek amerykańskich turystów. Kołysz się w takt melodii, jak ci Niemcy siedzący nad rzeką! Zajadaj lody! Pij »Pepsi-Colę«! Ma taki sam smak jak na Florydzie i pod Coloseum!”

Zapłacił i spojrział na zegarek. Miał jeszcze pół godziny. W bufecie podobnym do opustoszałej strzelnicy królowała Cyganka sprzedająca piwo. Człowiek w góralskim kostiumie, zapewne tłumacz, mówił coś po francusku, otoczony gromadą chłopaków. Niektórzy z nich celowali swymi kamerami prosto w szare mury. Tłumacz w kostiumie gestykułował coraz ognściej. Z kilku jego słów wynikało, że przekazuje właśnie swym słuchaczom historię testamentu Inków.

Uciekł w stronę rzeki. Kamienie były obłe, wytoczone przez wodę. Szedł wzdłuż brzegu, ostrożnie stawiając na nich stopy. Wody było sporo. Gnała z szumem przed siebie, bijąc w wystające głazy. Zamek oblany słońcem robił właśnie wielki show dla turystów. Trzaskały kamery.

– Jazda numer trzydzieści siedem! – zagdakał głośnik. – Proszę wsiadać!

Przenosząc oczy z płycizny rzeki, gdzie przewalały się zbrązowiałe puszkę po konserwach, na podjazd parkingu, skrzywił się, jakby zabolalo go kolano. Zbliżał się właśnie jeszcze jeden kolorowy autokar.

Słońce zniknęło za chmurami. Baszty i mury zdawały się wisieć wysoko nad rzeką, odrealnione i posępne. Blask znowu wrócił. Słoneczna smuga sunęła najpierw wzdłuż skał, a potem przeniosła się wyżej, wydobywając od razu wszelkie załamania i nierówności całej budowli.

„Nawet i ciebie, staruszkę, zmuszono do mizdrzenia się ku uciezce dewizowych gości.”

Jeden z kamieni zakolebał się pod jego stopą. Spojrzał w dół i odrzucił patykiem przerwaną leżącą na brzegu w sam środek spienionego nurtu. Poczul obrzydzenie. „Oto symbol rozważnie realizowanych pragnień, przyszłości świata, namiętności poddawanych egzaminowi lęku i niepewności. Znamię techniki, stosowanej w najintymniejszych przejawach życia. Zwycięstwo racjonalistycznego sposobu myślenia.”

Sam nie wiedział, dlaczego splunął, myśląc o tym wszystkim.

Flisak w niebieskim serdaku, stojący w tyle łodzi, wsparł swój drąg o kamień na brzegu. Drugi, zastygły na szczepionych dziobach, dał znak. Obaj, napinając mięśnie, pchnęli równocześnie. Potem ten w tyle zaparł się jeszcze silniej. Zespół pięciu wąskich czółen okręcał się z wolna. Stare Amerykanki w śmiesznych kapeluszach pisnęły przesywając. Płaskie dna łodzi zachrobotaly na kamieniach.

Siedział na najwęższej ławce, jaka znajdowała się w przedzie. Spojrzał na ludzi, z którymi wypadało mu płynąć. Przeważaly starce, ściągnięte niepokojem twarze. Tratwę wchłaniał już prąd. Uderzyła lekko o wystający kamień. Amerykanki pisnęły znowu, przejmując, jak myszy. Wzdrygnął się.

„Nie wytrzymam” – zdecydował się nagle. Najpierw przeniósł nogi ponad niewysoką burtą, a potem – wciąż pamiętając o kolanie – zsunął się w wodę. Była zimna jak lód. Zobaczył zdumione oczy flisaka, który stał za plecami siedzących. Żyłasty góral wołał coś w stronę uciekiniera.

„Udało się. Kolano jest w porządku – brnął wodą w stronę brzegu. – W ogóle wszystko będzie w porządku, jeśli tylko zdołasz zawsze uciekać, choćby w ostatnim momencie.”

– Ewa! – zawołał chłopak z plecakiem, stojący na kamiennym upłazie przystani, skąd odpływały wszystkie tratwy. Dziewczyna, która do niego podeszła, miała muskularne nogi.

Wgramolił się na wzniesienie i usiadł tuż obok obejmującej się pary. Zdjął buty i wylał z nich wodę. Po ściągnięciu mokrych skarpetek poczul na gołych stopach ciepło słonecznych promieni. Poruszył palcami.

– Ale pięknie, co? – powiedział chłopak, stając za dziewczyną. Obejmował ją teraz w ten sposób, że palce zaplótł na jej piersiach. Przywarłszy do siebie policzkami, spoglądali oboje w stronę oddalających się tratw. Drągi flisaków przenosiły się to w lewo, to znów w prawo.

– Jazda numer czterdzieści jeden! – zadudnił głośnik i oboje młodzi odeszli.

„Wtedy, przed dziesięciu laty, było tu zupełnie cicho o tej porze. Pierwsze skały, jakie mijala tratwa, były żółte. Z otworów w stromym brzegu wylały jaskółki.

W niektórych miejscach woda, przezroczysta jak powiększające szkło, trwała bez ruchu. Łysy Weber z Akademii Nauk próbował – jak to on zwykle – zmusić wszystkich uczestników wycieczki do śpiewania angielskich piosenek, lecz nikt nie miał na to ochoty.

Płynęli na pych opodal szpaleru kolorowych budyneków, podobnych do chłopskich kredensów. W płytkiej wodzie, na wprost domów, brodziły kaczki. Młode, jak kłębki żółtej wełny, kolebały się nieporadnie na kamieniach. Jałowce, rozsypane w tyralierę na wzgórzu za domami, trwały nieruchomo. Flisak zapierał swój drag o głązy, których kształty obrysowywała pędząca woda. Ciemny pręt, przywarty do kamienia, drgał jak sekundnik zegarka. Nabierali szybkości. Strome wzniesienia, porośnięte drzewami o różnych odcieniach zieleności, przesuwwały się coraz prędzej.

Niespodziewanie zza drzew wystrzeliły rude skały, docierające aż do spienionej wody. Prąd był silniejszy. Drag flisaka przenosił się z lewego na prawy bok czółen, ponad głowami siedzących. Góral nie dbał już o elegancję i wyważenie każdego swojego ruchu. Walka z żywiołem toczyła się na poważnie.”

Znów przestał mieć czucie wzdłuż małego palca lewej dłoni. Zrobił kilka wymachów ramieniem, w nadziei, że krew napłynie i wszystko przejdzie. Nie pomogło. Rozmasował zdrętwiałe miejsce, zaciskając na nim z furją palce. Powoli czucie zaczęło wracać.

Mijały go dwie tratwy, wypełnione ludźmi. Chłopak w białych portkach i serdaku, stojący na samym koniuszku spiętych czółen, zdawał się tańczyć ze swym dragiem.

„Jest chyba sprawniejszy niż tamten przed dziesięciu laty. W małym palcu musi mieć całą sztukę manewrów tymi łupinami nawet przy największym prądzie. Świadom jest, ponadto, że oglądają go ludzie z brzegu, i »przyspiesza«. Walczy i wie, że żyje. Mam już diablo mało czasu na coś takiego. Czy uda mi się wreszcie, do pioruna, znaleźć coś, co sprawi, że przestanie dla mnie istnieć wszystko inne?... – Wyprostował prawą nogę. – Wciąż »dobrze zapowiadający się« kuternoga, mistyfikator, podreżyserowany przez młodą żonę na knajackiego playboya.

I wtem szarpnęło tratwę do przodu. Pędzili wśród białych pian, slalomowe omijając wystające głązy. Jak długo to trwało, nie wiedział. Oderwał oczy od kłębiącego się nurtu dopiero wtedy, gdy znaleźli się na rozlewisku. Tu woda zdawała się stać w miejscu. – Yes, very beautiful indeed! – rzucił w odpowiedzi na okrzyk rudowłosej piękności, uznanej przez wszystkich za »miss« wakacyjnego kursu. – Zawsze cię pragnęłam – mówiła w godzinę po przypadkowym spotkaniu w Klubie Dziennikarzy na Foksal, leżąc w jego łóżku. To zdarzyło się jednak jakieś trzy lata po spływie Dunajcem. A może cztery... Nie pamiętam teraz zupełnie.

Ja, działający jako lektor, to było nieporozumienie. Jedno z wielu. Jeszcze jedna strata czasu. Płacili mi nieźle, bo – o dziwo – ten i ów czegoś się ponoć u mnie zdołał nauczyć. To wystarczyło, aby uznano, że mam dobrą metodę. Dalej już szło i mogłoby tak trwać po dziś dzień. – Wzdrygnął się. – Wszystkie te wspomnienia powiązane były z nieustającymi chorobami Andrzeja. Jak się nazywała maść na skórne wypryski, której mała tubka była wtedy tak piekielnie droga? Synalar. Tak, Synalar. – »Synalar to jest maść dla synka. Zaraz przestanie cię swędzić i zaśniesz. Nie płacz już.« Mijają Trzy Korony. Woda w stawie jest seledynowa. To wszystko jest tak piekielnie ładne, że aż boli. Wąwóz cienisty, miękki, tajemniczy i swojski zarazem. Mógłbym tu żyć. Tak, przeniósłbym się tutaj, rzucając lektorat, i żyłbym wśród tych ludzi. A potem bym umarł i gdzieś tutaj by mnie pochowali. Ale jeszcze przedtem łowiłbym ryby, podglądał ptaki, turlałbym się po zboczach, a gdy zatęskniłbym za wielkim miastem, jeździłbym sobie na kawę do Szczawnicy lub do Krościenka.”

Zimorodek strzelił w wodę prosto jak pocisk. Lekceważąc zupełnie ludzi na brzegu i jękliwe tony muzyki, płynące z głośnika, nurkował przez chwilę, wyskoczył i odfrunął.

Skarpetki były jeszcze wilgotne. Mimo to mężczyzna wciągnął je na stopy, a potem nałożył buty. Podniósł się. Spojrzał na zegarek. Była dwunasta. Ludzi przybywało. Pod górę w stronę zamku ciągnęły coraz to nowe wycieczki.

„Zamek w Edynburgu jest równie wysoko. Szkocja... Może wkrótce znowu tam będę. – Namacał dłonią sztywną okładkę paszportu w kieszeni kurtki. – Ciekawe, czy Karinie spodoba się Londyn... Zamieszkamy u Freda Parkera na Muswell Hill. Zaraz po przyjeździe zapro-

wadzę ją pod to szkaradzieństwo zwane Alexandra Pałace. Najpierw spróbujemy w »pałacowym« klubie coś typowego, w rodzaju »double gin and bitter lemon«, a potem pokażę jej ze wzniesienia Alexandra Park całą północną część miasta...”

Podniósł się i ruszył w kierunku mostu nad rzeką.

„Zaraz wszystko się wyjaśni. Trzymaj się, chłopie” – nacisnął klamkę furty, słysząc bzycający sygnał.

Biały dom ze spadzistym dachem, zachodzącym szerokim okapem nad wejściowe drzwi, stał w głębi ogrodu. Część frontowej ściany od strony tarasu wyłożona była kragłymi kamieniami, jakie zalegały brzeg rzeki, widoczny w dole. Okienne były drewniane. Wąskie deseczki, z jakich zostały zrobione, miały kolor miodu.

Kwitła czeremcha i bez. W dali, tam gdzie wysiadł z autobusu, wystawała nad drzewami wieża krościeńskiego kościołka. Idąc wolno wysypaną żwirem alejką, dostrzegł na tle smukłych krzaków jałowca rzeźbę przedstawiającą kobietę z dzieckiem w ramionach, obłą bryłę w stylu ludowych prymitywów.

Przystanął i rozejrzał się. Drzwi garażu, oddzielonego od reszty ogrodu wysokim żywopłotem, były uchylone. W mroku połyskiwał lakier jakiegoś samochodu.

„Mieć taki dom to znaczy być jego niewolnikiem. Gdyby jednak Karina zobaczyła to wszystko, straciłaby humor na długo.”

Przypomniał sobie, z jakim ogiem potrafiła godzinami mówić o ich przyszłym, wymarzo-
nym domu i jak często – zwłaszcza ostatnio, w czasie choroby – zastawał ją siedzącą nad żu-
nalami w rodzaju „Domusów” czy też „Schöner Wohnen”.

Na moment owładnęła nim zazdrość i odeszła go ochota na rozmowę z doktorem. Prze-
mógł się i przełożywszy kupione na rynku pod kościołem tulipany do lewej ręki, zadzwonił.

Andzię, gosposię, która otworzyła drzwi, poznał od razu. Pogłębiły się jej tylko zmarszcz-
ki, ale śmiejące się, podkrążone oczy zostały takie same.

– Pan reżyser! Dzień dobry! – podreptała przed nim w kierunku stopni wiodących do wyż-
szej części hallu.

„Niech diabli porwą wszystkie te moje, pożałuj Boże, tytuły! Dla tych tu znowu jestem
kim innym. Można pęknać ze śmiechu!”

– Witam pana reżysera! – doktor wyszedł niespodziewanie z bocznych drzwi. Zapuścił
brodę i wyglądał jak Sindbad Żeglarz, który postanowił zostać rentierem.

– Witam pana ordynatora! – zdobył się także na żartobliwy ton. Od razu przypomniał so-
bie, jak wiele spraw łączyło go niegdyś z tym człowiekiem o śmiejących się oczach.

„Postrach otwockich pielęgniarek. Najbardziej nieznośny z sanatoryjnych lekarzy, który
wręcz zmuszał swoich pacjentów do wyzdrowienia i ucieczki przed sobą samym. – Ty Sowi-
zdrzale w lekarskim kitlu, zawsze cię lubiłem za poczucie humoru i serce. Widzę, że nic się
nie zmieniło.”

– Pan reżyser pozwoli! – doktor wskazał stopnie dworskim gestem.

„Nie tryskałby taką wesołością, mając dla mnie złe wiadomości.”

– Przestań z tym reżyserem! – podszedł do wieszaka i na jednym z jelenich rogów powiesił
swoją torbę. Później ruszył za gospodarzem.

– A co, nie reklamujesz już „kremów piękności” o nazwie „Placenta” lub „Wieczna mło-
dość”, maseczek kosmetycznych „Odgłosy wiosny”, zdolnych wygładzić nawet powierzchnię
księżycy? Przestał cię obchodzić vox populi, domagający się widoku pięknych dziewcząt w
piankowych kąpielach marki... dajmy na to „Kleopatra”? Pamiętam jeden z tych twoich fil-
mików...? Co to była za dziewczyna?! Jakie ciało! Przez całą noc, ku przerażeniu Reny, wy-
dawałem dzikie jęki. A rano chciałem do ciebie dzwonić i błagać o jej adres.

– Stary erotomanie! Czemuś tego nie zrobił?

– Zrobiłem! Za kogo ty mnie masz?! To znaczy... podniosłem tylko słuchawkę, bo nagle uprzytomniłem sobie, że jeśli ty... że jeśli taka jak ona gra w twoim filmie, to... No, rozumiesz... Koneser taki... jak ty... Znany wielbiciel piękna...

– Jeśli się zaraz nie zamkniesz, to wyrwę ci tę brodę. A wiesz, co było z Samsonem...

– Mnie już nic nie pomoże. Siadaj – gospodarz wskazał jeden z foteli. Gość usiadł pierwszy i wyprostował nogę.

„Złe się czuję w towarzystwie mężczyzn, którzy nie potrafią rozmawiać o kobietach. On zawsze był biegły w tej dziedzinie.”

– Więc już nie robisz tych genialnych etiud filmowych, które miały w całym naszym narodzie wyrobić pragnienie wydawania pieniędzy na lodówki, perfumy, i pralki, zamiast na mięso wołowe?

– Ty byku kraso! – roześmiał się gość. – Uznałem, że w ciągu trzech lat zrobiłem wystarczającą ilość szmir i już czwarty rok szukam spełnienia w czym innym.

– Reklama poniosła niepowetowaną stratę – doktor przysunął nieco bliżej drugi z foteli. – A co do czteroletnich „spełnień”, to chyba je znalazłeś. Wyglądasz świetnie.

– Dziękuję. Ty też. Oczywiście w górnych kondygnacjach swojej fizjonomii, bo dolne załatwiłeś włosami. Na Kubie zrobiłbyś furorę.

– Tu też robisz. Zapominasz o powinowactwie ustrojowym.

– Farbujesz ją? Przecież to niemożliwe, abyś nie miał ani jednego siwego włosa.

– Doch, jak mówią Niemcy. Zresztą błagam cię, odczep się od mojej brody! – doktor westchnął, wznosząc oczy. – Wystarczy, że z jej powodu torturuje mnie własna żona! Aha, à propos. Rena kazała cię uściskać. Jest na konferencji w Wiedniu. Kiedy przyszedł twój list, nie mogła już niczego zmienić. Nie masz pojęcia, co się z niej zrobiło! Ftyzjatra, ekspert w dziedzinie rehabilitacji. Robi mi konkurencję – odczyty, sympozja, te rzeczy... Najgorsze, że stale zabiera większy samochód i ciągle, dzięki temu, wysiada w nim skrzynia biegów. Z tym Wiedniem było ustalone już dawno, więc...

– Jasne – rzekł mężczyzna w dzinsach. – Przecież to oczywiste. I w ogóle „nie rozdrażniaj mienia!” i „skończ te mowę!” Pisałem, że zajmę ci godzinę, nie dłużej.

– „Zajmę”, tak? Wiesz, gdzie ja mam to twoje „zajmę” i takie zapowiedzi! – gospodarz wstał i otworzył barek. Przez chwilę przy czymś manipulował, aż zapaliło się światło. W lustrach zaczęły się od razu odbijać butelki i kieliszki. – Czego się napijesz? I tak zaraz będzie obiad. My tu na południu jadamy wcześniej niż wy, ale tymczasem...

– Jaki obiad? Zlituj się, nie jestem głodny!

– Andzia nie ma w takich razach litości. Znasz ją. Więc co pijesz?

– Czystą.

– Dobrze. Dam ci taką nalewkę, że ci oko zbieleje i wnukom będziesz o niej opowiadał.

– No, to czemu pytasz? – roześmiał się przybyły.

„Gruchamy ze sobą jak dwa stare, wyliniałe gołębie. Ale nie mogę, do pioruna, zapytać go bez żadnego wstępu! Poza tym to przecież całkiem sympatyczny facet. A może... ta cała jego wesołość, to rozradowanie, mają pokryć...” – uczył, że robi mu się gorąco z niepokoju.

Wypił dwa kieliszki, jeden po drugim. Nalewka była wytrawna i na szczęście niezbyt aromatyczna. Piło się ją lekko. Dopiero po chwili poczuł w żołądku jej palącą moc.

– Czego w niej nie ma, człowieku! – zaśmiał się doktor. Okulary powiększały mu oczy.

„Stary wyga. Nikt nie wyczyta z jego oczu, o czym myśli. Ta broda także kryje zupełnie rysy jego twarzy. Jest jak maska.”

– Więc przyjechałeś. Nie widzieliśmy się ze cztery lata – doktor rozsiadł się wygodniej i spojrzał na swego gościa. Uśmiechnęli się do siebie.

„Zapytam go i natychmiast pojedę do Kariny. Nie mam mu nic do powiedzenia. Znał mnie w innej wersji. Na ponowne zbliżenie zabraknie nam czasu.”

– I co teraz robisz? – doktor idąc za przykładem swego gościa także wyprostował nogi.

– Jestem dziennikarzem sportowym, sprawozdawcą. Zrobiłem też kilka filmów... – zawiesił głos:

Ach, jak lubił takie pytania. Trzy filmiki sportowe, do których napisał scenariusze, rozszerzały się wtedy w „kilka”, artykuł o chorym Koryckim, który miał kłopoty z kręgosłupem od czasu jego kontuzji w meczu z Włochami, urastał do rozmiarów eseju, dwa wywiady w telewizji, które się liczyły – jeden z Harrisem po zdobyciu przez niego mistrzostwa świata, a drugi z „Roso” Longinottim, stawały się „występami”...

Niekiedy potrafił rozdmuchiwać takie rzeczy. Teraz nie chciał. Wysunął pusty kieliszek w kierunku gospodarza.

– Dobre, co? – ten napełnił go natychmiast. – Sprawozdawca, powiadasz? Fascynujące! No, to... za sport! Bo sport to potęga! – wypili obaj.

– Żebyś wiedział – wychylił resztkę, jaka jeszcze została na dnie kieliszka.

– Kiedy wiem, wiem... – doktor zdjął okulary i przetarł powieki. – Nie gniewasz się, że cię zapytałem?

– Ależ, stary! – roześmiał się, czuł to, odrobinę za głośno. – Zasuważ!

„Knajackość i zgrywanie się niczego tu nie załatwią Rozmowa z nim to jak badanie rentgenologiczne. Całe życie prześwietlał i już nie potrafi przestać.”

Przyszła mu naraz na myśl Karina i wyprostował się. Czuł działanie alkoholu.

– Jestem szczęśliwy – rzekł, zapalając papierosa.

– Jak jesteś, to najważniejsze – doktor zapalił także.

„Nie wierzy mi zupełnie. Zresztą, nie dziwię mu się. Sam nie miałbym także zaufania do takich deklaracji.”

– Więc działasz jako sprawozdawca i redaktor – brodacznapełnił oba kieliszki.

– Tak to się nazywa – roześmiał się. – W końcu pracuję w redakcji sportowej dużego piśma.

– Jakiego?

– „Przeglądu Dnia”.

– Gratuluję – rzekł doktor i upił ze swego kieliszka. „Gotów jestem założyć się, że pomyślał teraz z satysfakcją o swoich sukcesach i stabilnej egzystencji. Że uznał mnie raz jeszcze za pędziwiatra, który zupełnie nie wie, czego chce, i niczego już nie zdoła osiągnąć w życiu.

Chyba ma rację. Psiakrew, ma absolutną rację! Kontakty ze mną były mu zawsze w gruncie rzeczy potrzebne jedynie dla utwierdzenia się, dla wywoływania kliszy z sobą samym – wspaniałym, zorganizowanym, perspektywicznie myślącym, pracującym do przodu.”

– Napisałem też opowiadanie – rzekł po chwili zupełnie bez sensu.

– Opowiadanie?! O czym? – doktor wyglądał na poruszonego. – Imponujesz mi! Może strzelisz jakąś książkę?

„Idioto! Kretynie! Przecież wszystko, co spróbowałeś zamknąć na tych sześciu stroniczkach, to był samograj i czysta grafomania! Wydrukowali ci to z łaski w niedzielnym dodatku.”

– Nie sędzę – rzekł, wgniatając swego papierosa w popielniczkę. – To, co napisałem, było bardzo niedobre. „Coś z życia”, tak można by to nazwać. „Przegląd Dnia” tu chyba przychodzi?...

– Nie wiem. Sportem się nie interesuję, więc....

– Ale „Przegląd Dnia” to nie gazeta sportowa.

– Nie wiem. Nic teraz nie wiem. Błagam cię o litość! – gospodarz roześmiał się niezbyt szczerze. – Zdziwaczałem ostatnio z kretesem. Na nic czasu. Ledwo mi go starcza na prasę fachową. Dostaję wszystko, co wychodzi w kraju, a poza tym „Lancet”, „Medical Journal”... Oto moje kontakty ze światem.

– Za Otwockiem nie tęsknisz? – spytał redaktor. – Zawsze mogłeś w każdej chwili zostać sanatorium i skoczyć do Warszawy.

– Warszawa to pomnik. A Otwock stracił już ten secesyjny urok, jaki miał niegdyś. Tu mi dobrze. Zżyłem się z ludźmi. Jestem konsultantem kilku sanatoriów... A jak tam te twoje „miechy”, zwłaszcza lewy szczyt? – oczy doktora spojrzały uważnie.

– Zdobyty – odparł niechętnie redaktor. – Prześwietlam się. Wszystko dobrze.

– Jakies blizny i zwapnienia musisz mieć – gospodarz wstał i podszedł do ciężkiego biurka pod oknem. Przesunął leżące na nim papiery. – Wyszedłeś z tego i tak zdumiewająco szybko. To dlatego, że kiedy chcesz, potrafisz być zdyscyplinowany.

– Miły jesteś – powiedział redaktor. – Ja zawsze jestem zdyscyplinowany.

„Wie. Wszystko wie. Muszę go zaraz zapytać o to najważniejsze.”

Trzeci kieliszek sprawił, że poczuł się rozluźniony.

– Nad czym pracujesz? – rzucił, układając w myślach już to następne główne pytanie.

– Jak zwykle – uśmiechnął się brodac. Zdjął okulary i przetarł szkła. – Pylica, rozedma, nieżyty dróg oddechowych w szerszym aspekcie, trochę... przyszłościowym. Coraz tego mniej, w tym ostrym, dramatycznym sensie. Ale cywilizacja niesie ze sobą nowe, nie mniej groźne schorzenia, więc ja... Wydałem dwie prace, piszę artykuły...

– Ftyzjatria cię już nie bawi?

– Nigdy mnie nie... bawiła – gospodarz nałożył okulary.

– Słuchaj, bo ja właśnie... – zaczął gość.

– Wiem. Myślisz, że tego nie dostrzegam? Ciebie w ogóle tu nie ma – przerwał mu doktor.

– W takim stanie cię jeszcze nie widziałem. I odkąd tylko wszedłeś, nic się nie zmieniło. Ani chwili odprężenia. Przypominasz, jak każdy z nas w pewnym okresie życia, przodownika w psim peletonie. Ponadto jesteś jak pytanie zakłęte w ludzki kształt.

– Chyba tak – redaktor skapitulował. Zaplótł palce i czekał. W tej pozycji nie było widać, że paznokcie wpił w wewnętrzną część dłoni.

– Wcale ci się nie dziwię. Wspaniała dziewczyna! – rzekł gospodarz.

– Widziałeś ją?

– Kim ona jest? Jeśli powiesz, jak zawsze, że masz z nią „tę samą długość fali”, to cię znokautuję!

– Bij! – odparł redaktor.

– Więc jednak. Co ona zobaczyła w takim potworze?

– Piękno lubi kontrasty.

– Człowieku, ta dziewczyna rozbiła w proch i pył spokój szczawnickich koneserów! Kochają się w niej wszyscy. Nawet doktor Mros, znany antyfeminista, przepadł z kretelem.

„Jeśli nie przestanie pieprzyć, to przewrócę z nim razem fotel, w którym siedzi. Ale jest chyba dobrze. Nie śmiałyby się tak, gdyby...”

– To moja żona – powiedział.

– Ale przecież... ona ma inne nazwisko! Karina Vezzi.

– Pod nim występuje. Jest piosenkarką.

– Wiem. Ale raczej... była – rzekł doktor bardzo cicho. – Posłuchaj... Słyszysz mnie?

– Tak – potwierdził.

„Więc jednak – zakołatało mu w głowie. – Jednak. Nie udało się. Wszystko na nic. Cała jej nadzieja. Wszystkie plany... – Wściekłymi ruchami zaczął szarpać zdrętwiały palec. – Przyjechałeś tu, aby przed spotkaniem z nią dowiedzieć się jak najwięcej. No, więc – wiesz! Powiedział ci, co działała medycyna...”

– Chciałem powiedzieć, że ten zanik głosu trwać może bardzo długo. Przeholowała – oczy doktora spojrzały z bliska. – Ostry nieżyty, słyszałeś o tym? No, wypij!

– Nie – odsunął kieliszek i wstał. – Muszę zaraz... do niej... Ona tam...

– Wariacie! Opanuj się! – doktor posadził go na powrót. – Jest duża poprawa. Mówi już prawie normalnie. Cieszy się. Jest w dobrym nastroju... Zastosowano wszystko.

„Wszystko dobrze, tylko nie będzie mogła śpiewać” – redaktor znów się podniósł i poszedł do okna. Gałęzie modrzewia kołysały się lekko. Na jednej z nich usiadł jakiś ptak, a potem podleciał jeszcze wyżej. Przez chwilę, czując w sobie pustkę, śledził go wzrokiem.

„A ja chciałem sobie beztrudnie płynąć Dunajcem! Jestem swołocz!”

– ...Myślałem, że tego tak nie przyjmiesz, słowo daję. Zawsze wolałeś wszystko „prosto z mostu”. Pamiętam twoją chorobę – mówił wciąż doktor za jego plecami. – Wszyscy się dziwili. Byłeś taki opanowany...

„Słowa przypominają nieraz kaszę” – odwrócił się.

– Już przestałem być opanowany – powiedział. – Dawno przestałem. Zresztą dobrze, postaram się znowu być opanowany – zdusił w sobie drżenie.

„Widocznie los robi wszystko, aby te trzy lata spędzone z nią stały się przeciwwagą do osiemnastu przeżytych, przetrwanych z Barbarą, i ładuje tyle, ile się da, aby nadrobić czas intensywnością. Był już brak mieszkania, brak forsy, anonimy, zgniłe rady »przyjaciół«, aby się z sobą nie wiązać. Było też, psiakrew, szczęście! Cholernie wielkie szczęście! Co będzie teraz?... Mizdrzyliśmy się tu obaj jak dwie stare cioty. A potem, potem... on mi przekazuje taką wiadomość. Ośmiela mi się ją przekazać jak gdyby nigdy nic!”

Andzia, stojąc w drzwiach, coś mówiła. Dostrzegał jej poruszające się wargi.

Zrozumiał dopiero zapraszający gest gospodarza.

– Nie, nie mogę – rzucił nieprzytomnie w odpowiedzi. – Dziękuję bardzo. Przepraszam – był już przy drzwiach hallu. Zapomniał o torbie. Zawrócił. Gospodarz wkładał buty. Wybiegł tuż za swym gościem. Samochód był szybszy. Doktor dogonił go obok kościoła. Tam znajdował się przystanek autobusu.

Jechali w milczeniu. Środkiem rzeki sunęły tratwy. Siedzący w nich ludzie trwali bez ruchu.

Zrobił jeszcze jeden wysiłek.

– Ta skała przypomina łeb rekina, nie uważasz? – rzekł do doktora. – „Na rany Chrystusa, nie możesz się jej pokazać w takim stanie. Uspokój się. Staraj się myśleć o czym innym. Tu mi się zgina...”

– Masz, połknij to! – jedna ręka brodacza zsunęła się z kierownicy i zagłębiła w kieszeni marynarki. Redaktor położył na języku białą tabletkę i przechylił głowę.

– Połknąłeś? – spytał kierowca.

– Nie – odparł zagadnięty. – Delektuję się. Ale wozik klasa! Ile pali?

– Santa Madonna, trzeba mieć do ciebie cierpliwość!

– Nie uważasz, że takie wykrzyknikowe zwroty jak „Santa Madonna!”, „Święty Antoni!”, a nawet „apage satanas!” stają się anachroniczne? Zastępują je coraz to inne, bardziej może dosadne, ale precyzyjniej oddające nastrój podniecenia. Wszystko się usprawnia.

Świat staje się coraz lepszy. A jeśli nie lepszy, to treściwszy, zdecydowanie lepiej oddający stan napięcia...

– Twoja żona mieszka prywatnie, w tamtej willi – rzekł doktor. – I przestań się wygłupiać! Dalej jest zakaz wjazdu. Zadzwoń jutro albo pojutrze. Wpadnijcie!

– Może rano zadzwonię. Bo już jutro wyjeżdżamy. Zapomniałem ci powiedzieć, za parę dni jedziemy oboje do Londynu. Dziękuję ci bardzo – redaktor wysiadł. – To BMW. Tak myślałem – powiedział, oglądając samochód. – Zrywny?

– Weź się w garść, rozumiesz? – powiedział doktor. – Zmiana klimatu może jej dobrze zrobić. A co to, urlop?

– Coś w tym rodzaju. Kiedy wymieniałem pieniądze w banku, doliczyli mi dopłatę turystyczną. Wynika stąd, że jedziemy jako turyści. Może coś napiszę z tej podróży dla swego „organu”... Naczelnicy powiedział, że wyłuska mi na ten cel jakąś sumkę.

– Rozumiem, co czujesz – brodacz zmarszczył brwi.

– Wiem. Dziękuję. To cześć! Przepraszam Andzię!

– Cześć! Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. I że wrócisz do równowagi.

– Ja też – redaktor uśmiechnął się i pomachał ręką, jakby doktor był już daleko. Odwrócił się i poszedł przed siebie. Przystanął. Droga wiała się obok cienistego parku.

„Wyrosła ci w życiu jeszcze jedna góra, na którą musisz wleźć. Musisz zaraz, już za parę minut, wspiąć się na sam jej wierzchołek i nikt ci w tym nie może pomóc. W dodatku, kiedy ci się to uda i gdy będziesz już na szczycie, powinieneś zrobić wszystko i zagrać, że wcale nie jesteś zmęczony. To znaczy, że nie dyszysz i że nie łomocze ci serce.

Słowa. Potrzebne będą także słowa – wykrzywił usta w grymasie uśmiechu, a po chwili zrobił to jeszcze raz. – Piekielnie dużo słów.”

Miał jeszcze czas. Czytał niezbyt przytomnie kartkę od Kariny, wyrwany z jej notesu skrawek papieru, jaki czekał na niego, przypięty wsuwką do włosów, do zewnętrznej strony skrzynki na listy. Pisała wciąż jeszcze nieco dziecinnymi, okrągłymi literami, informując go, gdzie jest i dlaczego, pomimo niepokoju i tęsknoty nie mogła czekać.

Pochylił się i namacał dłonią klucz leżący pod wycieraczką. Wiadomość, że klucz znajduje się właśnie tam, była na końcu listu obok zabawnie niekształtnego serca, przebitego strzałą.

„Jesteś jednocześnie naiwnym dzieckiem i przewrotną, groźną kobietą. Moja miłość do ciebie to nieustanna ułańska szarża. Dobrze, że potrafisz mi dawać złudzenia zwycięstw. Robisz to zresztą dlatego, bo nie zniosłabyś mnie, gdybym wywiesił białą flagę.

Co sprawiło, że mnie właśnie wybrałaś jako partnera do tej zabawy, nie wiem. W każdym razie, jestem szczęśliwy, że to ja, a nie kto inny.” Czuł już działanie tabletki doktora. Zapamiętał tę miejscowość sprzed lat. Często, kiedy miał dosyć dużych miast, uciekał tu myślami.

Minął nowy dom towarowy i skręcił w lewo. Małe sklepiki z pamiątkami nie zniknęły. Secesyjne drewniane wille pięły się zboczami kopulastych wzniesień. Balkoniki, wystające ponad chodnikami, miały przedziwne kształty i wygięcia. Centrum uzdrowiska, wgniecione w głęboki wąwóz o stromych zboczach, było w istocie jedną wąską uliczką, wznoszącą się w kierunku placyku obok łązienek.

„Coraz mniej miejscowości tak odległych od linii kolejowych – szedł wolno pod górę. – Tutaj nawet dworzec autobusowy jest daleko. Zostały tylko dorożki, jak przed stu laty, kiedy odwiedzali to miejsce ludzie z całej Europy.

Gdybym był burmistrzem, zakazałbym tu w ogóle wjazdu samochodem do tego miasta. Zrobiłbym z tego miejsca coś w rodzaju skansenu dziewiętnastego, romantycznego stulecia. A ludzie doceniliby to chyba.”

Kupił niezbyt świeże róże w mijanej kwiaciarni, lecz w ogóle nie było innych. Właścicielka tego przybytku miała wydatny biust i ciemny wąsik. Mówiła z lwowskim akcentem.

Zapytał ją o nowoczesny budynek po drugiej stronie ulicy, którego ściany pokryte były srebrzystą, falistą blachą, połączoną w dodatku z pasami seledynowych kafli. Przed tą budowlą znajdowała się fontanna.

– Podoba się panu? – wąsata dama przerwała owijanie kwiatów papierem. – To Zakłady Przyrodolecznicze. Prawda, że śliczne?

– Śliczne – powiedział, biorąc kwiaty z jej rąk. – Czy Inhalacje Bullinga są tutaj?

– Nie, Bulling jest wyżej – odpowiedziała, wyraźnie zdziwiona, iż nie wiedział o czymś tak oczywistym.

Mikroskopijny placyk, jaki zamykał ulicę, przywodził na myśl scenę teatralną, przygotowaną do ludowego musicalu. Domy z zielonymi lub ceglastymi dachami zachodziły na siebie. Misterne balkoniki zdawały się trwać, przylepione do kolorowych ścian budyneczków zupełnie jakby na jeden występ. Stosunkowo najsolidniej wyglądała fontanna, przedstawiająca zwalistą kobietę, dzierżącą oburącz przechylony dzban, z którego szeroką strugą wypływała woda.

„Rzeźbiarz cierpiał na gigantomanię. Ta fontanna, uwzględniając otoczenie, jest zdecydowanie trzykrotnie większa, niż powinna.” Porwał go jednak zwariowany, nieco groteskowy urok tego miejsca i przez chwilę – nie myśląc o niczym – trwał bez ruchu.

Wataha chłopaków na motocyklach z przylepionymi do pleców dziewczynami wyrwała go z tego stanu. Ryk motorów zagłuszył na moment zupełnie śpiew ptaków i szemranie ludzkich głosów.

Redaktor zaczął iść schodkami pod górę.

W obszernym hallu, opodal inhalatorni, stały dwa duże filodendrony. Fikus o liściach jakby wyciętych nożyczkami zajmował cały środek. Pacjenci przechadzali się lub siedzieli na krzesłach, ustawionych w długim rzędzie. Ci na krzesłach trwali w jednej linii, stykając się ramionami.

„Boże, co to za wspaniała pastylka! Jestem już właściwie zupełnie spokojny. Zaraz zobaczę moją dziewczynę. Już za chwilę będzie blisko mnie!”

Dyżurna pielęgniarka miała ciemne włosy ostrzyżone na chłopczycę. Spojrzała na niego z zainteresowaniem, tak jak patrzą kobiety na mężów gwiazd filmowych, i uśmiechnęła się, obnażając białe zęby, nieco za duże, jakby przeznaczone dla innych ust.

– Pani Vezzi ma teraz inhalację solankową. Prosiła, aby pan na nią poczekał w „Haneczce” – zarumieniła się. – To taka kawiarnia zaraz w dole za rogiem – dodała po chwili.

– A czy nie mógłbym tam zajrzeć? – wskazał drzwi z tabliczką „Inhalacja solankowa”.

– Chce pan zobaczyć, jak małżonkę męczą? Dobrze. Czemu nie? – rzekła, ruszając pierwsza. Wpuściła go do wnętrza.

Niewielką salkę o kamiennych ścianach wypełniały kłęby aromatycznej pary. Zakaszła.

Majaczące wokół ścian postacie w białych opończach i kapturach trwały bez ruchu. Żadna nie zwróciła się w jego stronę.

„Zupełnie jak członkowie Ku-Klux-Klanu. To niewiarygodne. Jedną z tych poczwarań kocham.”

Nagle uczył się nieswojo. Wyszedł. W poczekalni dwaj starcy, zajęci grą w szachy, stykali się niemal łysymi czaszkami. Odszukał pielęgniarkę. Nie przyjęła banknotu, jaki usiłował wcisnąć w jej dłoń.

– Pańska żona będzie gotowa za piętnaście minut – rzekła chłodno. – Niech pan poczeka w kawiarni.

„Szalony kraj. Nie sposób przewidzieć, czym można dotknąć człowieka” – uśmiechnął się do niej na pożegnanie.

Długa kiszkowata sala o dużych oknach przypominała wnętrze nowoczesnego kościoła.

Zamówił kawę i gruziński koniak. Za oknami defilowali ludzie z kubeczkami przy ustach.

Dwaj przystojniacy w kolorowych koszulach szli wolno, rozglądając się. Zaczepiły ich trzy dziewczyny. Cała piątka przystanąła opodal wejścia do pijalni. Jedna z dziewcząt była niebrzydka. Odeszła zaraz, gdyż zawołał ją chłopak stojący na deptaku. Lecz dosłownie w ciągu sekundy zastąpiła ją inna. Teraz przeszła orkiestra cygańska z grubasem o prawie mu-rzyńskim kolorze skóry i kędzierzawych włosach, na którego brzuchu sterczał akordeon.

Para starych ludzi – on siwy, wyprostowany, w binoklach i alpakowej marynarce. Ona z fioletowym szalem, spływającym z ramion, i ze spiętymi w kok srebrnymi włosami – spoglądała przez chwilę na kwitnący krwawo kaktus w oknie kawiarni.

„Ciekawe, czy trzyma go pod rękę, gdyż boi się przewrócić?... A może wciąż jeszcze i na przekór przemijaniu i korozji czasu potrafi być z nim szczęśliwa?... Są chyba oboje w tym samym wieku...”

Spochmurniał. Rozejrzał się. Przy ścianie, na drewnianych ramach, wisiały gazety. Wziął „Wiadomości Poranne”. Jerzy Kofer znów pisał o szachach. Połowczak wymądrzał się na temat konieczności reformy obozów treningowych ciężarowców. Jego artykuł był, jak zwykle, utrzymywany w napastliwym tonie. Spojrzał na pierwszą stronę. Przeważały relacje z dyplomatycznych podróży.

„Politycy są jak sportowcy. Najpierw, jeszcze mało znani, startują w nieważnych klubach. Potem przechodzą do innych, lepszych, gwarantujących uczestnictwo w poważnych zawodach. Jeśli teraz osiągają dobre wyniki i mają już na swoim koncie jakieś zwycięstwa, wybierani zostają do kadry narodowej. A później, nawet jeśli okaże się, że są »do kitu«, w najgorszym razie zachowują uprawnienia lub też zostawszy trenerami pouczają innych, jak, ich zdaniem, należy żyć i działać.”

Weszła nagle. Nie zauważył jej w pierwszej chwili i dopiero zwrot głów mężczyzn przy najbliższych stolikach w stronę wejścia sprawił, że zdobył pewność.

„To bardzo proste, moi panowie. Nie podrywałem się nigdy w ten sposób na jej widok, choć zawsze zamiera we mnie serce tak jak teraz, i dlatego mam ją ja, a nie któryś z was.”

Podniósł się i czekał.

„Jest to Królewna Śnieżka Disneya, tylko ładniejsza, przeniesiona w rzeczywistość. Na to nie ma rady. Cholernie trudno udawać królewicza, ale spróbuję. No, na koń! Musisz, mój stary, zaśpiewać teraz coś szczególnie ładnego.”

Pochylił się i wyjął kwiaty z papieru.

Widziała go już. Poprawiła włosy zwykłym ruchem i uśmiechnęła się, idąc wzdłuż sali w stronę jego stolika.

„Płynie. Jest piekielnie ładna. Ci, których właśnie mija, widzą, jak drżą chrapki jej noska. Za chwilę zobaczę to sam, i to zupełnie z bliska. Mam jeszcze siedem, sześć, pięć metrów, aby zupełnie się uspokoić i aby uznać jej miłość za coś naturalnego.”

– Witaj, Donaldzie! – powiedział.

– Zastanawiałam się, jak mnie dzisiaj nazwiesz. O, dziękuję! – uśmiechnęła się, biorąc kwiaty z jego ręki. – Jakie piękne! Po tej solance chyba rzeczywiście wyglądam jak kaczor – zawahała się i pocałowała go w policzek. Powąchała kwiaty.

– Wyglądasz jak całe stado najpiękniejszych kaczorów świata.

– A ty wyglądasz jak... – nie dokończyła i spuściła oczy.

– No, strzelaj! Oto moja pierś! – otoczył ją ramieniem. Usiedli.

– Kiedy ja nigdy nie potrafię nic wymyślić – spojrzała mu prosto w oczy.

„Kochałeś ją zawsze, nawet wtedy, kiedy jej nie było” – upił kawy. – Pomogę ci, ja wyglądam jak stary, wyleniały legawiec. – „Szarżujesz, uważaj!...”

—A nie, bo jak „rączy jelen”.

– „Rączy”... Dobre sobie.

– Are you fishing for compliments? – spytała i roześmiała się.

„Musisz zaraz, natychmiast przywyknąć do tego, że jest taka cudowna! Inaczej leżysz jak neptek. Najważniejsze, że z jej głosem jest wyraźnie lepiej.”

– Która lekcja zrobiona? – spytał, marszcząc groźnie brwi.

– If I had time, I would like to spend it with you – odparła. – It is lesson number twenty nine.

– Piekielnie cię kocham, wiesz? – skapitulował niespodziewanie.

Nie odpowiedziała, tylko przywarła do niego pod stołem kolanami.

„W takim razie jest jeden – jeden.”

Obserwował ją w chwili, gdy zamawiała kawę. Kelnerka wdzięczyła się i wywracała oczami, mówiąc o jakimś torcie.

„Uwodzi wszystkich zupełnie nieświadomie. Zostawia trupy i zgłiszcza.”

– Mam tu dla ciebie bombową dziewczynę – rzekła otwierając torebkę. Zobaczył wsunięty w zeszyt podręcznik do angielskiego i „Murder in Orient-express” Agaty Christie. Ogarnęło go rozczulenie.

– Dawaj ją!

– Chciałbyś? – patrzyła na niego uważnie. Nie dostrzegła teraz zupełnie kelnerki, która właśnie stawiała przed nią talerzyk z ogromnym kawałem czekoladowego tortu i parującą filiżankę.

– Pitaval! – wzruszył ramionami, robiąc minę podrywacza. – Jeśli ładna...

– Więc dobrze – poznam was. Jest bardzo piękna. Blondynka, długa... Inteligentna...

– Świetnie. Nawet nie musi być inteligentna. Tylko pamiętaj... mogę jej poświęcić jeden wieczór, bo jutro wyjeżdżam z żoną...

– Żonę masz chyba tolerancyjną, więc...

– O, tak. Moja żona jest samą tolerancją. Pozwala mi na wszystko.

– Właśnie, że nie! – kopnęła go boleśnie pod stołem. Jej oczy pociemniały. – Gdybyś zrobił coś takiego, to byłby koniec wszystkiego.

– Czego?

Orkiestra zagrała „La Palomé”. Fortepian dudnił rytmicznie.

„Tańczę z radości! Przesuwam się między stolikami, wyginając w biodrach jak bajadera, i wydaję dzikie głosy.”

– Całego świata – rzekła, sięgając po papierosy.

– Nie! – chwycił paczkę.

– Tylko jednego. Jest już lepiej, prawda? – spróbowała zanucić graną melodię. Na wyższych rejestrach głos jej był matowy i nijaki. Zamilkła. Dostrzegł, że lzy nabiegły jej do oczu.

– Jest dużo lepiej, ale musi być całkiem dobrze – dotknął jej ręki.

– Jest fatalnie! Wiem! – raptem zwróciła się w stronę przechodzącej kelnerki. – Jeszcze jeden koniak! – dostrzegła jej spojrzenie. – Tego już nie ma! – rzekła, zbliżając kieliszek do ust. Wypiła jego zawartość jednym haustem.

– Przysięgam ci, że jest lepiej.

– Masz grzech – spróbowała się uśmiechnąć. Wyjęła z torebki chusteczkę i poprawiła sobie oczy.

– Mam dużo, makabrycznie dużo grzechów. Ale: teraz żadnego.

– Właśnie że tak. Skłamałeś – pochyliła się nad stołem. – Ale zrobiłam wszystko, rozumiesz, wszystko!

– No i jest lepiej, przysięgam! – ujął jej dłoń. Były ciepłe.

– Wystarczy mi na „parlando”, a i to z ustami przy mikrofonie. Głodny jesteś? Tu jest właściwie jedna prawdziwa restauracja. Nazywa się „Halka”.

Nie bronił jej już papierosa. Zapaliła. Widział, jak się zaciąga – głęboko, do dna.

– Pewien wybitny lekarz powiedział mi, że taka zmiana klimatu pomoże ci na pewno – rzekł, czując zupełną bezradność.

„Z wszystkim potrafiłeś w życiu walczyć, ale z bezradnością nigdy ci nic nie wychodziło.”

– Kłamiesz.

– Daję słowo, że tak powiedział.

– Powiedz: „jak ciebie kocham”.

– Jak ciebie kocham.

– Teraz ci wierzę. Kto to był?

– Doktor Weber z Krakowa. Spotkałem go przypadkiem.

– Tu też były dwie śpiewaczki. Jedna z opery i ona... – zaczęła wolno.

– Co?

– Nic. Miała podobno to samo co ja i wyleczyła się.

Tylko że ja już nie jestem taka młoda. Mam dwadzieścia cztery lata.

– No jasne – opanował śmiech. – Starość puka do twych wrót. Jesteś skazana na zagładę, to oczywiste. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

– A jak wyglądam?

– Fatalnie. Kiedy weszłaś, po prostu się przestraszyłem.

– Pomyślałeś sobie: „Co ja w niej widzę?”, prawda?
 – Właśnie.
 – A ty wyglądasz świetnie. Opaliłeś się, wiesz? Gdzie postawiłeś samochód?
 – Nazwa „samochód” to dla tego staruszka komplement. A „postawiłem” go w Chabówce, bo uparł się, że nie wjedzie na Obidową. I wcale nie wyglądam świetnie.
 – Ten samochód jest taki jak ja – westchnęła. – Wciąż się leczy.
 – On jest zmurszały starzec. Pamięta pierwszą wojnę światową. Jeździł nim na front arcyksiążę Ferdynand.
 – A nie, bo Ferdynand zginął na samym początku – uśmiechnęła się lekko. – Chciałeś mnie zagiąć.
 – Jasne. Bardzo lubię cię zaginać, odginać, wyginać...
 – Przeginać też?
 – Pasjami!
 – Och, dobrze, że jesteś – przeciągnęła się lekko. – I dobrze, że wracamy do domu. Aha, podlewałaś kwiaty na balkonie?
 – Robiłem im co wieczór istne oberwanie chmury.
 Roześmiała się już zupełnie po dawnemu. Spoważniała nagle i przez chwilę siedziała w milczeniu.
 – A jak będzie w tym Londynie?
 – Fajnie, zobaczysz. Fred to równy chłop. Zresztą i tak od razu się w tobie zakocha. Będziesz go miała z głowy.
 – Ty się we mnie zakochałeś i wcale cię nie mam „z głowy”. Zakochałeś się czy nie?
 – Mowa – wzruszył ramionami.
 – No, ale powiedz – upiła trochę koniaku.
 – Zakochałem się dogłębnie, namiętnie i nieodwracalnie.
 „Kiedy patrzę w jej oczy, to zupełnie tak, jakbym kołysał się w powietrzu na spadochronie. I w dodatku wcale nie chcąc wracać na ziemię.”
 – Chcę być blisko ciebie – powiedziała.
 Przyniósł swój fotelik i objął ją ramieniem.
 – Chcę być bardzo blisko, najbliżej...
 Przysiągłby, że jej ciało podało się całe ku niemu i otworzyło, choć nie zmieniła pozycji. Zrozumiał. Przywołał kelnerkę i zapłacił. Potem wyszli.
 Placyk przetworzył się w ten sam cudowny sposób, w jaki odmieniało się zawsze wszystko, co najpierw oglądał sam, a potem z nią razem.
 – Marek – rzekła bardzo cicho. – Ja...
 – Ja też... – szepnął, muskając wargami jej ucho.
 Szli, wsparci o siebie. biodrami, nie mówiąc już nic.

II

Pociąg zatrzymał się. W przedziale było mroczno. Zamknął oczy i po chwili znowu je otworzył. Karina wciśnięta w jego płaszcz, wiszący w rogu naprzeciwko, nie obudziła się. Mógł dalej na nią patrzeć.

Niebieskawe światło, sączące się z lampki u sufitu, pogłębiało miękkie cienie na jej twarzy, zacierając szczegóły. Odchylił się nieco w lewo, by zobaczyć profil, i przeszła przez niego łaskotliwa, ciepła fala, jak gdyby zanurzył się w morzu, nagrzanym słońcem.

„Tylu chciało cię już kupić, dziewczyno, oszołomić forszą, własnym wdziękiem i diabli wiedzą, czym jeszcze. A ty wybrałaś mnie, i to w okresie, kiedy miałem mniej niż nic, kiedy zatraciłem zdolność żartowania z dubli i kopniaków losu.

Posiadałem tylko gorzyc widzenia świata i – dla przeciwwagi chyba – zdolność kochania i dziwienia się. To mnie uratowało. Gdybym i tych rzeczy się oduczyl, rozerwałoby mnie przy tobie na kawałki. A tak trwamy przyklejeni do siebie, a nawet niekiedy stopieni w jedno. »Niekiedy«, gdyż jestem tylko prymitywnym mężczyzną i w dodatku tak skonstruowanym, że muszę mieć własne podsumowania i ucieczki nawet od największych szczęść.”

Potań zadrętwiały palec. Wśród myśli, jakimi ogarnąć pragnął to wszystko, co przeżyli oboje, były też świeże, jak pachnący, wiosenny wiatr.

Uśmiechnął się, wstał i wyszedł na korytarz. Idąc, ostrożnie przekroczył jej wyprostowane, długie nogi, a potem nogi trzech obcych mężczyzn, jacy znajdowali się wraz z nimi w przedziale. Pociąg stał na stacji kompletnie bezosobowej i pustej. Kamienne schody z napisem „Ausgang” wiodły gdzieś w dół. Otworzył okno. Noc, jak na czerwiec, była chłodna. Odkąd przerzedziły mu się włosy na czubku głowy, ta część jego ciała reagowała najsilniej na zmiany temperatury. Przesunął dłonią w ten sposób, aby bujniejsze owłosienie prawej strony przemieścić na środek.

Wzniesienie peronu, przy którym stali, kiosk upstrzony masą kolorowych magazynów, dach wsparty na grubych kolumnach – wszystko to było betonowe i podświetlone neonowymi lampami, ukrytymi przemyślnie w jakichś zakamarkach. Lampy pozostawały niewidoczne. Kolumny przypominały nogi słonia.

Jaskrawa poświata sprawiała, że dopiero po chwili dostrzegł ciemne zarysy domów po drugiej stronie torów oraz rzędy nieruchomych samochodów, jakie stały przed tymi domami. Zauważył też, że noc miała się już ku końcowi i że granat nieba był jak gdyby wyblakły od tej strony, z której przyjechali.

Na peron wbiegł mężczyzna w niemieckim, kolejarskim mundurze z młotem w dłoni, a redaktor domyślił się z jego pośpiechu, że człowiek ten spał zbyt długo i że teraz próbuje nadrobić swe spóźnienie. Doszedł także do wniosku, iż czynność opukiwania kół wagonów nie zmieniła się ani na jotę w ciągu lat i że on sam obserwuje ją z zainteresowaniem nie mniejszym, niż czynił to niegdyś, kiedy był dzieckiem.

Kolejarz stukał tylko w wybrane koła, jak gdyby z góry znając te, które mogły wzbudzić jego nieufność. Podróżny wychylił się, próbując dojrzeć, czy ktoś jeszcze oprócz niego przygląda się tej operacji. Wówczas dostrzegł na końcu peronu napis „Eichen” i uprzytomnił sobie, że byli już bardzo blisko Hannoveru.

Środkiem pustego peronu przejechała mała platforma wioząca worki i paczki. Kierujący pojazdem chłopak miał oliwkową cerę. Jego czarne włosy lśniły od brylantyny.

Redaktor przez moment znalazł się dzięki temu chłopakowi raz jeszcze w Wenecji i przypomniał sobie wszystko, co tam przeżył. Zupełnie taki sam brunet podawał co rano cappuccino w kawiarni „Gallini”, pomiędzy Ateneo Veneto a Teatro La Fenice, zaś inny, wiecznie uśmiechnięty, który mógł być rodzonym bratem tego kelnera, sprawował funkcję biletera vaporetta numer 8, kursującego pomiędzy Ponte della Vin a wyspą Sacca Fisola.

Pociąg ruszył i okno, przy którym stał, zrównało się znowu z wózkiem o elektrycznym napędzie.

Kobiety z północy lubią przybyszów ze słonecznych rejonów globu. Chłopak miał oczy bezczelnie pewne siebie. Mimo to wyglądający oknem mężczyzna uśmiechnął się do niego. Brunet odpowiedział mu wulgarnym gestem, jakim w tym kraju młodzi ludzie zwykli odpowiadać na zaczepki pederastów. Redaktor zamknął okno i odwrócił się. Przyszło mu do głowy, że wiele by teraz dał za jednego papierosa.

Rzucili oboje palenie przed wyjazdem. Opuścili zresztą Warszawę później, niż to planowali. Tak się złożyło, że okres poprzedzający wyjazd spędził na przypominaniu się wielu ludziom. Palił wtedy nocami. Niektóre środki uspokajające nosiły nazwy przywodzące na myśl imiona pięknych kobiet.

Kiedy Telewizja zwróciła mu z konwencjonalnym listem jego scenariusz, poświęcony osobie dawno zapomnianego, a niegdyś sławnego pływaka, potrafił już przyrządzać osobliwe zestawy tabletek, po których noce były, jak to określał – „najciekawsze”. W ciągu dnia wewnętrzne, nieznośne wibrowanie przycichało tylko wtedy, gdy zaciągał się głęboko. Odpalał zatem papieros od papierosa.

Stracił przytomność zupełnie idiotycznie, wychodząc z baru Hotelu Europejskiego, gdzie wstąpił na jedną „samotną” wódkę.

Tuż obok mieściło się Ministerstwo Kultury. Kiedy otworzył oczy, w gromadzie otaczających go ludzi przeważały prostytutki ubrane w kolorowe, zagraniczne ciuchy oraz ministerialne urzędniczki – na kraj owo.

W karetce omdlał znowu. Oprzytomniał w jakimś szpitalnym wnętrzu. Lekarz przypominał Napoleona III.

Miał zimne ucho.

– Więc ma pan czterdzieści dziewięć lat. A gdzie pan pracuje? – „Cesarz” w białym kitlu podniósł się i podszedł do umywalki. Nie słysząc odpowiedzi swego pacjenta, zwrócił ku niemu głowę. – Może pan mówić? Nie męczy to pana?

– Mnie nic nie męczy. Jestem dziennikarzem – leżąc na wąskiej kanapce, przykrytej czymś białym, zauważył, że pielęgniarka podaje lekarzowi ręcznik z miną, jakby podawała mu samą siebie. Pomyślał, że prawdopodobnie robią to w wolnych chwilach na tej właśnie kanapce, na której leżał.

– Wojna?

– Nie rozumiem – doszedł do wniosku, że doktor ma wyjątkowo piękne dłonie i że wygląda naprawdę dystyngowanie. Uczuł nawet coś w rodzaju dumy z racji jego reprezentacyjnego wyglądu. Był jeszcze nieco zamroczony, bo padając rąbnął głową o chodnik. „Polscy, lekarze są piękni” – poruszył prawą nogą. Ból w kolanie nie odezwał się.

– Pytam, co pan robił w czasie wojny? – doktor powiesił ręcznik i zbliżył się do kanapki.

Redaktor pojął nagle i oprzytomniał od razu. „Żyję dzisiaj. Tamtego nie było. Nic się nie działo.

Nie ma o czym mówić. Podamy zwykłą wersję.”

– Nic szczególnego – powiedział. – Byłem ogrodnikiem.

– Orodnikiem? To się panu udało.

– Właśnie.

– A ta szrama na plecach?

– Miałem wypadek samochodowy – zawsze bał się lekarzy i białego koloru. Spróbował wziąć się w garść. – Później trochę chorowałem...

– Leczone pana odumą, prawda?

– Hydrazidem i Pasem też. Na początku brałem strepto.

„Drań strzela w dziesiątkę. Pewno mnie prześwietlał i zobaczył zgrubienie opłucnej. Dobrze, że nie można prześwietlać pamięci.

Trzeba mu coś ofiarować »zamiast kwiatów«. Jest niezły w tym, co robi.”

– Jak pan to poznał, panie doktorze? – udał zaskoczenie.

Skonstatował, że oczy pielęgniarki, zwrócone na lekarza, były jakby podświetlone od wewnątrz. Widocznie miłość jej istniała opalana podziwem.

– Jak długo to trwało?

– Prawie cztery lata – spróbował usiąść, ale lekarz powstrzymał go ręką. Z bliska wyglądał na trzydziestolatka.

„Jest o dwadzieścia lat młodszy ode mnie. Dwadzieścia lat – ocean, bezmiar możliwości. Jurczak ma dwadzieścia sześć i jego bzdurny scenariusz o zawodach sportowych przedszkolaków przyjęli z entuzjazmem...”

– Ma pan dzieci? – dłoń badająca jego puls cofnęła się. Teraz palce przesuwają obrączkę.

– Miałem. To jest... mam syna. Rozwiodłem się – dostrzegł krótkie spojrzenia, jakie wymienili ci dwoje nad jego głową.

„Ach, więc sprawa zaszła już aż tak daleko...”

– Wygląda pan świetnie, ale... – powiedział wolno lekarz – ...myślę, że należałoby...

– Niech pan mówi prosto z mostu – sam się zdziwił, gdyż serce załomotało mu po dawnemu w skroniach. A więc znowu zaczął się bać o swoje istnienie. – Wywaliło mi coś nowego?

– Ile pan tego wziął? – W dłoni lekarza pojawiła się fiołka z Insidonem.

– Dwa. Dwie tabletki – poprawił się. Myśli jego pokonywały wciąż jeszcze opór tak namacalny, że mógłby go chyba ująć w dłonie.

– Miał pan typową zapaść po wypiciu po tym alkoholu. Taki cocktail bywa śmiertelny. Ma pan, poza tym ciśnienie siedemdziesięciolatka. Niech pan się weźmie za siebie, wyjedź gdzieś, odpocznie... Ile pan pali tych „gwoździ”? – doktor odchylił się sprężyste i podjął leżącą na stole paczkę gauloise’ów.

– Różnie, trzydzieści, czterdzieści...

– Radzę przestać. Zwłaszcza jeśli ma się... tak młodą i piękną żonę – otworzył drzwi z ukłonem i uśmiechnął się.

W ten sposób mógł się tylko uśmiechnąć do jednej, jedynej dziewczyny. To działo się za ledwie przed tygodniem. Lecz teraz wszystko – cudowne dwa dni w Pieninach, jak i zły, przedwyjazdowy okres – stało się odległą przeszłością.

Zajrzał do przedziału. Był już dzień, a ona spała jeszcze. Kosmyk włosów na jej policzku miał kształt półksiężyca. Wyglądała teraz egzotycznie i andaluzyjsko, jak wtedy, śpiewając na scenie Leśnej Opery. Stała się odleglejsza. Nad jej snem, podobnie jak nad śpiewem, nie miał władzy. Naszło go znowu uczucie lęku i niepewności. Przywarł czołem do zimnej szyby i patrzył.

Ksiądz, siedzący po tej samej stronie co ona, spał z otwartymi ustami. Pozostali – chudzielec o ptasim profilu i student-Anglik w tweedowej marynarce – zsunęli się, jak tylko potrafili, najniżej i tak trwali.

Spróbował widzieć tylko ją, lecz było to niemożliwe.

„Do pioruna, wejdę i każę im zmienić pozycję! Nie mogą się tak rozwalać w jej obecności!”

Odwrócił się. Okno pociągu wyglądało przez moment jak plakat reklamujący dobrobyt. Kolorowe samochody różnych typów, spiętrzone na niebotyczną wysokość „wielopiętrowego garażu o szklanych ścianach, wypełniały je bez reszty.

„Wyprzedzili mnie wszyscy, cały świat. Ale nie będziesz już tak podróżować, moja ty wielka miłości. Zaczę jeszcze raz od początku. I jeśli, psiakrew, współczesnością jest robienie filmu o przedszkolakach, to ja zajmę się niemowlętami, a nawet okresem embrionalnym! I uda mi się to, bo nie mam obciążeń, bo żyję teraźniejszością, a o przeszłości zapomniałem.

Kropelko, w Anglii – laba! Żadnych rozmyślań i roztrząsań. Będziesz wypoczywać, zwiedzać i robić masę rzeczy albo nic, czyli »byczyć się«. W każdym razie masz zapamiętać o swoim zmartwieniu, a pamiętać, że wyjechałaś razem z mężem w spóźnioną podróż poślubną. A ja będę działał. Może »strzelę« jakieś reportaże... Najpierw byłoby dobrze dotrzeć do czołowych sportowców i zrobić z nimi wywiady... Taki James Crab albo Ann Watermann... Naczelny by oszalał. Potem jakieś eseje, monografie... Na przykład historia Wimbledonu... albo regat Oxford–Cambridge na Tamizie. Ten kraj to morze sportowych tematów. A dobry temat to połowa roboty. Jeśli »zaskoczę«, wszystko może się zmienić. Może zaczę wreszcie zwyciężać i iść »za ciosem«...”

Wstało już słońce. Opuścił szybę i wysunął głowę mrużąc oczy. Uderzył twarzą w chłodne powietrze poranka. Trwał tak, dopóki łzy nie zaczęły mu ciec po policzkach. Wtedy cofnął się i sięgnął po chusteczkę. Nie było to potrzebne. Karina stała tuż obok i podała mu swoją, którą trzymała w pogotowiu.

– Czy zawsze, kiedy działasz sam, jesteś taki mądry? – wyjęła chusteczkę z jego dłoni i dotknęła policzka. – Przecież możesz się zaziębić...

„Kiedy kochają, każda z nich ma coś z matki. To odmładza. Teraz mam znowu piętnaście lat.”

– Nigdy się nie zaziębiam i nigdy jeszcze nie byłem mądry! Kiedy zmądrzeję, stanę się przerażający.

– I było ci dobrze z tą wystawioną głową? – spoglądała na niego z zainteresowaniem, jak na dziwnego stwora.

– Fantastycznie! Chcesz, spróbuj! – zrobił jej miejsce przy oknie. Wzruszyła ramionami.

– Czy wśród tych setek dziewczyn, jakie znałeś przede mną, naprawdę nie było ani jednej, która by malowała sobie oczy?

– Nie. Były to jedynie harcerki i członkinie Sodalicji Mariańskiej – uwielbiał te jej gniewne wyduęcia warg.

– I wytrzymałaś z nimi?

– Cóż było robić? Nie wiedziałem wtedy, że istnieje ktoś taki, jak ty. Czy to ci coś wyjaśnia? Czy możesz iść teraz ze mną na kawę?

—Nic mi to nie wyjaśnia, ale kawę wypiję – odwróciła się i weszła do przedziału. Wiedział, że po torebkę. Wróciła i pocałowała go. Była już zupełnie inna. Trójka mężczyzn nie spała. Wszyscy odprowadzali ją wzrokiem. Ksiądz zrobił to zerkając śmiesznie z ponad czytającego brewiarza. Redaktor nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Kiedy tak się śmiesz, jestem bardzo szczęśliwa. Kocham cię, wiesz? Gdzie jesteśmy? – wypowiedziała te wszystkie słowa w tej samej tonacji, jakby od niechcienia, ale w nim coś fiknęło kozła.

– Zaraz będzie Hannover, Kropelko...

– No?

Zamiast odpowiedzi narysował palcem na zaparowanej szybie serce przebite strzałą. Uśmiechnęła się i na moment otoczyła jego szyję ramieniem.

Wagon restauracyjny był już holenderski. Musieli przejść przez trzy inne, aby doń dotrzeć.

W rosyjskim sypialnym szumiał samowar, a konduktor w brązowym uniformie dokładał do paleniska grudki drzewnego węgla. Dwaj mężczyźni w piżamach czekali z dużymi, pustymi szklankami. Fotografia pod szkłem, na ścianie, tuż ponad parującym samowarem, przedstawiała cerkiew Wasyla Błażennego, widzianą od strony Krasnej Płoszczadi, a ściślej, od kremłowskiej bramy. Na stoliku leżała gruba księga z jakimiś technicznymi wykresami. Widocznie konduktor coś studiował. Uśmiechnęli się widząc, z jakim namaszczeniem przystępuje do nalewania herbaty.

Kiedy dotarli do restauracyjnego wagonu, za oknem był już Hannover.

– Co to znaczy „Messe”? – spytała, wskazując ogromny napis. Jednocześnie z torebki wyjęła kanapki z szynkową kielbasą. Tuż przed ich wyjazdem szynkowej kielbasy zabrakło w sklepach. Zdobył ją w „Supersamie”, na placu Unii.

– „Messe” to są targi – odpowiedział, rozglądając się z nią razem. Przy sąsiednim stoliku jakaś para jadła coś dziwnego, popijając to sokiem pomidorowym. On miał koszulę z modnym kołnierzykiem, który wpijał mu się w szyję. Ona, niemłoda już, spojrzała w ich stronę i uśmiechnęła się. Był to ów specyficzny gatunek uśmiechu, symbolizujący zadowolenie z siebie i ze swego bankowego konta.

Odpowiedzieli, zażenowani, wygięciami warg. Właśnie do tamtej pary podszedł kelner w śnieżnobiałej marynarce, dopełniając kawy w ich filiżankach.

Oficer o twarzy ascetycznego zakonnika odłożył cygaro wypalone w jednej trzeciej, wstał i ruszył w kierunku wyjścia. Cygaro, pozostawione na jego stole obok zielonego banknotu, dymiło.

– Mielśmy oszczędzać. Tu będzie strasznie drogo – szepnęła. Jej dłonie zakryły białe zawiątki, które były kanapkami.

– Nie szkodzi – podał jej kartę.

Przez moment ogromne oczy były zwrócone na jego twarz z wyrazem pytania. A redaktor pomyślał, że jeśli to tylko możliwe, to teraz właśnie i w tym punkcie globu kochał tę swoją polską dziewczynę najzarliwiej i najszczerzej. Kochał za wszystko, co nawet nie było nią, kochał za historię, bo mu się nagle połączyła z własną matką i tysiącami tych wojennych, wspaniałych dziewczyn, odległych a bliskich, które dając siebie i chleb swoim mężczyznom, nieświadome były, iż budują świat.

Kelner zdawkowym ruchem wrzucił palące się cygaro do śmietniczki, wyniósł ją, wrócił i przystanął opodal, gotów do obsługi na najmniejszy gest z ich strony.

– Wybierz wszystko, co chcesz – powiedział redaktor.

Wyprostowała się. Wiedział, że zrozumiała. W zachowaniu jej zaszła raptowna zmiana. Kanapki zniknęły. Ruch, jakim je schowała na powrót do torebki, wprowadził go w zachwyt. Siedziała przed nim dystygowana, prześliczna kobieta, która mogłaby być przedmiotem adoracji we wszystkich salonach świata.

– Ostatnio w Monte ostrygi podali nam nieświeże – rzekła, kładąc sobie serwetkę na kolanach. – Sam przyznasz.

– Tak, ale homar był za to przepyszny – rzucił, dając znak kelnerowi, aby się zbliżył.

– Homer czy homar? – próbowała go rozśmieszyć, ale się nie dał.

– Obaj – odparł z poważną miną.

Kelner przyjmował ich zamówienie z atencją i tym nieuchwytnym, przyjaznym zainteresowaniem, z jakim wszyscy dobrzy kelnerzy świata zwykli obsługiwać koneserów stołu. Mówił po niemiecku z wiedeńskim akcentem.

– Ubaw na cztery fajerki – powiedziała; przyjmując pozę znudzonej arystokratki na party w Buckingham Palace.

– Nie szarp się, Feluś!

– Kiej się ta szarpnę. Idę na całość! – odpowiedział jej z kamienną twarzą.

Kelner, spoglądał na nich z wyrazem pełnym uszanowania.

– I jeszcze... poproszę dwa koniaki!

– Courvoisier? Martell? Roffignac?

– Courvoisier – duże.

– Tak jest, proszę pana. To wszystko?

– Tymczasem – spojrzeli sobie w oczy. – Myślę, że będziemy mogli siedzieć tu aż do samego Amsterdamu?

– Z całą pewnością, proszę pana – kelner skłonił się i odszedł.

– Oszalałeś?! To wszystko na pewno kosztuje ze dwie pary butów – spoglądała na ceny, podane w spisie potraw. – Poza tym jest ósma rano. Upijemy się.

– Pamiętasz, mówiłem ci, że tu w Hannoverze zatrzymywałem się zawsze w hotelu „Bunker”, najoryginalniejszym w tym mieście, bo kompletnie pozbawionym okien.

– Rozumiem – patrzyła teraz prosto w jego oczy. Dotknęli się pod stołem kolanami i tak trwali. – Twoje umiłowanie oryginalności jest mi znane.

– A mnie znane jest twoje umiłowanie obuwia. Dlatego powiedziałem sobie – dzisiaj, w tym mieście i z tobą, bardzo bym chciał przepić kilka par mesztów, bez względu na porę dnia.

– Meszty?... Co to takiego? – kiedy się śmiała, jej prosty nosek marszczył się lekko u nasady.

Kelner, prawie z nabożeństwem, postawił przed nią parujący talerz. Ostentacja, z jaką nie patrzył na nią, mówiła, jak bardzo ją zauważał.

– Mesztami nazywano we Lwowie pewien gatunek butów – powiedział upijając ze swego kieliszka.

„Mam sto lat. Lwów, ulica Bema róg Gródeckiej. Ciemne kontury katedry Św. Jura na wzgórzu. Spacery z ojcem po Janowskim cmentarzu lub wycieczki na Kaiserwald lub do Gródka Jagiellońskiego... – prehistoria.”

– Co powiedziałaś? – zwrócił się do pięknej dziewczyny, siedzącej naprzeciwko.

– Zapytałam, gdzie byłeś. Ale może tam jeszcze jesteś. Jesteś, prawda?

– Nie. Już nie.

– A gdzie to było?

– Na Bema.

– W czasie węgierskiego powstania?

– Oczywiście. Byłem wtedy kanonierem.

– Kanonierem? – skrzywiła się.

– To było na początku. Potem zrobili mnie huzarem. Występowałem w szamerowanym uniformie i tańczyłem czardasza. Oczywiście w przerwach, kiedy się nie biłem.

– I podrywałeś Węgierki?

– Podrywałem. Ale, pewnego razu, kiedy akurat byłem smutny, nie miałem pieniędzy... – ...ani mieszkania – dorzuciła.

– ...ani nadziei – to było gorsze – poznałem dziewczynę, najpiękniejszą ze wszystkich i tak mądrą, że od razu straciłem głowę. Od tego dnia...

– No, opowiadaj! – rozsiadła się wygodniej, jak dziecko przygotowujące się do wysłuchania bajki, i zmrużyła po swojemu oczy.

Wydała mu się w tej chwili tak cudowna, że zacisnął pod stołem dłonie, wpijając w nie paznokcie, co czynił zawsze, kiedy go coś bolało lub też kiedy się czegoś lękał. Czuł, że zatracą się cały w zieloności jej spojrzenia.

„Będziesz musiał wspomnieć za chwilę o jej śpiewie, a tego ci nie wolno.”

– Kocham cię bardzo – powiedział zmienionym głosem. – Naprawdę, bardzo.

– Jesteś całym moim życiem – rzekła po prostu, ujmując jego rękę w obie dłonie i przytulając do warg. Zrobiła to z bez troską wielkiej damy, której obojętne jest, co myślą o niej inni. Uśmiechnęła się i nagłym ruchem uniosła kieliszek.

– Wypijemy za... niepamiętanie!

– Dobrze – zgodził się łatwo, czując coś w rodzaju niepokoju. – „Jeśli ulegniesz jej do końca – przestaniesz istnieć.”

– Nie bój się – uśmiechnęła się do niego znad kieliszka. – Chcę, żebyś nie pamiętał o rzeczach złych.

– Nieraz czuję przed tobą zabobonny lęk i trwogę. Jesteś na pewno najmądrzejszą piosenkarką na świecie i najlepiej znającą mężczyzn.

– Zapominasz o tym, że mam dwóch braci. Obaj przystojni i bardzo męscy. Nietrudno mi było was poznać.

„Opowiadała ci ze szczegółami o mężczyznach, którzy nie byli braćmi w jej życiu. Niech to szlag trafi!” Zazdrość o jej przeszłość łupnęła go jak zwykle z taką mocą, że przez moment nie mógł złapać tchu.

– Wykończymy się tym – wyczuła to natychmiast i dotknęła jego dłoni. – Może lepiej było nic nie wiedzieć?... Czasem szlocham nocami, jak idiotka, że nie jestem jakąś tam Sylwią, Moniką, Elwirą czy jeszcze inną z tych, które kochałeś przede mną.

– Nie kochałem.

– To jeszcze gorzej. Zresztą wszystko jedno. Chciałabym być nimi.

– Jesteś.

– To się tak mówi – uśmiechnęła się w ten sposób, że ogarnęła go niemoc. Zamówił jeszcze dwa koniaki. Kelner postawił je na stole właśnie w tej chwili, kiedy pojawili się holenderscy celnicy w ozdobnych uniformach ze srebrnymi „obszlegami”.

– Widzisz, przejechaliśmy Holandię – zwróciła się do niego, kiedy celnicy już odeszli. – To taki mały kraj, że na przejechanie go wystarczyłaby jedna duża scena zazdrości.

Lecz był to kraj o wiele większy, niż sądziła, i cudownie odmienny. Nie dziwił się, że niebawem zapomniała o wszystkim.

– Dlaczego ten pociąg tak pędzi? – wykrzykiwała podniecona, przebiegając od okna przedziału do okna na korytarzu. – Chciałabym tu mieszkać! O, w tym domku, w parku! Spójrz, ile kwiatów, a obok jest kanał! Nie – w tamtym kolorowym, obok jeziora! Widzisz, jaki ma taras? Nie – najpiękniejszy jest ten zameczek i, popatrz! – obok ma wiatrak i jacht. To na pewno właściciela. A obok... Nie, to jest bajka! Czy ty widziałeś kiedyś tyle kwiatów? W oczach mi się mieni! A tu znowu te kolorowe domy wśród łąk! Mógłbyś mieć swój pokój do pracy tak wysoko, że nikt by ci nie przeszkadzał!

Po pewnym czasie zamilkła. Nawet pomarańczowa barka z fioletowym dachem, zdająca się sunąć po powierzchni jasnozielonych, rozległych łąk, gdyż kanał, którym płynęła, był zupełnie niewidoczny – nie sprowokowała jej do wygłoszenia żadnej uwagi. Dopiero po chwili powiedziała coś, czego nie zrozumiał. Poprosił ją, aby powtórzyła.

– Powiedziała, że gdybym tu żyła, to wydawałoby mi się na pewno, że żyję wśród samych makiet teatralnych.

Ale nie miałam racji. To nie makiety. To wcale nie makiety i nie teatr. To właśnie u nas jest tak jakoś... teatralnie.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Co ci jest?

– Holendrzy to chyba najmądrzejsi ludzie na świecie – powiedziała, wyzwalając się z jego uścisku, jakby jej ciążył. – A my, Polacy, wszyscy, jak jeden, mamy jakieś odchylenie od normy.

– Co to znaczy? Na jakim punkcie? – uśmiechnął się rozbawiony jej niespodziewaną refleksyjnością.

– Bo za dużo wiemy i za dużo myślimy. Martwimy się o wszystkich. I o Murzynka Bimbo, i o przyszłość Oceanii. I tak jest od lat. A tutaj, w tym kraju, każdy osobno buduje swój własny dom. Nie marzy o usprawnieniu pieca w daczce pod Irkuckiem czy też o podniesieniu poziomu życia szczepu Karibo na wysepce Kaldashi.

– Ale przedtem cały ten naród wydierał morzu ziemię.

– No więc wydarł i ma – prychnęła gniewnie po swoim. – Teraz każdy człowiek może tutaj myśleć o sobie i o swoim domu. Widziałeś gdzieś tyle kolorów?

– Dom to świat.

– Dziwię się, że nie zrobiłeś dotąd kariery politycznej – zaczęła nerwowo przecierać szkła swoich przeciwsłonecznych okularów. – Świat może być domem tylko dla wielkiego człowieka. Ale ilu jest tych wielkich? Ja, w każdym razie, wielka nie jestem.

– Jesteś wielką artystką – rzekł powoli. – Kiedy śpiewałaś, zamierała cała sala i wszyscy chłonęli twój głos. Bo twój głos jest piękny i wielki.

– Był – szepnęła. – To znaczy, nigdy nie był wielki, ale był... jakiś. A teraz... trzeci miesiąc... Rozumiesz co to znaczy?... Już dziewięćdziesiąt dni jestem niemowa i jadę do Anglii z własnym mężem jako „osoba towarzysząca”, ponieważ nie potrafię robić niczego innego.

– Bzdura! Sama wiesz, że będziesz śpiewała, i to jak! Musisz tylko wyzdrowieć, ale przedtem robić wszystko, co zalecił lekarz... – otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. – Spójrz! To są prawdziwe, holenderskie krowy! – wskazał stada na zielonych łąkach. Jego wargi dotknęły jej ucha. Mówił teraz do niej niemal szeptem, jak gdyby przekazując wielką tajemnicę. – Gwarantuję, że holenderskie. Mogę ci nawet zaręczyć, że z ich mleka powstaje najautentyczniejszy holenderski ser. Po wojnie, na Mokotowskiej, była kawiarenka – „Fuks” się nazywała. Grał tam jeden pianista o pięknym profilu i rasowych dłoniach, ale najważniejsze, że przychodził malarz, który malował wyłącznie krowy, i malarz ten marzył, żeby jeszcze raz pojechać do Niderlandów. Miał on dużą brodę, dobre oczy i na pewno by ci się spodobał. Lecz czas upływał, a on robił się coraz to starszy. Nadeszły ponadto lata, kiedy mógł malować jedynie transparenty, lecz granice dla takich, jak on, zostały zamknięte i malarz ten zmarł, malując do końca życia wyłącznie polskie krowy.

– A on chciał malować właśnie holenderskie?

– Tak. Śnił o nich nocami. Marzył za dnia. Wróżył z fusów kawy, kiedy znów zobaczy myślące oczęta...

– Nie błaznuj – odsunęła jego rękę. – Powiedz!...

– Ostrzegam cię, że to będzie patetyczne.

– Bywałam na masówkach. Zniosę i to.

– Kropelko, każdy chce poznać inny kąt własnego podwórka, które nazywa się świat.

– Boże, jak pięknie! A skąd wziąć pieniądze na to poznawanie?

– Oto jest pytanie – swoje prawdziwe odczucia próbował pokryć uśmiechem. Nie dała się oszukać.

– Ile zapłaciłeś za śniadanie? Powiesz wreszcie?

– Drobiazg, trzydzieści pięć guldenów – zrobił minę Rotszylda.

– Wariacie, to przecież prawie pięć funtów! – spojrzała w jego oczy i nagle parsknęła śmiechem, zarażając go nim natychmiast. Takie wybuchy wesołości nachodziły ich zawsze z ogromną mocą, a wynikały często z sytuacji, w których postronny obserwator nie dostrzegłby nic zabawnego.

– I dałem... dałem kelnerowi jeszcze... dziesięć guldenów napiwku, bo się... pomyliłem... Rozumiesz?... Pomyliły mi się banknoty! Chciałem być z gestem... i nie patrzeć...

Przez moment nie potrafili zupełnie opanować chichotu. Stali oboje trzymając się za ramiona i pokładając się ze śmiechu.

– O Boże, wszystko mnie boli – powiedziała po chwili, wycierając oczy chusteczką.

Brytyjczyk w tweedowej marynarce wyszedł z ich przedziału na korytarz. Przypominał Boba Charltona. Na widok ich wesołości coś jakby cień uśmiechu przemknęło po jego twarzy. Był bardzo angielski. Oczywiście nie patrzył na nich. Widząc zarazem wszystko.

W Amsterdamie świeciło słońce. Zagłębienie Open Haven pomiędzy Prins Hendrik Kade a dworcem kolejowym wypełnione było szerokimi motorówkami o rozsuwanych dachach z przezroczystego plastyku.

Grająca szafa na rogu Damrak, podobna do kolorowego ołtarza na kółkach, otoczona była grupką starych Amerykanek, ubranych podobnie jak te, które zdecydowały się na szaleństwo spływu przelosem Dunajca. Usłużny właściciel zdjął osłonę z jednego boku swego instrumentu, umożliwiając w ten sposób fotografowanie nawet aktu rodzenia się muzyki.

Staruszki w osobliwych kapeluszach skwapliwie wykorzystywały tę szansę, przyklekając z kamerami przy oczach na wprost okręcających się wolno metalowych tarcz. Były podniecone i wydawały skrzekliwe głosy starych ptaków.

Wsiadli do tramwaju numer dwa, taszcząc swoje walizy.

– Ten instrument i babcie z kwiatami na głowach to najbardziej hałaśliwe eksponaty muzealne, jakie ostatnio widziałem – powiedział, zajmując miejsce naprzeciw żony. Był zły, gdyż bardzo chciał sam pokazać jej właśnie taką grającą szafę – lecz opodał Rijks Museum – aby potem posiedzieć jakiś czas w starej piwiarni na Kaisergracht, blisko antykwariatu Edwarda Gramma. Wiedział, że to się już nie stanie.

Schody hotelu „De Ville” wydały mu się o wiele bardziej strome niż przed trzema laty. „Jeszcze jakiś czas i już się nie wdrapiesz nimi pod górę. A wątpliwe, czy stać cię wtedy będzie na hotele, których schody nie będą przypominać klamer na Zawracie.”

W recepcji przez długi czas nie było nikogo.

– Chodź, wejdziemy – otworzył oszklone drzwi, znajdujące się na wprost wejścia. Weszła posłusznie za nim do dużego ciemnego pokoju pachnącego kawą.

– Ależ to jest prywatne mieszkanie – miała zdumione oczy.

– To jest mieszkanie przyjaciela. Siadaj i czuj się jak u siebie w domu. Jeśli telewizor jest włączony, to znak, że „dyrekcja” czai się gdzieś niedaleko.

– Skąd znasz tego człowieka? – spojrzała w stronę telewizora. Szedł chyba film oświatowy. Na ekranie widać było skaczącego kangura.

„Powiem jej kiedyś. Wszystko jej powiem. A wtedy zobaczymy. Być może, uzna mnie za stuletniego aktora i przestraszy się, że grałem już na tylu scenach?...”

Nie powiesz jej nigdy. Pamiętasz, jaka była po twojej opowieści o parterowej Warszawie lat czterdziestych? Dałeś się wtedy unieść wspomnieniom, należącym już – twoim zdaniem – do jej świata. Pomyliłeś się, bo wszystko zaczyna ci się mącić w głupiej głowie. Jej świat zaczął się nieprzyzwoicie późno. Domenico Modugno i Peri Como to pieśniarze jej dzieciństwa.

Uważaj, gdyż może cię uznać za dobrze zachowany, muzealny eksponat.”

– Byłem tu przed trzema laty jako sprawozdawca sportowy – powiedział. – Poznaliśmy się przypadkiem.

Usiedli oboje przy stole pokrytym białym obrusem.

– Może masz ochotę – podsunął jej talerz z biszkoptami.

– Jest to najdziwniejszy hotel, jaki widziałam w życiu – rzekła, biorąc jednego.

– Nas, Polaków, stać tylko na „Hiltony” tego rodzaju – uśmiechnął się.

Właściciel hoteliku wszedł od strony ogrodu. Był niezmiernie wysoki. Na widok siedzących rozpromienił się.

– O, Marek! Cieszę się, że jesteś – odłożył sekator i wyraźnie nie wiedział, co zrobić z trzymanymi w prawym ręku kwiatami. Położył je na stole.

– Ja też się cieszę, że jesteś. Karina, to jest pan Eryk Eigenbracht. A to jest moja żona.

– Ale to nie jest przecież... – Holender spojrzał niezbyt pewnie. – Bardzo mi miło.

– Nie, nie jest – powiedział szybko redaktor. Nie patrzył teraz na nikogo. – A gdzie Kathy?

– Wyszła za mąż – odparł gospodarz i zamilkł. Przez chwilę słychać było wyraźnie gardłowy głos spikera w telewizji.

– Przepraszam. To dla pani! – Eigenbracht zgarnawszy naraz wszystkie kwiaty ze stołu położył je na rękach dziewczyny. Podziękowała mu bez uśmiechu.

– To ja teraz państwa... Pokój jest akurat wolny – Holender wyjął z szuflady pęk kluczy.

– Jaki pokój? – spytała naraz, a redaktor pomyślał, że angielski w jej wykonaniu ma dziecinnie uroczą intonację.

– Dziewiętnastka. Ten, który pani mąż... przed trzema laty... – bąknął właściciel hoteliku.

– Czy ma pan jakiś inny? – spoglądała teraz wprost w oczy Holendra.

- Tak. Jest. Okno też wychodzi na Vondel.
- Co to jest Vondel?
- Przestań. To nazwa parku – redaktor otworzył drzwi, wyszedł pierwszy i podjął walizki stojące obok kontuaru recepcji.

Pokój miał tylko jedno okienko, pod którym znajdowało się szerokie łóżko, przykryte czerwoną narzutą. Eigenbracht, postawiwszy wniesioną walizkę, wycofał się natychmiast. Jego twarz wyrażała najwyższe strapienie.

– Masz bardzo dziwnych przyjaciół – dziewczyna wyrzuciła kwiaty przez okno tak nieważnym ruchem, jak gdyby strącała popiół z papierosa.

– Jeśli upadły komuś na głowę, to ten ktoś zgłosi się zaraz z żądaniem odszkodowania – powiedział, unosząc głowę znad otwieranej walizki. – Holendrzy, jeśli chodzi o takie sprawy, są bardzo skrupulatni.

– Bimbam Holendrów – usiadła ciężko na białym, kuchennym krześle, stojącym obok pękniętej umywalki. – Słuchaj, czy ja bym mogła zażądać odszkodowania za swoje myśli? Mam dużą myślówą nadprodukcję, a to z kolei prowadzi do nadprodukcji wyobraźni.

Chciał zbyć ją żartobliwą uwagą, lecz spojrzawszy na jej twarz, zmienił zamiar.

– Kropelko, a może by tak... przeskoczyć?

Potrząsnęła głową.

– Jestem już nieopisanie zmęczona. Naprawdę, nieraz wydaje mi się, że nie dam rady. Trzęsienie ziemi w Peru. Miliony dzieci głodują na całym świecie. Susza w Afryce. Anarchiści rozwalają automatami Bogu ducha winnych ludzi na jakimś lotnisku i ja o tym wiem natychmiast i wyobrażam to sobie. Mój mąż żył tyle lat beze mnie – kochał, nienawidził, robił głupstwa, zwyciężał, przegrywał i też to sobie usiłuję wyobrazić. Słuchaj, przecież ci wszyscy ludzie, z którymi byłeś blisko, no... z którymi coś cię łączyło – nie zmieściliby się w Sali Kongresowej. A przecież każdy z nich coś w tobie zostawił swojego i coś ci zabrał. A ja... ja muszę to wszystko ogarnąć i jakoś tak... uznać.

Zamilkła i przez długą chwilę milczeli oboje, słuchając śpiewu ptaków w parku Vondel. Gdzieś w oddali zegar wybił godzinę.

– Ptaki mają rację. Chodź, pójdziemy potańczyć – rzekł nagle i usiadłszy na ziemi, objął jej nogi.

Swoją długą, „reprezentacyjną” spódnicę prasowała na dole w pokoiku przylegającym do kuchni. Pomagał jej w tym Eigenbracht. Wróciła już nieco przekonana do jego osoby. Okazało się, że Holender pielegnował kota, potrąconego przez samochód, a ponadto zdołał już jej pokazać polskie odznaczenie, jakie otrzymał od generała Maczka.

– Co takiego zrobił ten Eigenbracht? – spytała, wchodząc na krzesło, aby móc się zobaczyć w wieczorowej kreacji w lustrze nad umywalką.

– Nie pozwolił Niemcom na wysadzenie jednego mostu, a za to potem wysadził go sam. Wyglądasz prześlicznie.

– Dziękuję. Muszę sobie kupić takie lekko wiśniowe buty. I był ranny?

– Tak. Ciężko. Ledwo się z tego wylizał.

Niemożliwe. No, to on jest... – szukała w myślach właściwego określenia. – On jest... bohater narodowy – uprzytomniła sobie, że powiedziała to tonem, którego nie lubił. – Kiedy naprawdę, rozumiem teraz, dlaczego on zbiera polskie znaczki pocztowe.

– Też ci już zdążył pokazać?

– Pokazał mi nawet te, które dla niego przemyciłeś. Na przyszłość nie mów mi, że nie masz przede mną tajemnic.

Zeszła z krzesła i stanęła tuż przed nim.

– Masz teraz minę dziewięcioletniego chłopca. Ale nic. W tym garniturze nie wypuszczę cię i tak nigdy samego na ulicę. Mnie nie zmylisz. A teraz – ile wydamy w tym „Ambasadorze”? Bo jeśli więcej niż dwadzieścia guldenów, to proponuję zrobienie balu w tym pokoju. Mamy wódkę, radio, siebie i poza tym jesteście oboje niezmiernie elegancy.

Tej nocy znowu obudził go jej płacz. Jak dawniej, przed dwoma laty, kiedy sypiała w jego mansardzie na Żoliborzu, upalnej latem, a lodowatej zimą, z racji trzech szczytowych ścian i braku pieca. I znowu kiedy wtulił ją w siebie, czuł jej galopujące serce przy swoim, także przynaglonym do biegu jej przerażeniem.

– Śniło mi się, że umarłeś, że przysypali cię czerwoną ziemią – mówiła chwilę potem. Jej oczy zdawały się być jeszcze większe w ciemności. – A potem płynęłam gdzieś łodzią i zagłębiałam w zielonej wodzie ogromny drąg, jak gdybym czegoś szukała. Wiedziałam, że szukam ciebie – twojego ciała. Dookoła mnie były jakieś wykrzywione twarze, które szczyrzyły do mnie zęby. To było tak, jakbym z nimi tańczyła. Zupełnie jak w „Nocy Walpurgii.”

– Niepotrzebnie poszliśmy na to do Opery – powiedział.

– Mam jedną tajemnicę – wsparłszy głowę na zgiętym ramieniu, spojrzała mu prosto w oczy. – Byłam na tym jeszcze raz sama.

– Sama? Dlaczego? – osłupiał.

– Bo... bałam się, że nie będziesz chciał iść. A chciałam to zobaczyć.

„Uważaj, do pioruna! Nie okazuj jej tego, co teraz myślisz. Zachowaj się, jakby cię to wcale, ale to zupełnie nie obeszło. Mogłaby uznać cię za mimozę lub też za człowieka doszukującego się we wszystkim złowróznej symboliki!”

– No, więc wszystko jasne, odbija ci się Faustem – spróbował zażartować.

– Nie śmieć się. To było straszne. I jeszcze te kosy... Te wszystkie poczwary miały kosy.

Udało mu się nakłonić ją, aby weszła do łóżka. Leżała cicho w ciemności, a on siedział, milcząc. Wiedział z jej coraz głębszego oddechu, że już zasypia.

– Przyjdiesz do mnie? – spytała jeszcze sennym głosem rozkapryzonego dziecka. Kiedy odpowiedział twierdząco, ciało jej rozluźniło się, a oddech stał się równy i głęboki. Podniósł się i stanął obok łóżka.

„Wygląda jak... – zabrakło mu porównania – ...jak wszystko, czego człowiek szuka i o czym marzy.”

Przyklękł i pocałował jej wystającą spod koca stopę – czując coś w rodzaju wzruszenia i poczucia śmieszności zarazem z racji swego patetycznego gestu.

– Byłaś ze mną zawsze, przez całe moje życie – szepnął. – Byłaś ze mną, kiedy mieli mnie rozwalać w czterdziestym czwartym, i byłaś ze mną wtedy, gdy po raz pierwszy przeczytałem swoje wydrukowane nazwisko. Dla nas obojga nie sprzedałem się nigdy ani idei, ani żadnemu człowiekowi. A teraz chcę tylko, aby szczęście nie rozerwało mnie na kawałki. Bo bardzo już jestem zmęczony i chyba o wiele więcej mam lat niż w dowodzie osobistym.

Wrócił do niej, do łóżka. Na suficie poruszały się refleksy światła, odbijanych przez wodę pobliskiego grachtu. Łóżko zdawało się płynąć.

Wyszedł z hotelu, kiedy słońce kryło się jeszcze za domami po drugiej stronie parku i od razu ruszył w stronę blasku, przyspieszając kroku, jak gdyby nie był pewien, czy zdąży. Miało jeszcze spać. Stojące wzdłuż kanałów samochody, a w dole obok kamiennych nadbrzeży barki i łodzie – pokryte były rosą.

Na rogu Overtoom wsiadł w jedynekę i dojechał niemal pustym tramwajem do ostatniego przystanku na Noorderakerweg. Ogromne bloki, jakie wyrosły tu w ciągu tych lat, przypominały elewatory zbożowe. Korytarze biegły dookoła szarych murów, ukryte w przewodach o kształcie długich prostopadłościaków. Ludzie mogli wędrować w tych obudowanych deptakach wokół całego bloku, nie schodząc na ziemię ani razu.

Pomyślał o koncepcjach architektów i urbanistów, którzy marzyli – a nawet realizowali już swe plany – o tworzeniu całych miast i osiedli w oparciu o strukturę mrowisk termitów.

Przypomniał sobie rysunki, obrazujące rozwiązania komunikacyjne tych tworców – tysiące korytarzy z wiecznie ruchomymi pasami do przewożenia ludzi z miejsca na miejsce bez obawy, aby mogła spaść na kogoś choćby kropla deszczu lub aby zimny wiatr był w stanie uniemożliwić komuś spacer. Doszedł do wniosku że to chyba dobrze, iż urzeczywistnienia wizji tego nowego świata już nie doczeka.

Na autostradzie ruch był tak duży, że mimo woli spojrzął na zegarek. Była szósta. Szedł wzdłuż prawej odnogi motorwayu, wiodącego na południe, w stronę Utrechtu. Olbrzymie ciężarówki jechały w tak małych odstępach, że huk ich motorów był nieprzerwany. Mniejsze samochody zdawały się sunąć bezdźwięcznie.

Wysoko na niebie wisiał niemy skowronek. Pod nim znajdowały się łąki pocięte kanałami. Ze wzniesienia, na którym szedł, dostrzegał jedynie rowy biegnące prostopadle do autostrady. Były wąskie. Najszerszy nie mógł mieć więcej niż trzy metry. Zauważył, że najintensywniej parowały te, które wykopane zostały ze wschodu na zachód, gdy w nich słońce operowało najdłużej.

Minął go zielony łazik z napisem „Politie” i rozpartymi w nim trzema mężczyznami w mundurach. Jeden z nich odwrócił głowę i spojrzął badawczo. Miał nalaną twarz przekarmionego niemowlęcia. Kierowca zmienił ustawienie lusterka. Samochód zwolnił na moment, a potem pojechał dalej.

Szedł nieprzerwanie. Krowy i owce, trwające bez ruchu na zielonych, trawiastych prostokątach i kwadratach, zaczęły wylaniać się z mgieł. Przystanął i zrobił zdjęcie swoim starym Kodakiem Retina II. Przemierzywszy jeszcze kilometr, dostrzegł dwa wiatraki otoczone całymi łąkami różnobarwnych tulipanów. Usiadł obok stosu starych rowerów, spiętrzonych w rowie. Z przejeżdżającego samochodu wychyliły się roześmiane dziewczyny, wykrzykując pod jego adresem jakieś słowa w swym gardłowym języku. Jedna z nich rzuciła mu pismo, które lecąc przez chwilę w powietrzu, jak kolorowy ptak, upadło tuż obok. Był to magazyn typu porno. Przejrzał go, stwierdzając, że nie było w nim żadnych rewelacji. Jedna miłosna poza wydała mu się tylko dość wymyślna i przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyrwać tej kartki. Nie zrobił tego. Coś jednak zniknęło z jego nastroju. Nie zrobił także zdjęć wiatraków i ruszył dalej.

Raz jeszcze uczuł pełne przerażenia zdumienie.

„Tak długo, jak potrafię się dziwić, pozostaję młody! Młodość to zdolność dziwienia się!” Kopnął kamień, a za chwilę spłaszczoną puszkę, leżącą tuż obok krawędzi asfaltu. Roześmiał się bardzo głośno. Wesołość ogarnęła go dlatego, że tym razem wymyślił coś, co mu się podobało. Ponadto śmiał się z samego siebie.

– Kłody rzucać mi pod nogi wykorzystuję do budowy stopni! – rzekł na głos. – Kłody rzucone mi pod nogi wykorzystam do budowy stopni! – wykrzyknął. Szedł teraz, stawiając stopy do taktu wypowiedzianym słowom. Potem zaczął śpiewać.

Była to stara melodia „Stern von Rio”, którą śpiewał po niemiecku, gdyż przy tej właśnie piosence uczyła go tańczyć w 1945 roku niemiecka prostytutka, pracująca w sortowni tej samej kopalni, co on – jeniec. I ten właśnie szlagier zapamiętał najlepiej ze wszystkich innych.

Jego nauczycielka miała na imię Helga i chorowała na syfilis. Zapamiętał także bardzo dobrze głos Rosity Serrano – słodki, wibrujący. Lecz głos ten przestał już od dawna być jej głosem, a zaczął należeć do Helgi. Pomyślał, że tyle razy tańczył później z różnymi kobietami, lecz żaden taniec nie zawierał w sobie już nigdy więcej tego optymizmu i oczekiwania, co tamten, wykonany w kopalnianej parowozowni, obok warsztatu zasłanego narzędziami, na przełomie tej straszliwej nocy i dnia, sygnalizowanego dudnieniem armat.

Jakiś samochód zatrzymał się z piskiem hamulców. Dziewczyna, która biegła poboczem szosy, zatykała sobie uszy palcami. Była to doskonała dziewczyna – długa, o zielonych oczach, które nie miały sobie równych na ziemi, i o włosach, żyjących zawsze własnym życiem.

I kiedy przebiegła te parę kroków, jakie dzieliły ją od niego, miał jeszcze czas pomyśleć, że znowu boi się jej teraz, podobnie jak lękał się przed laty własnej matki, gdy coś przeskrobał.

– Gdzie idziesz? Gdyby nie pan Egenbach, nigdy bym cię nie znalazła! – wykrzyknęła, podbiegając bardzo blisko.

– On się nazywa Eigenbracht – powiedział, spoglądając w ziemię.

– Dobrze. Niech się nawet nazywa Święty Mikołaj! – w głosie jej wibrowała nuta, której nigdy u niej nie słyszał. Opanowała się.

– Słuchaj, jeśli miałeś ochotę na wycieczkę, to dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Nie planowałem żadnej wycieczki...

– Matko Boska, to dokąd szedłeś? Dlaczego mi nie powiedziałeś wczoraj ani słowa?

Dostrzegł, że Eryk, stojący obok swego wozu, rozkłada bezradnie ręce. Stwierdził, że Holender ma nowe Volvo. Nagle warkot przejeżdżających samochodów zaczął mu działać na nerwy.

„Stary drabie, nawet jeśli chciałeś koniecznie znowu zobaczyć to miejsce, jest w tobie coś nienormalnego, coś, co próbujesz ukryć także przed tą cudowną dziewczyną. Zostawiłeś ją samą w hotelu i wyszedłeś o świcie, nie powiedziawszy ani słowa. Padnijże teraz przed nią plackiem i przepraszaaj, wyjaśnij. Mów słowa – bardzo dużo słów.” Nie zrobił tego.

– Przepraszam cię bardzo – bąknął.

– Ale za co? Dokąd szedłeś?

– Przed siebie. Nie mogłem spać... i... – raptem ogarnęła go wściekłość. – Chodź! – powiedział, ujmując ją mocno pod ramię.

Kiedy doszli w ten sposób do samochodu, był już właściwie spokojny. Najpierw usadowił ją na tylnym siedzeniu, a potem usiadł sam obok kierowcy.

– Ruszaj! – powiedział, nie patrząc na jego twarz.

Zjazd z autostrady był bardzo blisko. Niespodziewanie ogarnęła ich cisza i usłyszeli ptaki.

– Jakie cudowne drzewa! – szepnęła. – Przypominają ogromne sosny. Nigdy takich nie widziałam.

W samym środku lasu znajdowało się niewielkie jeziorko. Holender objechał je od strony szuwarów. Ukryte w tataraku ptaki poderwały się do lotu. Ich skrzydła wydawały donośne kłaśnięcia.

– Mamy oklaski – Eigenbracht zatrzymał wóz. Wysiedli.

– Wyłącz silnik! – rzucił redaktor. Dostrzegając, że dziewczyna rozgląda się. Nagle spadła na nich cisza tak wielka, że spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

Redaktor usiadł obok szarego głazu i oparł się o niego plecami. Holender poszedł jego śladem.

– Przepraszam cię – rzekł półgłosem.

– Nie szkodzi. Wszystko w porządku – Polak zdjął buty i wyprostował nogi. Poruszył kilkakrotnie palcami.

„Tu, właśnie w tym miejscu obok kamienia, rąbnąłem wtedy w czterdziestym trzecim o ziemię i zdawało mi się, że chłodna materia spadochronu, spływająca mi na twarz, to śnieg.

Opowiedzieć jej, jak mnie tu znalazł Eryk?...”

– Wybacz, że siedzę. Mam dziurę w skarpetce. Na lewym palcu. Widzisz? – zwrócił się do dziewczyny.

Skinęła głową, patrząc na niego ze zdumieniem. Stała wciąż jeszcze w trawie, która sięgała jej do kolan.

– Niech pani siada – właściciel hotelu zapalał papierosa.

– Nie. Dziękuję – patrzyła na nich z góry. – No i co? Tutaj właśnie szedłeś? – Słuchaj „przeskoczmy” to! Eryk nie zna polskiego, więc...

– To będziemy mówili po angielsku. Chyba nie przypuszczasz...

– Nic nie przypuszczam – przerwał jej tak ostro, że spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Mam butelkę whisky w wozie – Eigenbracht wstał.

– Dobra myśl – redaktor uśmiechnął się. Odprowadzał wzrokiem chudą postać Holendra, dopóki ten nie zniknął w głębi samochodu.

– Nie poznaję cię – usiadła na trawie. Odsunął się nieco.

– Uciekam, rozumiesz? On też – wskazał samochód.

– Przed czym?

– Nie wiem. Przed wszystkim – gryzł teraz źdźbło trawy. – Chcę być sam. Mam takie miejsca. To jest jedno. Są inne – mówił krótkimi zdaniami, by ukryć przed nią zadyszkę.

– Jesteś bardzo zdenerwowany – obserwowała go z napięciem.

– Jestem, do cholery! – wrzasnął nagle. – Słuchaj uważnie, żono, jedyna moja, najmilejsza, roztomiła – uklęknął przed nią. – Zrozum, ja muszę mieć czas na ciszę, na śpiew ptaków, na szum wiatru, na „nicnierobienie!”... On tutaj łowił ryby. Przywiózł mnie raz. Tu była wtedy rzeczka, a tam, na wzgórzu, stał wiatrak. Kiedy rozbudowali autostradę, wiatrak i rzeczka zniknęły i zostało tylko to, ten staw.

– I przyjeżdżaliście tutaj tylko we dwóch?

– Potem przyjeżdżał już każdy z nas z osobna.

– Najdziwniejsza przyjaźń, o jakiej słyszałam. I nie miałaś tu nigdy żadnej dziewczyny?

– Nie – skłamał. – Nigdy.

„Gdyby nawet zdołała zapamiętać jedynie wycie sztukasów i ryk syren w czasie alarmu i zdażyła być tylko dzieckiem, powtarzającym za dorosłymi, chociażby bez zrozumienia, słowa »gestapo« lub »egzekucja« – wówczas mógłbym opowiedzieć jej wszystko, świadom, iż gdzieś w zakamarkach jej pamięci tkwi tamten straszny czas, wspólny dla nich obojga.

A tak, nie zrozumiałaby, dlaczego tu przyszedłem. Mało – stałbym się dla niej obcy i groteskowy, jak własny ojciec, trujący o partyzantce i śpiewający piosenki, których uczyła się w szkole.”

– Tu odbyło się kiedyś prawykonanie – rzekł, dotykając jej dłoni. – „A czy uwierzy ci, jeśli jej powiesz, że kiedy bywałeś w tym miejscu, to przecież podobnie, jak na Połoninie Meclawskiej w Bieszczadach i na Powązkowskim cmentarzu, nigdy nie czułeś się mniej samotny, a dotkliwiej wypełniony światem?”

– Nie lubię, kiedy kpisz sobie ze mnie – powiedziała, kładąc się na wznak.

„Jest dla mnie wciąż jeszcze najbardziej fascynującą dziewczyną, choć najbliższą, i gdybym ją kiedyś zdradził, z powodu tych moich wrednych, poligamicznych skłonności, to byłaby to zdrada samego siebie.”

Eigenbracht podszedł i bez słowa napełnił trzy metalowe kieliszki. Spojrzeli na niego. W blasku słońca zdawał się być jeszcze wyższy. Przypominał antycznego kapłana, przystępującego do spełnienia ofiary.

– Jesteś najwspanialszym symbolem wielkości i solidności swego kraju – powiedział redaktor. – Dziesięć minut byłeś sam na sam z butelką i mimo to jej nie otworzyłeś.

– Być symbolem to żaden interes w dzisiejszych czasach – Holender roześmiał się. Usiadł i otoczył ramieniem szyję swego gościa. Wypili. – Powiem wam w zaufaniu, otworzyłem inną! – zachichotał i natychmiast ubyło mu lat. – Kto poprowadzi samochód?

– Ja – odparł redaktor, kładąc się na trawie. – Nigdy nie prowadziłem takiego smoka. – Czuł na sobie spojrzenie żony. Zerknął na nią. Wiedziała, jak bardzo od lat marzył o dobrym aucie.

– Kiedy odwiedziłem go w Polsce parę lat temu, to jego samochód wciąż był w remoncie – roześmiał się Holender. – Ani razu go nie widziałem. A jakim on jeździ teraz?

Pytanie zwrócone bezpośrednio do Kariny wywołało w niej popłoch. Redaktor, leżący z zamkniętymi oczyma, uczył szczyknięcie w ramię. Nie otworzył oczu.

– He drives... – powiedziała z trudem. Jej angielszczyzna zdawała się pokonywać jakąś ogromną wysokość.

– He drives... a Trabant.

– Nigdy nie słyszałem – rzekł Eigenbracht.

– Uwielbiam cię i chcę mieć z tobą pięcioro dzieci – powiedział redaktor po polsku. Pod powiekami miał słoneczną różowość i pomyślał, że dobrze jest żyć.

III

Z Hoek van Holland odpłynęli rano promem „Królowa Wilhelmina”. Morze było spokojne. Świeciło zamglone słońce, a wiatr, zwłaszcza na górnym pokładzie, był chłodny i wilgotny.

Wielkie zbiorniki na ropę, rozsiane wzdłuż brzegu, jaki opuścili, przywodziły na myśl kolorowe piłki, wciśnięte w ziemię przez giganta. I one jednak stawały się coraz mniejsze. Przytuleni do siebie obserwowali z górnego pokładu przepływające statki i mewy, które tym statkom towarzyszyły.

Wielu pasażerów drugiej klasy wciąż jeszcze, widać, nie znalazło miejsca, gdyż całe gromady bez przerwy przesuwały się za ich plecami.

– Dziękuję ci – powiedziała.

– Za co?

– Za Holandię. Mam w głowie wspaniały, kolorowy motyl. Aukcja kwiatów w Aalsmer, port w Rotterdamie, muzeum Rembrandta, obrazy van Gogha, mosty nad kanałami, dziewczyny siedzące za szybami swych pomieszczeń i czekające na klientów... Boże, jak się nazywał ten gracht? Znowu zapomniałam!

– Aude Zýds Achter Burgwal – roześmiał się. – To ci się nie podobało!

– Czułam się upokorzona. Były jak towar na wystawach, podczas gdy wy, mężczyźni, przechadzaliście się, wymieniając uwagi, jakbyście oglądali, dajmy na to rowery i nie wiedzieli, na który się zdecydować.

– U nas tego rodzaju „panie” mają swoje wystawy w hotelach. Nie widzę różnicy.

– U nas jest zawsze jakieś niedomówienie, udawanie pozorów flirtu, czy ja wiem zresztą, jak to się dzieje... – zakaszła.

– Dobrze, że nie wiesz – powiedział, tak jak czuł. – To nie są sprawy dla małych dziewczynek. Idziemy? – wskazał wejście do baru. – Herr Kreuschner, którego zdążyłaś rozkochać na trasie Amsterdam–Hoek, na pewno już usycha z tęsknoty.

– Zależy ci na tym, aby nie usychał? – spojrzała zalotnie prosto w jego oczy i znowu zakaszła.

„Zależy mi tylko na jednym, abyś w tej chwili nie oddychała tym wilgotnym powietrzem i abyś znowu zaczęła żyć, to znaczy – śpiewać. I niech szlag trafi wszystko inne!”

– Nie sprawia mi przyjemności widok cierpiącego Niemca. Oni przegrali wojnę i mają z tego powodu i tak mnóstwo kłopotów. A jak wygląda ich sytuacja finansowa? Zgroza!

– Nasza wygląda genialnie, bo myśmy wygrali – zachichotała.

– Właśnie. My jako zwycięzcy żadnych kłopotów nie mamy. Nasze życie to bajka. Musimy teraz okazać zrozumienie pokonanym. Herr Kreuschner jest jednym z nich. Zresztą to taki niemiecki „Monsieur Hulot”, a ponadto fakt, że się w tobie tak szybko zakochał, mówi bardziej dobitnie niż słowa, że jest prawdziwym gentlemanem, estetą i w ogóle wspaniałym facetem.

– Strasznie lubię, kiedy tak bredzisz – pociągnęła go za ramię. – Więc chodź, idziemy! – poprawiła włosy, zwiewane przez wiatr.

Niemiec tkwił tak, jak go zostawili, przy stolczku naprzeciw baru, który obiegli długowłosi Szwedzi.

Uśmiechnął się i wstał.

– Istna wieża Babel – powiedziała Karina, zajmując miejsce. – Po pokładzie biegają dla odmiany Włosi, Francuzi i Austriacy.

– Raczej arka Noego – przysunął swój kieliszek. – Co będzie pani piła? A pan? – spytał z sekundowym opóźnieniem, przenosząc oczy na redaktora.

„Boże, ile by dał, abym znalazł się w tej chwili daleko, jak najdalej. Ale »Kinderstube« ma nienaganną w tym stopniu, że jest już chyba sam sobą nieopisanie zmęczony.”

– Dla mnie poproszę jeszcze jedno „Golden Bell” – rzekła Karina.

– Dla mnie „Lager” – powiedział redaktor. Dostrzegł, że blondynka siedząca przy barze zwróciła ku niemu głowę.

– Jeśli podoba ci się ta wydra, to proszę, nie przeszkadzaj sobie!

– syknęła Karina, szukając czegoś w torebce.

– Piękny jest polski. Żałuję, że taki trudny – westchnął Kreuschner. – A jak się nazywa największy polski poeta? Zwei „Golden Bell” und ein „Lager”! – rzucił do barmana gardłową niemczyzną.

„Eintreten!... Rolen! Hüpfen!... Du Arschloch, mach, dass du wegkommst! Sofort, verstanden?! Wie schön ist es Soldat zu sein... Räder müssen rollen für den Sieg!”

– Największy poeta?... – czyjeś nazwisko zaczęło się przebijać poprzez gąszcz nienawistnych słów, które przyplęły nagle bez najmniejszej zapowiedzi. Nie dało rady. Zadominowały, zadławiły je sobą. Zastanowił się, jakby szukając w myślach.

– Jan Kowalski – odparł po chwili. – Nowatorski, odkrywczy – dodał w formie wyjaśnienia. – A co jest w tamtej butelce? – udało mu się odwrócić uwagę Kreuschnera od duszącej się śmiechem dziewczyny.

Dzięki otwartej torebce zdołała porwać chusteczkę i wetknąć w nią nos.

– Z polskich pisarzy znam tylko Moska i Hlasko – rzekł Kreuschner, przejmując od barmana szklanki z piwem. Jego wąskie, wypiełgnowane dłonie znajdowały się przez chwilę nad stołem. – Jestem handlowcem i na czytanie nie mam zbyt wiele czasu.

„Ta twoja wojenna obsesja! Zachowujesz się jak idiota! Ci dwoje żyją we współczesności i nawet nie zrozumieliby twoich parszywych myśli. Nie sposób przecież widzieć każdego Niemca w czapce z trupią główką. Ten niemiecki »Monsieur Hulot«, na przykład, nie ma więcej niż trzydzieści pięć lat i wojnę zna tylko ze słyszenia. Jesteś ohydną, zasuszoną mumią własnych i cudzych krzywd, która robi wszystko, aby udawać, że żyje.”

– Frank Sinatra to już staruszek – skomentował melodię, płynącą z głośnika.

– Tak, ale miły – Kreuschner pochylił swoją kształtną głowę i wsparł na rękach. – A można wiedzieć... co robi pani?

– Jestem... jak to się mówi, „przy mężu” – Karina upiła ze swej szklanki. – Prowadzę dom, robię wystawne przyjęcia... Bardzo lubię gotowanie. Uważam, że dla kobiety jedyne, najwspanialsze wyżycie to kuchnia.

– Tak, zapewne – twarz Niemca wyrażała zakłopotanie.

– Przestań! – rzekł redaktor po polsku.

– Mój mąż jest dziennikarzem. I to bardzo dobrym, wybitnym – ciągnęła, jakby nie dosłyszała. – Bywa w naszym domu masa ludzi.

– Mają państwo własny?

– Dom? Tak. Pod Warszawą. Ale nieduży. Tylko sześć pokoi. Najważniejsze, że las jest tuż obok.

– Żona żartuje. W istocie... – zaczął redaktor i urwał, nie dokończywszy.

– No, powiedz mu o naszej kuchni bez okna – rzuciła po polsku, wciąż nie przestając się uśmiechać. – Wspomnij mu mimochodem, że słyszymy każde słowo kłótni sąsiadów.

– Co pani powiedziała? – uśmiechnął się Kreuschner.

– Powiedziałam, że tęsknię już za sarenką, która co rano wychodzi z lasu i stoi tak długo przed naszym ogrodzeniem, dopóki nie dam jej marchwi lub kostki cukru.

– Nadzwyczajne. Tak... te wasze lasy – westchnął Niemiec. – Opowiadał mi o nich ojciec. Zazdroszczyć. Kiedyś mieszkałem w domu, od którego las nie był tak daleko. A teraz... – zrobił zrezygnowany ruch ręką. – Mieszkam razem z matką w samym centrum.

– Pana ojciec był w Polsce? – spytał redaktor.

– Tak. Bywał – Kreuschner otworzył srebrną papierošnicę i wysunął ją w kierunku Kariny. Odmówiła ruchem głowy. Szwedzi, oblegający bar, zaczęli naraz wykrzykiwać coś do rudego dryblasa, który ukazał się w szklanych drzwiach, wiodących do salki, gdzie znajdował się telewizor.

– Odwiedzał swego przyjaciela ze studiów. To było jeszcze przed wojną – dodał Kreuschner po chwili.

„Właśnie że nie będę myślał, co robił w czasie wojny. Nie będę, do diabła!”

Szwedzka blond piękność zsunęła się z wysokiego barowego taboretu, obnażając opalone udo. Mijając ich stolik uśmiechnęła się do Kariny. Ta spuściła oczy. – Czym pan handluje, można wiedzieć? – spytał redaktor.

– Armatura: krany, zawory, przewody do gazu, ciepłej i zimnej wody... Proszę – Niemiec wyjął z portfela kolorowy prospekt oraz bilet wizytowy. – Może będą państwo chcieli wymienić jakieś przewody u siebie w domu na bardziej nowoczesne, to będę szczęśliwy. Jestem przedstawicielem trzech firm, a każda z nich jest naprawdę postępową.

– Okropnie lubię postępowe rzeczy – Karina z premedytacją wykorzystała słowo „progressive”, użyte niefortunnie przez ich rozmówcę.

– Jak to kobieta – uśmiechnął się Kreuschner. – Tylko mężczyzna zdolny jest się przywiązać do pary starych, rozdeptanych kapci.

– Czy nie uważasz, że trzeba by koniecznie zmienić armaturę w naszej drugiej łazience? – rzekła Karina. – Tej na pierwszym piętrze, obok twojego gabinetu?

– Nie uważam – odparł redaktor. – I przestań już z tym wygłupem! – dorzucił po polsku. – To przestaje być zabawne.

– Dlaczego? Chciałabym też zmienić... Jak się nazywa kafel po angielsku?

– Ach, Kachel – rozpromienił się Kreuschner.

– Właśnie. Seledynowe „Kachel” zupełnie mi się przejadły.

– Kobiety są na całym świecie jednakowe – handlowiec zrobił oko do Polaka. – Niestety, kafle to nie moja dziedzina, sorry. Uratował pan parę groszy, co?

– Żałuję – Karina spojrzała na niego, mrużąc oczy po swojemu. Niemiec aż zbladł z wrażenia.

– Żałuję, gdyż mój mąż, choć dobrze zarabia, nie bardzo jest skłonny do wydawania pieniędzy.

– Nie wierzę! – roześmiał się Niemiec. – A co, lokuje pan?

– Właśnie – odparł redaktor po chwili wahania. – Uduszę cię, przysięgam! – dodał po polsku.

– Jeśli będziesz mnie ładnie dusił, to pozwalam – upiła znowu łyk piwa.

– Podniesienie standardu domu to też lokata, nie uważa pan? – rzekł Kreuschner. – Nie na wielką skalę, oczywiście. Jeśli chodzi o pokazniejsze kwoty, to jakoś boję się lokowania w akcjach. W obecnych czasach zawalają się nawet największe trusty czy koncerty, a rewelacyjne pomysły lub odkrycia okazują się coraz częściej zwykłym bluffem. Na rozegranie dobrej partii pokera, takiej, która by robiła przyjemność, może sobie tylko pozwolić człowiek z mocnym finansowym zapleczem. Wtedy nawet niespodziewana wygrana któregoś z przeciwników staje się jedynie dopingiem, ekscytuje.

„Aha, więc żyjesz nadzieją robienia dużej forsy. Mała cię nie bawi. Chyba ją zresztą robisz na tych swoich rurkach i zaworach. Jesteś więc zdeprawowanym Panem Hulot, zmuszonym do robienia czegoś, co mu zupełnie nie leży.

Nawet to twoje ożywienie jest nieprawdziwe. Myślisz, że tego nie widzę? Tylko że ty jesteś pewniak jedynie w wywodach o forsie. Podoba ci się ta dziewczyna. Gdybyś był z nią sam na sam, pewno z czeluści swej komiwojażerskiej walizki wyjąłbyś jakieś piękne japońskie pocztóweczki i udowodniałbyś z tym samym ogniem, że – dajmy na to – ten układ i kompozycja nagich ciał mają w sobie nieskalane piękno.

Zdumiewające, ile każdy z nas zdolny jest wyrzucić słów w obecności dziewczyny, z którą chętnie położyłby się do łóżka. Nasze męskie wywody w takich sytuacjach przypominają nieraz puszenie się indyka lub też solowe popisy jazzowych muzyków. Nawet imbecyl zdolny jest błysnąć feerią odbitych, filozoficznych teorii, które tkwiły w nim gdzieś zmagazynowane na tego rodzaju okazję. Chyba jedynie Francuzki są na tyle mądre, iż nie kryją, że wolą być przez mężczyzn oszalałymi w inny sposób, i intelektualizowanie tego rodzaju przerywają w pewnym momencie jakimś gestem lub pozą, co sprawia z reguły, iż słowa przestają być nagle ważne.”

– ...Więc, jeśli chodzi o mnie – ciągnął Kreuschner, zerkając co chwila na twarz Kariny, która bezbłędnie udawała zasluchanie – ...wierzę jednak tylko w nieruchomości lub place. Cena metra kwadratowego gruntu potrafi nieraz podnieść się siedmiokrotnie w ciągu paru lat. Naturalnie, przy uwzględnieniu nawet procesu postępującej inflacji, mierzonej „Butter-Economy”. A zatem czy istnieje lepszy interes? Pieniądze po prostu „zasiewa się” w ziemi i nie trzeba ich nawet podlewać. Rosną i owocują same. Pewien mój znajomy w Düsseldorfie kupił na przykład trzy lata temu...

– Jest tak nudno jak na gregoriańskiej mszy – Karina stłumiła ziewnięcie.

– Sama go sprowokowałaś – dopowiedział, także po polsku, redaktor. – Przepraszam bardzo – zwrócił się do Herr Kreuschnera.

– Zaraz go „odprowokuję”, chcesz? – w nagłym błysku pięknych oczu było coś, co go zaniepokoiło.

– Przestań. Podobało ci się przecież, że Holendrzy myślą o sobie. On jest taki sam, robi wszystko, aby jego własny dom stawał się coraz to bogatszy, coraz to bardziej okazały.

– Przestało mi się to podobać. I... w ogóle, nie miałam racji – rzuciła lekko, jak gdyby przyznając zdawkowo, że suknia, którą przymierzała w sklepie ubiegłego dnia, dzisiaj przestała ją interesować. – Dochodzę do wniosku, że socjalizm jest jednak lepszy.

– Lepszy niż co?

– Niż kapitalizm, oczywiście.

– Zrozumiałem dwa słowa: „socjalizm” i „kapitalizm” – uśmiechnął się ich rozmówca. – Interesuje się pani polityką?

– Powiedziałałam mężowi, że ludzie u nas nie zajmują się robieniem pieniędzy i że to jest dobre.

– Dlaczego?

– Bo więcej mają czasu na inne rzeczy.

– Na jakie? – Kreuschner nie przestawał się uśmiechać.

– Przestań, błagam cię! – wtrącił po polsku redaktor.

„Dlaczego kluby angielskie ze swoją arcymądrą zasadą niedopuszczania do męskich rozmów choćby najbardziej czarujących kobiet nie przyjęły się w żadnym innym kraju Europy?”

Nie dosłyszał wywodu Kariny.

– Jest pani czarująca – powiedział Kreuschner.

– ...I jeszcze jedno – ciągnęła, nie zwracając zupełnie na niego uwagi. – Tu chodzi nie tylko o teatry, biblioteki i szkoły. Ludzie u nas czują się odpowiedzialni za to wszystko, co dzieje się na świecie, gdyż ten świat właśnie traktują jak własny dom. Interesuje ich przyszłość Murzynka Bimbo, jak i losy Oceanii.

„Jest nieprawdopodobna. Jej brak konsekwencji to potęga. Chyba dzięki tym cechom kobiety żyją o tyle dłużej od nas.”

– Ale życie jest krótkie – wtrącił handlowiec. – Każdy ma za mało czasu, aby nawet porządnie pomyśleć o sobie. Trzeba kalkulować, planować, wymierzać...

„Wciągnęła go. To niesamowite! Niemiecki »Pan Hulot« dał się sprowokować i niespodziewanie dla samego siebie przebywa teraz w sferze irracjonalnych, niewymiernych wartości.”

– Jak pan to robi? – była już wyraźnie zmęczona długą rozmową w obcym języku. Jej angielszczyzna „siadła” nagle. – I suppose... – zaczęła. – I mean... – poprawiła się z wysiłkiem. – Mam na myśli, w jaki sposób przeprowadza pan te swoje „kalkulacje”?...

– Bardzo zwyczajnie. Oceniam to, z czym się stykam, i próbuję dojść do wniosku, co ma sens, a co nie. Wybieram to, co jest logiczne i zapowiada większy zysk.

– W kontaktach z ludźmi także?

– Oczywiście. Nawet w miłości.

– Jest pan okropny!

– Ja? Dlaczego?! Czy miłość nie kieruje się prawem profitu? To tylko kwestia stylu czy też może lepiej: założenia. Jedni nawet erotyczne świadczenia wymieniają w formie prezentów, niespodzianek, a inni – stawiają wszystko jasno...

– To znaczy jak? – Karina oddychała szybko.

– „Zrobię wszystko, aby ci było dobrze, lecz tylko w wypadku, jeśli odpłacisz mi tym samym.”

„Cwany facet. Myli mu się tylko jeszcze «to be in love» z »to make love«. Ponadto nie wie, że ma przed sobą nie dziewczynę, lecz żywiol. Gotowa mu to zaraz zresztą dać poznać.”

– Zaniepokoił się. Czy Kariny nie zapowiadały nic dobrego.

– Pamiętasz, co ci mówiłem o „how are you”? – rzucił szybko po polsku, przepaszając za to Kreuschnera ruchem głowy. – Odpowiada się na to zawsze postronnym, choćby się „skowyczało z rozpaczy”, „I am very well, thank you”. To jest właśnie taka zdawkowa rozmowa, takie pytania, rozumiesz? Słowiańska, duszoszczypatielność” i wylewność zabrzmiały w niej zupełnie groteskowo.

– Do czego zmierzasz? – spytała bawiąc się pudełkiem zapalek. Wiedział, że jest bardzo zła.

– Ku słońcu twego uśmiechu – spróbował zażartować, lecz nie zdało się to na nic. Dalej wpatrywała się w kolorową etykietkę. Wyrwała jedną zapalną i zapaliła. Niemiec śledził ruchy jej długich palców z wyrazem absolutnego zachwytu. Uniosła głowę.

– Czemu on się tak gapi? – rzuciła bardzo cicho.

– Nie rozrabiaj, Kroplo! Prawdopodobnie marzy o tym, abyś mu opowiedziała, jak to jest z nami.

– Opowiem mu, że w twojej mansardzie mieliśmy łóżko szerokości sześćdziesięciu centymetrów – zachichotała nagle. – I że nam to nie przeszkadzało... A nawet... nawet pomagało w... ogrzewaniu... – śmiech zawładnął nią całkowicie. – Pamiętasz?... Mówiłeś zawsze, że mogliby... że można by nas wynajmować do ogrzewania mieszkań, bo spadała kołdra i my... nie wiedzieliśmy nawet, że... – śmiali się już oboje, a było to, widać, zaraźliwe, gdyż Herr Kreuschner po chwili się do nich przyłączył.

– Pan jest kapitalny gość! – rzekła Karina. – Musi nas pan koniecznie odwiedzić w Warszawie.

– Więc naigrawali się państwo ze mnie. Ładnie to tak? – Aż czego, można wiedzieć?

– Naigrawaliśmy się z siebie. Kiedy poznałam tego pana – Karina wskazała męża – miałam jedną parę butów, a wszystkie swoje ciuchy mogłam spakować do małej walizeczki, z którą zaczynałam nowe życie. Jego stan posiadania był podobny. Aha, mieliśmy za to świadectwa rozwodowe. Każde po jednym.

– Rozumiem – Niemiec spoważniał. – Więc zaczynali państwo wszystko od początku.

„Normalny człowiek. Nie widzi w ubóstwie i naszym szaleństwie nic śmiesznego. Co ona wygaduje?...”

– Kiedyś w Tatrach spotkałem juhasa ze stadem owiec. To było na Czerwonych Wierchach – rzekł naraz niespodziewanie dla samego siebie. – Facet musiał już siedzieć w górach z parę tygodni i nie widzieć żywego ducha, gdyż przybiegł do mnie, sadząc ogromnymi susami w dół po stoku, jakby się paliło. Poczęstowałem go papierosem, usiedliśmy, gadamy o tym i owym. Wreszcie, widząc dolinę oblaną promieniami słońca, przyłożyłem do oczu lornetkę...

– Mój mąż chodzi zawsze po górach w pełnym ekwipunku, jak partyzant – szepnęła i usunęła się, przewidując, że dostanie sójkę w bok. To nastąpiło w chwilę później. Roześmiała się.

– ...Po chwili pasterz zerknął na mnie raz i drugi i poprosił o pożyczenie lornetki. Dałem mu ją, lecz widząc, że przykłada ją do oczu od strony szerszych szkieł, powiedziałem... no, wygłosiłem coś w rodzaju korygującej uwagi, z której wynikało, że z tej strony, z której patrzy, widać wszystko mniejsze.

Oderwał na chwilę oczy od lornetki i spojrzał na mnie.

– A mnie tam, panocku, przez różnicy – rzekł powoli.

– Dobrze. Bardzo dobrze! – roześmiał się Kreuschner. – Cieszę się, że państwa poznałem – spoglądał w stronę oszklonych drzwi. – Grüss Gott! – rzekł nagle.

Poszli za jego wzrokiem.

W drzwiach stał chłopak ładząco podobny do Chrystusa. Jego ramię otaczało szyję murzyńskiej piękności o wymalowanych na fioletowo, grubych wargach. Oboje byli bosi. Z pleców przybysza zwisała ukosem gitara.

Długowłosi przy barze zamilkli. „Jezus” nie poświęcił im nawet spojrzenia. Krótkim ruchem ramienia wskazał kierunek i czarna dziewczyna ruszyła pierwsza. Nie minęła sekunda, a już zniknęli oboje za ścianką, oddzielającą bar od rozległej sali, w której podróżni obsiedli fotele i kanapki pod ścianami.

– Jedni walczą, aby mieć butów jak najwięcej, a inni wędrują boso po świecie i mają gdzie zdobyć cywilizacji – rzekł Kreuschner bez uśmiechu. – Taki widok mnie zawsze rozkojarza. Macie w Polsce podobnych cudaków? Europa Zachodnia jest ich pełna.

– U nas nawet na streaking stóp trzeba jeszcze poczekać – uśmiechnął się redaktor. – Narod kupuje tymczasem lodówki, telewizory i marzy o samochodach.

– My już przestaliśmy dawno marzyć o czymkolwiek. – Kreuschner zapalił papierosa. – Jeśli nie śpimy po nocach, to tylko z lęku o nasze bankowe konta.

„Otworzył się już. Prawidłowe. Są ludzie przypominający puszkę hermetycznie zamkniętych konserw. Są też tacy, którzy działają jak otwieracze.”

– Nie wierzę, aby ktokolwiek mógł istnieć bez marzeń. – Karina spuściła oczy, gdyż podchmielony rudzielec przy barze przepił do niej z uśmiechem, wysoko unosząc kieliszek.

„Jeśli zrobi to jeszcze raz, dam mu w mordę. Dlaczego nie mam jachtu? Żeglowalibyśmy wtedy po morzach i oceanach, nie spotykając nikogo. Z Londynu ucieknijemy zaraz do Norfolk. Hildoveston... Ciekawe, czy się zmieniło? Wtedy, w czterdziestym trzecim, wydała mi się ta miejscina najspokojniejszą na ziemi.”

Ozwały się dźwięki gitary i czyjś śpiew. Rudy zeskoczył ze swego taboretu i wszedł na salę. Za chwilę zrobili to pozostali. Bar obsiedli natychmiast starszawi mężczyźni. Jeden z nich, łysy jak kolano, mówił coś o swoim przedwojennym pobycie w Ostendzie. Porównywał. Miał na sobie tweedową marynarkę rdzawego koloru i szare, flanelowe spodnie. A więc typowy „uniform” Brytyjczyka tradycjonalisty.

– Mój ojciec kupował buty raz na dziesięć lat, a ubranie na dwadzieścia. No, ale wtedy były materiały!... – Kreuschner czuł już chyba wypity alkohol. Jego broda i policzki świeciły się jak wypolerowane.

– Przedwojenne – Karina uśmiechnęła się nieprzytomnie.

Redaktor wstał.

– Przejdziemy się znowu trochę, chcesz? – rzucił po angielsku. Przeprosił ich rozmówcę w chwili, gdy ten zamawiał nowego drinka.

– W porządku. Miejsce czeka! – wykrzyknął Niemiec, odwracając się.

– Jesteś cudowny! Jeszcze chwila rozmowy o ekonomii lub o przedwojennych materiałach, a zamieniłabym się w mumię egipską. – Karina obciągnęła swą długą spódnicę i wsunęła rękę pod ramię męża.

– Nie bujaj. Słuchałabyś go godzinami, gdyby ci o nich śpiewał tak jak ten – rzekł redaktor w chwili, kiedy wchodzili na salę.

– Gdyby mi o nich śpiewał, to chyba tak – roześmiała się.

„Kiedy słucha muzyki, jest jak piękne zwierzę czytające węchem, co mówi wiatr.”

Grającego na gitarze „Chrystusa” i jego partnerkę otaczał krąg słuchaczy, siedzących na ziemi. Piękna Murzynka śpiewała, klęcząc. Jej głos wibrował. Stojący obok „Jezus” zdawał się być niezmiernie wysoki.

„Jest wydłużony jak gotycka rzeźba, jak Chrystus na średniowiecznym witrażu. Głowa mieści mu się sześć razy w długości całego ciała.”

– Fajny chłopak, długi – szepnęła Karina. – Nieprawdziwy, jak rysunek w żurnalu.

Czarne taksówki, podjeżdżające pod perony dworca Liverpool, pokryte były kroplami deszczu. Wyglądało to dość niezwykle, gdyż wysokie sklepienie sięgało za podjeżdżające pociągi tak daleko, że nie można było dostrzec nawet najmniejszego kawałka nieba.

Karina roześmiała się widząc dwóch mężczyzn w melonikach i czarnych, wciętych „dyplomatkach”. Jeden z nich stał wsparty „posagowo” na swoim parasolu. Dostrzegając uśmiech nie znanej dziewczyny, uśmiechnął się także, nie zmieniając pozycji, a nawet wręcz przeciwnie, jak gdyby pogłębiając zabawnym skłonem jej groteskowość.

– Nie mogę uwierzyć, że wszyscy dookoła mówią po angielsku lepiej od ciebie – powiedziała Karina. – W ogóle nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Pachnie gumą do żucia, kurzem, dobrymi papierosami i klozetem.

– Co ona powiedziała?

Uśmiechnięty Fred pojawił się niespodziewanie. Wybiegł spoza taksówek i wykorzystując ich zaskoczenie otoczył Karinę swymi długimi ramionami, zabierając się do całowania w policzki.

Był w jasnym, kremowym garniturze nałożonym na gołe ciało. Pod szyją miał czerwony fular. Jego owłosiona pierś była widoczna pomiędzy kłapami marynarki.

– Scharakteryzowała Wielką Brytanię zapachowo, i to nieźle. Puść ją! – redaktor odciągnął go od żony. Uściskali się.

„Boże, jak bardzo lubię tego postrzeleńca! Nie pisujemy do siebie prawie zupełnie, a ilekroć go widzę, jest zaraz tak, jakbyśmy się rozstali ubiegłego dnia.”

– Miałem mecz, rozumiecie? Koniec świata! Tottenham–Chelsea.

Rewolucja! Aby wyjechać z Wembley, trzeba by mieć czołg albo helikopter! – przybyły roześmiał się, obejmując ich ramionami. – Karina... Karina, tak? Mówisz po angielsku?

– Staram się – była uśmiechnięta.

– To straszne. Nie będę mógł dawać ci lekcji. A poza tym... nie będę mógł zaraz powiedzieć tego, co czuję. Chociaż... A smashing bird! Absolutely smashing! – wykrzyknął.

– Co on powiedział! Jaki ptak? Co to „smashing”?

– Sze sze cze przy! – przedrzeźniał jej polszczyznę. – Tę czerwoną chustkę włożyłem na waszą, komunistyczną cześć. Leżała na dnie szafy od czasów Marata. Ledwo ją znalazłem. A jak u was? Kiedy Rudowkin przyjechał, miał przez jakiś czas takie publicity, jak wszystkie gwiazdy Hollywood razem wzięte. Teraz wisi na krzyżu w Szwajcarii czy na Riwierze. Na złotym krzyżu, oczywiście! Ale gość na medal, bo wie, jak robić „Jesus Christ The Super

Star” w tym wrednym, zwariowanym świecie. Co za dziewczyna! Jeśli wszystkie Polki są takie, to oszaleję z rozpaczy, że nie mam zdolności językowych i nie mogę być komentatorem w waszym kraju.

– Odebrałbyś mi chleb – zdołał wtrącić redaktor.

„Coś z nim jest »nie tak. Zawsze tyle mówi, kiedy jest zdenerwowany.”

– Fred, czy ty na pewno jesteś Anglik? – Karina spoglądała szeroko rozwartymi oczyma.

– Mamma mia! Że też od razu musiałaś to odkryć! – przybyły pochylił się i podjął jedną z walizek. – Jestem dzieckiem z nieprawego łóża księżny Izabelli Capuccino. W dodatku ojcem moim był hiszpański grand Don Alvarez Miguel Tarantella. Dlatego zawsze poruszam się w rytmie kastanietów.

– Tarantella czy tarantula? – rzuciła Karina.

– No, nie! Piękna i dowcipna! Tego nie zniosę! Stary, ona dostąpić musi najwyższego zaszczytu. Pojedzie ze mną w szoferce!

– Jak to... w szoferce? – redaktor podniósł drugą walizkę i torbę.

– Jedziecie do baru „Red Lion” na Highgate? Tam nastąpią wyjaśnienia. Zobaczycie za chwilę mój nowy wehikuł. Chwila jest doniosła! Czas płynie, kochani! A więc – presto, prestissimo! – ruszył pierwszy.

Pic-up do którego podeszli, wymalowany był w ogromne, kolorowe znaki zodiaku.

– Jest to najbardziej zwariowany samochód, jaki widziałam – szepnęła, wchodząc do szoferki. – Zupełnie jak jego właściciel. Wejdz ze mną, błagam cię!

– No, w drodze wyjątku zezwolę ci na to samo – Fred wyciągnął rękę dworskim ruchem. – Bądźcie pozdrowieni w mym domostwie.

Ścisnęli się w szoferce obok niego.

– Boże, jak ona pachnie! – Anglik zręcznie wyminął na pochyłości przejeżdżający piętrowy autobus. – Jak nagrzana słońcem trzcina i fiołki razem wzięte.

– Przed burzą – uśmiechnął się redaktor. – Zaraz, za rogiem, jest Petticoat Lane – rzekł, zwracając się do żony. – Pamiętasz, opowiadałem ci, to takie ciuchy.

Zapanowało milczenie.

– Strasznie mi dziwnie, że wszystkie samochody jeżdżą lewą stroną – rzuciła niezbyt głośno po polsku. – Boże, ile butów na tej wystawie! A tamte, jakie kolorowe!

– „Boże” znaczy „My God!”? – Fred zwrócił ku nim na moment głowę. Był już poważny.

„Szyja. Postarzała mu się szyja w ciągu tych lat. Twarz ma prawie nie zmienioną. Może tylko przybył

na niej jakiś nowy rys.”

– Tak, „Boże” znaczy „My God!” – odparła Karina. – Dokąd jedziemy?

– Na Highgate – powiedział i dodał gazu. – W „Red Lion” usłyszycie o przewrocie, jaki się dokonał na Muswell Hill. Jestem znów wolny jak konik polny.

– Właściwie to powiedziałaś już wszystko – rzekł redaktor. – Odszedłeś? A co Brenda?

– To się zbierało od lat jak jakiś koszmary czyrak.

Trzeba było przeciąć. A ona? No, cóż, pewno jej niewesoło.

– Masz kogoś?

– Mam świat i tę landarę. A „ktoś” się pewnie znajdzie prędzej czy później. Lepiej, żeby nieprędka.

„Psiakrew, mieszkanie diabli wzięli! Przecież w tej sytuacji nie sposób dokonać inwazji na Brendę. Chyba że coś wymyślił. Ale nawet jeśli znalazł nam jakiś pokój, to trzeba będzie za niego bulić, i to sporo. Nie wyobraża sobie nawet, jak mało mamy pieniędzy.”

– On jest bardzo niepoważny – rzekła Karina. – Ile sklepów! Oszaleć można!

– Ja też jestem niepoważny – odparł, przez pomyłkę, po angielsku redaktor.

– Aha, pierwsze ugryzienie – roześmiał się kierowca. – Brawo! Mogłaś to powiedzieć tak, abym zrozumiał. A więc masz przy sobie dwóch niepoważnych gentlemenów, którzy są przyjaciółmi. A ponadto jeden z nich jest twoim mężem. I co dalej?

– Właśnie o to chciałam zapytać – rzekła swobodnie, nie spieszona ani trochę. – Jestem zmęczona.

– Córka „króla szmalcu” chce odpocząć! Czy w takiej sytuacji jej szofer może mieć coś do powiedzenia?! – zahamował nagle. – „Red Lion” odłożymy sobie na inny raz. A teraz pojedziecie do mnie. Ja akurat wyjeżdżam do Hull. Zaraz po tej „pałacowej rewolucji” wynająłem pokój w Hampstead – tak zwane „malutkie gniazdko” – coś w sam raz dla was.

– Kiedy się to wszystko stało? Gdybyś napisał... – rzucił redaktor.

– Trzy dni temu. Szybkość wydarzeń bije na głowę operatywność poczt. List by do was nie doszedł. Nie przyszło mi do głowy, aby do was zadzwonić. A nie potrafiłbym tego ująć w telegraficznym skrócie.

– Nie wygłupiaj się – rzekł redaktor.

– Widocznie zapomniałeś, że przez całe życie nic innego nie robię. Założę się, że pomyślałeś: „Najwyższy czas, abyś przestał”. Rzecz w tym, że ja dopiero zaczynam.

„Ja także zacząłem i jeśli to wszystko z dystansu tak wygląda, jestem nieopisanie śmieszny. Stary ramol, przekreślający wszystko to, co przeżył w imię hasła: »Idzie nowe!« Można dostać czkawki.”

– Co zaczynasz? – zapytał, aby coś powiedzieć. – Widzę tylko, że podretuszowałeś się na „Merry England” w cockneyowskim wydaniu. Brak ci jedynie laseczki z gałką.

– Mam ją, mogę cię zapewnić! Zawsze coś lub kogoś powtarzamy. Lepiej to robić świadomie – Fred zachichotał. – A zaczynam marsz przez życie. Moimi są od teraz wszystkie drogi świata, wszystkie kobiety, z wyjątkiem twojej pięknej żony, oczywiście. Boże, jak to banalnie brzmi!

– Nie przeczę – rzekł redaktor.

„Różnica pomiędzy nami jest jednak zasadniczej natury. On szuka, a ja znalazłem.

Co mianowicie »znalazłeś«, stary? Czy kobieta, choćby nawet tak doskonała, jest w stanie zastąpić ci wszystko inne?... A czy to »wszystko« w ogóle istnieje?... A czy ci, którzy zdają się to »inne« już posiadać, nie zgrywają się tylko, nie pozuja na szczęśliwszych, niżli są w istocie?...” – Spochmurniał. Karina także siedziała w milczeniu.

Stali na rogu Tottenham Court Road w gąszczu samochodów. Redaktor wychylił się i spojrział na drapacz chmur z prawej strony.

– Tak, wciąż pusty – mruknął Fred, zdejmując rękę z kierownicy. – Właściciel trzyma go jako lokatę i czeka na lepszą koniunkturę. Niedawno był tu ładny bal. Zajęli go biedacy z Camden Town. Weszli z całymi rodzinami i siedzieli w nim parę dni.

– I co potem?

– Potem wyszli, bo policja wyperswadowała im takie nieprzemyślane akcje, i wrócili grzecznie do swoich ruder. Rzecz działa się w Anglii, mój stary, nie zapominaj. Ale zawsze mieli kilka ładnych dni. Kilka ładnych, choćby nawet bezsensownych dni to niezła rzecz w życiu, nie uważasz?

– To, co zrobili, miało sens – odezwała się Karina. – A jak nazywa się ta ulica na lewo?

– Oxford Street – odparł Fred. – Dom handlowy dla snobów mniejszego kalibru. Ci więksi mają inne ulice – droższe lub też cholernie drogie.

– Aha, to tu – opuściła szybę. – Założę się, że tu właśnie kupiłeś swój garnitur.

– I love you, Karina! – rzekł Fred, nie patrząc na nią.

– Co on wygaduje!?! – wykrzyknęła. – Angielskie „I love you” znaczy także „bardzo cię lubię”. W historii narobiło to już sporo zamieszania, bo nie wszyscy politycy, na przykład, mieli rozeznanie co do tej dwoistości znaczeń.

– Dziewczyny chyba też.

– O, tak, rozczarowanych białogłów było sporo – dodał Fred, ruszając z miejsca. – Moi rodacy to straszni uwodziciele. Po prostu „psy na kobiety”.

– Słyszałam co innego.

– To wasza dyskredytująca nas komunistyczna propaganda! W każdym razie lepiej, aby Marek nigdy nie zostawiał nas samych. Nie ręczę za siebie.

– On jest niesamowity! – wykrzyknęła. Śmiała się znowu.

„Od chwili wyjazdu z Amsterdamu kaszle o wiele mniej. Musiała to sama zauważyć. Już od dawna nie śmiała się tak szczerze”.

– W „Red Lion” barmanem jest fantastyczny facet, Jerry Rowson, aktor telewizyjny, czasowo bezrobotny. Ale nic, robię w czwartek małego drinka na waszą cześć, to go poznacie. Będą też Tommy Morgan, Bob Thiel, pamiętasz ich? Komentowali w czasie mistrzostw w Rzymie.

– Pamiętam. Jasne – odparł. – Co u Boba?

– Nic. Biega, jak zwykle, co wieczór twardo te swoje pięć mil, a rano trzaska na maszynie jak opętany.

– Widziałeś Allana? Pisałem do niego.

– Mówił mi. Chcesz machnąć historię regat na Tamizie? Oszalałeś? Po co? To już zrobiło przed tobą ze stu facetów. A żaden dobrze. Poza tym to nie jest „hit”.

– U nas to może być sakramencki „hit”.

– Chyba że tak. Jak ci zapłaca... – zwrócił się do Kariny: – Górny Hampstead to taka londyńska Szwajcaria dla ludzi z nabitymi portfelami, oczywiście. I pomyśleć, że przed dziesięciu laty można było tu kupić całkiem niezłą rudę za jakieś cztery tysiące. Dzisiaj za to samo trzeba zapłacić co najmniej trzydzieści. Cross my heart, ta twoja żona jest tak diabelnie piękna, że kiedy na nią patrzę, odchodzi mnie cała odwaga! Mylady, podobno pani w dodatku cudnie śpiewa.

– Nie śpiewam – odpowiedziała głucho. – Po co mu napisałeś? – dodała po polsku.

– Wszystko jedno. Ale jesteś mądra, czarująca i taka, że chciałoby się z tobą gadać całkiem serio mimo twojej urody. Muszą za tobą przepadać kobiety.

– O tak, przepadają. Utopiłyby mnie w łyżce wody..

– Wyobrażam sobie – Fred zatrzymał samochód. – No, wysiadka. Robimy: „Polska wycieczka w Londynie”. Teraz patrzcie. Macie u swych stóp stolicę imperium, które rozłazi się w szwach, ale z fasonem.

Wysiedli i przystanęli na skraju chodnika.

– Strasznie wysoko! Prawie tak, jakbyśmy ze szczytu Gubałówki patrzyli na Zakopane – rzekła Karina. – Ile domów! Istne morze! Nie – ocean. Nie widać końca.

– Widać. Większość z tych najbliższych ma sto lat i drewniane stropy zjedzone przez korniki. Wkrótce się zawali. Od wewnątrz, oczywiście. My, w tym kraju, zawałamy się wyłącznie od wewnątrz. Robienie tego z pełną otwartością byłoby nieelegancko i w złym tonie. Z zewnątrz wszystko musi być zawsze w idealnym porządku. Polacy natomiast, zdaje się, kochają ogromne, zwaliste bloki. Widziałem kiedyś w telewizji film o waszym kraju. Imponujące! Mielście zawsze wspaniałych żołnierzy, więc rozumiem, że uwielbiacie koszary.

– Powiedz mu coś, bo nas obraża! – Karina parsknęła śmiechem. Widząc, że mąż obchodzi samochód, oglądając wymalowane na nim stwory, zdecydowała się odpowiedzieć sama.

– Chodziło o to, aby jak najszybciej dać ludziom mieszkania, milionom ludzi. Wszystko leżało w gruzach, rozumiesz?

– Słuchaj, obwieszam ci otwarcie, aby nie było nieporozumień, że po uszy, beznadziejnie i namiętnie zakochałem się w twojej żonie – wykrzyknął Fred, ujmując obie dłonie dziewczyny. – Oznajmiam ponadto, że nie przeszkadza mi zupełnie to, że przyjechała tu, do jaskini „kapitalistycznego lwa”, najwidoczniej po to, aby robić komunistyczną propagandę!

– Przepowiadałem, że wpadniesz od razu – redaktor wyszedł zza samochodu i uśmiechnął się.

- Przepowiedział? – Fred zrobił minę inkwizytora.
- Przepowiedział – dziewczyna rozłożyła ręce.
- Zrobił to dlatego, gdyż zna mnie jako konesera i czciciela piękna – Fred spoważniał. – Jesteś wspaniała dziewczyna. Bardzo jestem szczęśliwy, że pobraliście się, i cieszę się, że cię poznałem.
- Ty też jesteś wspaniałym chłopakiem. I ja się cieszę z tego samego.
- Jeśli nie zmażesz tego pornograficznego malunku z błotnika, nigdy więcej nie pozwolę jej wsiąść do twojego wozu – rzekł redaktor.
- „Nigdy więcej nie patrz na mnie takim wzrokiem...” – zanuciła nagle, wyraźnie zapomniawszy o swojej chorobie. Głos jej zachrypiał i załamał się.
- Kurwa mać, wiesz! – powiedziała z oczyma pełnymi łez.

Tego wieczora Fred na próżno wmuszał w nią whisky. Siedziała przed telewizorem, nie uczestnicząc w ich rozmowie. Co jakiś czas tylko podnosiła się i kręciła gałką, zmieniając program. Pili sami, we dwójkę, przywiezioną żubrówkę.

Fred był pod wrażeniem rozmów przy kolacji, na którą zaprosili go dwaj znajomi Polacy do restauracji „Ogniska” przy Exhibition Road.

– Potem dosiadło się jeszcze trzech, też Polaków, a każdy opowiadał o wojnie, jak gdyby te jatki skończyły się dopiero wczoraj – ciągnął, zerkając w stronę Kariny. Powiem ci szczerze, dla nas jest to nie do ogarnięcia rozumem. Po co się babrać w tych idiotycznych sprawach? To zupełnie tak, jakbym nie mógł zapomnieć swojej służby wojskowej i truł każdemu, że – dajmy ^ to – mój kapitan był zboczeńcem seksualnym, a kapral – kretynek. Czy to kogoś interesuje? Czy to jest warte opowiadania w kółko?

– Na pewno nie – redaktor uśmiechnął się, upijając ze swego kieliszka. – Ja też tego nie rozumiem.

– Bo jesteś normalny – Fred spojrzał na zegarek. – A co robicie jutro? Wzięłybyś ją gdzieś, rozumiesz? – zniżył głos, wskazując siedzącą w fotelu. – Sklepy, magazyny, domy towarowe... Nawet najmądrzejsza kobieta zapomina wtedy o swych zmartwieniach.

– Dobry pomysł. Zrobię z nią rundę od Leicester Square przez Regent Street do Oxford Street i dalej aż do Marble Arch. Może zawadzimy też o Soho – redaktor także ściszył głos.

– Nie warto. Soho już nie to, co dawniej. Pamiętasz tę naszą popijawę na Archer Street w „New Yorkerze” i tego żydowskiego skrzyпка? To był artysta! Nie ma już „New Yorkera”... Wszystko się rozlatuje, przetwarza... – Fred wstał.

– My nie. Jesteśmy twardzi jak dawniej i jeszcze pokażemy światu! – rzekł redaktor.

– Możemy pokazać światu, wiesz co... – gospodarz wzruszył ramionami. – I wyglądać przy tym żałośnie jak osesek na nocniczku...

„Jest prawdziwszy ode mnie. Przynajmniej potrafi się przyznać do porażki i do tego, że wszystko się nam rozwodniło i że – reasumując – stało się do kitu.”

Fred żegnał się. Karina podeszła do drzwi z przyklejonym, nieprawdziwym uśmiechem. Mówiła, jak bardzo jest im głupio korzystać z jego mieszkania.

Gospodarz odpowiadał jej z przyciężką, wódczaną galanterią, lecz na odchodne wspominał niespodziewanie o pokoju przy Archway Road za siedem funtów tygodniowo, który mógłby im załatwić, i że gdyby przenieśli się tam za trzy dni, byłby im szczerze wdzięczny.

– Dobrze. Załatw to, stary – rzucił redaktor.

– My też będziemy ci bardzo wdzięczni – dodała Karina.

Fred wyszedł. Spojrzeli na siebie, uśmiechając się z zażenowaniem.

– Opowiadałem ci. Tacy oni są. Dlatego coś mają, a my nic – rzekł redaktor.

– Jeśli będziemy płacili za pokój siedem funtów tygodniowo, to na jak długo nam wystarczy? – nie komentowała zupełnie całego wydarzenia.

– Zakładając, że nie będziemy oboje wydawać dziennie na jedzenie więcej niż dwa funty, na jakieś trzy tygodnie, może miesiąc.

– Fajnie – rzuciła tak cicho, że nie dosłyszał. – No, fajnie! – powiedziała głośniej. – Chodź, robimy dziadowskie wesele! Gdzie kiełbasa? – sama napelniła żubrówką kieliszek i wychyliła jego zawartość jednym haustem.

– Nie ma to jak polska wódka, prawda?

– O co ci chodzi? – zaczął. – Przecież nie mogłem...

– O nic. O nic mi nie chodzi – przerwała mu. – Należ mi jeszcze jeden!

„Myję podłogę w barku komendanta obozu. Hartmann uderza rytmicznie pejcem o cholewę swego buta. Radio ryczy:

Ich brauche keine

Milionen.

Mir fehlt kein Pfennig

zum Glück.

Ich brauche nur deine

Liebe und Musik, Musik,

Musik...

Psiakrew! Nie myśleć! Wykreślić to wszystko!”

– Chodź bliżej – powiedział do pięknej dziewczyny, która była jego żoną. Uśmiechnęła się, czyniąc zadość jego prośbie.

– Nie nadaję się na koczownika – rzekła, otaczając go ramionami.

Łóżko zaścielone po angielsku było przeciw nim.

Śmiała się, wyszarpując zagięte pod materac prześcieradło. Rozebrali się oboje chyba zbyt pospiesznie. Była w samej koszulce. W pokoju panował chłód.

– I oni tak wszyscy, naprawdę? Przecież leżąc w takiej płaskiej szparze pomiędzy kocami a materacem nie można nawet ruszyć nogą. Poza tym ta ilość kocy... Zaraz – zaczęła liczyć: – Siedem! Siedem kocy, zagiętych pod materac z trzech stron, dwa prześcieradła (jedno jako poszewka), dwie malutkie poduszeczki i ani jednej kołdry!

– To nie jest takie głupie – rozśmieszyły go jej szeroko rozwarte oczy. – Przykrycie można w ten sposób regulować w zależności od temperatury.

– Matko Boska, pomóż mi! Z drugiej strony zagięte jest z pół metra koców! I ty mówisz, że to nie jest głupie? Przecież tutaj trzeba Herkulesa do ścielenia łóżek! – udało się jej wreszcie wyrwać koce i prześcieradła. Padła na łóżko i leżała bez ruchu, spoglądając na sufit. Jej kształtne, długie nogi były rozrzucone.

Zatrzymał się tuż nad nią.

„Czy bardziej ją kocham, czy pragnę? Czy też, może, wszystko razem, plus zazdrość, chęć unicestwienia i jeszcze coś odpowiednio parszywego?...”

– Karina, chyba cię nienawidzę :– rzekł, pochylając się.

– Wiem o tym i dlatego... – usunęła na moment usta – ...dlatego jesteś mi potrzebny do życia.

Przyjęcie na ich cześć zbiegło się z przeprowadzką. Załatwili to w ten sposób, że już przed południem przewieźli swoje rzeczy na Archway Road. Pokój był ogromny z marmurowym kominkiem, brązowym biurkiem i czterema fotelami, pokrytymi pokrowcami w kwiaty. Za oknami dudniły bez przerwy samochody. Gospodarzy nie było. Klucz wręczył im piegowaty Amerykanin, mieszkający na pierwszym piętrze. Jak się okazało, przyjaciel Charlesa Clouda i jego żony, właściciele mieszkania na parterze.

– Archway Road poszerzają przy Tufnell Park i dlatego samochody jadą tak wolno – powiedział. – Jeśli chcecie posłuchać dobrej muzyki, zobaczyć moje koty i napić się sherry, to wszystko to czeka na was na górze. Kupiłem wczoraj Elisabeth Schwarzkopf. Aha, Charles kazał mi powiedzieć, że jeśli macie coś do powieszenia, to możecie wykorzystać jego szafę w

sąsiednim pokoju – zatrzymał się tuż przy drzwiach. – Najlepszy rzeźnik to nie ten, po drugiej stronie ulicy, ale ten obok pralni. Jest to pedał, ale to chyba wam nie przeszkadza. Baraninę ma najlepszą na całym Highgate.

– Nie, nie przeszkadza nam – rzekł redaktor. – Widocznie ma odpowiednie kontakty.

– Ma. Na pewno – chudzielec w kraciastej koszuli wykrzywił się, co było uśmiechem. Wyjął z ust gumę do żucia i wrzucił ją do popielniczki na niskim stole z grubych, surowych desek, jaki stał pomiędzy fotelami a kanapką. Pochylił się i zapalił lampę z żółtym kloszem na tym stole.

– Okey, wszystko gra – mruknął i zgasił ją na powrót. – To co, idziecie? Wy podobno jesteście Polacy. Stąd czy stamtąd?

– Stamtąd – rzekł redaktor i uśmiechnął się.

– Ona też? – Amerykanin spojrzał na Karinę.

– Ona też.

– Charles wróci dzisiaj późno, bo znowu protestują oboje z żoną. Chodzą cały dzień z transparentem. Szósty miesiąc jest już na zapomodze. Taki muzyk! Słyszeliście o nim?

– Nie – powiedziała Karina.

– W Edynburgu był najlepszym fagocistą. Ale jego agent namotał mu pracę w Londynie. Charles uwierzył, że na stałe, i przeniósł się z całym majdanem. Potem praca – fiu! I został na lodzie. A do Edynburga już wrócić nie może, bo się spalił. Poza tym dyrektorowi orkiestry powiedział, co o nim myśli.

– Zwykle sprawy – redaktor zdjął marynarkę. – Przepraszam, ale... Jesteśmy zaproszeni, więc...

– Już mnie nie ma. Nazywam się Dick Brompton. Jestem Żydem. Moja babka pochodziła z Polski. Ale, już nie pamiętam, skąd.

– Ja w ogóle nie pamiętam swojej babki – westchnął redaktor i zaczął ostentacyjnie rozpiąć koszulę.

– Prosty, ale fajny – rzekła Karina, gdy Amerykanin wyszedł. – Mam wszystko jak psu z gardła wyciągnięte. Musimy kiedyś kupić prawdziwe walizki. Widziałam takie, rozciągane, u „Harridge’a”.

– Po ile?

– Różnie. Dwadzieścia, dwadzieścia dwa...

– Czego?

– Jak to „czego”? Funtów.

– Dobrze. Jutro kupię. Myślałem, że drożej. Dwie ci wystarczą?

– Wolałabym ze trzy, bo zamierzam kupić tutaj sporo rzeczy – uśmiechnęła się blado.

– Załatwione.

– Dobrze by było, co? – westchnęła.

– Nie marzę o dobrach doczesnych.

– A o czym?

– O... o podróżach. O podróżach z tobą – dodał po chwili

– Bardzo jesteś miły, kochany – poprawiła się. – Jak widzimy, stać nas na podróżowanie.

„Rąbnęło ją. Nic dziwnego. Nawet z Paryża przylatują tutaj shoppingowi turyści tylko na dzień lub dwa i też gonią po Harrodsach, Littiewoodach i Woolworthach z wypiekami na twarzach”.

– Słuchaj, Kropelko... – zaczął, zawiązując krawat.

– No, słucham.

– Może lepiej porozmawiajmy innym razem.

– O czym tu rozmawiać? Wszystko jest zupełnie jasne.

– Co niby jest takie okropnie jasne?

– Nie użyłam słowa „okropnie” – podeszła do okna i wyjrzała. – Nie zmrużę tu oka.

– Myślisz, że nasz gospodarz wciąż wierzy w swoją wielką gwiazdę i „fagoci” całymi nocami?

– Nie żartuj. Groźniejsze są te samochody. Dom drży bez przerwy. Czujesz? Ale w końcu też nie o to chodzi!

– A o co? Może chcesz już wracać do Warszawy?

– Mogę wracać w każdej chwili.

– Ale czy chcesz?

– Chcę.

– Dlaczego?

– Bo tam żyjemy naprawdę, a tu na niby.

„Nie mów za mnie, moja cudna. Ja jestem jak tamten juhas na Czerwonych Wierchach. Jeśli chodzi o ostrość widzenia prawdy, to mnie ta przez różnicę...”

– Poza tym, w ciągu tych trzech dni zobaczyliśmy już chyba wszystko, co dostępne dla takich jak my: zmianę warty przed pałacem, Hyde Park, Tower, Soho, Piccadilly Circus wieczorem i za dnia, Trafalgar Square. Regent Street, Marble Arch...

– No, zostało jeszcze parę rzeczy.

– Chciałam powiedzieć, że zobaczyliśmy to, co nic nie kosztuje. W Amsterdamie było podobnie. Przepraszam cię – dodała po chwili. – Jestem nieznośna.

– Jesteś – powiedział. – Co się z tobą dzieje?

– Nie wiem. Jako mądrzejszy ode mnie, nazwij to.

– Może innym razem. A poza tym wcale nie jestem mądrzejszy. Musimy już iść. Wyglądasz przepięknie.

– Dziękuję. Ta suknia ma już dwa lata.

– Aluzju poniał. W sobotę pojedziemy na Portobello Road.

– Co to jest?

– Taki... jarmark cudów, najbardziej egzotyczne miejsce w Londynie... Ciągnie się to parę kilometrów. Coś uroczego. Można tam spotkać wszystkie narodowości, wszystkie rasy...

– Chcesz kupić jakiś antyk?

– Ja?... No, nie... Myślałem, że... Sukien jest tam też... zatrzęsienie.

– „Zatrzęsienie”, tak? Opowiedz mi lepiej o tym meczu, na którym byliście razem z Fredem. A tak, na marginesie, te twoje dziewczyny musiały chyba jednak być w Sodalicji Mariańskiej. Przepraszam cię. No, wybacz – podeszła bliżej i zaczęła łąsić się jak kotka. – To były na pewno wspaniałe, cudowne dziewczyny, o wiele lepsze ode mnie.

„Nie wszystkie, czorcio, diabolic! Ale, niektóre... Taka Irmina, na przykład. Albo Renata... Myślały tylko o tym, abym ja... Do diabła z tym!” Zobaczył nagle kilka postaci jak na grupowym zdjęciu. Naszły go jakieś dawno zapomniane słowa.

– „Osiem i pół” Felliniego to był dobry film, nie uważasz? – rzekł wkładając portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Podeszła i przytuliła się do jego ramienia. Drżała.

Pomyślał, że płacze, lecz był to śmiech.

– Ja wolę „Mężczyznę i kobietę”. Mimo wszystko optymistyczniejszy – spojrzała w stronę okna. – Wziąć parasolkę? It looks like rain.

Błąda dziewczyna, rzucająca co jakiś czas na Freda rozmodlone spojrzenia, pochylała się kolejno nad siedzącymi na dywanie postaciami. Na półmisku, jaki trzymała obiema dłońmi, wznosiła się pizza, podobna do dużego, ceglatego tortu.

– Sama ją zrobiła! Macie przed sobą królową podniebienia! – Fred podbiegł i pocałował dziewczynę w czoło.

Odpowiedziała mu zabawnym, pensjonarskim dygiem. Skwitowały to okrzyki. Spocony gospodarz wziął swój talerz i usiadł na ziemi obok Kariny.

– No i jak, najpiękniejsza z pięknych? – zrobił do niej oko.

– Fantastycznie – uśmiechnęła się w odpowiedzi.
– Trochę za dużo wypili, ale to ta wasza vodka – rozejrzał się. – Hey, Jerry! – wykrzyknął nagle. Karina drgnęła.

– Ay, sir! – odpowiedział mu aktor, siedzący po turecku w rogu pokoju.

– Przepraszam. Żeglujemy razem i zawsze, zwracając się do niego, przekrzykiwać muszę szum fal i świst wichru – Fred wstał i skłonił się głęboko. – Opowiedz o hymnie – rzucił nieco ciszej.

– Muszę? – Jerry Crab przyklęknął. Przypominał Micky Ronneya z wczesnych filmów.

– Oni tego nie znają.

– Pracowałem wtedy na malutkim lotnisku odpowiednio malutkiego kraiku w Afryce Wschodniej. Rzecz w tym, że ten kraik strasznie, obłędnie marzył o własnej niepodległości – w ramach Commonwealthu oczywiście. No, więc dostał wreszcie tę wolność i zapowiadał się niezły jubel. Bo to i wciągnięcie flagi na maszt, i defilada kacyków i oddziału gwardii, a ponadto przyjazd gubernatora. Ten przyjazd właśnie i pożegnanie dygnitarza miały stać się największą, narodową fetą – symbolem uzyskanej niezależności.

Kraik ten nie dysponował jeszcze – nieszczęsny – ani orkiestrą wojskową, ani – co gorsza – armatami i nie posiadał też jeszcze własnego hymnu, więc zdecydowano, iż salwy honorowe zostaną po prostu pominięte, zaś zamiast hymnu puści się płytę z jedyną ich melodią, jaka została nagrana, i że utwór ten będzie – jak to się mówi – płynął w tej najbardziej uroczystej chwili pożegnania brytyjskiego gubernatora z jedynego głośnika, przybitego do pobliskiej palmy.

Początkowo wszystko szło dobrze. Zrobiliśmy coś w rodzaju próby generalnej. Potem przyleciał gubernator i wygłosił odpowiednio kretynską mowę. Gwardia przygotowana do defilady czekała już na rozkaz do marszu przed trybuną – gdy wtem okazało się, że jedyny gramofon, jaki był na lotnisku, nawalił.

– Mów wolniej! – mówił uśmiechnięty Fred, spoglądając na twarz Kariny.

– Dobra. No więc wysiadł patefon i klops. Konsternacja. Gwardia zaczyna się niepokoić, szemrać. Gubernator przestępuje z nogi na nogę. I kto w tej sytuacji nie traci głowy? A przeciwnie, wpada na zbawienny pomysł?! Kto? Ja! Zaczynam działać jak w transie. Zbliżam usta do mikrofonu i... – w tym momencie aktor nadymając niespodziewanie policzki wydał ustami dźwięki, do złudzenia przypominające nie tylko orkiestrę dętą, grającą marsza, lecz także powtarzające się rytmicznie armatnie salwy. Zrobił to z takim mistrzostwem, że ozwały się oklaski.

– Genialny, co? – roześmiana Karina przeniosła oczy na męża. – Dlaczego się nie śmiejesz?

„Robił to samo, tylko lepiej, Frank Tilbury. Wtedy, w czterdziestym drugim, w czasie czekania na rozkaz startu do ostatniego swego lotu w życiu. Miało się to dziać w gmachu BBC, w chwilę po wybuchu bomby, która rozerwała budynek dosłownie na dwie połowy w czasie Blitzkriegu. Podobno jeden ze spikerów nie stracił wówczas przytomności umysłu i dokręcił płytę palcem i w ten sposób któryś z programów dla zagranicy został nadany w całości. Polacy twierdzili, naturalnie, że chodziło o „Mazurek” Dąbrowskiego i że spikerem tym był Polak.”

– Ależ śmieję się – upił nieco whisky ze swej szklanki. – On jest naprawdę doskonały.

– Panie i panowie! – łysy grubas siedzący na fotelu podniósł się ze szklanką w dłoni. – Tak się złożyło, że z Polaków znam tylko Paderewskiego... Chopina i... Lubańskiego. Ale to są wszystko równe... chłopaki, a ich vodka to eliksir na moją... duszę! Więc... zamiast słów na ich cześć... – zaczerpnął tchu – Wołga, Wołga mać radna ja... – zaśpiewał nadspodziewanie dźwięcznym głosem.

– Pat, zalałeś się! – przerwał mu Fred. – A poza tym Wołga jest w Rosji.

– W Rosji? – łysy wytrzeszczył oczy. – Jak tak, to co innego... – usiadł na powrót, mamrocząc coś pod nosem.

„Wyskoczyć! Znowu uciekać! Jak zwykle. Tylko czy przypadkiem pewnego dnia nie zabraknie ci sił nawet na tę ucieczkę?... Wówczas dokona się. Będzie koniec, wywieszenie białej flagi. Znowu ten cholerny palec. Nie wolno ci pić. Nic ci nie wolno lub raczej wolno ci coraz mniej.” – Sięgnął po papierosa i włożył go pomiędzy wargi, nie zapalając.

– Pan jest dziennikarzem sportowym, jak Fred, prawda? – błada dziewczyna znalazła się naraz tuż obok. Dostrzegł szybkie spojrzenie Kariny.

– Raczej sprawozdawcą – stwierdził, że nieznajoma ma brązowe oczy.

„Wszystko, co w Karinie obrysowane mocną, trwałą kreską, w tej tutaj miękkie, stonowane, niemal przezroczyste. Jest jak negatyw. Gdyby ją wywołać, stałyby się obie z Kariną niezmiernie do siebie podobne.”

– Fred dużo mi o panu opowiadał. Był rok temu na zawodach w Odense i tam... – zaważała się – ... tam... poznaliśmy się bliżej. A nawet bardzo blisko. Mam na imię Dafne.

„Jest coś uroczo dziecinnego w Skandynawach, kiedy mówią o tych sprawach. Nawet ponura mądrość filmów Bergmana ma w sobie klarowność sag-bajek, opowiadanych przed zasnieniem tym dużym, wyrośniętym dzieciom.

Nie, Fred nie będzie potrafił jej »wywołać«... Gdyby miał w sobie, oprócz temperamentu, trochę francuskiej finezji. Może wtedy by mu się udało.”

– Byłem też w Odense i nigdy nie zapomnę domku Andersena – powiedział, uśmiechając się.

– Fred! Mark zna Odense! – wykrzyknęła rozpromieniona. Na moment stała się jakby podświetlona od wewnątrz płynącym z niej samej blaskiem.

– Polacy znają wszystko – gospodarz zbliżył się z butelką ginu. – Oni są tylko ścichapek.

– Dlaczego? – Dafne przysunęła się.

– Proste. Są jak ich piłka nożna albo lepiej – jak dziecko, którego hobby to pirotechnika. Brzdąc bawi się grzecznie w swoim pokoju. Mamusia sprawdza, czy wszystko w porządku. Później upewnia się ojciec. Maluch bawi się. Mamusia uspokojona zaczyna robić na drutach. Tatusz czyta gazetę... Aż tu nagle bang! Okazuje się, że pokój wylatuje w powietrze. Wyobrażam sobie, jak przebiegają eksplozje uczuć polskich dziewcząt. To musi być coś cudownego!

– Znałeś jedną – powiedział redaktor.

– Wandę? – Fred parsknął śmiechem. – Ona była chodzącą deklaracją lojalności i entuzjazmu w stosunku do Wielkiej Brytanii. „W Polsce to jest złe, tamto niedobre, tamto jeszcze gorsze”. Wreszcie Home Office się zlitował...

– Co jej się nie podobało? – rzuciła Karina zmienionym głosem.

– Nie wiem – gospodarz roześmiał się. – Gdyby w jej wypadku polityczna obsesja nie musiała zastąpić seksu, pewno bym coś z tego zapamiętał. Ale tak...

– Natomiast, Karina, jeśli tobie się coś w Polsce nie podoba, to zapamiętam każde słowo. Przysięgam!

– Dobrze – zacerpnęła tchu. – Nie podoba mi się... – musiała uprzytomnić sobie, że zapadła cisza i że wszyscy czekają na to, co powie. Uśmiechnęła się. – To nie jest takie łatwe... – rzekła jakby do siebie.

– Jeśli niełatwe, to u was musi być idylla – roześmiał się milczący dotąd mężczyzna w granatowej marynarce.

– Nie, idylli u nas nie ma – spojrzała w jego stronę. Zakaszłała. – Zabawne... Marek, pomóż mi. Zupełnie nie wiem... Przecież.. kiedy byłam w kraju, nie podobało mi się masę rzeczy...

– Mówcie po angielsku! – rzekł mężczyzna w granatowej marynarce.

– Powiedziała, że kiedy była w kraju, to nie podobała się jej cała masa rzeczy, a teraz... – przetłumaczył. Uczuł nagle rozbawienie.

„Wszystko cacy, aż tu nagle stajemy się dla nich ludźmi przybyłymi spoza innej przegrody. Okazuje się, że porównywanie tego, co nieporównywalne, jest fascynujące dla wszystkich mieszkańców globu.”

– Już wiem – przerwała mu. – Nie podoba mi się, że u nas wszyscy zawsze coś w czambuł krytykują albo totalnie chwalą. A nie ma przecież rzeczy bezgranicznie dobrych lub krańcowo złych.

– „Krytykują?” – mężczyzna w granatowej marynarce zapalał fajkę. – I można?

Kropelka w »wielkiej, politycznej akcji«. Zaczyna rozrabiać, no, ale fajnie. Szlifuje swój angielski. Poza tym coś się dzieje. Inaczej można by tu zasnąć.”

– U nas nikt nic innego nie robi – odparła z przekonaniem. – Dlaczego wzdychasz? – zwróciła się nagle do męża. – Czy nie mam racji?

– Ależ masz, masz – podniósł do góry obie ręce. – Skłonność do wypowiadania miażdżących krytyk lub do hurra entuzjazmu towarzyszyły nam przez wieki. Teraz to się zmienia.

– No właśnie – upiła ze swego kieliszka. Nie sprawiała jednak wrażenia zadowolonej z siebie. – Marek! – rzuciła półgłosem po polsku. – To zupełnie nie to. Zrobił mi się poza tym kompletny mętlik w głowie.

– Zdarza się.

– Ale to denny, rozumiesz?

– Uś, a czego ten twój mętlik dotyczy? – zapytał z żydowskim akcentem. Nie uśmiechnęła się.

– Wszystkiego. Tego, co jest tu, i tego, cośmy zostawili.

– Niczego nie zostawiłem. Cały bagaż wożę ze sobą.

– Silny jesteś.

– Możliwe.

„Czołgam się pod tym bagażem, a on mnie wtłacza w ziemię. Kiedyś mu się to uda i wgniecie mnie pod jakiś kamień.”

– Przecież u nas masę się buduje i wiele braków można wytłumaczyć. Ponadto... wieleśmy stracili. Nie: mieliśmy planu Marshalla...

– Zapewne – skinął głową.

– Kpisz sobie ze mnie, tak?

– Podziwiam twoją erudycję. Wiedzą o planie Marshalla dobiłaś mnie zupełnie.

– Więc jednak – oddychała szybko. Oczy jej zwężyły się. – Traktujesz mnie wciąż jak dziecko.

– Przysięgam, że nie. Teraz, na przykład, boję się ciebie. Mam autentycznego pietra. Miło ci?

– Nie. W takiej rozmowie chciałabym mieć w tobie podporę, a ty...

– Kiedy ja bardzo nie lubię takich rozmów.

– Nagadaliście się już tym swoim „szy przy rzy” – Fred miał w rękach dwie butelki. – Niepojęte, że tym można coś wyrazić! Scotch czy Bizon?

– Ani to, ani to. Dziękujemy – odparła Karina. – My już musimy...

– La, la, la... Jedziemy przecież do „Ristorante Cipriani”. Teraz dopiero zaczną się bachanale!

– Jak to „przecież”? Nie powiedziałeś o tym ani słowa.

– Carissima, bellissima! Primavera mia! Podeprzyj mnie! Powiedz mu, że mówiłem! – gospodarz wyrócił oczyma.

– Nie mówiłeś – Karina była bezlitosna. – Zresztą my już... naprawdę...

– Słuchajcie, wszystko rozumiem – Fred zniżył głos. – Ale ten lęk odpada. Dafne wydała już dwie książki kucharskie, a teraz pisze trzecią, capisce? Jej zawód to żarcie. W każdej knajpie witają ją jak królową. Wszystko gratis! Właściciel „Cipriani” dostanie konwulsji, jeśli nie przyjedziemy. Już dzwoniłem.

– Jesteś najpodlejszą kreaturą, jaką spotkałem na swej drodze – redaktor roześmiał się.
– Właśnie, że to ty wlałeś mi w drogę i w dodatku zatarasowałeś całe przejście – odparł Fred. – Nie wspomnę, że zabrałeś najpiękniejszą kobietę – która gdyby nie ty – mogła na mnie czekać do tej pory.

Restauracja składała się z kolorowych salek, porozrzucanych pozornie bez jakiegokolwiek planu wyżej, to znów niżej, a nawet całkiem nisko, bo aż w dwóch podziemnych kondygnacjach. Wprowadzeni przez uśmiechniętego grubasa usiedli w największej, opodal śpiewającego chłopaka z gitarą, który wyginał się na podwyższeniu.

Tu zajęte były tylko dwa stoły. Przy jednym siedziało amerykańskie małżeństwo z córką o przestraszonej twarzyczce. Drugi zajmowały trzy młode pary, ubrane wieczorowo. Wszędzie stały niskie, wygodne, wyplatane krzesła. Na ścianach w kolorze rozlanego miodu wisiły stare butelki na wino. Amfory stały na szerokiej półce pod sufitem. Tuż obok ostatniej z nich spał czarny kot.

Redaktor usiadł tyłem do śpiewaka. Po lewej stronie, w głębi, dostrzegł kilka niezłych obrazów, które mogły być autentyczne, gdyż reprezentowały prymitywne, ludowe malarstwo. Na ścianie sąsiedniego pomieszczenia znajdowało się wielkie malowidło, przedstawiające dymiący Wezuwiusz na tle nieprawdopodobnie błękitnego nieba. Wskazał je Karinie ruchem głowy. Spojrzała i uśmiechnęła się. Zaraz potem przenosząc oczy na chłopaka z gitarą.

„Niekiedy, siedząc naprzeciw siebie, jesteśmy zażenowani. Ja – narcyz – dlatego, że wstydę się swoich zmarszczek. Ale ona?... Czy to możliwe, aby kompleks »brzydkiego kaczątka«, jaki wyniosła z dzieciństwa, tkwił w niej aż do tej pory? Chyba bracia, naśmiewający się z jej chudości, sprawili, że nigdy nie jest w gruncie rzeczy pewna swej urody. Niechaj będą za to błogosławieni. Pewność siebie odebrałyby jej cały wdzięk, a mnie spokój.”

Fred nie przesadził. Dafne została powitana w lansadach przez brunecika z kwiatem w butonierce. Pojawili się dwaj kelnerzy. Brunecik skłonił się i odszedł. Dunka ruszyła pierwsza za jednym z mężczyzn w białej marynarce. Spojrzała na Karinę i uśmiechnęła się do niej.

– Szef poleca zwłaszcza „Misto mare dell’Adriatico” i „Scampi alla Ca’d’Oro”. Zresztą wszystko jest tutaj dobre.

– „Misto mare dell’Adriatico...” – powtórzył Fred natchnionym głosem. – Mówcie, co chcecie, ale dla mnie będzie to zawsze: „Zamglone morze Adriatyku...” Jeśli chodzi o to drugie, to jeszcze nie mam żadnej wizji.

– A znaczy to po prostu... – zaczęła Dafne.

– Nie kończ, dziewczyno! Zjem to i wtedy będę wiedział, co to znaczy! Z czego się śmiesz? Ce cosa? – zwrócił się do jednego z kelnerów. – Pewno, że my, barbarzyńcy z północy, musimy mówiąc o jedzeniu – wydawać się wam śmieszni.

– Anglia to bardzo cywilizowany kraj, proszę pana. Ogromnie cywilizowany. I mean that – rzekł niższy z kelnerów i zerknąwszy na swego partnera, znów się roześmiał.

– Ot, Italia, słoneczna płochosć i beztroska! – rzucił mężczyzna w granatowej marynarce. – Wenecja im tonie, a ci się śmieją – zapalał fajkę i przez moment trwał w skupieniu, ssąc cybuch.

– „Kalinka, Kalinka, Kalinka maja...” – zaśpiewał gitarzysta.

Trzy smętne pary przy stoliku pod oknem ożywiły się od razu. Jeden z chłopaków w sztywnym kołnierzyku i binoklach podniósł się, imitując groteskowy taniec. Pozostali zaczęli zawodzić, kołysząc się naraz jak w monachijskiej „Bierstube”.

– Powiedz... powiedz coś śmiesznego! – wykrztusiła Karina.

– Zyg, zyg! – potarł palcem o palec i roześmieli się oboje.

– I z czego? – Fred wytrzeszczył oczy. – Jesteście najdziwniejszym narodem świata. – Zyg, zyg! – powtórzył ruch przyjaciela. I naraz wesołość polskiej pary udzieliła się wszystkim.

Brunet w jasnej, połyskującej marynarce pojawił się właśnie w tym momencie. Wszedł na podwyższenie i szepnął coś chłopakowi z gitarą, a ten – przerwawszy grę – podał mu od razu swój instrument. W przejściu do sąsiedniej sali przystanąła smukła dziewczyna w długiej, wydekoltowanej sukni.

– Salut! – przybyły uśmiechnął się, odpowiadając błyskiem kredowobiałych zębów na pełen uwielbienia, powitalny gest Freda. Czarne, błyszczące oczy przesunęły się po siedzących obojętnie. Może tylko przez ułamek sekundy zatrzymały się w miejscu, gdzie siedziała Karina, lecz zaraz chłodne i bezosobowe, powędrowały dalej. Stroił gitarę.

Kształtne, pokryte czarnymi włoskami dłonie gasiły co chwila zdawkowo budzone akordy.

– Zrób nam ten zaszczyt i przyjdź do nas na jednego drinka! – wykrzyknął Fred zmienionym, jakby „zaksamitniałym” głosem.

– Jeśli zasłużę... – brunet raz jeszcze objawił olśniewające użębienie południowca.

Trwał nachylony, z uchem przy strunach i nasłuchiwał, potrącając jedną z nich palcem.

– Jestem tu z Robertem – dodał, nie zmieniając pozycji.

– Z Lovellem? – wykrzyknął Fred. – No, to przychodźcie razem! My dopiero zaczynamy!

– A my... kończymy – czarnowłosa spojrział w stronę dziewczyny wspartej o ścianę i przeniósłszy natychmiast oczy na znajdujący się przed nim stół, roześmiał się znowu. Tym razem błysniecie jego zębów miało określonego adresata. Karina wzruszyła ramionami. Dziewczyna w przejściu wysunęła się nieco.

„Przedstawienie się rozwija. Jest w tym grajku przyczajona siła, jak w pumie. Kobiety przepadają za takimi jak on i wiele z nich zdołało mu to już chyba zadokumentować. Inna rzecz, prześladowają nas ostatnio gitarzyści. Na statku chłopak ucharakteryzowany na Chrystusa. Tu znowu »toreador«...”

– Joe Ramez?! Niemożliwe! – usłyszał słowa, jakie Karina powtórzyła za Fredem. Nie widział jej oczu, lecz – sam nie wiedząc dlaczego – przysiągłby, iż zapaliły się w jej źrenicach ogniki, jak zawsze, gdy działo się coś niezwykłego.

– We własnej osobie – mężczyzna na podeście skłonił się z galanterią i wziął mocniejszy akord. Wtem, roześmiewszy się, szepnął coś właścicielowi instrumentu. Chłopak, stojąc wciąż jeszcze obok podwyższenia, odpowiedział mu zażenowanym skrzywieniem warg.

– Ta gitara nie jest dobra! – rzucił brunet nieco głośniejsze i znowu jego sunące po salce oczy wyłapały Karinę na jedno mgnienie, nie dłużej.

„Jego głos brzmi, jakby należał do kogo innego. Z tymi bakami wygląda na przystojnego fryzjera. Karina nie znosi takich typów. Jest jak kiepski aktor, którego przez pomyłkę zdubbingował w filmie mistrz sceny.”

Były to niejako „myśli zewnętrzne”. Tego, co tkwiło w nim głęboko, nie potrafił, a może nie chciał wydobywać na powierzchnię.

I've got plenty of nothing

And nothing is plenty for me...

Zanucił Ramez chrapliwie, prawie nie poruszając wargami. Trzy pary przy stole pod oknem odpowiedziały natychmiast brawami i okrzykami. Dołączyły się do nich oklaski amerykańskiej dziewczyny, siedzącej z rodzicami. Jej oczy były szeroko rozwarte i nieobecne.

Lecz on prześliznął się tylko po Gershwinie. Uniósł na moment głowę i mrugnął, co miało zapewne oznaczać, iż ani tego, co gra, ani nawet przelotnego pastiszu Armstronga, nie traktuje poważnie. Zacerpnął tchu. Najpierw jego palce zaczęły szarpać struny instrumentu mocno i rytmicznie, lecz już po chwili zwolniły, a gitara przeciągnęła dźwięki i nie wiedzieć kiedy jej tonacja zmieniła się zupełnie. Zdawać by się mogło, że zmienił się też instrument. Grał teraz na harfie. Akordy łączyły się ze sobą i przenikały jak strużki wody spływające do wodospadu. Śpiewał po portugalsku. Jego głos przywodził na myśl matowe dźwięki saksofonu. Zrobiło się święto. Redaktor zapomniał o wszystkim, co nie było tą właśnie chwilą. Niezrozumiałe słowa brzmiały namiętne, zdawały się błagać o coś, to znowu oskarżać.

Śpiewak rozłożył ręce, jak gdyby przepaszając słuchaczy za jakość tłumaczenia, i zakończył niespodziewanie po angielsku:

...Once when dust will cover
my words,
People won't use swords.
My love, do not despair.
Spring is in the air...

Jeszcze jeden akord i Joe Ramez uśmiechnął się po swojemu. Zdjął gitarę z ramienia i wręczył ją właścicielowi. Ten przyjął ją z nie ukrywanym nabożeństwem.

– To było... to było za dobre na zwykłe brawa – rzekł Fred, jakby z wysiłkiem wypowiadając słowa.

– Dziękuję – szepnęła Karina, wycierając oczy chusteczką.

Ramez skłonił się głęboko. Był poważny. Po chwili przeniósł oczy na przejście do drugiej salki, lecz dziewczyna zniknęła.

– Co ci tu mówić? Rwiez serce na strzępy i robisz z nim, co chcesz – dodał Fred. – Usiądziesz z nami? Powiedz Robertowi i przychodźcie!

– Dobrze – Joe Ramez skinął głową i odszedł.

Noc zdawała się nie mieć końca. Trwał w stanie osobliwego napięcia, dla którego nie potrafił znaleźć wytłumaczenia. Siedzieli razem.

Dziewczyna Joe Rameza nazywała się Sara Gilbert i była tancerką. Rozmowy stały się zdawkowe, nijakie. Robert Lovell, wysoki mężczyzna z kwadratową szczęką, pytał o tereny łowieckie w Polsce. Redaktor nie od razu skojarzył go z filmem. Wydedukował to wreszcie z rozmowy.

„Ten twój brak pamięci do nazwisk. Przecież to on wyreżyserował »Lwa salonowego. Podobają ci się ten film.»

– Pański „Lew salonowy” to znakomity film, najlepszy, jaki widziałem ostatnio, choć nie lubię komedii – zdecydował się włączyć w rozmowę.

– Tak? Dziękuję. Zazdroszczę panu pracy w sporcie. Fredowi też – odparł Lovell. – Sportowa dramaturgia, wyłączając kilka dyscyplin takich, jak „wrestling”, jest z reguły autentyczna. Reżyseruje ją przypadek, pogoda, widownia... Czy ja wiem, co?... Widział pan tutaj jakiś mecz?

– Tak. Cardiff–Tottenham. Poza tym, dzięki Fredowi, oglądałem trening kilku drużyn.

– Fred to maniak. Niech pan z nim uważa. Graliśmy kiedyś razem w rugby – reżyser uśmiechnął się. – Był w naszej szkole najlepszy. Chodził zawsze taki poobijany, że strach było na niego patrzeć. Fred, co te dziewczyny w tobie widziały? – rzucił głośniej.

– Brutalną, męską siłę. To zawsze bierze kobiety – zagadnięty zrobił zabawną minę. – A ja się dziwię, co widziały w tobie? Co widzą teraz, rozumiem. Wystarczy, że usłyszą twoje nazwisko, a zaraz bledną.

– No i proszę, co on wygaduje – filmowiec spojrzał na Karinę. – Założę się, że Polki nawet o mnie nie słyszały.

– Rzeczywiście... – przerwała rozmowę z Joe Ramezem. Była jakby trochę zmieszana. – Jeśli chodzi o filmy, to ja, na przykład, zawsze najlepiej pamiętam główne postacie... To jest te... występujące. Myślę, że jeśli chodzi o napisy w czołówce, to większość kobiet... Ale pan jest znany... Bardzo. Zwłaszcza po „Lwie salonowym”.

– Zawsze? – Ramez sięgnął nad stołem po jabłko. – Zawsze pani pamięta?

– Oczywiście, jeśli film jest bardzo dobry albo... wybitnie zły.

– Czy na „Lwie salonowym” byli państwo razem?

– Przestańcie z tymi pytaniami! – wtrącił mężczyzna w granatowej marynarce, który, jak się okazało, był też sportowym dziennikarzem. – Ktoś mi mówił, że w Polsce pytanie o cokolwiek kobiety uważane jest za nietakt.

– Nic podobnego – rzuciła Karina szybko i zaczerwieniła się.

– Dobrze. W takim razie pytamy! – powiedział Ramez. – Co pani robi?

– Nie rozumiem – zaplotła nerwowo palce.

„Wiem, dlaczego Arabowie zamykają swoje żony i nie pozwalają im na uczestniczenie w posiłkach. Przecież ja przez cały czas n.ic innego nie robię, tylko zmuszam się do udawania, że nie dostrzegam spojrzeń tych wszystkich drabów, jakimi ją obrzucają.”

– Kiedy naprawdę nie rozumiem – powtórzyła.

„Woli zyskać na czasie. Właśnie jemu nie może powiedzieć wszystkiego.”

– Pan także komponuje, prawda? – redaktor zwrócił się do muzyka.

– Wszystko, co robimy, to kompozycja – Ramez spojrział krótko w jego kierunku, lecz zaraz odwrócił głowę. – Ale nie odpowiedziała mi pani.

– Wolałabym nie odpowiadać – rzekła Karina. To, że poblądła, musieli zauważyć wszyscy.

– Z tego wniosek, że pani poprzednie oświadczenie było tylko jednym z haseł „Women LIB”. Pytań Polkom zadawać jednak nie wolno – rzekł mężczyzna w granatowej marynarce.

– Niech ich pan znokautuje – Dafne zwróciła się do redaktora. – Robią się naprawdę niemożliwi. – Podniosła się: – Karina, może zrobimy mały spacer?

Wyszły obie.

– Pana żona jest urocza. No, po prostu urocza. Nie uważasz? – Ramez zwrócił się do siedzącej przy nim tancerki.

– Uważam – odparła sucho i upiła trochę wina.

– Dziękuję – rzekł redaktor. – Wiem o tym.

– I można tak... swobodnie wyjeżdżać z Polski? Przepraszam, że pytam, ale... – Jerry Crab uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Jak pan widzi... – zaczął redaktor.

Wybuch był nagły, potężny. Zatrzęsły się ściany i posypało gdzieś szkło. Jakieś kobiety pisnęły. Czarny kot zeskoczył z półki na sam środek stołu. Wtedy dopiero Sara Gilbert krzyknęła bardzo głośno. Uczuł jej palce zaciśnięte na swoim ramieniu.

„Dlaczego nie chwyta tego swojego przystojniaka?” – poderwał się i pobiegł w kierunku toalety. Ból w kolanie odzywał się przy każdym stąpieniu. Dafne i Karina były blisko. Odechnął.

– To nic – otoczył je ramionami. – Już po wszystkim. – Czuł, że drżą obie jednakowo.

Ktoś biegł ulicą, za chwilę ozwały się jeszcze inne pospieszne kroki.

– Proszę się nie denerwować – właściciel lokalu wszedł na podest muzyka. – Wybuch był daleko. Proszę zachować spokój!

„Jest podobny do Goebbelsa. Tamten także robił podobne miny, gdy przemawiał. Irlandczycy dali znowu ognia. Po co latamy na księżyc, skoro nie potrafimy załatwić naszych ziemskich problemów?...”

– Jak pani widzi, mamy w naszym kraju mnóstwo rozrywek – powiedział Robert Lovell. – Bomby, strajki, drożynę...

– Najstraszliwsze, że ekstremiści i ich bomby gotowi nam zlikwidować „Silent Generation” – rzucił Fred, zapalając papierosa. Jego palce nie drżały.

– Co to było? – spytała po polsku Karina.

– Zamach bombowy. Pewno IRA. Musiało to być niedaleko, kropelko, trzymaj się!

Przy oknie, gestykulując z podnieceniem i wymieniając uwagi, stała rodzajowa grupa kuchcików w białych fartuchach. Chudy kucharz zdjął czapę i przetarł czoło. Miał zmierzwione, czarne włosy.

– Dobrze powiedzieć. No i co dalej? – oczy Kariny były zdumione. – Będziemy tak siedzieć jak gdyby nigdy nic?

– Oczywiście. To Anglia. Oni wszyscy wiedzą, że policja zakazuje pojawiania się na ulicy po czymś takim, i nawet im do głowy nie przyjdzie, aby się ruszyć z miejsca.

– A jaki jest pani ulubiony aktor? – zapytał Lovell. – Napije się pani?

– Proszę – nieprzytomnym ruchem wzięła kieliszek z jego dłoni.

– Więc kto?

– JeanGabin.

– Aha, lubi się starszych panów? – Fred pogroził jej palcem.

– Oni są niesamowici! – rzuciła po polsku. – Nie potrafię zupełnie o czymś takim... Myślałam, że wali się cały dom! – upiła duży łyk wina.

– O to chodzi, że JeanGabin wcale nie jest stary – wtrącił dziennikarz w granatowej marynarce. – Ale wiecie, kto bije wszystkich tych oldboyów na głowę? Hajle Sellasje! Chodziłem jeszcze do primary school, a on już wyglądał na dobrze zakonserwowanego dziadka. Strzeliła mi czterdziecia, a ten wciąż jest taki sam.

– „Czterdziecia”? Wyglądasz na więcej – wtrącił Fred.

– On ma rację. Cesarz Hajle Sellasje jest nie do zdarcia – rzekł Jerry Crab. – Jak jest po polsku „nie do zdarcia”?...

– „Gniotsia, nie łamiotsia” – powiedział bez namysłu redaktor, a Karina parsknęła śmiechem.

– Dobrze, że właśnie odstawiłam kieliszek z winem – wykrztusiła chichocząc. – Wszyscy by byli na czerwono!

– Byłby to twój największy sukces na polu krzewienia marksistowskiej ideologii – odparł z powagą.

– A krzewię?

– Nieustannie. Właściwie to nic innego nie robisz. Sam ze zdumieniem słyszałem, że spoglądając w pałające oczy tego Brazylijczyka opowiadałaś mu o tym, że jeśli chodzi o budowę okrętów, to Polska znajduje się w światowej czołówce. Czy nie zapomniałaś także wspomnieć o siarce, węglu i miedzi?...

„Tylko w ten sposób – żartobliwie. Za żadną cenę nie wolno ci objawić, jak obłądnie jesteś o nią zazdrosny.

Ale wszystko jest znowu dobrze – wróciło do dawnego. Widocznie najpewniej się czujesz, kiedy wybuchają bomby, a »trup ściele się gęsto«”.

– Ma pani piękne włosy – zwrócił się niespodziewanie do Sarry Gilbert.

– To peruka! – rzuciła Karina po polsku, zagryzając wargi. Po jej twarzy przebiegały konwulsyjne drżenia.

IV

Poprawił przy uchu słuchawkę i usiadł wygodniej w fotelu.

– Człowieku, on jest leaderem wyścigu, rozumiesz? – rzucił głośniejszym głosem. – Pruje do przodu jak szalony, ma, powiedzmy, pięć minut przewagi nad pelotonem i nagle... zjeżdża z trasy.

– Dlaczego? – zaskwierczał w słuchawce głos Freda.

– Bo wydaje mu się, że jedzie dalej dobrze. Zresztą, pochylony nad kierownicą, ma swoje myśli. Taką retrospekcję można w filmie pokazać.

– Jasne – rzekł Fred. – No i co dalej?

– Jedzie jeszcze dość długo i wtem widzi, że szosa przechodzi w leśną drogę. Uzmysławia sobie, właśnie w tym momencie, że się musiał pomylić i że wszystko przepadło. I zaczyna się śmiać.

– Tego właśnie nikt u nas nie zrozumie, kapujesz? Już ci mówiłem. Z czego on się śmieje? Z tego, że stracił szansę? Że mordował się niepotrzebnie? Który to jest etap?

– Dajmy na to, przedostatni.

– Tu nie ma „dajmy na to”! Facet, który będzie chciał dać na ten film forszę, musi dostać rzecz przygotowaną precyzyjnie, jak cocktail „Royal peari” na przyjęciu u królowej. I mało, trzeba mu jeszcze taki scenopis owinąć różową wstążeczką.

– Owiniemy. Więc... nasz leader rozgląda się i nagle... dostrzega przyrodę. Słyszy śpiewające ptaki, widzi kwiaty. Uprzysławia sobie, że to, co on dotąd robił, całe to żyłowanie rekordów, harówka na treningach nie miały sensu. Że życie ma tytko rację istnienia tutaj, a nie tam. Że natura...

– I wtedy pojawia się ona, tak?

– Właśnie. Zaczynają rozmawiać. Dowiaduje się, że ona uciekła z miasta, bo nie mogła znieść życia w nieustannym pędzie, hałasie...

– Mówiłeś coś o nieślubnym dziecku. Ma je przy sobie?

– Nie ma. Daj mi skończyć! Więc idą razem dalej...

– Słuchaj, albo on ją od razu wychędoży, albo ona zaprowadzi go do obozu nudystów i dalej będzie sielanka na golasa, tylko że już w większym gronie. W takiej wersji nudyści może by to kupili... Jakieś trzysta funtów mogliby dać za sam pomysł. Robią takie filmiki. Widziałem kiedyś jeden czy dwa... Oni traktują to reklamowo – słońce, radosne golasy, ucieczka od stressów, piękno nieskalanej przyrody...

– O czym ty gadasz? Jacy nudyści? To ma być ambitny, metaforyczny film o ludzkich marzeniach! O tym, że każdy może je zrealizować, jeśli... Jeżeli zdobędzie się na odwagę...

– Człowieku, przecież on właśnie ma cholernego pietra i ucieka!

– Ale ma odwagę uciec, rozumiesz? Halo – rzucił redaktor po chwili, gdyż w słuchawce zapanowała cisza.

– Słuchaj – zaczął Fred niezmiernie ostrożnie. – Może u was, w Polsce, można zrobić coś takiego, ale u nas to nie przejdzie. Żadnej szansy, capisce? My jesteśmy wrednym, parszywym narodem, lubiącym określony gatunek wszystkiego, co jest do kupienia. Jak ktoś u nas wydaje forszę na bilet, to chce dokładnie z góry wiedzieć, czego się może spodziewać. Clooming zrobił „The Ripe Fruit” i na scenie, a także na afiszach, widać monstrualnych rozmiarów damską dupę. W ten sposób ci, których to interesuje, od razu wiedzą...

– Jasne – powiedział redaktor. – Nie pomyślałem o tym.

– I nie bądź dotknięty. Christ, jakim wy jesteście drażliwym narodem!

- Kiedy wcale nie jestem dotknięty.
- Słowo?
- Słowo.
- No, to fajnie. We wtorek trenuje Chelsea. Chciałeś to zobaczyć. Powiedziałem już Mathersonowi, że przyjdiesz. Zgodził się.
- Dobra. Dziękuję.
- Podobno jutro jedziecie do Mornmouth. Życzę wam dobrej pogody. Tam jest fajnie.
- Wiem. Dziękuję. No, to... see you!
- Cheers! Be good!

Fred pierwszy odłożył słuchawkę.

Redaktor siedział przez chwilę bez ruchu. Potem wstał i zbliżył się do okna. Ogromne ciężarówki sunęły bez przerwy w obu kierunkach.

„Polisy pewno już wypisali. Trzeba wziąć pieniądze.” – Wsunął portfel do kieszeni spodni, wyszedł przed dom. Nie kończące się dwa rzędy pojazdów trwały właśnie nieruchomo. Wykorzystał to i przebiegł przez jezdnię.

Łysy urzędnik filii biura ubezpieczeń, jaka mieściła się po drugiej stronie ulicy, pogroził mu palcem i cofnąwszy się z przejścia wpuścił do małego wnętrza.

– Ale jest to tylko na miesiąc i bagaży państwo nie ubezpieczają – upewnił się, podsuwając redaktorowi dwa wypełnione blankiety. – Płaci pan siedem funtów. Proszę tu podpisać. W wypadku gdyby zechcieli państwo przedłużyć polisę, polecamy nasze usługi.

– Dziękuję bardzo – redaktor zapłacił i podpisał.

– Są jeszcze inne możliwości ubezpieczenia się, ale to, jakie dałem państwu, jest najczęściej wykorzystywane przez turystów. Może być nawet na dwa tygodnie. Praktyczne, prawda? – urzędnik pokazał w uśmiechu piękny garnitur sztucznych zębów.

– Tak, bardzo. Dziękuję raz jeszcze – redaktor skłonił się i wrócił do domu tą samą drogą.

Zabrał się do pisania wywiadu z prezesem Koreckim. List, jaki przyszedł z redakcji, stał wsparty o słownik. Na kopercie znajdowały się dwa ogromne znaczki, przedstawiające owa-
dy.

Nie usłyszał, kiedy weszła. Zdołała podkraść się i zakryć mu oczy dłońmi. Oderwał jej opierające się palce i pocałował.

– Wyglądasz jak lord Halifax, piszący pamiętniki – dotknęła ustami czubka jego głowy. – Dyskretne światło, kominek, portrety przodków na ścianach, ogromny pokój, fotele...

– Kominek nieczynny, antyki nieprawdziwe, na ścianach oleodruki...

– Ach, przestań! – przerwała mu. – Co jest na świecie prawdziwe?

„Gorycz i ty” – pomyślał. Powiedział – miłość.

– Pisziesz jeszcze o tym dziadku? – usiadła na poręczu fotela. – I po co?

– Był organizatorem bardzo aktywnego klubu sportowego dla kombatantów. Sam uprawia sport po dziś dzień. Działa jeszcze w klubie, żegluje po oceanie... Fantastyczny facet. Kiedy z nim robiłem wywiad, oglądał się za dziewczynami.

– Myślisz, że to kogoś u nas zainteresuje?

– Nie myślę, tylko jestem pewien.

„Wcale nie jestem. Rany boskie, nie jestem pewien niczego! Ale muszę coś robić, bo mnie rozerwie na sztuki!”

– Co słyhać u Dafne?

– Łaziłyśmy razem po sklepach. Kupiła sobie garsonkę u Littiewooda, mówię ci – cudo! Cztery funty. U nas taka kosztuje tysiąc sześćset złotych!

– I jesteś teraz jak „Taniec z szablami”, co? – usiłował wpaść w zwykły ton.

– Nie, raczej jak „Lot trzmiela”. Latam i bzyczę.

Boże, jaki ona ma samochód!

- Jaki?
- Zdaje się, że Saab.
- Są lepsze.
- Nie musisz mi przypominać. Jechałeś Polis Royce'em Lovella? Zupełnie jakby leciał w powietrzu.
- Co jeszcze słyhać w eleganckim świecie?
- Tego Cassida chciały znowu rozerwać na sztuki jego wielbicielki. Podobno zupełnie nie dały mu śpiewać. Kilkadziesiąt dziewcząt stratowano w tłumie.
- „Wzgardzone serce, zdeptane w tłumie” – zanucił. – Lekarstwo wzięłaś?
- Wzięłam. To wcale nie było dowcipne.
- Bo też nie jestem dowcipny.
- Widzę to. I am sorry.
- That's all right. Przyszedł list z redakcji, że czekają na drugi artykuł o pracy w angielskich klubach młodzieżowych. A propos młodzieży napisał też Andrzej: – Tato, potrzebna mi jest bluza do dzinsów, ale nie niebieska, tylko żółta. Najlepiej taka zamszowa z eklerem. Parę dobrych płyt też by mi się przydało.
- Nie wypowiadam się. Twoje dziecko. Przywykł, że wypruwał z siebie flaki, aby przywozie mu zawsze to, co chciał.
- Może...
- Aha, byłam jeszcze w Instytucie Kultury Polskiej. Boże, co za trupiarnia! Stare gazety rozwalone bez ładu i składu. Jakiś pisarz, zdaje się Malarecki... Znasz takiego? No, więc ten Malarecki ma jutro prelekcję – „Polonica w twórczości Józefa Conrada”. Potem pojechaliśmy z Dafne do „Ogniska” na Exhibition Road. Tam schodzi się cała śmietanka emigracji.
- Można powiedzieć, odwiedziłyście „miejsca dość kontrastowe”.
- Właśnie. Poznałyśmy tam jedną panią. Też przyjechała z Polski. Mogłaby mieć dla mnie możliwości pracy.
- Jakiej znowu pracy? Przecież nam nie wolno tu pracować!
- Kto się z tym liczy? Masa ludzi na nic się nie ogląda.
- Ja się oglądam.
- Właśnie. I co z tego masz? Jakim jeździsz samochodem?... Wizy mamy na trzy miesiące. Można by... Ostatecznie mógłbyś poprosić w redakcji o bezpłatny urlop. Tak się tu robi.
- Widzę, że rozmowa z tą panią była wyczerpująca – wstał i przesiadł się na jeden z foteli. Usiadła także. Przez chwilę milczeli.
- „Jestem do niczego. Sam przypominam ten pompatyczny, śmieszny pokój w środku chaosu. We mnie też wiszą oleodruki.
- Ona chodzi po ziemi. Mocno wybija swój krok. Odkąd przestała śpiewać, coś się w niej zresztą zmieniło. Nigdy nie mówiła w ten sposób o pieniądzach. Nie mówiła, ale trudno ci chyba uwierzyć, aby była zachwycona zdezelowanym Trabantem. A to jest właśnie wszystko, co zdołałeś w życiu osiągnąć. Ciągłe zmiany zawodów, zainteresowań... Za to się płaci, mój stary. Wasza spóźniona podróż poślubna nie wychodzi. Trzeba to sobie powiedzieć otwarcie.”
- Słuchaj... – zaczęli jednocześnie. Roześmiała się.
- Kropelko, najpóźniej za dwa tygodnie wracamy. I tak będzie to przeciągnięcie pobytu – rzekł najłagodniej, jak tylko zdołał. – Jeszcze chciałbym skoczyć z tobą do Edynburga. A wiesz, jak stoimy z pieniędzmi.
- Raczej, jak „leżymy” – mruknęła. – Zrozum... Tu są inne kryteria. Przecież wiesz o tym lepiej ode mnie. Dobrzy aktorzy pracują nieraz w barach po pięćdziesiąt pensów za godzinę.
- Aktorzy potrafią się wczuć w każdą rolę.
- Nie zapominaj, że mój zawód, to jest, mój były zawód miał z aktorstwem coś wspólnego.

– No to idź i sprzedawaj piwo! – wybuchnął. – Zdecydujesz się na coś takiego? W Polsce podobno świetnie zarabiają sprzedawcy wody sodowej. Kupują sobie domy! Dlaczego w kraju nie pomyślałaś o tego rodzaju pracy?

– Tu nie mam ambicji, a w Polsce mam. Poza tym tu mnie nikt nie zna i ciebie także.

– Czy ty mówisz poważnie? – wstał i podszedł bardzo blisko. – O czym ty w ogóle mówisz? O jakiej pracy?

– Nie jesteś już młody, prawda? – zaczęła bardzo cicho. – Trzeba sobie powiedzieć jasno: nie wyszło ci. Krzycz na mnie, złość się, ale chcę, abyś wiedział to, co myślę.

– Nie będę krzyczał – usiadł. – Czy zostało jeszcze trochę wódki, czy też wydudlali wszystko?

– Zostało – wyszła do kuchni i wróciła z butelką. – Jest całkiem sporo.

Drżącą ręką napełniła kieliszki. Wypili.

– W życiu tyle nie piłem co tutaj – uśmiechnął się.

– Bo ty jesteś „harcerz” i sportowiec. Niewielu jest mężczyzn takich jak ty. Za to cię właśnie kocham – usiadła wygodnie.

– Ale... Czekam na ale – powiedział nalewając znowu.

„Kopiuje nieświadomie Barbarę i czyni to w sposób niemal doskonały. Zaraz zostaniesz podsumowany, określony, a nawet chyba padną jakieś wskazówki i zalecenia na przyszłość. Trzymaj się!”

– Nie ma żadnego „ale”... – zaczęła, nie patrząc na niego. – Zniesiesz absolutną szczerość?

– Zniosę nawet jajko, aby nie uronić żadnego twojego słowa.

– Jesteś niemożliwy – uśmiechnęła się. – Duży, zabawny chłopak.

– Odmladzasz mnie. Merci – rzekł, podając jej kieliszek. – Jadłaś już kolację?

– Tak. U Dafne. Co za cudowny dom! Zaprasza cię.

– To bardzo miło z jej strony. Dziękuję. Nie omieszka.

– Przestań, bo nie będę potrafiła nic powiedzieć.

„I tak nie będziesz potrafiła. Mogłyby mi to powiedzieć jedynie przyjazne mi duchy »moich prywatnych« zmarłych. Mam tych duchów sporo. Zebrały się chyba cały pluton.”

Zobaczył nagle ojca w obozowym pasiaku, wyprężonego na baczność, a w tle inne, dobrze znane postacie. Uśmiechnął się.

– Jesteś zupełnie niepoważny – powiedziała.

„Zbiera się do skoku. Za chwilę złożymy szpady. I będzie to zarazem mały dyskurs filozoficzny. Na to wygląda. Skonać można! Epikurze, pomóż! I co ja jej przeciwstawię? Marazm własnej terażniejszości?... Osiągnięcia innych, którym wiatr dmucha w żagle? Umieci te żagle zbudować sami i sami wymyślić ich kształt i kolor, podczas gdy ja... Więc może podporać się nadzieją?... Przeciwstawiać przyszłość? Siłownie, fabryki, nowe mosty?... Przecież to będzie w każdym wypadku – jak mówił Andrzej – »pic i metafizyka«. Ja jej, że pieniądze nie są najważniejsze, że czerpać należy z nadziei. A ona, że nic ją to nie obchodzi, bo żyje teraz i chce to czuć. Najzabawniejsze, że to czucie to w gruncie rzeczy moje hasło, które ona przejęła. Przecież to ja sam zawsze mówię, że chcę czuć, że żyję.

Lecz... do pioruna, wydawało mi się dotąd, że rozumiemy przez to oboje zupełnie to samo! Coś się w nas wali... pęka, rozpada. Kończy się nasz świat. Zupełnie jak przed laty z Barbarą. I to zupełnie z innej strony, niż mogłeś przypuszczać. Rozpacz... Może zresztą histeryzuję...”

– Rozpacz w kratkę – powiedział.

Udała, że nie słyszy. Był pewien, że tak zrobi.

– Nalej mi jeszcze jeden – podała kieliszek. Wypiła i otrząsnęła się.

– Więc bardzo krótko – powiedziała zupełnie nieswoim głosem.

– Proszę uprzejmie – wypił także.

– Nie. Nie będę potrafiła – spojrzała na jego twarz,

– Jesteś bardzo piękna. Nawet teraz, kiedy mnie nie znosisz.

– Kocham cię, mój ty wspaniały i pewny siebie mężczyzno. Pragnę cię zawsze. Ale mimo to...

– Mimo to... – powtórzył.

– Dasz mi dokończyć?

– Zrekapituluję: powiedziałaś, że nic mi nie wyszło.

– Może źle się wyraziłam, ale...

– Wyraziłaś się dobrze.

– No, więc posłuchaj – upływa czas, a ty wciąż jakbyś na coś czekał. Rzecz w tym, że to coś już nie przyjdzie.

– Wiem – powiedział. Wstał, poszedł do łazienki i spojrzał na swoje oblicze w lustrze. Kiedy wrócił, zajęta była ścieieniem łóżka.

Kochali się tej nocy. Długo, rozpaczliwie.

Rano przyjechał po nich Robert Lovell. Zatrąbił. Srebrnozielony samochód stał dwoma lewymi kołami na chodniku. Joe Ramez i jego dziewczyna siedzieli na tylnym siedzeniu, paląc coś, co żarzyło się na końcu długich cybuchów.

– Są czasem jak dzieci – reżyser rozłożył ręce. – Joe kupił „trawkę”, przemyconą przez jakiegoś faceta z Gibraltaru, i nie mogli oboje wytrzymać do wieczora.

– „Trawka” to marihuana – rzekł redaktor.

– Jak to jest? – zainteresowała się Karina i zajrzała do wnętrza wozu.

– Masz już „high”? – Robert wsunął głowę do samochodu.

– Ja jeszcze nie i na nic się nie zanoszę, ale ona mówi, że widzi jakieś konie.

– Tak! Kłębiący się dym wychodzi bez przerwy z szerokiego komina. Ale to nie jest dym, tylko konie. Tysiące szerokich, kolorowych zadów z rozwianymi ogonami. I one pędzą gdzieś, falują i pędzą... – miała nieprzytomne oczy.

– Siadajcie oboje z przodu. Zmieścimy się – Robert Lovell otworzył szeroko drzwi. – Tamci, na tylnym siedzeniu, są zupełnie nieodpowiedzialni.

Dodał gazu i ruszyli potężnym zrywem.

– Nie jest już taki, jaki był – skrzywił się kierowca. – Nic nie stoi w miejscu. Wziął i zestarał się. Wkrótce kupuję Alfa-Romeo. Ale sportowy, mniejszy.

– Chyba będzie mniej palił – wyrwał się redaktor.

– Nie. Nawet więcej – mężczyzna za kierownicą spojrzał na niego krótko, jakby ze zdziwieniem. – Ale jest zręczniejszy w prowadzeniu. Dziewczyny i samochody trzeba zmieniać.

– Mężczyzn też – powiedziała Sara omdlewającym głosem.

– Jasne – Robert obejrzał się. – Czym ty teraz jeździsz? No, Bogu dzięki, że już macie dosyć. Ile dałeś za to świństwo?

– Mam Mustanga, ale nie tutaj – odparł Joe Ramez.

– W Rio.

– To gdzie ty właściwie jesteś?

– On sam nie wie – wtrąciła Sara Gilbert i roześmiała się.

– Ma rację – śpiewak oglądał zawartość małego pudełeczka. – Miała być tego jedna uncja.

– Nie chce powiedzieć, ile zapłacił. Ale twierdzi, że zrobił dobry „deal” – powiedziała tancerka.

– Chyba zrobił. To jest cholernie drogie i... śmierdzące – Lovell skinął głową. – Wygodnie ci? – zwrócił się do Kariny.

Skinęła głową. Była najwyraźniej przejęta szybkością, z jaką jechali, oraz setkami samochodów, kłębiących się dookoła.

Minawszy Camden Town i Mornington Crescent, skręcili w lewo. „Warren Street. Tu zaraz powinien być szpital, w którym leżałem, kiedy mnie poszukał strzelec tego Messerschmitta w czterdziestym drugim. To zwariowane wymijanie balonów zaporowych przez zataczającego się, obdartego ze skóry Tiger-motha. A potem lądowanie po omacku na londyńskim lotnisku.

Pierwsza rana... Susan musi być dziś starszą panią... Przychodziła wtedy z kwiatami... Nad moim łóżkiem była tabliczka:

This bed was endowed by Mrs Nathaniel Montefiore in memory of her father, Sir Isaac Lyon Goldsmith Bart, who was born on the 13th of January 1778 and died on the 27th April 1859.

Zabawne. Pamiętam każde słowo, podobnie jak wiele wydarzeń z tamtych dni, o wiele lepiej, aniżeli sprawy, jakie miały miejsce później.”

– University College Hospital! – Robert Lovell wskazał wysoki budynek. – Upiorne miejsce. Umierałem tu ze strachu pół roku temu. Zrobiło mi się coś na języku i myślałem już, że to rak. Tu mi wycinali to świństwo. Doktor Molley – bombowy facet! Polecam.

– Pypeć – roześmiała się Sara Gilbert.

– Dziękuję, nie skorzystam – rzekł Ramez. – Dla śpiewaka język jest ważniejszy aniżeli pewna dyskretna część męskiego ciała dla posiadacza haremu.

– Joe, zachowuj się! – tancerka wzniosła oczy z udaną grozą.

– Czy to prawda, że u was w ogóle nie produkuje się filmów porno? – Robert Lovell położył dłoń na oparciu fotela w miejscu, gdzie szeroką, połyskującą falą spływały włosy Kariny.

„Weź te łapy, łobuzie.” – Nie produkuje – rzekł redaktor po chwili.

– Widziałem „Spotkanie”, dobry film – poruszył kierownicą. – Tu było wielu Polaków w czasie wojny. Ty siedziałeś w kraju?

– W kraju – potwierdził. Zobaczył szybkie spojrzenie Kariny.

– Był ogrodnikiem – powiedziała z osobliwą intonacją w głosie.

– Mój ojciec w ubiegłym roku wyhodował czarne tulipany – rzuciła Sara Gilbert. – Sensacja w całym Cardiff. Ale nie chce zdradzić nikomu, jak to zrobił.

– Ogródnictwo ma w sobie coś – rzekł Robert Lovell. – Nie znam się na tym, ale wiem, że ma. Mówił mi Fred, że masz jakiś dobry pomysł na film – zwrócił się do redaktora.

– Mam. To jest... miałem. Nic specjalnego – odpowiedział, siłąc się na spokój. – Zrobiłem scenariusz do dwóch filmów o tematyce sportowej. Ten pomysł jest w tym guście.

– Średnie metraże?

– Krótkie.

– To mnie nie interesuje, sorry. Ja tylko feature films – włączył radio. – „Money doesn't buy love” – powtórzył słowa śpiewanej piosenki. – Najbardziej demagogiczny utwór Beatlesów, jaki znam.

Na plaży siedzieli krótko, bo zaszło słońce. Mornmouth składało się z kilku kolorowych pensjonatów i hotelików, rozsypanych na stromych brzegach.

W miejscu, gdzie piasek był najczystszy, sterczały białe, kredowe cliffsy. Na szczycie jednej ze skał znajdował się hotel. Taras od strony morza wystawał nad kamiennym urwiskiem.

– Zobaczycie – powiedział Robert Lovell. – Parkiet do tańca znajduje się nad przepaścią i jest zupełnie przezroczysty. Dziewczyny osuwałyby się na ziemię z przerażenia, gdyby nie ramiona ich bohaterskich i gotowych na wszystko partnerów.

– Słyszałem o tym hotelu – rzekł Brazylijczyk. – Podobno niezmiernie ekskluzywny, a w konsekwencji...

– Właśnie – przerwał mu reżyser. – Rozumiemy się.

– Rozumiemy się – oszołomiony Joe Ramez przeniósł oczy na polską parę, zrozumiał i kiwnął głową. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Redaktor przygryzł wargi.

– Karina, gdzie kupiłaś swój kostium? – spytała tancerka, grzebiąc stopą w piasku.

– W Krakowie. Zupełnie przypadkiem. Szłam ulicą i patrzę, leży na wystawie. A co?

– Nic. Niezły. W Paryżu widziałam podobny. Zawrotna cena.

A u was?

– Też nie tani – roześmiała się. – Sześćset złotych.

– Ile to jest?

– Och, jak by ci tu... – zwróciła się do męża – Pomóż! – rzekła po polsku.

– Właśnie – Robert Lovell wsparł głowę na zgiętych ramionach. – Gdybym chciał, na przykład, przyjechać do Polski, ile musiałbym wydawać na codzienne utrzymanie?

– Dwieście – odparł redaktor. – Jakieś dwieście złotych.

– Sto by mu też wystarczyło – wtrąciła po polsku Karina.

– Gdyby nie pił ani kieliszka dziennie i stołował się w barze mlecznym – odpowiedział jej w tym samym języku.

– U nas jedzenie jest bardzo tanie – rzekła, wciąż jeszcze powstrzymując śmiech. – W restauracyjce niedaleko naszego domu jadamy często obiady i nie przekraczamy prawie nigdy pięćdziesięciu złotych na dwie osoby.

– Ile to jest? – Joe Ramez usiadł. Spoglądał przez chwilę na wewnętrzną stronę ud Kariny, w miejsce, gdzie tuż przy trójkącie kostiumu widać było ciemny meszek. Zmieniła pozycję.

– To jest mniej niż funt – rzekł redaktor.

– Co!?! – wykrzyknął śpiewak.

– Nieprawdopodobne! – Robert Lovell uklęknął. – Życ, nie umierać.

– Ale zarabiamy też odpowiednio mniej – redaktor, podniósłszy się, zrobił kilka skłonów.

– Jasne. Ale to się wszystko wyrównuje – Brazylijczyk zapalał papierosa. – Więc co, idziemy? Wiatr robi się coraz zimniejszy. Kiedyś zaproszę was na Copa-Cabana. Zobaczycie, jak się opala na prawdziwej plaży.

– Już tam byłem. Miliony ludzi – powiedział reżyser. – Tymczasem ja pozwalam sobie wszystkim obecnym zaprosić na lunch.

Karina i Sara pobiegły od razu w stronę kabinek, aby się przebrać. Mężczyźni odprowadzili je wzrokiem.

– Ta... – rzucił krótko Joe Ramez – spochmurniał. Redaktor dobrze wiedział, dlaczego.

„Przeplącił tę małą z cienkimi nóżkami. Na jakiś czas stracił najwidoczniej rozeznanie. Teraz naszymy go refleksje.”

Frontowa ściana hotelu od strony podjazdu na szczycie wzgórza okazała się czystym okazem ciężkiego, wiktoriańskiego budownictwa.

Pierwsza, obszerniejsza, sala restauracyjna należała także do tej epoki. Nowoczesność zaczęła się od położonej wyżej, a niewątpliwie dobudowanej w późniejszym okresie salki o dużych oknach. Tutaj także znajdował się ów szklany parkiet do tańca, nie tak jednak przezroczysty, jak to zapowiadał Robert Lovell.

Dyskretnie podświetlony bar, ze sporą ilością połyskujących butelek, mieścił się na lewo od wejścia do niższej sali. Tutaj czas chyba także nie zmienił niczego. Brązowe półki przypominały wnętrze starej, nie istniejącej już apteki Laubego na placu Trzech Krzyży w Warszawie.

– Anything else, sir? – majestyczny kelner wskazał niedbałym ruchem ręki talerze swemu pomocnikowi. Młodziutki, także w brązowym fraku, zaczął je natychmiast gorliwie zbierać ze stołu i przekładać na wózek, składający się z dwóch szklanych płyt i srebrzystego pojemnika.

– Tuńczyk był doskonały – rzekł Lovell. – Langusty także.

– Dziękuję panu, państwu... – kelner objął na moment spojrzeniem wszystkich siedzących przy stole.

– Jest dobra cielęcina z rusztu „à la Provençal”... Czy też już podać sery? Mamy: Bel Paese, Gorgonzola, Groyere...

– Matko Boska! – Karina podniosła oczy.

– No jak? – reżyser spojrzał w Jej stronę.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję.

– Kropelko, tu „dziękuję” znaczy, że chcesz. Mówiłem ci.
– No, thank you – szepnęła z taką minką, że Robert Lovell rozpromienił się i z wyrazem błogości spojrział na kelnera.

– Jakie macie koniaki?

– Seguin, Courvoisier, Remy Martin, Stock z trzema gwiazdkami, Dujardin, Napoleon, Salignac...

– Wystarczy – przerwał mu. – Więc... Chyba „Stock”, co?

– Czy będzie jakiś deser? Polecam „Macedoine au maraschino”. Zwłaszcza dla pań – kelner wyprostował się z kwaśnym uśmiechem.

– Dobrze. Poprosimy. Zawsze tracę głowę w takich miejscach – Robert bezbłędnie zagrał oszołomienie. – Więc tylko „Stock” dla chłopców, a co jeszcze, dziewczynki?

– Dla mnie tylko kawa – powiedziała Karina.

– Dla mnie ponadto grapefruit – rzekła Sara.

– Fruit salad czy plain?

– Plain, proszę.

Kelner skłonił się, czyniąc jednocześnie półobrót całym ciałem. Szedł ku schodom ze swą tacą jak biskup niosący monstrancję. Na zwykłego księdza był zbyt okazały. Tylko polska para spoglądała w jego stronę. Dla pozostałych już nie istniał.

– No i co dalej? Opowiadaj! – Robert Lovell spojrział na śpiewaka.

– Skończyłem na tym, jak mnie wygwizdali?... – ten zawahał się.

– Nie. Na tym, jak tłum rzucił się do kasy.

– Aha. Właśnie. Byłem wtedy taki beznadziejny, taki „zielony”, że jedni chcieli od razu porachować mi kości, a drudzy odebrać swoje pieniądze za bilety. W Porto Alegre nikt się w takich razach nie cacka. I nagle piękna dziewczyna, która siedziała w pierwszym rzędzie, a miała na sobie jedną z tych nieprawdopodobnie szerokich, sutych spódnic, jakie na „Carnaval” wkładają Metyski, nie nosząc z reguły nic pod spodem...

Redaktor uśmiechnięty, jak inni, przysłuchiwał się opowieści. Kelner zatrzymał się obok baru. Jego pomocnik pojawił się znowu ze swym wózkiem. Jakaś starszawa para szła środkiem niżej położonej sali, zbliżając się do stopni. Dama w białym kostiumie i śmiałym makiżaju miała w sobie ów charakterystyczny, trudny do określenia rys, pozwalający bezbłędnie wyłuskać Amerykankę spośród tuzina innych kobiet.

On – wysoki, siwy mężczyzna, szedł za nią wolno, wspierając się na lasce. „Życie zaczyna się po sześćdziesiątce...” To była pierwsza bardziej klarowna myśl, jaką Polak poświęcił nieznanemu parze. Zaraz jednak nadbiegła druga, a była jak niespodziewany huk odrzutowca.

Zacisnął palce wpijając po swojemu paznokcie w wewnętrzną część dłoni i patrzył.

Siwy mężczyzna wypuścił właśnie z ręki swą laskę. Upadła tuż przy schodach. Jeden z młodych kelnerów skoczył od razu w tę stronę. Nie zdążył. Dama w białym kostiumie powiedziała coś z zaciętą, złą twarzą. A, siwy pan rzucił do niej jakieś słowo, pochylając się ciężko. Uprzedził jednak kelnera. Kiedy prostował się z laską w dłoni, na jego pociągłej twarzy pojawił się grymas ni to wysiłku, ni uśmiechu. Chłopak w brązowym fraczku zatrzymał się z głupią miną. Odpowiedzieli oboje na jego uprzejmość jakimiś słowami. Ponadto siwy mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął monetę. Chłopak na brązowo skłonił się głęboko.

Redaktor rejestrował to wszystko obojętnie, jak sejsmograf odległe trzęsienie ziemi. czuł tylko, że się spocił.

– ...I siedzę, rozumiecie, u niej pod spódnicą! Ciemno, ciepło... – docierały do niego słowa Brazylijczyka, jak gdyby wypowiadać je począł naraz ktoś znajdujący się niezmiernie daleko. – „Jeśli zaraz, natychmiast, nie opanujesz swoich myśli i galopującego serca, możesz się tu wygłupić i zachować jak histeryk. To nie jest Peter Kerns.

To nie może być on, rozumiesz? Gdyby to był on, oznaczałoby to, że na świecie nie ma rzeczy niemożliwych. A sam wiesz, jakie jest twoje zdanie na ten temat. Zresztą możesz wstać, przejść obok tej pary i sam się przekonać, że nie miałeś racji.”

Nie zrobił tego. Patrzył. Starsza pani powiedziała coś, i oboje zawrócili. Szli wolno, rozglądając się, przez większą salę. – „Wszystkie stoliki są już zajęte. Nie znaleźli miejsca, więc wyjdą. Nie zobaczysz go już nigdy. Nie – podchodzą do baru. Ona mówi coś uśmiechnięta. Nie potrafi w swej długiej spódnicy wspiąć się na wysoki taboret. Dobrze, nie wyszli. On jej pomaga. Przez niezmiernie krótki moment są oboje podobni do pary starców w Szczawnicy. Już siedzą. Do pioruna, to przecież jest on – Kerns!”

– ...Wyobraźcie sobie – dookoła wszyscy biegają. Krzyk, harmider!... A ona drży. Czuję to jej drżenie i zaczynam...

– Nie! – wykrzyknęła Sara, chichocząc.

„Nieważne. Wszystko nieistotne. Karina też się śmieje. Może tylko troszkę, odrobinę sztucznie. Toczy się jedna z tych płaskich, męskich historyjek, mających przybliżyć i »uzwycząjnić«... Ale to jest Kerns. Przysięgam, że się nie mylę. Sam stwierdziłeś, że wszystko z tamtego okresu pamiętasz, aż za dobrze, że tkwi w tobie nie zmienione i nie zdeformowane przez czas.

Coś mówi do barmana. Profil... Chryste! Tak, to nie może być nikt inny. Ma dużo zmarszczek. Upłynęło już wiele lat. Ot i przydybał cię znowu czas. Mimo wszystko nie da się uciec. Nie zmienił się tak bardzo... Zawsze poruszał się z tą samą, przyczajoną powolnością, którą – przejąwszy od niego – próbujesz w odkształconej, nieudolnie przetworzonej formie lansować przez te lata. Jesteś prymitywną kopią człowieka, który kiedyś nauczył cię, jak nie bać się przemocy. Ten człowiek siedzi tam, przy barze.

Idź, pocałuj go w rąbek szaty. Powiedz, że się go po trzykroć zaparłeś, nim zapiał kur. Po trzykroć... Zaparłeś się go wiele razy...”

– ...I wtedy ona – „Och!”, a potem jeszcze raz –

„Och!”, tylko ciszej... A ja, rozumiecie...

„Karina jest już poważna. Nie wie, jak się zachować. Tylko ta mała chichocze jak wariatka. Przesadził. Moją dziewczynę ma już z głowy... Zbyt dobrze ona zna, ona zna... Teraz prędko! Wychodzą! Nie, to tylko ta starsza pani. W drzwiach stoi portier z recepcji. Mówi coś do niej. Teraz!”

– Przepraszam! – rzucił, ruszając przed siebie.

– Zgorszył się! Nie, to niewiarygodne! Wy, Polacy... – to głos Roberta. „Śmieją się? Karina też?... A więc myliłem się co do niej, myliłem... Bar. Siedzi tuż obok. Ma pomarszczone dłonie. Nie domyśla się, że jego sąsiad... Zachowuję się jak podłotek przy spotkaniu obiektu swoich westchnień. Co teraz? Chromolę wszystkie podłotki!”

– Double Scotch. Thank you.

„O pogodzie. Najlepiej o pogodzie. I spokojnie. Nie patrzy w twoją stronę.”

– Piękny mamy dzień, prawda? W Londynie wczoraj lało.

„Idiotycznie brzmią te angielskie zwroty. Zupełnie jakby cały naród uparł się, aby powiełać w nieskończoność kilka tych samych zdań.

– O tak. Ostatnio pogoda była nie najlepsza. Tydzień temu przylecieliśmy ze Stanów. Ale tutaj, w Mornmouth, jest podobno coś w rodzaju mikroklimatu.

„Ten jego amerykański akcent... Głos nieco bardziej matowy. Twarz także jakby rozmazana, zmięczona, i te zmarszczki... Ale oczy, nos, broda...”

Kiedy w łaźni kopalni Ilwitz przed laty tym samym ruchem, co przed chwilą na schodach restauracji, podnosił opuszczony kubeł, na kaflach leżały nieruchome ciała tych, których udało się po katastrofie wydobyć spod ziemi. Twarz miał wtedy inną, pokrytą węglowym pyłem. Błyskały tylko białka.

Właściwie to jego twarz zobaczyłem dokładnie dopiero później, kiedy uciekał.

Trzeba ciągnąć. Dalej! Twoje życie to zestaw jednoaktówek. A nad każdą z nich głowił się inny reżyser. Ten obok jest najważniejszy, gdyż spełnił ponadto rolę katapulty. Przywykłeś już przecież do metafizycznych spotkań. Choćby Jarząbek w Czorsztynie... Kto mógłby przypuszczać, że tam właśnie... »Zasuway, tato!« – tak by powiedział Andrzej.”

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że kiedyś już pana widziałem... – „Tak. Nieźle. Tylko tymi, zwykłymi słowami”. – Czy nie był pan przypadkiem w czasie wojny w karnym, jenieckim obozie „STALAG IX B, Ilwitz”?

„Pozornie nic się w jego twarzy nie zmieniło. Tak powinien zareagować właśnie on. Wszystko w porządku.”

– Ja w obozie?... Bóg się zlitował i odmówił mi tej „przyjemności”.

„Co on gada? Przecież te niemożliwe, abym... Chryste, nie chce się przyznać! Dlaczego? Dlaczego się uśmiecha? Trzeba odpowiedzieć na jego pytanie.”

– Tak. Byłem. Dwa lata. – „Byłem, do cholery! I ty także tam byłeś i jakie to były lata, wiesz lepiej od innych. Dlaczego nie chcesz o tym mówić? Jeśli zacznę mu wmawiać, gotów odwrócić się i odejść. Spokojnie.

Należy, jakby nigdy nic”.

– To był obóz specjalny. Dla jeńców złapanych w czasie ucieczek. W większości lotników. Wszyscy pracowaliśmy w dole starej, od lat nie eksploatowanej kopalni. W sąsiednim obozie trzymali prostytutki wyłapane w Reichu po rozkazie Rosenberga i one pracowały w sortowni.

– „Po co tyle? Za dużo. Zaryzykuj! Powiedz, pamięta pan?”

– Pamięta pan?

– Jak mogę pamiętać? Zabawny pan jest. Musiał pan przeżyć to i owo. Czytałem sporo o niemieckich obozach. A jeszcze taki... – jak pan go nazwał – „specjalny”? Współczuję panu. Podobno każdy z ludzi ma gdzieś swojego sobowtóra. Widocznie ja jestem kimś takim w stosunku do osoby, którą pan znał. To się zdarza. Moje nazwisko John Williams.

– Marek Legut.

– Jest pan Skandynawem?

– Nie, Polakiem.

– Tak? Świetnie pan mówi po angielsku. Pogratulować.

– Dziękuję.

– Napije się pan jeszcze jednego? Ja już nie, ale pan – młody... Więc siedział pan w obozie... Ile to ludzi wyginęło... I ile człowiek potrafi przeżyć... Ja niczego takiego bohaterskiego nie mam na swoim koncie... Australia... Tam wojna wyglądała inaczej. Służyłem w artylerii przeciwlotniczej i – przyznam się panu – marzyłem o nalotach Japów. Jak ich wyglądałem! Wtedy człowiek był młody, chciał się popisać, wykazać...

„To jest on, do diabła! A może... może zaczynam miewać halucynacje? Ma rację z tymi sobowtórami. A jeśli sytuacja się odwróciła. To znaczy, jeśli cała sprawa ma dokładnie taki sam przebieg, jak wtedy moje spotkanie tkanie z Jarząbkiem?... Skłamałem, bo nie chciałem się przyznać... Nie miałem sił i ochoty na babranie się w tamtej sprawie. Pożar, samolot, skok... A znowu w Holandii... szedłem przecież specjalnie w to miejsce... I to już nie pierwszy raz... Czyli... należałoby przyjąć, iż... zacząłem się, zacząłem którąś tam swoją kolejną wersję od łupnięcia w ziemię opodal holenderskiego wiatraka rodu Eigenbrachtów... Oszaleć można! On coś mówi...”

– Tak, w Polsce. Przyjechaliśmy tylko razem z żoną. Zwykły dziennikarski rekonesans. A pan... Można wiedzieć, co pan robi?

– Banał. Firma budowlana, jakich wiele. Użeranie się z sezonowymi robotnikami. Jestem architektem.

„Tamten też... Na Boga, czyżby pierwsza niezręczność starszego pana?! Pierwsze, niekonsekwentne osunięcie się w kierunku prawdy? Kerns przecież także... Mówił, że studiował przed wojną architekturę... Pamiętam oczy Helgi, kiedy opowiadał w parowozowni o domach,

które będzie budował po wojnie. Kiedy zabili Helgę... nie mówił już nic. Wkrótce potem uciekł z obozu. Pomogli mu nasi... Organizacja. Bulla mówił potem, że przeprowadzili go w rejon Jeleśni pod Żywcem i stamtąd samolotem...

Mam chyba gorączkę. Muszę się uspokoić. Tylko że to tak niespodziewanie... Tak nagle.

Nagle szarpnięcie myśli. Przecież taka firma to jest!... Helga, właśnie... Spokojnie! Przemysłisz to wszystko później. Skoncentruj się. A więc kłamał. Niech ona mówi. Niech mówi jak najwięcej. Stara kłępa. Rozbiegane, oczy, wciąż jeszcze bystre i najmłodsze w twarzy. Zupełnie jasne, w jaki sposób zaczynała swą »karierę«. Najstarsza profesja świata... Ma chropawy, nieprzyjemny głos. Przecież to zupełna zdzira, ucharakteryzowana na damę!...

– Ależ niczego złego nie pomyślałem. Przeciwnie. Ma pani rację – dobre, pojętne dziewczyny są po to, aby umilać życie przyjezdnym. Po to istnieją, to miałem na myśli. A jeśli, w dodatku, są, jak pani mówi, wykształcone i kulturalne... Jasne, nie mogą państwo odpowiadać za to, co robią i jak spędzają czas ze swymi klientami, kiedy przestają ich oprowadzać. Ach, w dodatku ubezpieczone są tylko w godzinach pracy... No, to wyjaśnia wszystko. Słusznie, to byłoby krępujące. Dziesięć funtów dziennie – dwadzieścia cztery dolary?... Wcale nieźle. Polki mają wzięcie? No, ale Japonki są chyba lepsze. Stara miłosna tradycja, gejsze... Skandynawki najlepsze?... Nigdy bym nie pomyślał. Ale ile dziewcząt, jeśli tak można powiedzieć – summa summarum? Nie, zachowam to przy sobie. Pani żartuje. Z podatkami nie mam nic wspólnego, chyba tylko to, że je płacę. A zaczynali państwo od ośmiu?... No, to postępowanie. Gratuluję.

Jak to mąż pani był ruiną?... Nie rozumiem. Ach, na ławce w parku w Monachium?... Pani występowała, rozumiem. A on? Co robił w Niemczech, w dodatku tuż po wojnie?

Tak, po wyjściu z obozu wielu zaczynało pić. Nic więcej nie chciał powiedzieć? Tak, jeńskie obozy bywały ciężkie... I pani zawdzięcza, że odzwyczyił się od nałogu... Tak bywa. Chyba będzie pani zawsze wdzięczny. Zdaje się pani. Proszę nie płakać. Jest pani zdenerwowana. Nie może pani nienawidzić. Za co? Za to, że pani mu pomagała?

No, najważniejsze, że interes się rozwija. Nie, w Polsce nie istnieją. Jakoś nikt o tym nie myśli. Pani jest zabawna, mnie to nie interesuje. Słowo daję, że nie. Kobiетки... Ej, żartuje pani. Adres? Zaraz... Napiszę adres i telefon. Tak, na wszelki wypadek. Proszę. I proszę powiedzieć mężowi, żeby do mnie zadzwonił. Ach, zostają państwo jeszcze ponad tydzień? No, to zobaczymy się na pewno. W każdym razie ten telefon jest aktualny. Będę jutro wyglądał pani męża. Od pierwszego wejrzenia?... Chyba przyjaźń, nie miłość... Jest bardzo interesujący. No nie, o co mnie pani posądza?! Nie mam żadnych odchyleń. Tam siedzi moja żona. W moim przypadku to coś znaczy. Naturalnie, musimy się zobaczyć we czwórkę. Będzie masę czasu. Nie, my zostajemy tylko dwa dni. Pokój dwadzieścia osiem. Ja też żałuję, że nie dłużej. Jest pani czarująca. Dziękuję, przekażę. Proszę pana, chciałem zapłacić! Dwa soki i jedna whisky. Dziękuję.

Uciekaj! On nie może odkryć, że wiesz już wszystko. To jakiś obłądny, ponury dramat. Pomyślę. Przygotuję się też do rozmów z ludźmi. A potem... zobaczymy.”

Obudził go nieokreślony. dźwięk. Leżał przez chwilę, próbując zebrać myśli. Usta miał pogryzione. Dotknął dolnej wargi. Okna zakrywały ciężkie story. W łazience paliło się światło. Różowy pled zwisał z sąsiedniego, pustego łóżka na podłogę. Szum morza brzmiał jak wiatr. W pokoju było mroczno.

„Musiała pisać mewy. Kiedy staliśmy na balkonie, przelatywały bardzo blisko. Karina na pewno rozkoszuje się wanną o rozmiarze małego basenu. Kerns!...” – przypomniał sobie niespodziewanie. Poderwał się, zestawiając stopy na puszysty dywan, pokrywający całą podłogę. Był już zupełnie rozbudzony i gotów do działania. W tym momencie dźwięk się powtórzył. Zbliżał właśnie ku oczom zegarek i zastygł tak, oniemiały ze zdumienia. Pojął dopiero po chwili. Położył się na powrót. Czuł bicie serca.

Karina śpiewała. Właściwie to. nie był śpiew, a nucenie jakiegoś, niepewne i drżące. Jej głos wznosił się z wolna i opadał w nieoczekiwanych momentach, jak gdyby przerażony własną odwagą. Potem podejmował jednak z determinacją wspinaczkę na nowo, by znowu zgasnąć w stłumionym, niemal mezzosopranowym rejestrze. Wsunął głowę pod poduszkę i tam zaczął chichotać. To były nerwy, wiedział.

„Nerwy i szczęście. Puszczam w szwach. Robię się coraz mniej odporny. I to cholerne drżenie. Mam dla niej dowcip – sprośny, okropny – lecz w tej sytuacji doskonały. Wybuchnie śmiechem i będziemy weselili się razem. Boże, co ja plotę?... Przecież to najwspanialsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć. Miał rację mistrz ftyzjatra z Krościenka. Pomógł jej chyba klimat. Napiszę do tego drania. Pojedziemy do niego oboje z własną nalewką. Posiedzimy jeszcze w Szczawnicy. To będzie taki »obóz treningowym.. A potem – nie od razu, lecz po jakimś czasie – »mecz« – koncert! Znowu śpiewa, moje kochanie. Znowu mogę w domu żartować – »Przestań, błagam cię! Bębenki puchną!« »Normalka, tato«. Okazuje się, że najlepsza jest po prostu – «normalka»... Zaraz... Jest tu Piotr. Pod tym samym dachem. Nałożyły mi się na siebie po raz pierwszy dwie jednoaktówki. Powiem mu, że przyniósł mi szczęście. Pogadamy. O wszystkim. Otwarcie. Tylko że on... ta »Escort Agency«, jakieś dziwki... Przeróżające! Co może tam robić taki jak on, stalowy facet? Karina znowu śpiewa. Zupełnie jakby uczyła się chodzić. Wzruszony jestem czy co? Ech, do pioruna! Robię się dziadzia...”

Weszła znienacka. Zamknął oczy i leżał bez ruchu. Pochyliła się, obserwując z bliska jego twarz. Wtedy ją przyciągnął. Upadła na jego piersi.

– Słyszałeś? – rzuciła zdyszana.

– Jesteś, Tytanesku, taczanka, pletwo i szeusta! – rzekł bez sensu.

– Co to „Szeusta”?

– „Szeusta” to jest bogini dzielności i męstwa. U plemienia „Plenków”, oczywiście, i to tylko z gatunku „Podopiecznych”. Zaśpiewaj górne ha!

– Nie wygłupiaj się! – spoważniała. – To nie jest śpiew, ale...

– Nie narzekaj. Już dzisiaj śpiewasz lepiej ode mnie. A to, biorąc pod uwagę moje warunki głosowe, duży sukces. Wszystko dzięki temu, że mnie tego wieczora uwiodłaś. I to w taki sposób, że... wstyd nie pozwala mi mówić...

– Przestań! – śmiejąc się, zasłoniła mu usta dłonią. Udawał, że mówi coś dalej pod jej palcami. Zrobił okrągły ruch ramieniem. Cofnęła rękę.

– Dałem ci znak, że powiedziałem już wszystko.

– Bardzo dobrze.

– Pewno, że dobrze. Ja też miałem dzisiaj fart – wstał i zaczął się ubierać.

– Dziwnie to nazywasz. Padłam, jak podcięty kłos! – Przeciągnęła się. – Ale nim padłam... Boże!... Zupełnie oszalałam! Co to było?

– Zejdę na chwilkę na dół. Zaraz wracam.

– Dobrze. Ale tylko sok pomarańczowy! Tu wszystko jest okropnie drogie.

– W porządku, opijemy to sokiem.

„Pomyślała, że chcesz przynieść coś mocniejszego z racji jej cudownego ozdrowienia. Przenosiła cię, stary. Nie wie, że wspiałeś się na sam szczyt ogromnego wzniesienia i że wieją tam dzikie wiatry. Nie zdaje sobie także sprawy, iż niebawem zobaczysz wszystko z drugiej strony.”

W hallu było pusto. Z restauracji dobiegały dźwięki muzyki. Portier w recepcji pisał coś pochylony. Zegar wskazywał dwudziestą. A więc spędzili w pokoju cztery godziny. Kerns pewno jest na kolacji.

– Przepraszam, czy państwo Williams są u siebie?

– Państwo Williams? – portier uniósł głowę. – Przepraszam, ale... – jego długopis zaczął sunąć ponad spisem nazwisk w grubej księdze. – Nie. Nie ma tu takich... państwa Williams. Może Wilkinson?

– Proszę pana, wysoki, siwy mężczyzna... – zaczął, czując, że coś chłodnego zaczyna go wypełniać od wewnątrz – ...i pani w jasnym, prawie białym kostiumie. Oboje około sześćdziesiątki... Amerykanie.

– A... – portier przyjrzał mu się uważniej. – Pan może przyjechał z Polski?

– Właśnie.

– Tu mam list dla pana – portier odwrócił się i sięgnął do przegródki, nad którą znajdowała się tabliczka z numerem ich pokoju. – Ten pan bardzo się spieszył. Zostawił to przed wyjazdem.

– Wyjechał. Ale mieli przecież... – to było bez sensu. Rozerwał kopertę. Tylko cztery słowa: „Zadzwoń. Trzymaj się – Piotr”.

– Właśnie... mieli być dwa tygodnie – portier potarł brodę. – Ale coś im wypadło. W porządku? Wszystko się zgadza? Bo, widzi pan, oni wcale nie nazywają się Williams i kiedy pan zapytał, to myślałem...

– W porządku. Zgadza się – powiedział samymi wargami.

Odwrócił się i ruszył w kierunku schodów. Dopiero na podeście przypomniał sobie o soku. Zawrócił. Do baru wiodło także osobne wejście od strony foyer. Drzwi były zamknięte. Czuł na sobie spojrzenie portiera.

Zastukał raz jeszcze.

„Kopnę z całej siły, to usłyszą. Jeśli zaraz nie otworzy, to kopnę. Nie będę się na nic oglądał.” Drzwi otworzyły się. Barman był ten sam.

– Sok pomarańczowy? Bardzo proszę. Który numer pokoju? Kelner przyniesie.

– Nie. Ja przyniosę – powiedział.

Musiało zabrzmieć w jego głosie coś osobliwego, gdyż ulizany mężczyzna spojrzał uważniej.

Redaktor wracał, niosąc na tacy karafkę i dwie szklanki. Mijając recepcję, przystanął.

– To dla pana – moneta, jaką położył na szkle kontuaru, zadzwieczała. „Jutro, natychmiast po powrocie na Archway Road, musimy zrobić zwykły »rachunek sumienia«. Zdaje się, że do wyjazdu będziemy żyli suchym chlebem. Muszę przecież skrobnąć jeszcze te dwa reportaże. Najważniejsze, że Karinie zaczyna wracać głos. Będzie znowu śpiewała. Ciesz się! No, ciesz się, do diabła!”

Zastanowił się i znowu podszedł do drzwi baru. Kupił butelkę polskiej wódki. Kiedy wracał, portier już na niego nie patrzył.

V

Nie, to było trudne do uwierzenia. Z początku, cofając co jakiś czas lewą nogę z pedału swej maszyny, spoglądał w stronę wiertarki, przy której w niesamowicie poplamionym, niegdyś białym, fartuchu siedziała Karina. Widział tylko jej wyprostowane palce. W takich momentach – ponieważ jego maszyna przestawała ciąć metal – chaos jazgotów i szczęków płynący z pozostałych wzbogacił się o nikły dźwięk jakiejś melodii, dochodzącej z nie wyłączanego nigdy starego głośnika nad drzwiami.

– Coś nie w porządku? – współwłaściciel warsztatu, Mr Gerald Green, był czujny. Jego drobna, przygarbiona sylwetka zatrzymywała się tuż obok. – Nie sztancuje?

– Sztancuje – naciskał znowu twardy pedał, budząc potężne, rytmiczne stukoty, podobne do salw „flaku”.

Po trzech dniach przywykli oboje do nieustannych łoskotów i pisków pięciu zdezelowanych maszyn w tym stopniu, iż nawet grzmot przejeżdżających nad stropem pociągów przestał robić na nich wrażenie.

Drugi z właścicieli, łysawy, niski blondyn, nazywał się Richard Jones. On także nie lubił przerw w robocie. Nie mówił jednakże ani słowa, przyłapawszy kogoś na gorącym uczynku nieróbstwa, lecz przechodził tylko obok stojącej beczynnym maszyny, nie patrząc ostentacyjnie na nikogo.

Trudność polegała na tym, że nie można było na przykład sztancować płaskownika wciąż w tym samym miejscu, markując normalną pracę i dając w ten sposób choć chwilę wytchnienia zmęczonym rękóm. Stalowa forma nabijała się bowiem natychmiast resztkami źle wycinanej blachy i maszyna, dudniąc metalicznie, sygnalizowała wszystkim dookoła, że ktoś zdecydował się na nielegalny odpoczynek.

Nie sposób było także wyłączyć maszyny, gdyż ponowne wprawienie jej w ruch wymagało pomocy drugiej osoby przy podtrzymywaniu luźnego pasa transmisyjnego. Pasy wszystkich maszyn w warsztacie były za luźne i niekiedy spadały.

Trzeba było zatem pracować bez przerwy i nieustannie wpychać w paszczę sztancy długie pasy płaskowników, jakie leżały na dwóch metalowych tregrach.

Przyjście Kariny wprawilo wszystkich w osłupienie. Lecz było to osłupienie angielskie, polegające jedynie na krótkich, ukradkowych zerknięciach, bo nawet nie spojrzeń, rzuconych w jej kierunku.

Oprócz obu szefów pracowały w warsztacie jeszcze dwie osoby – chuda Felicity, matka bladego dziecka, przywożonego nieraz w wykoślawionym wózku przez starą pijaczkę Stephanie z Columbia Road, oraz James Dell, barczysty dryblas, spoglądający spode łba na wszystko, co go otaczało.

Ponadto co wieczór zjawiał się ze swym drewnianym wózkiem pokraczny Pett o trudnej do opisanie szarej mordce starego, zmęczonego szczura. Nie mówiąc nic, zbierał resztki powycinanych blach, przesypywał opiłki do papierowych toreb, wybierał ze stosów nieczystości kawałki drutów, zardzewiałe bezużyteczne śruby i znikał razem ze swoim kołyszącym się pojazdem. Składnica złomu, do której zawoził te skarby, znajdowała się tuż za barakami bezdomnych, opodal starej gazowni.

Szefowie byli dyskretni. Formalności związane z pracą polegały jedynie na podaniu imion oraz – to już: zrobiła Karina na wstępie – na przypomnieniu pani Marysi z Krakowa, która tu

niegdyś pracowała. Niepisana umowa stała się w tej sytuacji jedynie ustaleniem stawki za godzinę, podaniem czasu pracy i przerwy na lunch.

– Ale gdyby przyszła policja i pytała, to, pamiętajcie, jesteście tu przypadkiem – rzekł Mr Green. – Jeśli będzie „cynk”, że idzie dwóch, nie pytajcie o nic i od razu zdejmujcie fartuchy. Ale jak przyjdzie jeden, taki niski, to on jest nasz człowiek. Nie bójcie się – dodał współnik.

– Słuchaj, przecież tu jest strasznie – rzucił wtedy po polsku redaktor. – To jest absolutne dno.

– Ale za to nikt nas tu nie zna – wyglądała na zaskoczoną jego uwagą. – Na dnie nikt nas nie zobaczy. Gdybyśmy pracowali w jakiejś restauracji, zawsze mógłby przydybać nas ktoś ze znajomych.

– Jesteś szalona!

– No to jestem. Rozeszły nam się pieniądze, tak?

Nic sobie nawet nie kupiłam. Ty masz napisać jakieś artykuły. Pięćdziesiąt pensów za godzinę to jest coś.

– All right? – małe oczka Mr Greena przesunęły się po ich twarzach.

– All right – powiedziała i uśmiechnęła się. Znowu przeszła na polski. – Jeszcze nigdy nie byłam przestępcą. Ty byłeś?

– Wiele razy i także międzynarodowym. Ale to wtedy należało do dobrego tonu – odparł nakładając brudny kitel.

Po paru dniach Felicity została przeniesiona na inną maszynę, a jej miejsce przy wiertarce zajęła Karina.

Firma „Metal Works Gerald Green & Richard Jones Ltd.” była jednym z ciemnych, ob- skurnych warsztatów, wciśniętych pod przęsła kolejowego wiaduktu pomiędzy Cambridge Heath Road a Clare Street. Naprzeciw, po drugiej stronie zakurzonej Cambridge Heath, znajdował się wśród ruder stary szpital, nieco dalej ubożuchne sklepiki i jadłodajnie cypryjskich Greków, a bliżej stacji undergroundu kościół, ratusz i muzeum zabawek.

Usytuowanie właśnie tego ostatniego przybytku wśród szarych, zaniedbanych domów tej ubogiej dzielnicy East Endu zakrawało na drwinę lub ponurą ekstrawagancję.

Od strony szerokiej Cambrigde Heath Road świat był jednak i tak weselszy.

Beznadziejność, i to w tym najbardziej ponurym wydaniu, zaczynała się naprawdę tuż za wiaduktem. Nowe bloki mieszkalne, stojące tu i ówdzie, nie były w stanie przesłonić dojmującego klimatu nędzy i zapomnienia małych, wąskich uliczek ciągnących się mila za milą w rejonie Hackney Road aż po Queensbridge czy nawet Kingsland Road.

Zbiegając co rano w tłumie spieszących do pracy po stromym upłazie, wiodącym do stacji Highgate, mieli jeszcze tylko chwilę dziennego światła po wyjściu na Bethnal Green. Później słońce zastępowały neonowe lampy, przychepione do nieopisane brudnych ścian warsztatu.

Pracę zaczynali o dziewiątej, a kończyli o siedemnastej lub osiemnastej z półgodzienną przerwą na lunch.

Początkowo jedynym źródłem informacji o otaczającym ich świecie stały się opowieści szefów przy herbacie. „Tea time” nie był tu celebrowany, lecz za to aranżowało się go ad hoc, i to kilkakrotnie w czasie dniówki.

Na umieszczonym poziomo kreślarskim stole leżała płachta brudnego, pogiętego od gorąca, niebieskiego plastyku, a na niej znajdowały się kubki i elektryczny imbryk ze zniszczoną wtyczką. Któryś z szefów zagotowywał herbatę i kiedy była już przyrządzona, obwieszczał ten fakt donośnym nawoływaniem. Do dobrego tonu należało wówczas przeciąganie pracy, jakby się absolutnie nic nie słyszało, a to czy wybije się sztancą więcej, podobnych do monet, krążków, czy też więcej wyboruje otworów w połyskujących kątownikach, było w tej chwili najważniejsze. Rozmowy były niezwykle. Dwaj właściciele firmy istnieli i współdziałali ze sobą na zasadzie antagonistycznego małżeństwa. Zachowanie bezstronności w tym układzie i

nieopowiadanie się po stronie żadnego z nich stawało się w miarę upływu czasu coraz trudniejsze. Karina pierwsza nie wytrzymała.

– Wierzę w pana maszynę – oświadczyła któregoś dnia.

– Widzisz, wierzy! – Jones wytrzeszczył oczy, spoglądając na swego partnera. – Bo to jest najtańsza waga do drobnicy, jaką można wymyślić. Mówiłem ci, trzysta funtów z robocizną i ani jednego mniej. Hindusi kupią.

– Setny genialny pomysł pana Jonesa – Green uśmiechnął się jadownicie. – Skąd ty znajdziesz tych Hindusów?

– Zrobi się reklamę, publicity i, zobaczysz, będą walić drzwiami i oknami.

– To ma sens – oświadczył James Dell.

– Tu jest... rysunek. Niech pani się popatrzy! – Richard Jones wyjął brudny kawałek papieru z szuflady. Wszystko, co mówił, było kierowane wyłącznie do Kariny. – Dokładnie obliczyłem. Może działać z fotokomórką albo bez. Naturalnie bez fotokomórki będzie o wiele tańszy. Tu, do pojemnika, wsypuje się – dajmy na to – ryż, fasolę albo kaszę. Tu się kładzie odważnik i ustawia przełącznik na taką wagę produktu, jaką się chce. Potem tu się naciska i już – gotowe!

– I to będzie dokładnie? – rzekła Karina z tak szczerym zainteresowaniem, iż redaktor zamknął na moment oczy.

„Ja snię. To wszystko jest nieprawdziwe. Moja żona siedzi na brudnym, pokrytym setkami narzędzi warsztacie. Ma na sobie poplamiony fartuch i dyskutuje o jakiejś wadze, która ma odmierzać równe porcje ryżu i prosa dla Hindusów.

Nie jestem na kopalni Ilwitz, a ona to nie Helga. Nie ma Hartmanna ani Rudiego... Jesteśmy oboje na Bethnal Green, a co rano odwiedza naszych szefów jeden z miejscowych bandziorów, »opiekujący się« ich firmą.”

– Przecież to jest... – rzekł nagle po polsku.

– Co, nie wierzysz, że to może być dobra waga? – powiedziała. – Pokazywał mi wczoraj swoje inne dwa wynalazki. Uważam, że jest zdolny.

– Słuchaj, ile ci potrzeba pieniędzy na wszystko, co chcesz kupić? – spytał bez żadnego wstępu.

– A co, masz już dość? Mówiłam ci, możesz sobie siedzieć w domu i pisać o czerstwych, angielskich dziadkach, biegających w dresach po ulicach. Ja będę pracowała. Mam pewien plan. Sam chciałeś robić to, co ja.

– Tak. Sam chciałem – opuścił głowę.

„Jesteś jak naładowany do ostateczności akumulator, który leży na śmietniku i wie już, że nie zapali sobą choćby najmniejszej żarówki. Akumulatory nie eksplodują. Parcieją tylko od środka.

Broń się jakoś, do diabła! Kochać kogoś to nie znaczy ustępować we wszystkim. Kochałeś naprawdę dwa razy w życiu i dwukrotnie robił się z ciebie zwykły, przygnębiający mięczak. Jak widzisz, ona jest silniejsza, niż sądziłeś. Bije cię ponadto na głowę zdolnością asymilowania się. Jest wszędzie »u siebie«, a ty nigdzie. Czy mógłbyś kiedykolwiek przypuścić, że ta elegantka tak łatwo przywyknie do podobnych warunków pracy? Że paradując w ciągu dnia w koszmarnym, poplamionym fartuchu już wieczorem – jeśli potrzeba – zdoła przetwarzać się w wytworną dziewczynę, adorowaną przez wszystkich dookoła?...”

Rozmawiali wciąż jeszcze o wadze. Podszedł do kantorka, obok wyjścia na ulicę. W uchylonej bramie ukazał się właśnie szczur. Szary kształt przywarł do ziemi i powoli wysunął się na płytę chodnika.

Redaktor znowu cofnął się myślami do warsztatu na kopalni Ilwitz. Na ścianie kantorka wisiała upstrzona muchami fotografia przedstawiająca scenę koronacji królowej Elżbiety II.

Nakręcił numer. Tego dnia w mieszkaniu na Archway rezydowali jego prawowici właściciele. Nazajutrz mieli znowu wyjechać.

– Do Mrs Legut dzwonił jacyś dwaj panowie i zostawili swoje numery telefonów, a do pana nie było telefonu – w głosie Margaret Cloud, żony Charlesa, brzmiała nutka zdziwienia.

„Już nie zadzwoni. Najwyższy czas, aby przestać czekać.”

Wrócił do pracy. Tłukli, rąbali, piszczeli, dudnili już wszyscy dookoła. Karina odwróciła się na swoim stołku. Oczywiście nie dosłyszał, co powiedziała, więc podszedł bliżej. Śmiała się.

– Obłąd, co? Nawet nie słyhać, że sobie podśpiewuję.

Przyszedł list z redakcji. Naczelny oznajmił, że bezpłatny urlop w tej sytuacji to tylko formalność. Chwalili to, co napisał o starym aktywiście polskiego klubu, i prosili o coś nowego.

Siedział przy biurku, usiłując bezskutecznie zebrać myśli.

Ubiegły wieczór spędzili oboje po pracy w restauracji „Luba” na South Kensington. Przysiągłby, że przy sąsiednim stoliku siedział w większym, rozbawionym towarzystwie siwy, usztywniony i jakby zamieniony w posąg major Karwiński.

Nie był pewien, lecz samo przypuszczenie sprawiło, że prawie nie słyszał muzyki.

Karina chyba się bawiła. Tańczyli także oboje. Polszczyzna, dobiegająca od różnych stolików, sprawiała wrażenie wyjętych z szaf i odświeżonych na tę okazję garniturów.

Zwrócił nieznacznie głowę za siebie, w stronę kominka, przy którym siedziała. Przed chwilą liczyła pracowicie pieniądze, jakie zarobili w ubiegłym tygodniu. Teraz robiła na drutach. Za oknem szalał wiatr i deszcz bił o szyby. Jej twarz oblewała poświata, płynąca z żółtego abażura.

Znowu ujął długopis „...w wyniku takiej działalności, kwoty zbierane na Fundusz Olimpijski przez tutejszych aktywistów urastają niejako do miana symbolu...”, dodał do poprzedniego, zaczętego przed godziną, tekstu. I nagle zupełnie bezwiednie i jakby nie własną ręką dopisał tuż obok, na tej samej kartce zdanie, które nic przecież nie znaczyło: „Hamlet w białych kalesonach przemierzył scenkę i usiadł obok Ofelii”.

Drgnął. Przez moment spoglądał jakby z niedowierzaniem na swój długopis z malutkim napisem „PAN AM” na tle niebieskiej kuli ziemskiej. Położył go na blacie biurka i zamknął oczy. Serce w nim załomotało nagle i przyspieszyło.

„Bije w rytmie stukotu kolejowego wagonu. Jakże dudnią te samochody! Jednak człowiek może przywyknąć do wszystkiego. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że bez przerwy trwa ich warkot – rżenie? Samochody nie rżęją. Rżęją jednak.”

Zwlekał, choć coś pchało go do napisania następnego zdania. Poszczególne wyrazy konstrukcji, której jeszcze nie było, przesuwały się przed jego oczyma diabelnie ostro i czytelnie. Jeszcze walcząc, protestując przeciw nachalności i natręctwu przywidzeń, jakie nim owładnęły, narysował z boku kartki samochód, cysternę z napisem „ESSO”, a obok uśmiechniętego od ucha do ucha chłopaka w roboczym kombinezonie.

Chłodna, niemal okrutna determinacja wypełniała go jednak od wewnątrz z coraz to większą mocą. Czuł, że zaschło mu w gardle.

Ukradkiem, jak złodziej, wziął nową kartkę i położył przed sobą. Najpierw przepisał zdanie o Hamlecie, później w pośpiechu dopisał drugie, a potem następne i jeszcze inne. I siedział tak, pełen napięcia, pisząc bez przerwy. Nie skreślając ani też nie poprawiając niczego:

Do „Hamleta” to nie dociera.

– Książę! –

Podciąga kalesony, starając się zrobić to możliwie najdyskretniej. Potem, niby przypadkiem, postępuje o krok w kierunku stołu, pod którym wśród zwisających nóg w drewniakach i zniszczonych, rozlatujących się butach, często przewiązanych sznurkami, siedzi sufler z twarzą umorusaną węglowym pyłem.

„Ofelia”, młody mężczyzna o okrągłej, dziecinnej głowie na długiej szyi, jest już na swoim miejscu.

Wystarczają dwa słowa wypowiedziane wyraźniej niż poprzednio.

„Książę” wraca do swej partnerki i przykłęka.

W salce obozowego baraku jest duszno. Twarze widzów ociekają potem. Okna, pokryte czarnym papierem, zasłaniają mężczyźni w najprzeróżniejszych zestawach mundurowych. Wszyscy siedzą na stołach. Nogi niektórych poruszają się miarowym, kołyszącym rytmem. Właśnie w tej chwili „Hamlet” mówi coś, co brzmi tak nieprawdopodobnie, że ożywiają się nawet ci, których zmogło zmęczenie i duchota. Siedzący najbliżej sceny ryczą pierwsi, a zaraz potem dołącza się do nich cała sala.

– Powtórz! – woła któryś, a już zaraz zaczynają wrzeszczeć wszyscy, domagając się tego samego.

– Gadaj od początku! – wykrzykują siedzący dalej.

– Say it again, you fucken bastard! – cockney rudzielca w trzecim rzędzie stołów sprawia, że znowu ryczą wszyscy. Któryś puszcza przeciągłego bąka.

– „Przyjemnie jest wyobrazić sobie, że się leży między nogami dziewczyny” – mówi „Hamlet”, robiąc nadprogramowo sprośny gest zgiętym ramieniem.

Sala wybuchą brawami, gwizdami i rykiem tak potężnym, że dzwonią niewidoczne szyby.

– Ofelia, nic się nie bój! Nie damy cię rozprawiczyć! – wykrzykuje blondyn z kwadratową szczęką. Ma na sobie niesamowicie zniszczony amerykański, lotniczy mundur.

– Spokój, panowie! – na jeden ze stołów wchodzi wysoki mężczyzna z dystynkcjami sierżanta. – Jako reżyser chciałbym prosić... – jego głos tonie w powszechnym tumultcie.

– Powtórzyc! Powtórzyc! – wołają, rytmicznie skandując sylaby, ci, którzy siedzą pod najdalszymi oknami na końcu salki.

– Siekierę można by tu powiesić – reżyser nachyla się do siedzącego obok szpakowatego mężczyzny w battle-dressie. Ten uśmiecha się tylko, nie potrafiąc czy też nie chcąc przekrzyczeć tłumu.

Na jednym ze stołów podnosi się brunet o pociągłej, końskiej twarzy. Stojąc, dotyka głową drewnianego stropu.

– Siadać tam! – wykrzykują ci spod okien w głębi sali.

– Zamknijcie się! – mówi brunet. Jego oczy przesuwają się po wszystkich. Niektórzy milkną od razu. – Jak mi który jeszcze raz znieważy Szekspira, to mu rozkwaszę mordę! A wiecie, jak to robię.

– Panie reżyserze, droga wolna! Niech ją pruje!

– Idziemy dalej! – sierżant zwraca się w stronę sceny. – Sufler!

– Yes, sir! – wrzeszczy wezwany, wyłaząc spod stołu. Rozciera węglowy pył na swoich policzkach i staje na baczność z książką pod pachą, zarzucając przepisowo ręce do tyłu. Jest bez koszuli.

– Święty Boże! – wzdycha sierżant-reżyser. – Nie mam już do was sił. Powiedziałem – ciągniemy dalej.

I bez żadnych sztuczek. Jasne?

– Ay, ay, sir! – pieje tamten i znika.

W tym właśnie momencie zrazu słabo, a później coraz mocniej, odzywają się syreny. Ich wycie staje się po chwili przenikliwe, pulsujące.

– Fliegeralarm! – wrzeszczy Wachposten z automatem, dotąd niewidoczny. Stoi teraz naprzeciw rzędu siedzących. Pojawiają się też inni, jakby wyrosli spod ziemi. Odbezpieczają broń. Tylko nieliczni spośród widzów poruszają się. Większość siedzi spokojnie, jakby nie działo się nic specjalnego.

– Czy mogę, pani, spocząć na twym łonie? – rzuca „Hamlet”, robiąc oko do widowni. Odzywają się oklaski. – Czasu nie mam, bo alarm.

– O nie, książę – „Ofelia” zsuwa kolana.

– Chciałem powiedzieć, czy mogę oprzeć... wała na twym łonie?

– Tak, książkę.

– Czy sądziłaś, pani, że miałem jakieś prostackie myśli?

– Nic nie myślałam, książkę – „Ofelia” wypowiada tę kwestię, wdzierając się jak pederasta. Niektórzy widzowie, niepomni na nawoływania strażników, pokładają się ze śmiechu.

– Przyjemnie jest... – zaczyna książkę.

– „Hamlet”, runter! – wrzeszczy drugi Wachposten, ciągnąc „aktora” za ramię. „Książkę”, skacząc na jednej nodze, nakłada niezdarnie swoje mundurowe spodnie. Schodzi ze sceny, próbując zetrzeć szminkę z twarzy.

Niedawni widzowie wychodzą, tłocząc się w drzwiach. Wielu stoi już przed barakiem.

W świetle księżycy dostrzec można najbliższe baraki obozu, otoczone wysokim ogrodzeniem z kolczastego drutu, nad którym sterczą wieże strażnicze.

Nieco dalej majaczą w mroku kominy i charakterystyczne wieże wyciągowe kopalni.

Dwie ciężarówki, minawszy obóz i rżąc z wysilenia, pędzą w kierunku kopalnianych zabudowań. Ci, którzy obserwowali niebo, zwracają ku nim głowy.

– Nein, in der Grube ist etwas passiert! – wykrzykuje siwawy Wachposten, zdejmując z pleców swój karabin.

– Wypadek na dole! – rzuca któryś z jeńców po polsku. Inny tłumaczy jego słowa na angielski. Nagły niepokój udzielił się już wszystkim. Przy bramie obozu majaczy w ciemnościach coraz więcej postaci.

– Alle zurück! Stehen bleiben! – jednoręki oficer niemiecki podbiega do gromadzących się przed bramą. Wyjmuje rewolwer. – Alle zurück! Verstanden? Alles in Ordnung!

– Alle in die Baracken! – powtarzają różnymi głosami wartownicy. Ich psy szczekają. Na wieżach strażniczych zapalają się uprzednio wygaszone reflektory, oblewające stojących przed bramą oślepiającym światłem.

Francuski sierżant lotnictwa zbliża się, salutując, do oficera SS.

– Wir wollen... helven... unserem comraden – mówi łamaną niemieczyzną.

Pociągła twarz Niemca zmienia się nagle. Ryczy:

– Eintreten! Mach, dass du weggehst! – postępuje o krok w kierunku znieruchomiałego Francuza. – Zurück, verstanden?! – Jego pies szczeka i wrywa się w kierunku jeńca. Sierżant mruży oczy, gdyż reflektor trafił go smugą blasku prosto w twarz. Oficer strzela z rewolweru raz i drugi. Jeńcy powoli zaczynają się oddalać. Klną, gdyż ich zniszczone buty zapadają się głęboko w grząskie błoto pod bramą. Po zejściu z oślepiających pasów jasności noc wydaje się o wiele ciemniejsza. Nie widzą nic.

– Merde! – mówi Marcel. – Tout merde!

Przerwany sygnał kopalnianej syreny pulsuje nieustannie. Jest tylko czerń i ten dźwięk.

Karina spała w fotelu. Przeniósł ją na łóżko i położył, a później zsunął z niej szlafrok. Otworzyła oczy i pocałowała go. Natychmiast zasnęła znowu. Stał tuż nad nią.

„Jak ją nazwać? Zaraz ukaże się po raz pierwszy. Gdzie jestem ja sam w tym wszystkim? Opisać to, co widziałem pod ziemią, kiedy siódmy pokład zalała woda, a trupy unosiły się na jej powierzchni tuż pod stropami chodników? Napisać, co czułem, leżąc potem goły, jak inni, wydobyć z tego piekła, na zimnej posadzce łaźni?

Ona nie może nazywać się Helga. Musisz coś wymyślić. Ty też jesteś nieistotny, nieważny. To nie będzie o tobie. Przecież w tym momencie, kiedy zaczyna się to, co piszesz, zagłada siódmego pokładu, a nawet śmierć tych czterdziestu trzech ludzi to już przeszłość. Wszystko idzie dalej. Toczy się. Boże, jaki jestem słaby! Karina wydała mi się niezmiernie ciężka. Leży teraz i śpi. Nic nie wie. Ja sam stałem się zupełnie lekki. »Stan nieważkości.. Unoszę się, to znów zagłębiam. »In – out, in – out« (dowcip ci się rzucił).

Dobrze. W takim razie – wszystko jak było. Myje posadzkę. Nie pamiętam jej twarzy. Dwoistość. Tak jak Karina w warsztacie na Bethnal Green, a potem wieczorem, po wyszorowaniu rąk proszkiem, w restauracji hotelu »Hilton«. Intelktualne rozmowy, mizdrzenie się. –

»Mały realizm już się przejadł, nie uważa pan?... Werystyczność, abominacyjne odkształcenia współczesnego malarstwa są zupełnie nieuzasadnione... Grotowski... Grotowski urodził samego siebie...« A dookoła marmury. Hilton... Hil... – Było takie niemieckie imię. (Musi być niemieckie! Żadne inne!) – Hilda... Dobrze. Będzie się nazywała Hilda. Jakie miała oczy?... Nieważne. Wymyśl! Wymyśl wszystko! Także to, czego nie chciał powiedzieć ci Peter Kerns. Nie chciał albo nie mógł... Na jedno wychodzi. Teraz już i on jest bez znaczenia. Jak ty sam. Spokój. Nie ma Londynu. Nie ma całego dzisiejszego świata!”

Znowu buty, lecz tym razem czyste lśniące buty niemieckiego oficera wymierzają precyzyjne kroki wzdłuż ludzkich głów, spoczywających na zimnych kafłach kopalnianej łaźni. Wydobyli spod ziemi leżą w jednym szeregu.

Eleganckie, lśniące buty stukają i skwierczą przy nagłych skrętach. Widziane na tle brudnych, zmienionych twarzy, stanowią kontrastowy akcent porządku i dbałości.

Niektórzy z leżących poruszają się słabo, łapiąc spazmatycznie powietrze. Właściciel wyglansowanych butów, major Ludwig Hartmann, weteran pierwszej wojny światowej, komendant jenieckiego obozu w Ilwitz, przechadza się wolno, wyprostowany i odległy. Tuż przy nim, starając się bez powodzenia utrzymać z nim krok, posuwa się mały, łysy człowieczek w białym lekarskim kitlu. W pewnej chwili osobnik ten przykłęka przy jednym z leżących, ujmując na parę sekund jego rękę, po czym puszcza ją. Ręka opada bezwładnie.

Jedna z dwóch dziewczyn, zajętych myciem podłogi, przerywa swą pracę i zwraca oczy na doktora.

– Erledigt? – oficer zatrzymuje się na moment.

– Ja – twarz medyka jest blada. Poprawia okuła:

– Der Nächste! – rozkazuje Hartmann, podejmij swój przerwany spacer.

Doktor, pochylając się nad następnym z leżących, odwraca go twarzą do góry.

– Vergiftet! Sie sind alle vergiftet – oznajmia, spoglądając na zegarek w chwili mierzenia pulsu. – Aber es ist viel! schlimmer mit dem da.

– Gut. Du! – Hartmann zwraca się niespodziewanie do dziewczyny obserwującej z przerażeniem całą sceną. – Er will was trinken! – Wyciera ręce o swój fartuch. Jej oczy robią się naraz ogromne.

– Verstehst du? – komendant ruchem ręki pokazuje jej, jak ma przechylić wiadro z brudną wodą. Uśmiecha się. Dziewczyna posłusznie wylewa zawartość wiadra na głowę leżącego. Oblany zanosi się kaszlem i wymiotuje. Major dotyka czubkiem buta jego głowy. Nagi otwiera oczy.

– Siehst du? Alles in Ordnung. Gesund! – oczy komendanta napotykną wejrzenie sprzątaczk: – Woher kommst du?

– Aus Hamburg.

– Hure? – jest to proste stwierdzenie.

– Ja – odpowiada dziewczyna.

– Los, arbeiten! – ryk majora jest nieoczekiwany. Dziewczyna, drgnąwszy nerwowo, cofa się o krok i pochyla nad swoim wiadrem.

Właśnie w tej chwili ukazuje się w drzwiach mężczyzna, dźwigający na plecach bezwładne ciało jeszcze jednej ofiary katastrofy. Twarze obu przybyłych są czarne od węglowego pyłu. Ratownik, dostrzegając Hartmanna, zatrzymuje się na moment.

Komendant obserwuje go zmrużonymi oczyma. Jeniec wlecze się ze swym ciężarem w kierunku leżących. Słaniając się na nogach obniża łagodnie trzymane ciało, układa je i naraz pada obok, dysząc ciężko.

Hartmann spluwa, podchodzi do leżącego i potrąca go nogą.

– Nun, mein amerikanischer Held, wie geht's ihnen? Wirst du das zurücknehmen? – stoi teraz tuż obok głowy dyszącego ciężko jeńca. Ten powoli otwiera oczy, a potem, jak gdyby

pokonując straszliwy ciężar, unosi się na łokciu. Jego podarta wojskowa koszula jest mokra i czarna od węgla. Twarz ma pokrytą potem. Spogląda na Hartmanna.

– Hitler ist der Führer. Der Führer Hitler ist. Hitler ein Schweinhund ist. Und du bist... – nie kończy. Major kopie go nagle w usta.

Dziewczyna zasłania oczy.

– Hilda, wyjdź! – szepce jej sąsiadka.

Stoją obie bez ruchu, jak wmurowane w ziemię. Wyższa z dziewcząt odejmuje dłoń od oczu. Potrząsa głową przecząco.

– Bandyto! – dyszy Hartmann. – Zrównałeś z ziemią moje miasto! I jeszcze... ośmielasz się... Odwołaj! – kopie teraz z półobrotu, jak gdyby mając przed sobą nie ludzką głowę, a piłkę.

– Nein! Hitler kaputt!

Oczy Hildy rozwierają się szeroko. Dostrzega w grymasie bólu leżącego coś jakby cień uśmiechu. Tak, nie myli się. Jeniec uśmiecha się pomimo strużki krwi, ściekającej mu z ust i z nosa.

– Ein Held, ja? – w oczach Hartmanna zapalają się okrutne błyski. – Steh mai auf!

Leżący podnosi się ciężko i prostuje. Jest bardzo wysoki i chudy. Hartmann uderza go w twarz raz i drugi.

– Jestem amerykańskim oficerem i nie macie prawa mnie tu trzymać! Protestuję! To jest przeciwko... – ociera krew rękawem swej poszarpanej koszuli.

– A kiedy rzucałeś bomby na Nübingen, to myślałeś o prawie? Zastanawiałeś się nad tym, bandyto? – Hartmann próbuje zapanować nad sobą. Dyszy ciężko z wściekłości. – Wiesz, co ty jesteś? – strzela obcasami. – Ty jesteś robak. Mógłbym cię tak...! – przygważdża swym butem coś niewidzialnego do posadzki. – Ale nie. To byłoby za łatwe. Pójdiesz tam z powrotem i zdechniesz pod ziemią. I długo będziesz zdychał, gwarantuję! – spluwa i wychodzi.

Jeniec klęka i kładzie się.

Hilda nie odrywa oczu od jego twarzy.

– Daj mu to! – rzuca doktor, wskazując stojącą pod ścianą butelkę.

Podbiega do leżącego natychmiast i przytyka szyjkę butelki do jego warg. Pije chciwie.

– Co to? Herbata? – spogląda na dziewczynę.

– Tak, herbata – odpowiada, ścierając krew z jego twarzy.

– Jaka dzisiaj była pogoda...?

– Pogoda? – jest zdumiona pytaniem.

– Tak, pogoda – powtarza ze zniecierpliwieniem swą gardłową, osobliwie brzmiącą niemczyzną.

– No... była... ładna. Słońce... – bąka w odpowiedzi.

Wpadają dwaj esesmani. Cofa się. Jeden z przybyłych potrąca ją. Butelka wypada jej z rąk, uderza o ziemię i rozbija się. Dziewczyna zaczyna zbierać szklane okruchy.

Esesowcy wyprowadzają więźnia.

– Gdzie go bierzecie? – rzuca doktor.

Niższa z dziewcząt, blondynka, wchodzi z wiadrem. Obie spoglądają w milczeniu.

– Tam, skąd przyszedł – odpowiada jeden z esesmanów. – Gdzie nie dostanie udaru słońca. – Prowadząc ślaniającego się więźnia w stronę drzwi, śmieją się.

Jeniec zwraca głowę za siebie i spogląda na leżące nieruchomo postacie. Potem znika.

– Gizella! – szepce wyższa z dziewcząt. – Gdzie go biorą?

– Nie wiesz? – blondynka spogląda na nią ze zdumieniem! – To jakiś pomyrdany cowboy, zestrzelony nad Moguncją... Nie, nad jakąś dziurą, z której pochodzi ta swolocz, Hartmann. Odbiło panu majorowi. Mści się. Już rok trzyma tego Amerykańca na dole starego szybu za obrazę Führera czy coś takiego... Rok bez słońca dlatego, że nie chce odwołać. Idiota, nie?

– Tak, idiota – mówi Hilda, pochylając się nad ciałem mężczyzny, którego przyniósł Amerykanin. Leżący nie porusza się. Dziewczyna przykłęka i zaczyna łagodnie obmywać jego twarz.

– Widziałam wczoraj fantastyczne czerwone Audi – rzekła Karina, upijając łyk herbaty. – Wyglądało jak płomień.

– Pięknie pani powiedziała, ale Audi to nie jest wóz – odparł Gerald Green. – Dla takiej luksusowej dziewczyny, jak pani, to tylko Saab Automatic.

– Ładnie „luksusowej”. Widzi pan? Łapy nie pomagają – pokazała mu czerwone cętki na swych dłoniach i nadgarstkach. – Kiedy boruję, to rozgrzane opilki wpadają mi za rękawice.

– Widocznie mąż pani kiepsko się stara – Green roześmiał się. – W moim zakładzie jeszcze taka, jak pani, nie pracowała. A z Polski miałem sporo ludzi.

– Taka jak pani to powinna siedzieć na Lido albo na Miami Beach i popijać Cinzano z lodem.

– Słyszałeś? – roześmiała się.

– Słyszałem.

– Ja pana bardzo przepraszam. Popiłem dzisiaj troszkę z klientem, więc... Dla pani Kariny to nawet siedemdziesiąt pensów za godzinę jest za mało. Szczerze mówię.

– Zapomniałam ci powiedzieć – uciekła na moment z oczyma, a potem znowu je podniosła. – Pan Richard dał mi od wczoraj podwyżkę.

– On?! Przecież to ja! – zaprostował Green.

– A właśnie że pan nie chciał – zrobiła jedną ze swoich minek. – Gdyby nie pan Jones, to by mi pan nie podwyższył.

– Ja tobym pani... – nie dokończył. Spojrzał na twarz redaktora. Był już taki, jak zwykle. – No, do roboty! Tea time's over! – wykrzyknął, marszcząc brwi.

„Teraz salwa. Przejadę się po tym wszystkim. Płaskownik trzeba przesunąć równo i nie szarpać. Pedał do dechy. Wtedy grzmi seriami. Tak, dobrze – strącam! Ty zawsze zostaniesz chłopcem. Wszystko, co robisz, traktujesz jak zabawę. Nie, mamo. Już jest coś, co traktuję inaczej. Lepiej późno niż... Cieszysz się? Wiem, że się cieszysz. Nie potrafię nazwać tego, co czuję. To coś większego. Nie mieści się w słowach.

Są już Felicity z Jamesem. Spóźnili się. Widocznie lunch u Greka jadło dzisiaj wielu ludzi. Te straszne, wodniste ziemniaki i wołowina pozbawiona smaku. A potem custard... Nigdy bym nie przypuszczał, że Felicity i James... Ale Karina twierdzi, że jestem naiwny, nie widząc ich spojrzeń, dotyku dłoni...

Karina... Hilda będzie teraz rozmawiała z koleżankami. Dam już chyba spokój z niemieckim. Był potrzebny dla stworzenia klimatu... Nie! Tak to mi dźwięczy w uszach. Nie umiem o tym inaczej. Ale obcy język komplikuje... Co, co komplikuje? A ty i miliony innych nie musieliście się domyślać i brać cięgi za pomyłki?! Niech teraz domyślają się ich inni. A więc Hilda z koleżankami... Nie, jeszcze przedtem musi dostać podwyżkę... Co ja bredzę?... Kłutuje mi się to wszystko w głowie. Nie, nie tak. Hilda jest ładna. Któryś z mężczyzn będzie chciał, aby... Nie, poczekaj! Kiedy leży przed tobą kartka papieru, wtedy pojawiają się myśli. Więc dobrze z tym niemieckim?... Tak, w ten sposób jest prawdziwsze. Tylko tamte, wredne słowa są w stanie oddać... Psiakrew! Źle wybiło. Teraz ten źle wycięty pasek, który został w maszynie, będzie się odgniatł na następnych krążkach. Trzeba go wyjąć, bo inaczej cała seria wyjdzie do kitu.

Pieprzysz, tato! Jak ty się odzywasz do ojca? Dziękuję ci, Basta, ale lepić abyś w inny sposób i gdzie indziej podnosiła mój autorytet. Nie werbalnie. »Werbalnie«, co to za słowo? Gdzie ty żyjesz? Z kim rozmawiasz? Chyba czas, abyś zaczął chodzić po ziemi! Dostyć! O czymś weselszym. Karinie wraca głos. Znowu śpiewa. Czuje się lepiej. Wczoraj przecież w łazience...

Niepotrzebnie wszedłem. Myślała, że tylko po to, aby... To jej ciało, zapach... Wystarczy, żeby pokazała kolano... «A on dostał takiej manii, że chciał tylko od Stefanii... Nowy płaskownik! Dalej, równo! To radio piszczy zupełnie niepotrzebnie. Co oni grają? Brzmi podobnie do »Lili Marlen«...

Dobrze. Następny. Zaczynam nabierać wprawy. Mało, budzi się we mnie sportowa ambicja, aby zrobić więcej sztuk od Jamesa. Idiotyizm. Trzeba by kiedyś zamieść to klepisko. Tkwią w nim prawie prehistoryczne pety. Oby nie przyszło im do głowy, że czas już na herbatę. Nie mam zupełnie ochoty na rozmowy o tej przeklętej wadze. Karina potrafi. Rozmawiają właściwie tylko z nią. Podbijała ich stopniowo, a teraz ma już ich w ręku. Nawet się nie spostrzegli, że cały ich warsztat zaczął od jakiegoś czasu kręcić się wokół jej osoby. A na początku byli tacy obojętni. Inni także.

Taki Robert Lovell i Joe Ramez, na przykład. Teraz wydzwanają obaj co dnia i nawet ze mną samym chcą się umawiać. Altruści! Jutro odbędzie się nowa mistyfikacja. Najpierw szorowanie rąk, a potem, wieczorem – nowy show – »Para... stamtąd«. Wyciszone, dyskretne zainteresowanie, uwagi, niekiedy pytania...

Jak się nazywa ten impresario czy producent, z którym ostatnio przyjechał Lovell? Brams? Brems? Chyba Brems. Pocieszy grubas. Nawet nie krył, że wpadł z krestem, i to od razu. – »Jak państwo spędzają dni?« (Czytaj – »jak pani spędza?«) I ta uwaga, jaką rzuciła wtedy po polsku Karina – »Gdybym mu powiedziała prawdę, toby zemdlał«. Jakoś mam już dość tych »mdlejących«. Hilda... Najlepiej byłoby...»

Rudi Walden biegnie sprężystymi krokami w górę żelaznych schodów, wiodących do sortowni. Zatrzymawszy się, strzepuje jakiś niewidzialny pyłek ze swych opiętych spodni, a przy tej okazji stwierdza, iż jego nowe wysokie buty prezentują się znakomicie. Potem obciąża zwykłym ruchem kurtkę esesmańskiego munduru. Zwalnia i ostatnie stopnie, dzielące go od rozsuwanych drzwi, przebywa bardzo wolno. Wchodzi wyprostowany.

Huk rozsadza bębenki. Rząd kobiet, spowity tumanami czarnego kurzu, trwa pochylony nad przesuwającą się taśmą z bryłami węgla.

Przybyły odpowiada niedbałym machnięciem ramienia na honory oddane mu przez starego wartownika z karabinem. Staruch rusza początkowo w jego kierunku, lecz nagle zwalnia i zawraca. Walden kwituje to leciutkim uśmiechkiem. Jego błękitne oczy obserwują pracujące kobiety, przeskakują z sylwetki na sylwetkę. Wreszcie zatrzymują się na pochylonej Hildzie. Podchodzi i staje tuż za nią.

Dziewczyna pracuje jak automat. Jest niewątpliwie świadoma jego bliskości. Nie ogląda się jednak. Podejmuje odrzuconą przez nią czarną bryłkę.

– Ist das ein Stein?

– Ja – odpowiada, nie odwracając głowy.

– Weisst du, wie man das nennt? – zaczyna krzyżeć nagle ostrym, młodzieńczym jeszcze, głosem. – Sabotaż! Wyrzuciłaś kawałek cennego surowca, który jest kriegswichtig! Mógłbym o tym powiedzieć, gdzie trzeba! – zniża głos. – Twoje szczęście, że jesteś w moim typie. Będziesz czekała na mnie pojutrze, kiedy skończę pracę, przy północnym wejściu na plac drzewny. Verstanden?

– Ja – dziewczyna nie odwraca się. Tylko jej głowa pochyla się jeszcze niżej nad snującą taśmą.

Esesman zmierzając w kierunku wyjścia kopie grudkę węgla, leżącą na kratkowanej blasze podłogi.

Dziewczyna pracująca obok Hildy uśmiecha się.

– Wesołego Alleluja!

– Mam go gdzieś! – Hilda spogląda na sąsiadkę, wsuwając pod swą czarną chustkę kosmyk włosów.

– Będziesz go miała.

Dźwięk syreny sprawia, że kobiety przy taśmach przerywają natychmiast pracę. Podnoszą się. Są już nowe, które zajmą ich miejsca.

Wnętrze pokoju w kobiecym baraku pachnie szarym mydłem. Dwupiętrowe prycze stoją przy trzech ścianach. Na surowych deskach znajdują się zdjęcia amantów filmowych, przypięte pluskiewkami dwie pornograficzne fotografie oraz portret Madonny z Dzieciątkiem.

Berta, tęga kobieta około czterdziestki, zajęta czesaniem Ingi, siedzi wraz z nią okrakiem na jednej z dwóch ław, znajdujących się po obu stronach stołu.

Gizella, leżąc na górnej pryczy, czyta książkę. Marta gra na organkach.

– Gdybym miała twoją figurę, to brałabym najmniej dwadzieścia marek. Do tego czasu miałabym już dawno służącą, własny dom z ogrodem i jeszcze kaczkę – mówi Inga, przechylając głowę na stronę rozczesywanego loka.

– Gdzie? – Marta na moment przerywa grę.

– W stawie. Przed domem byłby staw.

– Kaczki... Zaraz widać, z kim się ma do czynienia! Kiedy macałaś ostatni raz kury u swego taty? – Gizella wybucha śmiechem. – Ty i te twoje kaczki!

– Lubię gadzinę – Inga prostuje się i spogląda w górę.

– Gadzinę? Słyszałyście? Trzymajcie mnie, bo puszcze! – Gizella zaczyna pokładać się ze śmiechu.

– Ona jest dobra dziewczyna, a ty nie rycz – rzuca Berta, nie przerywając czesania włosów Ingi.

Wchodzi Hilda. Jej twarz jest pokryta węglowym pyłem.

– Bon giorno! – błyskając białkami oczu, zrzuca brudną, drelichową kurtkę i podchodzi do miednicy. – Czyje to? Chcecie, żebym wam powiedziała tak „od mamy”? Co jest z tą miednicą, do jasnej cholery?! Pralnię robicie?!

– Ostatnio, kiedy myłaś w niej swój brudny tyłek, musiałam ją szorować pół godziny – włącza się Marta.

– Jak?... Jak ty mówisz?... – Hilda rzuca się w kierunku pryczy. – Zresztą dobrze. I tak każdy wie, że mój tyłek więcej wart od twojej twarzy!

– Ty chamko! – Marta odejmuje organki od ust. – Gdybyś się tak odezwała u nas w „Amico”, to pani Weiss wyrzuciłaby cię na zbitą twarz!

– Taka ona była pani jak i ty – odpowiada Hilda.

– Panienci, spokój! – mityguje je Berta.

– Nie możesz wziąć drugiej miednicy? – wtrąca Gizella. – Jest pod moim łóżkiem. Ilu poszło do lali w tym tąpnięciu?

– Będę wiedziała pojutrze – odpowiada Hilda, napełniając miednicę wodą. – Jak dotąd czterdziestu sześciu.

– Mój Boże, czterdziestu sześciu zdrowych chłopów! – wykrzykuje Gizella, wznosząc oczy w niebo.

– Niektórzy z nich byli chorzy – zauważyła Inga.

– Tak, ale czyja to wina? – odpowiada Gizella z taką miną, że wszystkie się uśmiechają.

– Wesole wam, co? – mówi Berta. – Cieszycie się, że to nie wy.

– Takie jak my śmieją się tylko na pogrzebach – Marta znowu odkłada organki. – Ale to nic nie znaczy.

– A co w ogóle coś znaczy? – mówi Hilda, namydlając szyję.

– Rudi umówił się ze mną na pojutrze.

– Świnia! – zauważa Gizella. – Wiele już świń widziałam, ale takiej nigdy. Dał mi tylko pół bochenka.

– Mnie nawet tyle nie da – odpowiada Hilda.

– Nie bądź idiotka! – wykrzykuje Berta. – A ile brałaś w Hamburgu?

– Kiedy byłam sama – siedem marek. Później, u „Ciotki Feli” dziesięć, a w „Trick Track” dziesięć, dwanaście... i prezenty!

– Najgorzej to jest nie mieć ambicji – mówi Gizella. – Gdybym nie dostała z góry piętnastaka od faceta, nawet bym na niego nie spojrziała.

– Byłaś kiedy głodna? – Hilda unosi namydloną twarz znad miednicy i spogląda na Gizellę.

– Ona głodna? – wtrąca Berta.

– Baby! – Gizella prychna pogardliwie. – U nas, w Mediolanie, mogłabym kupić taką jak ty.

– No i czemu ty łzesz? – wtrąca Marta. – Kiedy cię tu przywieźli, miałaś jedną kieckę na grzbiecie.

– Bo mnie w południe wzięli, kiedy spałam – odpowiada Gizella. – Nie zdążyłam nic zabrać. Zresztą nie byłam we Frankfurcie na stałe.

– Dobrze. Spokój! – zabiera głos Berta.

– Bo tylko chciałam powiedzieć Hildzie, że nie można lekceważyć samego siebie – dodaje Gizella.

– Hilda nie może brać więcej – oświadcza Inga. – Spójrz, jaka chuda.

– Zamknijcie się! – przerywa Berta. – Kiedy handlowałam mięsem, trzy lata temu, to mówili, że wojna się skończy za miesiąc. Ale najważniejsze, że jeśli takie, jak my, wzięli do pracy w kopalniach, zwycięstwo jest pewne.

– Hilda, jadłaś coś?

– Eintopf z chlebem. Jak się nazywa ten, którego trzymają na dole?

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – Berta wytrzeszcza oczy.

– Interesuje ją wydobywanie! – rzuca Gizella ze swej pryczy.

– Nie robiła tego jeszcze pod ziemią – Inga zaczyna chichotać.

– Zakochałaś się w nim? – pyta Berta. – Raz zakochałam się w takim jednym jak wariatka. Chodził do mojej kumpelki. Wiedziałam, że jakby przyszedł do mnie, zrobiłabym wszystko, co by chciał.

– No i?... – rzuca Inga.

– Nigdy nie przyszedł – Berta milczy przez moment. – Ten na dole nazywa się Kerns czy jakoś tak.

– Kerns? – Hilda spogląda w stronę okna.

– A co, wołałabyś Juliusza Cezara? – Marta kładzie się na brzuchu i zaczyna grać „Erikę”.

– Kto to? – pyta Hilda, wycierając się brudnym ręcznikiem.

Marta wybucha śmiechem: – Trzymajcie mnie! Ona nie wie, kto to był Juliusz Cezar! Nie chodziłaś do szkoły czy co?

Wyraz twarzy Hildy zmienia się.

– Chodziłam cztery lata, ale wszystko zapomniałam. Potem jedna pani uczyła mnie tańczyć. Kazała mi za to... No, wiecie...

– Z babką? To nie jest takie złe – mówi Inga. – Ja nieraz lubię.

– A co potem? Puściłaś się wcześniej, tak? – Marta przerwała grę.

– Wcześniej – rzuca Hilda, naciągając koszulę. – Pierwszy zarobek przyniosłam, jak miałam czternaście lat.

– Komu... dałaś tę forszę? – Marta kładzie się na boku.

– Takiemu... niby mężowi matki. Ojczym się taki nazywa czy jak?

– O, cholera! – wtrąca Gizella. – Musiała to być niewąska swołocz. Ja w tym wieku to jeszcze śpiewałam w kościelnym chórze. Pamiętam... hi, hi, hi... jak kalikowałam przy organach.

– Co robiłaś? – zainteresowała się Inga.

– „Kalikowałam”, ruszałam czymś takim, co dmuchało w organy.

– Przepraszam cię – mówi Marta do Hildy, poważniejąc.
– No i po co jej szkoła? – oznajmia Gizella, zsuwając swoje długie nogi z górnej pryczy. Oparłszy jedną stopę na brzegu stołu, schodzi na ziemię, deklamując przy tym z komicznymi gestami.

Całowałam złotą szyję sosny,
którą księżyc jasną tarczą
zwodził.

Kumkaniem żabim niosło,
duszną macierzanką.
Niebo już różowiło –
Znowu świt się rodził...

– przerywa, spoglądając na towarzyszkę. – No i po co to? Do chrzanu tarcia! Nigdy nie było mi to potrzebne. Chociaż, nie... – zastanawia się. – Raz było... Edukacja... Tak, raz mi się przydało. Raz jeden hrabia, czy coś w tym rodzaju, prosił, żebym mu mówiła wiersze przez całą noc.

– Stary był? – pyta Marta.

– Nie. Młody, zadbany. Paluszki lizać. Ale tak dzisiaj myślę, że nie wszystkich miał w domu.

– A może to był porządny człowiek? – mówi Berta. – Raz spotkałam porządnego człowieka. Kartkami na chleb handlował. Za drugiego sztosza dawał mi zawsze premię.

– Nie mógł czy jak? – dziwi się Berta.

– Mógł, a dawał. Właśnie o to chodzi. To był naprawdę porządny gość.

– Ten mój hrabia płakał i wzdychał bez przerwy – dodaje Gizella.

– Płakał? – Inga wytrzeszcza oczy.

– No i co się tak dziwisz? – wtrąca Marta.

– U mnie też jeden płakał. Przychodził dwa razy w tygodniu i zawsze płakał.

– Płakał, kiedy przychodziło do płacenia – rzuca Gizella i wszystkie wybuchają śmiechem.

– A ten twój hrabia zapłacił ci? – pyta Inga.

– Jeszcze ile! Ja tam nie jestem wariatka. Za jego forszę kupiłam sobie japoński parawan i czarną kombinację.

– Berta! – rzuca naraz Hilda szeptem. – Chciałabym zjechać na dół do tego Amerykanina.

– Oszalałaś?! Nie lubię, kiedy gadasz głupstwa.

– Kiedy naprawdę...

– Nudzisz mnie. Idę spać. Zachowujcie się cicho! – Berta zaczyna wdrapywać się na swoją pryczę.

– ...Uwaga! McHornik zbliża się, przechodzi Meddisona, wspaniałym wykopem przerzuca piłkę do Pervisa. Ten ogrywa Moora – Moor jest dzisiaj gorzej dysponowany, zdecydowanie gorzej! – Ale nie, udaje mu się mimo wszystko odebrać piłkę Pervisowi. Podaje ją do Treaka. Mamy kontratak Blackpool! Piłkę otrzymuje Movey i idzie z nią lewą stroną boiska... Faul, tak! Movey uderzony przez Reeda leży na ziemi. To był typowy bodiczek. Tylko że to nie hockey, proszę państwa... Nie hockey... – Fred, odsuwając od ust mikrofon, zrobił oko do sąsiada. Redaktor pokiwał głową i odpowiedział mu uśmiechem.

Siedzieli obaj na betonowym obmurowaniu wejścia na stadion. Siąpił deszczyk. Widzowie skupili się jedynie pod dachem głównej trybuny. Byli zbici w kolorową, hałaśliwą grupę. Mokre ławki po przeciwległej stronie stadionu połyskiwały. Za drzwiami wznosiły się rdzawe mury zamku Heston.

– Tak więc, proszę państwa, na minutę przed końcem spotkania, stan meczu pomiędzy drugoligowymi „Blackpoll Transit” a „Brommich United” brzmi: trzy-jeden – wargi Freda znowu zaczęły się poruszać. – Gra już została wznowiona. Henry Jossey, zaledwie dwudziestoletni stoper Blackpool, decyduje się na samotny rajd. Idzie na przebój. Podoba mi się ten

chłopak. Jest w nim coś żywiołowego, no i sporo umiejętności. Zupełnie tak, jakbym oglądał młodego Craisea. Przed laty, oczywiście. – Ha, było, minęło. Dość dygresji. Jossey poczyną sobie coraz lepiej – mija Johna Blacka, podaje do Moveya. Ten krótko zagrywa do Jenkinsa. McHornik próbuje temu przeszkodzić. Pervis rzuca się na ziemię. Niesamowite zamieszanie! Nicki wybiega z bramki. I w tym momencie Moor spokojnie strzela lewą nogą, umieszczając piłkę w siatce. Goal! A więc: trzy–dwa! Jest w tym trochę winy bramkarza. No, ale samotny rajd Jossey'a był przedniej marki! To było coś na poziomie najlepszych mistrzów. Można by go porównać do sławnego rajdu Dan Crava w Monte Video ubiegłego roku. Nicki w dzisiejszym spotkaniu, podobnie jak jego sławny kolega i rywal zarazem, w bramce Monte Video, był zupełnie bezradny.

Sędzia widocznie doliczył jakieś minuty. Trwa jeszcze walka o piłkę. Ale to już sekundy... Nic nie może się zmienić. W tym momencie ukazało się nareszcie słońce, a pan... – zerknął do trzymanej w dłoni kartki – ...Roy Turner z Harwich odgwizdał koniec tego interesującego spotkania. Dziękuję raz jeszcze. Przypominamy – wynik spotkania pomiędzy drużynami „Blackpool Transit” a „Broommich United”, trzy–dwa! Do usłyszenia. Żegnam państwa! – Fred wyłączył i odłożył mikrofon. Przeciągnął się.

– Zupełnie, jakby człowiek przez dziewięćdziesiąt minut miał w gębie młynek do kawy, nie uważasz? Po „zemleń” jednego meczu gardło robi się drewniane.

– Bye, Johnny! See you! – wykrzyknął, kiwając głową dryblasowi w czerwonym swetrze. Przypieszyli kroku.

W niskim betonowym przejściu pachniało potem. Z oddali niosło „Jolly Good Fellowem” śpiewanym płataniną młodych głosów w miejscu, gdzie znajdowały się szatnie zawodników.

– Jeśli nie urwiemy się natychmiast, to zaproszą nas na takie słone paluszki! Specjalność Heston – Fred przypieszył kroku. – Tutejsi obżerają się tym świństwem, chłepcząc piwo. U was też są po meczach poczęstunki?

– Gorzej – powiedział redaktor, także niemal biegnąc. – Ktoś nam kiedyś wmówił, że jesteśmy najgościnniejszym narodem świata.

– Jedynym, rozumiem. To tak jak z jesienią – rzekł Fred. – Kiedy byłem w Pradze na zawodach, dowiedziałem się, że nie tylko my, ale Czesi także mają „the golden autumn”. To się nazywa „złota praska...”

– My też mamy, pociesz się. To się nazywa „złota polska jesień” i każdy Polak da sobie uciąć głowę, że jego jesień jest jedyna na świecie.

– Żartujesz! – parsknął śmiechem. – Przecież jeśli chodzi o jesień, to paryżanie i mieszkańcy Wiednia wierzą...

– Każda drużyna musi wierzyć, że posiada coś specjalnego. Inaczej nie ma dyspozycji strzałowej.

– To tak jak ze szczęściem w małżeństwie. Tak długo, jak się wierzy, że ma się coś specjalnego, jest dobrze. Z dyspozycją strzałową też.

– Właśnie.

Weszli do szoferki. Z tablicy rozdzielczej obok radia zwisała damska podwiązka.

– O, widzę, że coś przybyło – rzekł redaktor. – Nie uważasz, że należałoby ją wyprać w wolnej chwili?

– To jest podwiązka–symbol. Znalazłem ją w szkatułce mojego dziadka po jego śmierci. Leżała razem z listami i zdjęciem pewnej damy. Dawniej kobiety może rzadziej się myły, ale były uczciwsze. Ruszyli.

– Gdybym ją wyprał, przestałaby być symbolem. Dzisiaj dziewczyny robią „Bóg wi co”, potem wchodzi do wanny i znowu są nieskalane. Zupełnie jak politycy.

– Niektórzy – odparł redaktor, starając się bez skutku wyprostować prawą nogę. – Wiesz... zacząłem pisać coś... Nie bardzo wiem, co to jest.

– To może być albo bardzo dobre... – zaczął Fred, uśmiechając się do dwóch chłopaków, którzy z tylnego siedzenia czarnego Rovera wyczyniali do nich miny.

Fred, wywaliwszy język i wywracając przerażająco oczyma, dał sygnał i przyspieszył. Znaleźli się przed Roverem.

– ...albo bardzo złe – dokończył dopiero teraz. – Opowiesz? Tu będzie genialny pub po drodze... Jak myślisz?

Czarny samochód, wyprzedziwszy ich niespodziewanie, rwał do przodu jak wiatr. Chłopcy podskakiwali na tylnym siedzeniu, machając rękoma.

– Myślę – odpowiedział, uśmiechając się.

– Więc Karina nie lubi sportu – zaczął Fred. – To chyba nie jest źle. Gdybyście oboje lubili zupełnie to samo...

Stało się to w tym właśnie momencie. Twarze chłopców w tylnym oknie czarnego samochodu najechały na nich, powiększając się niesamowicie. Nie usłyszał nawet uderzenia. Nie zdążył wyprostować rąk, by wesprzeć je na tablicy rozdzielczej.

Rozjarzyła się w nim ognista pomarańcza i zgasła nagle, zamieniając się w ciemność.

VI

Brak przytomności miał trzy natężenia. Pierwsze, kiedy nie czuł w ogóle nic. Drugie, kiedy trwał w nim przeszywający gwizd. I trzecie, gdy, dotarłszy do granicy obojętności na ból, zaczął słyszeć dźwięki, podobne do gwarzącej „ironicznie” wody górskiego strumienia. W tej trzeciej fazie gwizd jeszcze nie przestał być słyszalny, lecz zszedł na drugi plan. Natrętne pogadywanie łączyć się zaczęło z nawracającymi falami bólu.

Natężył się jakoś od wewnątrz i wtem usłyszał własny jęk. Tu trzecia faza się skończyła. Oprzytomniał. Otworzył oczy. Blask był oślepiający. Zamknął je znowu.

– W porządku – powiedział ktoś, znajdujący się ogromnie daleko. – Niech siostra... – dalsze słowa uleciały. Gwizd zamienił się w szum.

Na szum ten składają się... – zaczął myśleć opornie, ze straszliwym natężeniem – ...składają się... to któraś z odgiętych blach tnie powietrze... palimy się od spodu kadłuba... intercome przekazał tylko ten rozkaz... teraz należy według instrukcji... Helga odgina swą koszulę... zobacz, prawiczku... zobacz sobie... to jest... sięga nisko, coraz niżej... w kieszeni pływającego trupa pod stropem chodnika jest kromka chleba... to balon powietrza... jesteśmy w balonie powietrza, gdyby nie to... przecież mówi Vincent! Ale on nie żyje...

– Żyje – oznajmia ktoś bardzo blisko.

Otwiera oczy. Obok łóżka siedzi uśmiechnięta dziewczyna. Ma ciemną twarz i białe zęby. Łóżko jest niesamowicie wysokie, jak wtedy... Ślizga się oczami po suficie i już wie, że to tu... to jest... nic się nie zmieniło... wszystko to samo... te rurki wysoko w górze, a na nich zasłony oddzielające łóżka... zaraz przyjdzie Suzan, a on ją będzie... tak – ręką, żeby nikt nie widział... tuż obok, wokół łóżka tego Szkota, któremu bomba urwała nogi, siedzi przecież cała rodzina... trzeba więc ostrożnie... po twarzy Suzan przebiegają skurcze... siedzi wyprostowana...

Grube wargi na ciemnej twarzy rozciągają się. Znow widać zęby. To jest uśmiech – konstataje. – Ach, to... to przecież Hilda. Nie muszę się bać, że ktoś zobaczy, jak ją... Ona jest przecież nieprawdziwa, wymyśliłem ją... naprawdę nazywała się zupełnie inaczej. A jak. A jak. A jak? – dudni gdzieś przeciągle z drwiącą intonacją. – To kamień, Mareczku, woda tak sobie gwarzy, opowiada bajki... – nadleciało stado nowych słów. Są jak ptaki, lecą na południe. Widzisz, syneczku, ptaszki odlatują do ciepłych krajów... Idzie jesień – polska złota jesień.

– Jesień – rzekł naraz głośno po polsku. – Jesień wśród zalesień.

– I beg your pardon?

To Hinduska, nie Murzynka. Londyn. Rąbnęliśmy w czarny Rover. Jechało w nim dwóch chłopców... Idzie noc. Jest coraz bliżej. Wszystko drży i robi się mdłe, jak konfitury z róży. Właśnie – mdłe.

– Siostró, będę chyba wymiotował. Chciałbym...

„Któres popołudnie, któregoś dnia w którymś miejscu... Przecież znam tę twarz. Śmieje się? Nie. Płacze. Też rozciągnięta. To nie Suzan – Karina. Tylko miejsce to samo.

– Przepraszam uprzejmie, czy to University College Hospital? Tak? Dziękuję.

Wcale się, jak zwykle, nie wygłupiam. Co to za język? – Polski. Mówię, więc jestem. Jak to będzie po łacinie?... Teraz angielski. Istna wieża Babel. Nie, raczej arka Noego.

Pierwszy błysk samokontroli. Jak radar. Najpierw zastanowić się. Zastanów się! Boże, jak piekielnie boli? Papierosa!... Jest dobry – głęboki. Papieros nie może być głęboki.”

– Ty palisz?

– Nie mogłam, rozumiesz, kiedy się to stało, byłam...

„Płacz jest mimo wszystko podobny do śmiechu” – jeszcze jeden wysiłek. – Co z tamtymi?

– Wszystko dobrze. Jakiś chłopiec stracił oko.

– A Fred?

– Też wstrząs mózgu i połamane żebra. Ale poza tym uraz kręgosłupa. Jest na ortopedii. Ty miałaś szczęście. Tak się... tak się... bałam...

„Szłocha. Połóż jej rękę na kolanie. Suzan to zawsze..., uspokajało, a potem nawet...”

– Boli cię?

– Nie.

– Już nigdzie nie puszczę cię samego!

– Dobrze, krzycz!

– Właśnie że będę krzyczała. Popamiętasz mnie jeszcze!

„Jeden więcej wysiłek i potem niech ona już idzie. Coś z tej serii.”

– Spokój! Pani nie wie, kim ja jestem!

– O, Boże – jak dobrze, że już się lepiej czujesz? Dostaniemy odszkodowanie, wiesz? Znalazłam twoją polisę... Wpadłam do tego biura ubezpieczeń. Będzie tego całkiem sporo...

„Nie poskutkowało. Znowu się przytula. Pachnie. Ma gładki policzek. Kocham ten policzek, tę głowę, to ciało, te myśli... To moja żona, Karina Vezzi, a naprawdę Maria Smokowska, i ja ją bardzo kocham.”

– Czy ty mnie kochasz?

– Tak, ogromnie! Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo! – „Boże, znowu!... Zaczynam się kołysać. Płynę albo lecę... Wszystko jest coraz dalej. Trwa przytulona. Dla tych na innych łóżkach to wielki ubaw. Lada chwila może wejść major Karwiński z delegacją dywizjonu. Wtedy taka scena będzie groteskowa.

– Suzan, sweet and twenty, please, easy now!”

– Berta!

– Co? – podrywa się nerwowo.

– Uspokój się. One wszystkie śpią. Jest noc. Widzisz reflektor?

– Czego chcesz?

– Co on tam robi?

– Kto?

– Ten Kerns.

– Znowu on. Naprawdę oszalałaś.

– Tak.

– Znałaś go przedtem?

– Nie.

– To po jakiego diabła?... – Berta nie kończy. Spojrzawszy na twarz Hildy, ukazującą się co chwila w błyskach wartowniczych reflektorów, łagodnieje. – Trzymają go tam z jeszcze jednym, takim starym. Ale ten stary nie jest z obozu. To Polak, miejscowy. Nazywają ich „Zespół konserwacyjny” czy jakoś tak. Dobry dowcip.

– Co oni tam robią?

– „Konserwują” ten... ten grób. Wymieniają stare stemple na nowe. Budują tamy ogniowe. Próbują utrzymać przy życiu siebie samych i konie.

– Jakie konie?

– No, konie. Co się dziwisz? Ślepe konie, które tam pracowały, kiedy jeszcze wybierali w tym szybie węgiel. Ten stary z nimi został.

- Ale przecież tam nie ma węgla. Wszystko wybrane.
- Budzi mnie, wariatka, żeby mówić o węglu! Skąd ja mam wiedzieć? Ale ostatnio słyszałam... Co to ja mówiłam? W głowie mi się mąci, tak mi się spać chce – ziewa rozgłośnie.
- „Ale ostatnio słyszałaś”... – przypomina jej Hilda.
- Nieszczęście koło ciebie leżeć! Więc słyszałam, że tam raz zjechali jacyś technicy i że produkcja na tym szybie... jak to jest? – ma być wznowiona. A znowu ktoś inny...
- Co?
- Nic. Powiedział, że pod ziemią zrobią jakiś tam magazyn. „Staatsgeheimnis, verstanden?”
- A co z jedzeniem?
- Z jakim znowu jedzeniem?
- Kto zanoszą jedzenie tym dwóm pod ziemię?
- Och, daj mi spać, dobrze?! Ten stary – Bulla się nazywa – raz na tydzień zabiera stemple, żarcie dla koni i od nas z kuchni Eintopfgericht dla nich samych. Ten Kerns nigdy nie wyjeżdża. Pilnują go. Gdyby wyjechał... No, co ci tu kryć, dziewczyno? Jeśli wyjedzie, to tylko do „parku sztywnych”.
- Pani małżonek często mówi do siebie. No, ale najważniejsze, że już jest lepiej. A było – słabiutko.
- Panu, panie doktorze, zawdzięczam... I nigdy nie zapomnę...
- Jest pani jeszcze bardzo młoda. W tym wieku zapomina się o wielu rzeczach, bez trudności. Mógłbym być pani ojcem. Można pozwolić sobie na wielką niedyskrecję, państwo dawno po ślubie?
- Już trzeci rok.
- Ach, tak. Dziękuję bardzo. No, ruszam dalej. My tutaj nie potrafimy się już tak kochać jak wy we wschodniej Europie. Jeszcze jedno – ostatnie. A co pani robi?
- Jestem śpiewaczką. Chorowałam, ale już jest dobrze.
- Śpiewaczką czy... piosenkarką?
- Piosenkarką.
- Tak myślałem. Dziękuję bardzo. Miło mi było panią poznać, pani...
- Karina Vezzi.
- Pani Karino Vezzi. Opowiem o pani moim córkom. Uwielbiają muzykę i w ogóle piękno. Do widzenia.
- Do widzenia, panie doktorze, i raz jeszcze dziękuję. Zapach. Dotyk. Jest już blisko. Zaraz będą słowa.
- Kochanie, śpisz?
- Podśluchiwałem, jak uwodzisz najniewinniejszego z niewinnych.
- Ja?
- Co to za nowa kreacja? Pięknie wyglądasz, wiesz?
- Ten żakiet? Podoba ci się? To się cieszę. Nie masz pojęcia, co za heca w warsztacie! Jest już waga, a nawet niekiedy działa. Szefowie szaleją. Nikt nic nie robi. Jones nakupił ryżu i teraz każdy waży po kolei. Byli już Hindusi. Podobno przedstawiciele jakichś straszliwie ważnych firm. Waga tym razem odmierzała wszystko równo. Pstrykali przełącznikiem, ryż się sypał. Wyglądali na zainteresowanych. Obaj szefowie przesyłają ci „kindest regards”. I jeszcze jedno – zupełnie obłądna sprawa – Gerald Green był na pogrzebie ciotki, kiedy wracał odległą aleją, wśród grobów, zobaczył facetkę, która zlewała grób męża lawendą „Men’s club” produkcji Heleny Rubinstein. Odpowiedziała na zadane pytanie przez osłupiałego Greena, że jej ukochany mąż bardzo lubił ten zapach. O Boże, co ja plotę?! Czy powiedziałam ci, że obaj szefowie cię pozdrawiają?
- Nie pleciesz. Powiedziałaś. A jak Fred? – Z jego krzyżem nie jest najlepiej. Przesłał ci list.

On sam tego nie pisał. Zobacz pismo!

– Nie, nie pisał. Czytaj!

„Drogi Marku.

Nie skończyłem wtedy zdania. Brzmi ono: »Gdybyście oboje lubili zupełnie to samo...« – uniosła głowę. – Tu, w środku zdania, zrobiony jest balonik taki jak w komiksach z napisem „Bang!”

– To jest miejsce historyczne – powiedział redaktor. – Tu wyróżnił się w ten cholerny, czarny Rover. Przepraszam, może się brzydko wyrażam.

– Zniosłabym i to, gdybym coś z tego rozumiała.

– Czytaj! – rzucił, uśmiechając się.

– Więc... „Gdybyście oboje lubili zupełnie to samo, bang!, musielibyście mieć kochanków, którzy lubiliby co innego. Jak widzisz, żadna rewelacja, a tyle huk. Sorry. Ściskam, Fred.”

– W tym człowieku siedzi cała Anglia! – roześmiał się. – Kropelko, jak z twoim głosem?

– Och, przypomniałeś sobie. Dobrze. Coraz lepiej. Śpiewam już trochę „Armstrongiem” dwie piosenki. Pan Brems dał mi nuty: „Witty Girl” i „Colorado Blues”. To szlagiery. Moim zdaniem...

– Kto to jest?

– Pan Brems? Poznałeś go przecież. Ten impresario i producent. Nieprawdopodobny facet. Wyobraź sobie, przysłał mi lekarza! Akurat przedwczoraj po południu próbuję domyc swoje ręce. Nagle dzwonek. Otwieram drzwi, a tu wchodzi jeden z najlepszych laryngologów w Londynie, Mr Sherman...

– Bojowo się nazywa.

– Nie rozumiem. Dlaczego? – Nic, nic.

– On leczył Verę Collins, Patrycję Blake, Rogera Steela... – absolutna sława! – Zbadał mnie i powiedział, że już jest prawie dobrze. I że tylko będzie się mną opiekował. Przepisał mi trzy lekarstwa i specjalne ćwiczenia głosowe na rozszerzenie skali.

– Skolko?

– Niente. I nic nie weźmie za kurację. Powiedział, że „zawsze służy prawdziwym talentom”.

– Nie, ptaszyno. To nie w tym kraju. Kto mu zapłacił?

– O co ty mnie pytasz? Nie rozumiem.

– Jeśli mu zapłacił tamten... Brams, to mu...

– Co to za ton? Poprosiłam, żeby ten doktor więcej nie przychodził. Zadowolony? Chciałam mu zapłacić, a ten, że „nie i nie”. Dlaczego się zaperzasz?

– Nie zaperzam się. Myślałem...

– Ty chyba nieraz za dużo myślisz.

– Na pewno. Muszę dużo myśleć, bo głowę mam słabą. Więc nie chciał przyjąć pieniędzy?

– Powiedziałam ci już. Co to, przesłuchanie?

– Kropelko...

– Gdybyś nie był chory, tobym ci wygarnęła, co o tym sędzę. I jeszcze jedno... Co ty piszesz, można wiedzieć? W koszu znalazłam jakieś pomięte kartki z tak dziwnym tekstem, że... Co to jest? Kto to Hilda?

– Jak by ci tu... Sam dobrze nie wiem, jak to nazwać... Opowiadanie? To raczej jest... Tak, to jest ballada. Piszę balladę.

– Balladę? Ty? I o czym?

– Trochę o wiatrakach, trochę o umieraniu, a dużo o nadziei.

– I będziesz potrafił napisać coś takiego?

– Nie. Nie będę potrafił, jasne? To jest typowy bieg „po jeden punkt” dla drużyny. Albo lepiej tak: ważniejsze od zwycięstwa jest samo uczestniczenie w tej konkurencji i walka. Sam nie wiem. Uczestniczę.

– A kto to jest Hilda?

– Kropelko, już o to pytałaś... Mam do ciebie prośbę ogromną. Jak skończę, będziesz pierwsza, która to przeczyta. Bo ja... widzisz, tak się składa, że piszę to właściwie... bezwiednie. Nic o tym nie wiem. Niczego nie ogarniam. Wiem tylko, że muszę to robić. Kiedy skończę, ocenimy to oboje, zastanowimy się, co to w ogóle jest i czy to w ogóle jest coś warte. A jeśli będzie coś warte, to ten rękopis położę na półce w twoim pokoju. Tam będzie jego miejsce już na stałe, okey?

– Okey! – powiedziała bez uśmiechu.

„Idzie przez salę z tamtych dni. Przed chwilą jej wspaniałe usta dotknęły twojego czoła. W słuchawkach śpiewają nieprzerwanie. Szpitalna sala ma kształt krzyża. Karina jest już przy drzwiach. Odprowadzają ją spojrzenia. Ten nieszczęśliwiec na łóżku pod tabliczką, na twoim dawnym łóżku, nie ma obu nóg do kolan. Jego oczy przenoszą się na twarz twojej żony i wracają do ciebie. On was łączy. W Polsce co krok to symbol. Widocznie przesiąknięś. Ale, psia-krew, każdy ci powie, że położenie ciebie właśnie w tej sali, w sąsiedztwie tego łóżka, jest czymś, co mogłoby się zdarzyć we śnie. Już zniknęła. Pewno jedzie windą. Za rogiem, w lewym ramieniu krzyża, stoi telewizor. Kuśtykają ku niemu ci, którzy są w stanie jako tako się poruszać. W radio zawodzi rytmicznie jakiś zespół. Na szczęście z boku słuchawki znajduje się przełącznik.

Pstryk. Facet o świetnym »Stammering« oznajmia, iż deficyt budżetowy Wielkiej Brytanii jest niegroźny. Dodaje też, że jedynie Niemcy Zachodnie mają wielomiliardową nadwyżkę. Karina jest już chyba na rogu Grafton. Autobus nr 134 jedzie, z racji przebudowy Archway Road, niezmiernie długo, ale ona nie lubi kolei podziemnej.

Poza tym w autobusie wchodzi od razu na górę, siada nad kierownicą i patrzy. Kiedy z tego miejsca obserwuje oświetlone wystawy, błyszczą jej oczy.

Oczy... Jeśli Bulla wyjeżdża tak rzadko na powierzchnię, to jego oczy... Już zaraz musi się ukazać... Zupełnie go nie pamiętam. A trzeba przecież... To jest beznadziejne. Znowu ten komentator. Chyba studiował w Eton. Grzeczny Dyzio. Tylko tam uczą takiej angielszczyzny: Wybuch nowej bomby w Belfaście. Zginęło dwoje dzieci. – Jak on to mówi! – Manewry NATO na Morzu Śródziemnym. Susza w Afryce ma charakter stały. Obraz Rubensa sprzedany na aukcji u Sothebiego za sto dwadzieścia tysięcy funtów. Walki w Kambodży trwają... Nie potrafisz nic więcej napisać! Słuchałbyś teraz wszystkiego, aby tylko oddalić chwilę myślenia o tamtym. Nie umiesz! A Bulla czeka. Zaraz musi wyjechać na powierzchnię. Ten dziwny smak w ustach, gorączka. Czujesz, jak nadchodzi. Tabliczka wdowy Montefiore jest raz bliżej, to znowu dalej. Ale przetrwała. Zaważyły się imperia, przetrworzył świat, a ona głosi nieprzerwanie, że »To łóżko zostało ufundowane przez panią Nathaniel Montefiore...« Czarna magia... Musisz kiedyś zrobić listę spraw, o których nie mówisz nikomu. Gdyż są to sprawy albo zbyt pogmatwane, albo wymagające znajomości rzeczy. Ilu jest ludzi, którzy wiedzą, co na przykład kryje się pod nazwą »Stacja Szepietówka«? Lub pod skrótami »R I F«, »Pi-Ex«? lub »Di-Pi«? Najmądrzejsi są ci, którzy potrafią się wybronić i nie pamiętać zbyt wiele. Ich jest królestwo niebieskie spokojnych nocy. Ty przypominasz stos starych filmów. Pamiętasz, widziałeś kiedyś takie śmietnisko w wytwórni filmowej. Setki, tysiące taśm pomieszanych bez ładu i składu. I, w związku z tym, ze swoimi filmami przemykasz się jak złodziej. Może masz rację. Są łatwopalne.

Pstryk – śpiewa zespół bitowy. Dominuje gardłowy głos – chłopak, dziewczyna?... Karina już chyba na Kentish Town.

Siwy, beznogi człowiek siada na łóżku wdowy Montefiore. Goli się, pogwizdując. Ta muzyka to chyba Bartok. Nie słysząc nic innego, tylko gnające gdzieś, przenikające się tony. Policzki starego nadymają się. Kończy golenie. Zerka do lusterka i przyczesuje włosy. Ma teraz, przez mgnienie oka, dziesięć lat. Long live, Great Britain! Tak długo, jak twoi chłopcy

będą umieli golić się, pogwizdując w każdej sytuacji, będziesz w stanie przezwyciężyć wszelkie przeciwności losu.

W tle tej muzyki, kłębiącej się w słuchawkach, można by ukazać Petófię. Ale nie przejmuj się, stary. Golenie w wykonaniu przedstawiciela twojej nacji także potrafi być rewolucyjne.

Pojawia się kobieta. Jego żona, zapewne. Beznogi chowa przybory do golenia. Ani chybi, przyszła zbyt wcześnie. Jest niezadowolony. W tym kraju niezadowolenie objawia specjalny rodzaj uśmiechu. Ona już wie o jego nastroju. Świadomość czyjś niezadowolenia także pokrywa się tu uśmiechem. Znowu innym, oczywiście.

Wspaniała, mocna fraza muzyczna w uszach. Poza tą parą i muzyką nie ma niczego. Stojąc natężenie. Tak – dobrze. Jeśli dadzą znowu tę »clear-soup«, to już nie dam rady jej zmęczyć. Wózek z jedzeniem zatrzymał się obok »mojego« łóżka. Stary przejmując talerz z rąk dyżurującego dzisiaj rudego chłopaka o szyi usztywnionej gipsowym opatrunkiem. Je jak chłop siedzący na miedzy. Oboje z żoną czytają napis nad łóżkiem. Są śmiertelnie poważni. My śmialiśmy się... Suzan i ja...

– Kiedy wojna się skończy, przyjdziemy tu oboje z kwiatami – mówi Suzan. – Położymy kwiaty na łóżku, rozbierzemy się nagle, tak szybko, że już nikt nie zdoła nas powstrzymać, i potem...

– A jak ktoś będzie w nim leżał? – mówię ja.

– Po wojnie?! – wytrzeszcza swe oczy w kolorze ciemnego piwa. – Kiedy wojna się skończy, wszyscy wyzdrowieją. – Milknie nagle i przestaje się śmiać. Wiem, że boi się, iż może nadejść oślepienie wybuchem kapitan Weeb, który mimo kalectwa (a może właśnie dlatego) organizuje w naszej sali »Air Raid Warden«, stworzoną wyłącznie z kadłubków. Jego zdaniem to terapia psychiczna. Każdy ma nieustannie nasłuchiwać i meldować, jeśli dotrze do niego odgłos warkotu samolotów. Kapitan chodzi w swych czarnych okularach potyka się, nawołuje... Nic dziwnego, że Suzan się go boi.

Ten lęk nie będzie trwał długo, gdyż kapitan Weeb powiesi się pewnego dnia w łazience. Stanie się to, kiedy otrzyma wiadomość o śmierci żony w czasie bombardowania.

Lecz teraz kapitan jeszcze żyje i ona się boi. Robiąc minę jak gdyby nigdy nic, wsuwa swój wystający kuperek pod moją kołdrę, a ja... Karina odskakuje. Zbliża się Weeb. Idzie ku nam z wyciągniętymi ramionami.

– Mind the chair, please! – wołam, lecz ślepiec potyka się mimo to. Podchodzi bardzo blisko i pyta o »black out«. Nie wierzy, że wszystko jest w porządku. Karina wchodzi na krzesło obok okna i poprawia. Czarny papier szeleści. Wchodzi, bestia, specjalnie, aby mi pokazać kawałek ud ponad pończochami. Weeb także spogląda w górę, jakby widział.

Przecież to nie Karina... Bredzę znowu. Gdzieś wewnątrz jestem przekonany, że Klemens Bulla już jedzie winą. Zaraz się MUSI pokazać. Nitto podjeżdża ze swym wózkiem. Obok niej chudeusz z usztywnioną szyją. Koło talerza leży zeszyt. Thank, you, Nitto. Uśmiecha się swoją szarawą buzią Hinduski. Jest piękna. Ma białe zęby. Ave, prababciu mej rasy! Nie chcę jeść. Będę pisał. Nie, nie mam żadnej gorączki. Nie kłamie. Głowa też mnie nie boli.

Nitto zamienia się w starego górnika. Dzieje się to zupełnie naturalnie. Garnki na jej wózku przestają parować...” Ale on także jedzie po jedzenie. Musi znaleźć się w kuchni, bo przecież... Palce mam spocone. Lepią się do białych kartek. Już podjeżdża ociekająca wodą, zardzewiała winda. Jej drzwi rozsuwają się z chrzęstem. Klemens Bulla zapiera się i wypycha pusty wagonik. Wychodzi sam i mruży oczy, gdyż blask słońca jest ostry jak dźgnięcie noża. Pojawia się Wachposten z karabinem. Człowiek w mundurze spogląda na zegarek. Stary wskazuje budynek kuchni. Na placyku pomiędzy sortownią, kuchnią a warsztatem leży pokratkowany cień wyciągowej wieży. Na jej szczycie zwisa flaga ze swastyką. Nie ma wiatru.

Wagonik jest już wyładowany workami z obrokiem i stemplami. Klemens Bulla pcha go, pochylony. Koła dudnią po szynach biegnących przez dziedziniec kopalni. Stary zatrzymuje swój pojazd przed budynkiem z brudnych cegieł o zakratowanych okienkach i wchodzi do środka.

Pod ścianą, powleczoną zieloną olejną farbą, siedzi rząd kobiet zajętych obieraniem ziemniaków. Stary kłania się im, a one odpowiadają pochylem głow z godną, chłopską powagą.

Hilda przebiega przez dziedziniec. Jest umorusana węglowym pyłem. Spogląda na stojący wagonik, przekracza szyny i wchodzi do kuchni.

– Czego tu chcesz? Los! – wykrzykuje na jej widok tęga kobieta w brudnym fartuchu. Przybyła cofa się. Jedna z kobiet obierających ziemniaki podnosi się i podchodzi do niej. To Berta.

– Zamknij się! To moja przyjaciółka – wykrzykuje pod adresem kucharki. Ścisza głos, zwracając się do Hildy: – Za parę minut będzie wracał tymi drzwiami. Uważaj! – podchodzi do ławy pod ścianą i siada. Za chwilę rzuca dziewczynie marchew. Ta złapawszy ją zrećnie kryje w kieszeni fartucha.

Żelazne drzwi rozsuwają się ze szczykiem. Bulla wynosi dymiący garnek i dwa bochenki chleba. Ostrożnie ustawia garnek na kłodach drzewa i układa obok chleb.

– Marcel! – woła kucharka.

Niski, kędzierzawy brunet pojawia się jak duch. Musiał siedzieć dotąd na ziemi, za kuchennym piecem. Podchodząc do starego, mówi coś i podaje mu niewielką paczkę.

Bulla ukrywa ją wśród stempli i zaczyna pchać swój wagonik w kierunku szybu.

Strażnik z karabinem, czekający opodal sortowni, odrzuca papierosa i wstaje. Widząc gryzącą marchew Hildę zwraca ku niej głowę. Nie mówi ani słowa. Dziewczyna zdaje się być całkowicie pochłonięta jedzeniem.

– Du, kleine! – niemłody Wachposten decyduje się z opóźnieniem na męską reakcję.

Idąca powoli za wagonikiem dziewczyna wzrusza obojętnie ramionami. Bulla, zatrzymawszy wagonik, poprawia garnek z zupą. Zdumiona Hilda zauważa, iż czyniąc to stary spogląda prosto w słońce. Opuszcza głowę dopiero wtedy, gdy oczy zaczynają mu łzawić. Pochyla się i pcha wagonik nie unosząc głowy. Nie widzi Hildy. Nie dostrzega, że wpatruje się ona z natężeniem w jego pomarszczoną, zmęczoną twarz.

Na schodach wiodących do wnętrza sortowni pojawia się dziewczyna, dająca znaki Hildzie. Ta zaczyna biec w kierunku budynku z falistej blachy. Ogląda się raz i drugi.

Skądś z oddali dobiega pomieszany gwar męskich głosów. Strażnik spogląda w tym kierunku. Doprowadza swego więźnia do samego wejścia do szybu. Pociąga za linkę, dając w ten sposób znak windowemu. Klatka windy pojawia się na powierzchni. Stary wpycha swój wagonik i zasuwa kraty. Zapada się pod ziemię od razu.

Wachposten odchodzi w kierunku parowozowni.

Tumult dobiega z niewielkiej hali mechanicznego warsztatu. Na kanale, wsparta na belkach, stoi mała lokomotywka, z której odjęte zostały koła.

Pod ścianami znajdują się „falbanki”, pełne narzędzi.

Gromada widzów w roboczych, brudnych kombinezonach dopinguje dwóch jeńców, którzy szepciami wskazującymi palcami próbują przeciągać się poza linię, oznaczoną kredą na betonowej podłodze.

Strażnik wchodzi i przystaje obok Waldena, który obserwuje zapasy. Zerka na twarz esesmana i cofa się nieco. Rudi Walden ujmuje się pod boki. Czarnemu lotnikowi udaje się przeciągnąć swego przeciwnika poprzez linię. Brawa milkną nagle.

Mężczyzna w czarnym mundurze zbliża się do zwycięzcy z wyciągniętą ręką. Zapada cisza. Spocony Murzyn i esesman szepczą swe palce. Tym razem nie ma dopingów ani krzyków zachęty. Wszyscy widzowie trwają w absolutnym milczeniu.

Dwaj zamagający się ciągną z całej siły. Barki Murzyna drżą. Wyższy od swego przeciwnika esesman pochyla się nagle i szarpie ku sobie. Murzyn podaje się ku przodowi. Zdawać

by się mogło, że upadnie. Przez moment dyszy, wyszczerzywszy białe zęby. Później, wciąż nie przestając ciągnąć, przysiada jak narciarz w telemarku. Potężna sylwetka esesmana chwieje się i nagle rusza do przodu. Oba czarne, błyszczące buty przekraczają białą linię.

Widzowie milczą. Rudi Walden spluwa lekceważąco. Jego oczy prześlizgują się po twarzach świadków przegranej. Obciąga kurtkę munduru. Nie oglądając się idzie powoli w stronę wyjścia. Kiedy znika, jeden z jeńców biegnie jego śladem i wygląda. Daje znak, że esesman jest już daleko.

Teraz już nikt nie kryje swej radości. Murzyn przyjmuje gratulacje. Ktoś mówi mu, aby teraz uważał, lecz zwycięzca kwituje tę radę lekceważącym machnięciem ręki.

Nawet Wachposten nie potrafi ukryć swej radości. Jego paczka „Juno Rund” krąży wśród niedawnych widzów. Wraca pusta. Niemiec śmieje się, rozkładając ręce.

Zachodzące słońce prześwietla stopy stempli, poukładane w symetryczne bloki. Plac drzewny jest rozległy. Czworoboki belek przypominają chałupy pozbawione dachów. Niektóre, do połowy rozebrane, mają puste miejsca w środku tak, że można do nich wpełznąć na czworakach.

Rudi Walden zatrzymuje się obok stempli, wznoszących się wyżej niż inne. Spiętrzone belki przywodzą na myśl zaplecione palce.

– Jesteś tu? – rzuca półgłosem. Jego ręka odpina kaburę z rewolwerem. Pochyla się i wchodzi. Wnętrze wygląda jak pokój bez sufitu. Hilda stoi w rogu. Spogląda na przybysza bez słowa.

– Co, niedostępną zgrywasz?

Nie odpowiada.

– Chodź!

Zbliża się posłusznie. Lecz kiedy próbuje objąć ją ramieniem, odpycha go. Rudi śmieje się, podniecony jej oporem.

– Ty jędzo. Dam ci bochenek. Wystarczy?

– Nie chcę twojego chleba.

– Na „ty” jesteśmy, tak? No, dobrze, przez ten wieczór. Nie chcesz chleba?! O co chodzi? Zwariowałaś?

– Posłuchaj. Chcę iść tam, pod ziemię.

– Tak? – esesman, śmiejąc się, przykłada rewolwer do jej skroni.

– Poważnie – mówi Hilda. – Chcę pracować na dole starego szybu. Możesz to załatwić?

– Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach?! Mein Kind, nikt tam nie pracuje. Tam nie ma węgla... ani górników. Ani łóżek. Niczego, co ciebie interesuje!

– Ale tam są ludzie. Raz byli też technicy...

– A, wywiadzik działa. Co ty sobie tam umyśliłaś w tej swojej pięknej główce? A główkę masz bardzo piękną, wiesz? Zresztą nie tylko główkę.

Odsuwa go ramieniem.

– Nic.

– Nie wierzę.

– Tam są konie.

– Ach, kochasz zwierzątka.

– Mogłabym im zawozić obrok.

– No, no... Kto by przypuścił, że masz takie miękkie serduszko. Więc kochasz zwierzęta. A mnie, na przykład?

– Może pokocham, jeśli... – Hilda odsuwa jego ręce. Rudi śmieje się. – A więc interes? Pięknie. Ale czy ty wiesz, że ten człowiek, który zabiera żarcie dla koni, musi za każdym razem załadować i zwieźć trzydzieści stempli? Wiesz, ile to waży?

– Jestem silna jak mężczyzna.

– Doprawdy?
 – Albo nawet silniejsza.
 – Nie bądź idiotką! Ten szyb, a zwłaszcza dziesiąty pokład, to maszynka przenosząca na tamten świat. Grób! Wszystko tam masz – gaz, ogień, wodę...
 – Możesz to załatwić?
 – Słuchaj, córo... Musisz mieć mnie za cholernie naiwnego. Ale ja naiwny nie jestem, jasne? Gadaj, o co ci chodzi?
 Hilda nie odpowiada.
 – No, czekam... – esesman, wyprostowawszy nogi i unosząc się na palcach, zaczyna zde-
 rzać obcasy swych butów. – To zależy od tego... – zaczyna Hilda wolno... – zależy od tego,
 gdzie się kto wychował. Jeśli pan wychował się w mieście, to na pewno pan tego nie zrozu-
 mie.
 – Więc jesteśmy na pan? – śmieje się. – W mieście.
 – No, tak – dziewczyna spogląda gdzieś przed siebie.
 – Co „tak”? Gadasz czy nie?
 – Bo ja... wychowałam się na wsi i..., gadzina to dla mnie...
 – Gadzina!... – Rudi wybucha śmiechem.
 – Tak, gadzina! – spogląda mu prosto w oczy. – U nas na wsi wszyscy tak mówią.
 – Nie zalewasz z tą wsią? – mężczyzna w mundurze spogląda nieufnie. – Jedna z waszych
 powiedziała mi, że się uczyłaś tańczyć.
 – To było później, już w Hamburgu. Ale jak kto na wsi rośnie... Takie konie to dla mnie...
 Nawet nie umiem tego powiedzieć... Nie, pan tego nie zrozumie.
 – Ja nie rozumiem? Dobrze. Mów!
 – Chciałabym im pomóc. Są biedne. Nie widzą słońca...
 – Nie do wiary – twarz Waldena wyraża zdumienie. – Ale rozumiem, rozumiem. Der Füh-
 rer, na przykład, lubi psy.
 – A ty? – Hilda spogląda kokietująco.
 – A ja... ciebie. Już od dawna mam na ciebie chęć. Tylko ten Krüger... Miałaś coś z nim?
 Gadaj!
 – Ja z kapitanem Krügerem?! Przecież on jest... ślepy.
 – W miłości oczy są niepotrzebne. Nawet przeszkadzają. Więc...
 – Masz ładne oczy, wiesz? Daj papierosa? – zapala.
 – Łgałaś, tak? Kochałaś się z nim! Kłamałaś?!
 – Kłamią tylko „porządne” kobiety – wzrusza ramionami. – Nic z nim nie miałam – po-
 prawia pończochę. – Możesz to załatwić?
 – Ach, te konie? Zapomniałem. Zawsze jesteś taka nudna?
 – Potrafię być miła – dziewczyna nie usuwa tym razem jego ręki.
 – Wiem. I... mam nadzieję! – Rudi wybucha śmiechem. Rozgląda się. Chowa rewolwer do
 kabury, nie zapinając jej. Kładzie broń na ziemi, tuż obok siebie. – No cóż... To łatwiejsze niż
 zdobycie dwóch bochenków chleba. Tańsze również – odpina pas i kładzie się.
 Czeką.
 Hilda, spoglądając na leżącego, wolno zdejmując spódnice.
 – Podobasz mi się, wiesz? – Walden rzuca się gwałtownie, jak zwierzę, na stojącą i prze-
 wraca ją na ziemię.

Podobna do światła morskiej latarni omiatającego fale smuga ostrego blasku reflektora na wieży strażniczej miga równomiernie. Hilda leży na pryczy Berty. Pozostałe dziewczyny już śpią.

– Czy ty wiesz, jaka jestem stara – szepcze.
 – Jesteś młoda – ręka Berty przesuwają się po jej włosach.

– Nie. Czasem zastanawiam się, ilu mogłam mieć mężczyzn, i odechciewa mi się wszystkiego. Pamiętam tylko tych na początku.

– Nie widać tego po tobie.

– Ale widać... we mnie. Cztery lata w burdelu, to tak jak czterdzieści normalnego życia.

– Czy jest jeszcze gdzieś normalne życie? – rzuca cicho Berta, zapalając papierosa.

– Nie wiem. Może w Ameryce.

– W Ameryce... Wszystko jest piękne w Ameryce. Kolorowe... Zawsze chciałam tam pojechać.

– Może kiedyś pojedziesz – Hilda bierze papierosa z ręki przyjaciółki i zaciąga się. Wymuchuje dym.

– Będziesz wozila stemple do starego szybu?

– Żarcie dla koni także.

– Robisz to dla tego człowieka?

– Chyba...

– A dlaczego?

– Nie wiem. Czy ty zawsze wiesz, dlaczego coś robisz?

– Ja? – uśmiecha się. – Dobrze pytanie. Jasne, że nie.

Hilda zwraca jej papierosa. – Myślę, że to wszystko dlatego, że on się wtedy nie bał w tej łaźni. Hartmann go łał. Był półprzytomny, bezradny, słaby, ale się nie bał. Pierwszy mężczyzna w moim życiu, który...

– Co ty bredzisz? Nic z nim przecież nie miałaś.

– Bredzę, tak – Hilda zapada się w siebie. – To tak... to jakoś tak jest – zaczyna znowu z trudem. – Wiesz, jakby z każdym dniem był dla mnie coraz ważniejszy. To tak... jak gdyby stawał się świętym.

– Nie spotkałam w życiu ani jednego świętego, ale myślę, że święci muszą być bardzo niebezpieczni – Berta ziewa ciężko.

– Dobranoc – mówi Hilda schodząc na swoją pryczę.

– Dobranoc – Berta wygląda teraz bardzo staro. Więc zjeżdżasz na dół pojutrze?

– Tak, pojutrze. Już się nie mogę doczekać.

– Idiotka! – rzuca Berta, odwracając się do ściany.

Doktor Thunder skrzywił się i odszedł nieco dalej, patrząc na kolano z boku, jak gdyby w tej pozycji spodziewał się odkryć w jego profilu coś niezmiernie ważnego. Pokiwał głową.

—I mówi pan, że nie bolało pana wcale po wypadku.

– Nie. Spuchło i zaczęło boleć dopiero wczoraj – rzekł redaktor.

– Tak, obrzęk jest spory – doktor zbliżył się znowu i chwytając nogę obiema dłońmi naciśnął w jakimś punkcie.

„O Jezu, jeśli zrobi to jeszcze raz, nie wytrzymam. Boli zupełnie tak samo, jak wtedy.”

– Więc uderzył pan w ziemię kolanem w czasie skoku ze spadochronem? – spytał lekarz zapisując coś w swym notesie.

– Tak. W czterdziestym trzecim. W Holandii. Ściśle biorąc, uderzyłem chyba nogą w kamień. Była noc. Nic nie widziałem.

– I nie wiedział pan o tym, że ma pan zerwane ścięgno i przyczepy mięśniowe? – doktor Thunder wymienił spojrzenia z dwoma młodymi ludźmi w białych kitlach. Jeden z nich był Hindusem.

– Nie. Wtedy nie. Ukrywałem się dwa tygodnie. Potem próbowałem dotrzeć do granicy hiszpańskiej i złapali mnie Niemcy.

– A ta szrama na plecach?

– To było wcześniej – machnął ręką lekceważąco. – Wypadek samochodowy.

„Gdybym mu powiedział, że po tym »samochodowym wypadku« w czterdziestym drugim leżałem w jego szpitalu, i to na tej samej sali, miałby świetną anegdotę do opowiadania w

klubie. Wyobrażam sobie także, jakie oczy zrobiłby ten jego młodzieżowy, oliwkowo-biały, tandem. Dla tych chłopaków stałbym się wówczas nie tylko prehistorycznym reliktem, lecz i metafizyczną postacią zarazem. Te przesłuchania nigdy się nie skończą. Kolano spełnia funkcję przełącznika. Pstryk – zaczyna się zwykła »krajoznawcza« wycieczka po moim ciele. Co krok, to sensacja i odkrycie...” – Sprężył się cały, gdyż doktor obmacywał go znowu. Zabołało, tak mocno jak poprzednio.

„Powinienem także, jeśli chodzi o to kolano, wymyślić jakąś zwykłą historię. Na przykład, że był to wypadek na nartach.”

– Czy ktoś panu wtedy to kolano prześwietlał?

– Nie. Kiedy mnie złapali w Hannoverze, założyli mi gips.

– Bez prześwietlenia?

– Bez. Dwa dni byłem w szpitalu.

– A potem?

– Uciekłem.

– Znowu? Ze szpitala? – doktor poprawił okulary. Pojawiła się Nitto, wnosząc cztery herbaty. Uśmiechnęła się.

– Ze szpitala było łatwiej – przełknął ślinę. – Więc co to jest, panie doktorze?

– Zaraz pana prześwietlimy. Tymczasem proszę się ubrać. Pije pan z mlekiem?

Potwierdził. „Niechże ta Nitto się nie gapi. Nie wie jeszcze widocznie, że każdy mężczyzna zdejmujący lub wkładający spodnie nie znosi być w chwili dokonywania tej operacji przedmiotem kobiecego zainteresowania.”

– Udało się panu? – spytał Hindus. – Mam na myśli, czy udało się panu uciec faszystom.

„Uciekałem wtedy całemu światu, mój chłopcze. A świat w Hannoverze był dla mnie wyłącznie czarno-brązowy.”

– Nie. Złapali mnie znowu – poczuł się pewniej. Dzięki pomocy drugiego z młodych ludzi, również w białym kitlu, udało mu się nałożyć spodnie od piżamy względnie sprawnie i szybko. Podziękował mu. Ten, który mu pomógł, miał długie, jasne włosy, spływające na ramiona. Był trochę podobny do Andrzeja.

– I wszystko to w gipsie? – doktor postawił filiżankę na skraju stołu. Wyjął biszkopty z szuflady. – Help yourself, please.

– Tak, oczywiście – znów podziękował. Upił łyk.

Nitto podała lekarzowi jakiś papierek do podpisu. Mężczyzna w białym kitlu pochylił się i po chwili odłożył pióro.

– Pańskie kolano urasta do miana symbolu.

„Pieprzę takie symbole! Mam gdzieś takie pytania i rozmowy. Już nic nie powiem. Zamykam sklepik!”

– I to było wszystko? Domyślam się, że gips zdjęto panu w obozie jenieckim. Gdzie to było?

„Jeszcze tylko to i już nic więcej.”

– To był obóz specjalny na Śląsku. Kopalnia, węgla.

– A więc badano pana trochę retrospektywnie, już po wojnie. Rozumiem. Dziękuję bardzo – doktor Thunder zapalił papierosa. – Zaraz będziemy wszystko wiedzieć – uśmiechnął się. – Reakcja organizmu podlega nieraz zdumiewającym gradacjom ważności. Najpierw, z reguły, alarmują ci pierwszoplanowi – w pana wypadku była to głowa. A potem dochodzą do głosu ci. mniej istotni i zaczynają przypominać o sobie, a nawet... dopominać się o swoje prawa. Nie chcę przez to powiedzieć, że pańskie kolano jest nieważne, ale...

– Rozumiem – redaktor poczuł się pewniej, jak zwykle, kiedy wydawało mu się, że jest kimś na tej samej fali. – I tak przez wiele lat zachowywało się prawie grzecznie.

„Cholera jasna, znowu odwleka się powrót do kraju.

– Ponieważ zwyciężyliśmy złe moce, jeśli chodzi o głowę, należy z optymizmem patrzeć w przyszłość – doktor Thunder odstawił kubeczek z nie dopitą herbatą. – Teraz pojedzie pan do rentgena.

VII

Weszła uśmiechnięta i był to uśmiech prawdziwy, zaczynający się gdzieś w środku i wypływający na powierzchnię czysto i ładnie, jak źródłana woda.

– Kropelko, podbiłaś już na pewno całe city, a teraz chcesz jeszcze zawrócić w głowie pewnemu Lechicie, który nadaje się do tego tylko, aby go zapakować w papier, owinać sznurkiem i z napisem: „Uwaga – towar łatwo łamliwy!” – odesłać do domu.

– W Londynie nie sposób podbić nikogo. Nikt tutaj „oficjalnie” nie patrzy na kobietę – odparła z taką miną, że aż zamarło w nim wszystko. „Właściwie to powinienem na krótko, na parę minut, zostać teraz sam i przygotować się do jej widoku.”

– A co do twojej „łamliwości”, to wolę się nie... wypowiadać. Wyglądasz już dużo lepiej – wspaniale! Przyniosłam ci owoce „popołudniowe” i książkę, o którą prosiłeś. Wcale nie było jej na Charing Cross i dostałam ją na Baker Street – usiadła na skraju łóżka. Dokładnie tak samo jak Suzan. Rozejrzała się. – Już mnie od dawna korci, żeby się dowiedzieć, co może być napisane na tej tabliczce – rzuciła, wskazując sąsiednie łóżko. – Ten facet śpi odwrócony...

– Zakradnij się i przeczytaj. Nawet jeśli przypadkiem otworzy oczy, pomyśli, że jest w niebie.

Roześmiała się i podeszła na palcach. Wróciła, krztusząc się ze śmiechu.

– Słuchaj, słuchaj... to łóżko ofiarowała szpitalowi jakaś pani Tefiore. Tefiore! To jest nie-samowite!

– Montefiore – poprawił ją.

„Dlaczego czujesz się dotknięty? Przecież ciebie to zawsze bawiło.”

– A teraz nastąpi najważniejsze pytanie – rzekł, robiąc minę, która miała być zabawna. – Jak się prowadzi moja słomiana wdowa i co u niej słyhać? Nie widziałem jej już dwa dni. Umieram z tęsknoty.

– Słomiana wdowa prowadzi się dobrze – zaczęła jakby spłoszona. – A słyhać... – zaczęła bawić się paskiem torebki, która – spostrzegł to od razu – była nowa. – ...Wyobraź sobie, że miałam dwie lekcje. Pan Brems...

– Uczymy się przez całe życie – rozłożył ramiona. Grymas, jaki pojawił się na jego twarzy, na pewno nie był podobny do uśmiechu. Zmusił się i poszło. Teraz śmiał się już naprawdę. – Co znowu zrobił ten pan

Brams?

– Brems – poprawiła go. – Otóż on...

„Istnieje stan, który można by określić mianem »nadznajomości drugiego człowieka. Jeśli – w dodatku – tego drugiego człowieka się kocha, wszelkie przekazywane przez niego informacje stają się właściwie, w pewnych okolicznościach, zupełnie zbędne.”

– ...on wyszukał mi profesora Telliniego. To jeden z najlepszych nauczycieli śpiewu w Londynie, więc ja... Pan Brems powiedział, że zwrócę mu wszystko, co do grosza, z pierwszego swojego koncertu. On we mnie wierzy...

– Ile opłacił lekcji? – zrobił wszystko, aby głos jego zabrzmiał normalnie.

– Dwanaście – poczuła się wyraźnie pewniej. – Chciał więcej, ale ja...

– Ten Tellini musiał mieć szwajcarskiego przodka, który »wybrał wolność« we Włoszech – ta uwaga rzucona teraz, to było bohaterstwo.

Pomyślała chwilę i roześmiała się.

– Pomyślałaś o Wilhelmie Tellu – zawsze w takich razach uznawała za stosowne popisanie się swoją błyskotliwością. – A wiesz, ten profesor kogoś takiego przypomina. Chodzi majestatycznie, a kiedy gra na fortepianie...

– Pan Brems cię do niego zawozi?

– Tylko raz... zawiózł – odparła. – On jest bardzo miły, naprawdę... Wcale nie zachowuje się jak mężczyzna, który...

„A doktor Thunder powiedział, że będę musiał leżeć jeszcze co najmniej trzy tygodnie i że jeśli wcześniej wstanę, to mogę zerwać drugie ścięgno i pozostałe zaczepy mięśniowe. Ten wredny skok na spadochronie rozciąga mi się na całe życie.” – Kto „nie zachowuje się jak mężczyzna, który”?...

Profesor Tellini czy Brams – Brems – poprawił się sam.

– Jesteś zazdrosny?! – jej uśmiech nie był podobny do tamtego, z którym przyszła. – Słuchaj, to jest szansa, rozumiesz?... Oni tu mają piosenkarzy z prawdziwego zdarzenia. A to jest moje powołanie. Derek mówi...

– Co to „Derek”?

– Raczej „kto”? – była już teraz zła. – Mogę cię zapewnić, że on wyraża się o tobie z największym szacunkiem. Więc mówi, słuchając mojego śpiewu, że mogę osiągnąć... Co tak patrzysz? Ciebie zawsze interesuje forma, nie treść! Mówi, że osiągnąć mogę maksimum i że mój głos dopiero...

– Dopiero co? – wtrącił.

– Że mój głos się dopiero rozwinie – dokończyła po chwili. Zatrzasnęła gniewnym ruchem torebkę i spojrzała mu prosto w oczy. – Nie cieszysz się? – spytała naraz niezwykle miękko. Jej dłoń wtargnęła pod koldrę niespodziewanie.

Gwałtownie, jakby atakując samego siebie, odsunął się. Mijało z wolna. Puls zdawał się wracać na swoje miejsce.

Spojrzała na niego z leciutkim uśmieszkiem, lecz nie powiedziała ani słowa.

– Ja też wierzę... że masz wspaniały głos – zacerpnał tchu. – Wiem, że tak jest. A co mówi ten... profesor?

– Och, Tellini?... Aż głupio o tym...

– No, ale powiedz!

– Zupełnie oszalał. Mówi, że z taką skalą nie zetknął się od dawna. Uczy zupełnie inaczej niż ta drypca profesor Borowska. Tamto to było starocie. Gamy, gamy... On daje gamy tylko na początek. Potem albo śpiew na samogłoskach, albo śpiewanie całych fraz muzycznych. I to jakich! A później ćwiczenia ekspresji, ruchowe... To wygląda jak pływawica!

– Cieszę się, że się cieszysz – przerwał jej. Uśmiech mu chyba znowu „wyszedł”. – A co słychać u twoich pozostałych adoratorów? Mam na myśli Rameza i Lovella. Żeby tylko nie pobili pana Bramsa.

– Bremsa – poprawiła go znów z uśmiechem. – On się nazywa Derek Brems.

„Aha, to on właśnie wyraża się o mnie »z największym szacunkiem«. Wie, jak działać. O mężu z szacunkiem do końca. Chryste, ale przecież ona się oddała, wszystko ginie, rozmazuje się...”

– Jesteśmy „A triangle”, mówią o sobie i chyba się lubią we trójkę – powiedziała. – O żadnej zazdrości nie ma mowy. Nieprawda! – roześmiała się nagle. – Są piekielnie zazdrośni. Jeden utopiłby drugiego w łyżce wody, ale tego nie okazują. To niesamowicie kulturalny kraj! Oni odwrotnie – mówią o sobie jak najlepiej. Najwyżej żartują jeden z drugiego i to wszystko. Zresztą z Bremsem każdy się tu liczy...

– Z Derkiem? – wtrącił.

– Z Derkiem – spojrzała mu prosto w oczy. – Jeśli wolisz nazywać go po imieniu...

„Przecież to ty go nazwałaś!” – Coś osunęło się w nim jak zrąb wysokiego brzegu, podmytego wezbranym nurtem rzeki.

– Kochany... – rzekła znowu ogromnie łagodnie.
 Spojrzał, lecz jej ręka leżała na kocu.

– ...Rozmawiałam z doktorem Thunderem. Boże, jak mi przykro! Jeszcze to twoje nie-
 szczęsne kolano!

– Siła złego na jednego, co? – roześmiał się.

– Będę, naturalnie, przychodziła w ciągu tych trzech tygodni każdego dnia. Aha, pojecha-
 łam do Croydon i przedłużyłam w Home Office nasze wizy. Jedzie się z Victoria Station taką
 pospieszną kolejką. Straszny kawał. Miałam zaświadczenie ze szpitala i przedłużyli bez żad-
 nego kłopotu. Wczoraj byłam na policji po czasowe zaświadczenie. To jest coś w rodzaju
 potwierdzenia, że się jest tym kimś, kim się jest rzeczywiście...

„A więc wiem już, kim naprawdę jestem. Załatwiła mi tę sprawę raz na zawsze policja jej
 królewskiej mości.”

– ...Zabawne – chciał mnie zagiąć policyjny urzędnik. – „Więc pracuje pani, oczywiście.
 Jak długo?” A ja mu na to, ale tak – patrząc mu prosto w oczy – „Jak to, pracuję? Kto panu
 powiedział? Pielęgnuję przecież chorego męża...”

„Śmieje się zbyt głośno. Suzan była tu zawsze wyciszona. Ciekawe, co by było, gdyby Ka-
 rina zastała któregoś dnia Suzan, siedzącą na moim łóżku? Suzan albo Hildę...”

– A co w warsztacie? Jak tam nasi „szefowie”? – spytał, aby coś powiedzieć.

– Przyznam ci się, że nie byłam już na Bethnal Green z parę dni. Odłożyłam trochę pieni-
 dzy, więc... przed tygodniem przyjęli kogoś na twoje miejsce. Musieli. Sam rozumiesz. Przy-
 szedł taki śmieszny Francuzik, też bez zezwolenia na pracę. Nazywa się Marcel.

– Marcel? To dziwne – powiedział.

– Dlaczego dziwne? – roześmiała się. – Zwykłe imię. I on też bardzo zwykły. Kudłaty ja-
 kiś, przysadzisty... Kiedy się śmieje, widać mu całe dziąsła. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Nic. Wiem już wszystko. Dziękuję – powiedział.

Szła ku niemu. Czuł, że się przybliżyła. Przysiągłby, że w chwili kiedy Karina uśmiechnęła
 się w drzwiach na pożegnanie, tuż obok niej, z opuszczoną głową, przystanąła tamta, w znisz-
 czonej, szarej kiecce.

– To sabotaż! – wrzeszczy Rudi wyprostowany obok Hildy, która patrzy w ziemię. Pas
 transmisyjny stoi nieruchomo. Inne pracownice sortowni, umorusane także węglowym pyłem,
 spoglądają na dziewczynę ze współczuciem.

– Każda maszyna musi pracować dla zwycięstwa! – wydziera się Walden. – Nie wiedzia-
 łaś o tym?! Teraz się dowiesz!

– Was ist denn los? – Hartmann biegnie od strony schodów ze swym psem.

– Nie naoliwiła przegubów i maszyna przegrzała się – raportuje Rudi, stając na baczność.

– Myśli pan, że to sabotaż?

– Myślę, że nie – mówi Rudi półgłosem. – Ale trzeba jej dać nauczkę.

Major Hartmann postępuje w kierunku dziewczyny;

– Czy wiesz, że za to, coś zrobiła, mogę cię wysłać do obozu koncentracyjnego? – natężył
 głos. – I że w tym obozie nie będą się z tobą cackać?!

Hilda spogląda na esesmana. Ten stuka obcasami i mówi szeptem: – Panie majorze, jak
 dotąd, spisywała się nieźle. Mam pewien pomysł. Można?

– Gadaj pan!

– Dlaczegoż by nie dać jej dodatkowej pracy, takiej naprawdę „interesującej”. Na przykład
 transportowanie stempli do starego szybu. To byłoby „zdrowsze”.

– „Zdrowsze”, richtig! – major chichocze. – To jest myśl! – poważnieje i spogląda na Hil-
 dę. – Chodź no tu!

Dziewczyna podchodzi zupełnie blisko.

– Sabotażystka! Pięknie!

– Nie – odpowiada Hilda. – Ja tylko...

– Tak! – Hartmann uderza pejczem w cholewę buta. Jego pies kuli się trwożnie. Podobnie zachowują się niektóre kobiety, stojące opodal nieruchomej taśmy. Major wytrzeszcza oczy.

– Du Verräterin! Du Schweinhündin! Czy ty wiesz, co my robimy z takimi jak ty?!... Będziesz ukarana. Przykładnie. Oprócz normalnej pracy w sortowni będziesz wozila stemple do starego szybu. Trochę ćwiczenia, jasne? Der Führer zdecydował, że takie, jak ty, muszą pracować, i to pracować dla zwycięstwa idei wspaniałego, przyszłego świata. Dlatego tu jesteście. Dlatego wyłapano was z ciemnych ulic jak robactwo. Lecz jeśli... Jeżeli nie wypełnicie swych obowiązków albo jak ty tutaj będziecie sabotować wspólny, święty wysiłek całego narodu” to mamy wiele sposobów, aby was załatwić. Wszystkie załatwić! CZY WSZYSTKIE SŁYSZAŁYŚCIE?! – oczy majora powoli przesuwają się po twarzach najbliższych. Niektóre z kobiet są zbyt przerażone, aby wydobyć z siebie głos. Odpowiadają jedynie ruchem głowy.

Obaj oficerowie wychodzą.

– Ty idiotko! – kończy Gizella, podbiegając do Hildy. – Dlaczegoś to zrobiła? Dlaczego?! Zabiją cię tam na dole!

– Wyglądasz teraz jak Murzynka – odpowiada Hilda.

Uśmiecha się lekko. – Czy jesteś pewna, że nie zrobił cię twojej mamusi jakiś czarny?

Hilda poprawia najwyżej na wagoniku leżącą kłodę drzewa, wsuwa dymiący garnek między worki z obrokiem, przeciera spocone czoło i zaczyna pchać wagonik w kierunku wejścia do szybu. Towarzyszy jej strażnik z karabinem. Jedna ze stojących w oddaleniu kobiet woła coś pod jej adresem. Inne spoglądają w ziemię.

Hilda, pchając z opuszczoną głową, uśmiecha się niedostrzegalnie. Ociekająca wodą klatka windy zatrzymuje się i żelazna brama staje otworem.

Dziewczyna z wysiłkiem, napiąwszy wszystkie mięśnie, wpycha wagonik do środka. Żołnierz, który zamierzał już jej pomóc, dostrzega naraz Rudiego obserwującego całą scenę z ironicznym uśmieszkiem. Odskakuje. Mężczyzna z trupa czaszką na czapce nie przestaje patrzeć.

– Jak tu głęboko? – pyta Hilda, wchodząc do windy. Zauważa esesmana. Wyraz jej twarzy zmienia się.

– Siedemset metrów – odpowiada żołnierz. – Najgłębszy grób w parafii! – wręcza jej karbidówkę. Drzwi windy zamykają się. Koło na wieży zaczyna się obracać. Winda rusza.

Spocona twarz dziewczyny wyraża ogromne napięcie. Ciemne, mokre ściany przesuwają się dokoła z wielką szybkością.

Wtem jakby coś sobie przypomniawszy, Hilda wydobywa pośpiesznie z kieszeni lusterko i szminkę. Zwracając twarz ku małej żarówce u sufitu windy ruchem dziewczyny, opalającej się na plaży – maluje wargi czerwoną kredką.

Dokonawszy tego, przygląda się sobie krytycznie i nagle, niweczając wszystko, co zrobiła, gwałtownym ruchem zmazuje z warg całą kolorową farbkę. Wyciera dłonie o fartuch. Oczy jej są pełne tak wielkiej niepewności, iż sprawia wrażenie nieprzytomnej.

Winda zwalnia i zatrzymuje się. Hilda otwiera drzwi i odciąga kratę. Zapiera się teraz mocno nogami, pchając wagonik z całej siły. Promieniujące z niej oczekiwanie sprawia, że jeszcze nigdy nie wyglądała pogodniej i piękniej. Napina raz jeszcze wszystkie mięśnie i udaje się jej wypchnąć wagonik na tor, ginący w ciemnościach.

Klemens Bulla, wiodący ślepego konia, podchodzi do niej. Zatrzymuje się i spogląda bez uśmiechu.

– Dziewczyna?

– Glück auf! – mówi Hilda.

– Glück auf. To ty teraz będziesz wozić?

– Ja.

Zapada milczenie.

- Czemu cię dali do tej roboty?
- Za karę.
- Gizdy pierońskie. To dla mnie kara!
- Rozumiem – Hilda poważnieje.
- Scheisse, rozumiesz! No, dalej. Popchaj! – przyczepia zaprzęg. Koń ciągnie wagonik. Idą za nim w milczeniu. Dziewczyna łapie powietrze otwartymi ustami. Ściera pot ze swej twarzy.
- Gorąco ci?
- Trochę.
- Tu ogień blisko, to żar. Tam dalej trochę lepiej.
- Jak ci kiedy zgaśnie lampa, to nie zapalaj. Tu wszędzie gaz. Masz zapalki?
- Mam.
- Daj – wkłada do kieszeni zapalki Hildy. – Oddychaj tak „do połowy”. Jak się tego nie nauczysz, to tydzień będziesz rzygać tam, na górze. Słabo ci?
- Nie.
- Odpocznij. Kiedy poczujesz silny gaz, to zrób na chustę... wiesz co, i trzymaj ją przy nosie. Co się patrzysz? Tu śmierć nie czeka. Wstydzisz się nie ma czego.
- Jak pan tu długo jest?
- Długo. Bierz chleb i zanieś tam! – stary wskazuje coś jakby mały domek, sklecony z desek. Hilda bierze dwa bochenki i wchodzi do wnętrza. Za nią przekracza próg Bulla z garnkiem.
- Ładnie tu – Hilda rozgląda się po ścianach. Znajduje talerz i zaczyna napelniać go zupą, lecz Bulla przerywa jej: – Nasamprzód konie!
- Cztery konie stoją w zagrodzie z desek. Bulla daje im obrok, gderając z jakąś osobliwą mieszaniną złości i tkliwości. Jedzą chciwie.
- Ten jeden jest zły. Nie podchodź do niego. Raz o mało nie uzał Piotra. Tu jest ze mną taki jeden z obozu. Wiesz?
- Wiem. Gdzie on jest?
- Na ósmym chodniku. Niedaleko stąd.
- Przyjdzie coś zjeść?
- Kto go tam wie. To taki człowiek, że nigdy nie wiadomo, co zrobi. Podobają ci się?
- Co? – pyta Hilda nieprzytomnie. – Konie.
- Tak. Bardzo. I one nic nie widzą?
- Nie widzą, ale czują – przywołuje jednego konia. – Gucek jest mądrzejszy od człowieka
- zwraca się naraz do dziewczyny. – Jak ci na imię?
- Hilda.
- Dobrze. Idź teraz tam i stój! – wskazuje jej miejsce pod ścianą. Hilda posłusznie spełnia jego prośbę. Teraz stary zwraca się do konia. – Gucek, idź do wózka i przynieś Hildzie gazetę, co w niej był chleb!
- Koń powoli zbliża się do wagonika. Zatrzymuje się, znajduje gazetę i przynosi ją dziewczynie. Zdumiona bierze papier z jego pyska.
- Gucka się nie bój. Jeśli ci nie pomoże, to nigdy nie zaszkodzi.
- Nie boję się – Hilda przytula koński łeb do policzka.
- Teraz chodzi – Bulla zwraca w kierunku swego domku. – Znaczy, jak to przywieziesz, to wracasz na górę, tak?
- Kazali mi zawieźć stemple na stanowisko pracy – Hilda przelewa zupę na talerz i stawia na stole.
- Befehl ist Befehl, co? Ty Niemka?
- Niemka.

– No, to jedź. Droga łatwa, nasamprzód prosto, a potem od krzyżówki w lewo. Iść z tobą?

– Trafie.

– To weź mu chleb – Bulla zabiera się do krojenia. Hilda bierze mu nóż z ręki.

– Ukroję – kraje dwie grube kromki.

– Mówiłem, że nie poradzisz – stary podejmuje nóż i kraje jedną cienką kromkę. – On lubi tylko tak – cienko. Inteligentny. Zresztą i tak nic nie je.

– Dlaczego?

– Jakbyś tu rok posiedziała bez słońca jak on, tobyś wiedziała dlaczego. I jeszcze... – Bulla waha się jakby. – Wiesz, może ja z tym pójdę. Swoje zrobiłaś. Fajrant.

– Nie. To drzewo muszę zawieźć na miejsce.

– To idź. Tylko uważaj, bo cię może skłąć.

– Za co?

– Jak już tak chcesz wiedzieć, to ci powiem. Niemców nie lubi. Dziwisz się?

Hilda nie odpowiada. Ustawia na wagonik garnek z zupą, kładzie obok kromkę chleba i zaczyna pchać.

– Poradzisz bez konia?

– Poradzę.

– Więc prosto, a potem trochę w lewo. Szyny cię zaprowadzą.

– Żał panu konia, tak? – pierona z babami! – stary wpada we wściekłość. – Czemuś od razu nie powiedziała, że chcesz z koniem? – odwraca się. – Bury!

– A Gucka by pan nie dał?

– Donnerwetter, takie zamieszanie, jakby królowa jaka przyjechała. Sam z tym pójdę.

– Nie.

– To Gucka ci nie dam – duży, ciemny koń jest już tuż przy nich. – Idziesz z Buryem czy nie? Też dobry koń.

– Idę.

– I nie śmiej się, bo nie ma z czego. Chyba z własnej głupoty. I uważaj! – mamrocze jeszcze stary, przypinając linkę konia do zaczepu wagonika. – Wio! – ruszają.

Hilda dochodzi ze swoim zaprzęgiem do miejsca, gdzie rozwidlają się trzy korytarze. Zastanawia się chwilę, po czym zostawiwszy wagonik z koniem w ciemnościach, rusza niezdecydowanie przed siebie jedną z odnóg.

Krań żółtego światła, płynący z karbidówki, którą niesie, sięga nie dalej niż na pięć kroków. Korytarz obniża się i dziewczyna zawraca. Wchodzi w sąsiedni korytarz. Posuwa się środkiem wąskich torów.

Po przebyciu kilkunastu metrów zaczyna kaszleć. Opiera się o wilgotną ścianę. Dyszy.

Szelest spadających kropli potężnieje w jej uszach, przeradzając się w potężny szum. Całym wysiłkiem woli zmusza się do biegu. Potyka się i pada, wypuszczając karbidówkę z dłoni. Światło miga jeszcze chwilę, po czym gaśnie. Leżąca próbuje podnieść się, unosi tylko głowę. Z wolna traci przytomność.

Dociera do mej jakieś miarowe dudnienie. Gdzieś z boku pojawia się światło. Duży cień przybliża się.

– Bulla!... Klemens!

Głos jest wyraźny i coraz bliższy. Nie ma sił odpowiedzieć.

Piotr podbiega, przykłęka. Spogląda zdumiony, podnosi ją za ramiona i sadza, opierając plecami o ciemną ścianę.

– Lepiej?

– Dobrze – Hilda patrzy z bliska na jego twarz.

– Tam! – jeniec obejmuje ją ramieniem i prowadzi. Podchodzą do wagonika ze stojącym koniem.

– Dziękuję – szepce dziewczyna.

- Tu jest kawa... Napij... Niech się pani napije – Amerykanin podaje jej garnek. Hilda upija łyk.
- Ona jest... dla pana – mówi szeptem.
- Bóg zapłać – mężczyzna manipuluje przy lampie Hildy. Zapala ją. Spogląda na twarz dziewczyny. – No jak?
- Zupełnie dobrze.
- Jeśli zupełnie dobrze, to mogę z panią pogadać. Czego pani tu szuka, do jasnej cholery?!
- Poszłam sobie na.. – Hilda zaczerpuje tchu – ...spacer.
- Zastanawiam się, czy jest pani naprawdę taka głupia, jak wygląda.
- Dziękuję.
- Nie ma za co.
- Zaraz widać, że pan dawno nie rozmawiał z kobietą.
- Ja z panią w ogóle nie chcę rozmawiać! Co pani tu robi?! Kto panią przysłał?
- Jeśli panu teraz odpowiem, to to będzie rozmowa.
- Dalej, niech pani mówi!
- A więc będziemy rozmawiali?...
- Idiotka! Niech się pani wreszcie przestanie zgrywać! Tu wszędzie gaz! Gdybym przyszedł trochę później... Bulla pani pozwolił tu iść?
- Powiedział, że niedaleko.
- Stary cymbał! Pogadam z nim.
- Przykro mi, że pana zdenerwowałam.
- Jeśli pani nie przestanie pleść bzdur, to...
- To co?
- Tu nie salon! Gadaj, kto cię przysłał!
- Że nie salon, stwierdzam od razu. Chociaż... – Hilda rozgląda się jak gdyby z namysłem.
- Kobieto... – wzdycha Piotr.
- Zauważył pan?... – poprawia włosy i dodaje innym tonem. – Będę od tej pory woziła wam jedzenie i te stemple.
- Sama?
- Sama.
- I będzie pani ładować to wszystko tam, na górze?
- Potakuje ruchem głowy.
- „Wyróżnili” panią... Za co?
- Sabotaż.
- Ładnie. Co pani zrobiła?
- Przesłuchanie?
- Jak pani nie chce, to niech pani nie mówi. Pani jest Niemką?
- Cholerną. Niech pan je, bo wystygnie.
- Ja jestem Amerykanin.
- Wiem. No i co z tego?
- Dużo. Diabelnie dużo.
- Widziałam już pana na górze, po wypadku.
- Aha, to pani z tą herbatą. Pamiętam.
- Niech pan je!
- Zaraz. Kto pani kazał wozić tutaj te stemple?
- Hartmann.
- Bydlę. A co słyszeć? Jakie wiadomości?
- Nie rozumiem.
- Jest wojna, nie?
- Ach, na frontach. Wszystko w porządku.

– Dla kogo?

– Można tu palić? – Hilda wyjmuje paczkę z papierosami. Pstryka w nią palcem.

– Tutaj nie – Amerykanin bierze łyżkę. – Czy to prawda z tym pani sabotażem?

– Nie, nieprawda. Wysłali mnie tu na odpoczynek.

– Mogli panią wysłać z innego powodu.

– Rozumiem.

– Świetnie. Pojętna pani jest.

– Niech pan je! – Hilda podaje mu garnek z zupą. Piotr zabiera się do jedzenia. Podsuwa garnek w jej kierunku.

– Są dwie łyżki.

– Nie, dziękuję.

– O, jak grzecznie! Mamusia włożyła wiele starań w pani wychowanie. A może BDM?

– Nie byłam w BDM.

– Więc jednak mamusia.

– Niech pan nie kpi.

– Dlaczego? Wcale nie kpię. Jesteście bardzo wykształconym narodem. Uczycie się grać na fortepianie, studiujecie malarstwo, biologię... To, że zabijacie, to tylko wyładowywanie nadmiaru energii. Niech mi pani pokaże swoją rękę!

Hilda podaje mu rękę niezdecydowana.

– Tak. Zniszczona, ale palce długie, kształtne... Uczyła się pani grać na fortepianie?

– Kiedy... ja... – po chwili wahania, Hilda decyduje się nagle. – Uczyłam.

– No jasne. Cichy, spokojny dom z białymi firankami w oknach i zapach kawy. Ogródek, kwiatki...

– Za dużo pan mówi. Proszę jeść!

– Słusznie – Piotr je przez chwilę w milczeniu. – A co wyrwało panią z tego spokojnego domu? Dziewczyna zmienia się na twarzy. Milczy.

– No, zastanawiam się, kto mógł panią zmusić do oderwania się od tej idylli. No?

– Przyszli po mnie i...

– Kto? Do takiej dziewczyny to może przychodzić listonosz z listem od chłopaka, dostawca mleka, facet z pralni... No, kto jeszcze?...

– Gestapo.

– Po panią? – Piotr spogląda z niedowierzaniem.

– Nie. Zabrali moich... rodziców. I ja potem...

– Przepraszam.

– Za co?

– Za te wszystkie pytania. Nie znałem w życiu wiele kobiet. Musiałem zarabiać. Uczyłem się, studiowałem... pomagałem bratu, który jest... po heine. Czasu nie było... A już tutaj... Jestem trochę zakonnik. Właściwie byłem taki przez całe życie. Jaka pogoda tam, na górze?

– Było słońce, ale takie jakieś...

– Zamglone?

– Nie. Wiatr nawiewał chmury...

– ...i one przesuwały się po słońcu. Wiem. Jaki wiatr?

– Nie rozumiem.

– Jest wiele wiatrów. Są wilgotne albo suche. Miękkie, słabe, idące tuż nad ziemią. Są takie jak tchnienie lub też wściekłe, szalone, atakujące człowieka ze wszystkich stron. Mówi pani, że wiatr nawiewał chmury na słońce. Więc musiał dać wysoko. Tylko skąd? Ze wschodu? Z zachodu?...

– Nie wiem. Nie pamiętam. Strącał liście z drzew. Gdzie się pan tak dobrze nauczył po niemiecku?

– Bona, studia... Więc jesień. Wszystko zmienia kolor. Buki na stokach gór zaczynają płonać... W parkach dzieci zbierają kasztany i kolorowe liście... Widziała pani konie?

– Tak. Biedne.

– Biedne? Nie wiedzą, co to wolność, więc nie czują jej braku. Wy, Niemcy...

– Niech pan skończy!

– Już nic – Piotr nasłuchuje. – Uwaga! Szybko! – nagle podrywa się i ujawszy konia przy pysku za uzdę prowadzi go przed siebie z pośpiechem. Hilda biegnie tuż obok niego.

Głuchy dudniący pogłos narasta. Dźwięk ten staje się coraz potężniejszy. Korytarz, którym idą, trzęsie się. Trzeszczą stemple. Dudnienie przechodzi w nagły huk jak głos gromu i urywa się niespodziewanie.

Ogromny odłam skalny wali się z łoskotem w miejsce, które opuścili przed chwilą. Przerazony koń drży na całym ciele. Podmuch powietrza niesie czarny pył.

– Mein Gott – szepce Hilda.

Przecierają oboje oczy. Piotr poprawia swoją lampę i spogląda na dziewczynę.

– Wierzy pani w Boga?

– Nie wiem.

– Ja czasem wierzę. Tu, pod ziemią, niech pani stale nasłuchuje. Jeśli pani usłyszy...

– Co?

– Czy ja wiem, jak to określić, dźwięk jakby przejeżdżającego pociągu, to niech pani zaraz ucieka w inne miejsce. Jeśli to „inne” zdoła pani jeszcze znaleźć.

– A jak nie znajde?

– Wtedy niech już pani lepiej wierzy w Boga, Opatrzność i wszystko w tym rodzaju. Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia cztery.

– Wygląda pani na starszą. I po co zrobiła pani ten sabotaż?

– Nudziło mi się.

– Teraz będzie pani miała wiele rozrywek.

– Wiem.

– Niedawno odbyło się tu piękne widowisko. Tąpniecie.

Niższe chodniki zalała woda i gaz podniósł się do poziomu, gdzie pracowali ludzie. Wspaniałe przedstawienie! Czterdziestu sześciu aktorów! Wszyscy dobrzy. To był ich ostatni występ!

– Wiem!

– Na Boga, co z tego, że wiesz?! Ja wiem, że wiesz! Ty szwabko! – wybucha Piotr. – Wiem! – milknie nagle i zgina się ku ziemi, szlochając. – Przepraszam – mówi po chwili, dysząc ciężko.

– Pocałuj mnie – Hilda podnosi go i przyciąga.

Przywierają do siebie bez słowa.

VIII

- Nie chcę wheel-chair – powtórzył. – Powiedziałem siostrze. Przejdę tak.
- Pan doktor będzie się gniewał – ciemna twarzyczka Nitto ściągnęła się. Była zbyt delikatna, aby umieć objawiać złość lub niezadowolenie. Nauczyła się tylko smutnego grymasu, którym zresztą też nie szafowała zbyt szczerze.
- Ale musi pan wziąć kule.
- Dobrze. Wezmę – przystał z rezygnacją.
- Rozpogodziła się.
- Bovril? Kawa? Herbata? Horniks? – podjechał „lord” z wózkiem wyładowanym parującymi pojemnikami. – Co wy w tej Polsce pijecie?
- Kumys, kozie albo kobyle mleko, piwo „full light” i wódkę – odpowiedział redaktor. – Poproszę herbatę!
- Ma pan zdrowy system nerwowy i wegetatywny. Ja po herbacie nie mogę zmrużyć oka – odparł wąsacz, na którego tego wieczora przypadła kolej rozwożenia kolacji. Spełniał tę funkcję do spółki ze zwalistym dokerem, któremu dźwig zmiażdżył lewą dłoń. Był zresztą ponoć najprawdziwszym i, jak głosiła fama, niezmiernie skąpym lordem z jakimiś dwoma zamkami, które wynajmował na lato bogatym Amerykanom.
- Gota fag, se? – zaskrzeczał doker z tak przedziwną intonacją, że redaktor wyciągnął paczkę carmenów dopiero po chwili.
- Będzie chodził po całej sali i opowiadał, że pali komunistycznego papierosa – rzekł „lord”. – Zawsze posądzałem pana, że przyszedł pan tu robić propagandę i że ta pańska głowa i kolano to tylko pretekst. – Pochyliwszy się nad jednym z pojemników, zdjął z niego pokrywkę. – Co pan je? Parówki z ziemniakami czy kanapkę z serem?
- Parówki proszę – odparł redaktor. – A co do tej propagandy, to ma pan rację. Zwierzę się nawet panu w zaufaniu, że ten gips na mojej nodze to wcale nie jest prawdziwy gips.
- A co? – baki „lorda” zadrgały. – Jeśli pan powie, że trzyma pan w nim ulotki, to nie uwierzę.
- Sir, posadza mnie pan o przestarzałe metody działania, o anachroniczne chwytły – redaktor wziął talerz i postawił na odginanym na łóżko stoliku. – To radiowa stacja nadawcza o ogromnym zasięgu. Nie powiem, co jest anteną...
- Rodzaj „walkie-talkie”, tak?... – twarz pomiędzy bakami zrobiła się naraz purpurowa i pomarszczona. – A antena to... No, domyślam się... Domyślam... he, he, he... – „lord” zaczął dygotać. Z ust jego wydobywało się chrapliwe syczenie. – Niech pana grom! Przez chwilę czułem się znów jak w Indiach. Koledzy, żarty, popijawa... Dawno się tak nie uśmiełem... – spoważniał. Ta umiejętność raptownych przejść od wesołości do powagi cechuje na ogół wszystkich brytyjskich oficerów.
- „Taki ty jesteś lord, jak ja szach perski. Swoje zamki na lodzie pewno zacząłeś budować już wiele lat temu. Jako sahib nie przemęczałeś się zbyt i miałeś wiele czasu na marzenia.”
- Gents! May I have your attention, please?! – pchając swój wózek, wąsacz ruszył majestatycznie przed siebie. – Bovril? Coffee? Tea? Horniks?...
- Sandwiches! Potatoes! Sausages! Salad! wtórował mu doker, łykając sylaby.
- Nitto przyniosła kule. Redaktor, stanąwszy na jednej nodze, wsunął pod pachy rozszerzone końce obszyte skórą.

„Ludzie zdołali wymyślić w ciągu tych lat masę rzeczy, lecz kształt tego ohydztwa się nie zmienił.” Robiąc pierwszy, „zamachowy” krok, uśmiechnął się, gdyż stojąca w pogotowiu Hinduska nie zdążyła uciec ze swym spojrzeniem.

„W tej sytuacji Angielka spoglądałaby przez cały czas w ziemię, trwając zarazem w pełnym pogotowiu. Na tego rodzaju »współczujące oczy« pozwoliłaby sobie dopiero wówczas, gdyby pacjent sam zasygnalizował jej potrzebę czegoś takiego, dajmy na to, nagłym westchnieniem. Jeśliby spotęgował to jeszcze, powiedzmy, spoglądając w niebo z wyrazem grozy – uważałaby niewątpliwie za stosowne rzucić nawet jakieś słowa pocieszenia.”

– Wszystko w porządku – powiedział, ruszając środkiem sali w kierunku telewizora.

Przy długim stole, na środku, pracowały jeszcze dwie siostry. Jedna rozdzielała porcje lekarstw, a druga – jak automat – przekładała tekturki, stojące w drewnianych szkatułkach. Ta właśnie rzucała pogłosem jakieś słowa.

– Już pan zjadł? – spojrzała krótko w jego stronę.

– Nie jestem głodny – odparł, przemieszczając gumowe końcówki kuł. Wsparty na nowym punkcie posadzki, przeniósł teraz swoje ciało na lewą nogę, wyrzuconą do przodu.

– Nie ma pan apetytu?

– Mam apetyt, ale chciałem zobaczyć Wrestling. Jest teraz mecz.

„Gdybym powiedział, że nie mam apetytu, zapisałaby to zaraz na mojej tekturce. A jutro pytałby o to doktor. Gdybym skłamał, że już zjadłem, odkryłaby to natychmiast i dała »aktor-sko« poznać, iż nie tylko gardzi mijaniem się z prawdą, lecz że wręcz nie jest w stanie pojąć mego zachowania.”

– Wszyscy, którzy oglądają Wrestling, już zjedli – podniosła głowę druga, przygotowująca lekarstwa. Wyglądała jak piękna topielica.

– Dobrze, zjem – powiedział redaktor i zawrócił.

„Ten naród nie mógł przegrać wojny. Pamiętam, jak to było. Jeśli dzisiaj informatorami policji są tutaj mleczarze i listonosze, to wówczas węszył każdy, kto żyw. Wystarczyło, aby stojąc przy jakimś mostku nad strumieniem poruszyć guzikiem marynarki, a już z krzaków wypadał facet z dubeltówką, w najlepszym razie żądając tylko dokumentów. A z jego pytań można było bez trudu wywnioskować, że jest pewien, iż ma przed sobą niemieckiego szpiega, fotografującego przy pomocy ukrytej kamery ową kładkę jako ważny obiekt strategiczny, bezcenny dla teutońskiej inwazji.”

Zjadł kiełbaski o smaku i kolorze marchewki, zakąsił chlebową „watą” i popił herbatą, która była jak zwykle doskonała.

Na ekranie telewizora dwóch zwałistych drabów, działając w asyście sędziego, próbowało sobie wzajem rozerwać szczęki. Rzecz była w kolorze. Niższy z zapaśników o klatce piersiowej i ramionach orangutana pochylił się pierwszy, przewracając swego przeciwnika w tak przemyślny sposób, iż tamten rąbnął z całej siły głową o deski ringu.

Człowiek-małpa siedział już na nim, odginając mu ramię w stawie barkowym. Spocona twarz leżącego wykrzywiona była grymasem potwornego cierpienia i męki. Jego ramię, zda się, odgięte już do kresu możliwości, odchyliło się jeszcze dalej.

Telewizor otaczali ludzie bez rąk i nóg. Ich oczy przejęły różowy koloryt barwnego ekranu.

– Whata bloke! – westchnął blady chłopak, rzucając okiem w lewo na swego sąsiada bez obu rąk. Ten nie odpowiedział. Całe jego kalekie ciało poruszało się lekko nieznacznymi drgnięciami, naśladując giganta, który zwyciężał.

Leżący, wgnieciony w deski, rzeził. „Orangutanowi” było tego jeszcze za mało. Warknąwszy na sędziego, który wypowiedział jakąś uwagę, poderwał się i odgiąwszy do tyłu nogi swego przeciwnika, zakreślił nim i rzucił na liny. Pochylił teraz głowę.

Rzucony odbił się od napiętych lin, lecz okazało się, że na to czekał właśnie człowiek-małpa. Jego głowa trafiła lecącego prosto w wątrobę.

Jakim cudem ten, który był przed chwilą bezkształtną masą różowego mięsa, zdołał się nie tylko podnieść, lecz nawet rzucić do przodu w kierunku swego przeciwnika, było zagadką.

„Orangutan” odskoczył, odbił się od lin i runął do przodu. Na to właśnie, jak się okazało, czekał różanoskóry.

W tym samym niemal momencie skoczył także obiema stopami do przodu. Jego buty trafiły człowieka–małpę prosto w twarz. „Orangutan” runął na ziemię. Sytuacja odwróciła się. „Różanoskóry” odginał oburącz do tyłu kudłatą głowę swego przeciwnika.

Wśród szpitalnych widzów ozwały się głosy niezadowolenia. Było wyraźne, iż bardziej byli radzi, gdy zwyciężał i pastwił się potwór aniżeli „Różanoskóry”, który mimo wszystko bardziej przypominał człowieka.

Redaktor podjął kule i zawrócił w kierunku swego łóżka. W pozostałych odnogach „krzyża” panował już półmrok.

Niektórzy spośród leżących śpiewali przeciągle i niezbyt głośno. Choć każdy z nich nucił inną, własną melodię, przecież głosy łączyły się w coś, co brzmiało jak chór.

„Jak wtedy, przed laty... Ciekawe, kto powiedział im wszystkim, aby śpiewali zamiast jęczeć? Kto nauczył ten naród takich rzeczy? Skąd się biorą ich optymistyczne kłamstewka? Uśmiechy zamiast grymasów? Czy to wszystko dlatego, że na brytyjskich statkach istnieje od lat niepisany zakaz mówienia o śmierci i o kobietach?...”

A Karina nie przyszła. To jest najstraszliwsze! Nie było jej już trzy dni. Nie zadzwoniła, chociaż wie, że telefon może tu podjechać do samego łóżka.

Coś musiało jej wypaść. Coś ważnego, ważniejszego niż ty! Nie ma nic ważniejszego niż ona i ja, rozumiesz? Jest. Sam wiesz – jej śpiewanie, kariera... Przecież ze mną możesz być szczerzy. Jestem szczerzy, psiakrew! Przecież jestem! Nie widzisz! Twoja szczerokość jest tylko pozorna. W gruncie rzeczy to właśnie ty nie chcesz nic widzieć. Czy naprawdę nie dostrzeżesz, że ona z każdym dniem, że wy...”

– Proszę siostry, chciałem coś na sen!

– Brał pan już wczoraj, sorry. Dajemy tylko przed operacją.

– Kiedy ja jestem... przed operacją.

– Niech pan nie żartuje i stara się zasnąć. Dobranoc.

„Znowu jej oczy. Istny najazd kamery. Zbliżenie. Jest. Na lewym malutka plamka. Teraz biodra. Leż, nie broń się!... A jeśli ona właśnie w tym momencie?... Oszaleję. Po prostu dostanę fioła, kręcka. Jak to się tam jeszcze nazywa? Radio. Niech szlag trafi wszystkie dźwięki! Wszystkie, które nie należą do niej!...”

Mamo, mów pierwsza! Ja już zapomniałem. Aniele Boży, stróżu mój... Głośniej! Cholera jasna! Kurwa mać z aniołami! A co będzie, jeśli nie przyjdzie także jutro?

Spokojnie, mój stary! Ostatecznie mogła wyjechać. Jest młoda. Należy jej się coś od życia, nie uważasz? Uważam. Jeśli tak, to wszystko w porządku. Gubi cię coś, stary! Chcesz wiedzieć, co to jest? Jasne. Dziwki ci zawsze przychodziły za łatwo. Ot co. Teraz, jak ci coś przy pięćdziesiątce nie wychodzi, to zaraz robisz dramat. A to jest całkiem zwykłe. Normalka... tato. Podchodziłeś, mówiłeś: »idziesz ze mną, mała?« i szły. Sam się nieraz dziwiłeś, dlaczego tak łatwo ci przychodzi to wszystko, za czym inne chłopcy gonią całymi dniami. No i teraz klęska. Kłops. Fini. Skończyło się... babci granie. Jesteś jak ruiny zamku. Niedługo zaczniesz straszyć... nocami. A może poszła gdzieś na dansing i tańczy. Przecież nie możesz jej zabronić, prawda? Piękna sala, ona siedzi w towarzystwie... A może tańczy po prostu w domu na Archway?” Jest gramofon. Kręci się płyta... Kantyna oficerska w budynku straży obozowej. Z głośnika płyną tony fokstrota.

Przy zastawionym stole podchmieleni mężczyźni w mundurach oraz chichoczące Inga i Gizella. Gwar, pijackie śpiewy i chmury papierosowego dymu. Gizella wstaje i zaczyna tańczyć z bezrękim oficerem.

Wchodzi Rudi, prowadzący za rękę Hildę. Dziewczyna ma na sobie krótką, wydekoltowaną suknię,

– Nie chciała przyjść – wyjaśnia Walden, prowadząc ją w miejsce, gdzie siedzi Hartmann w towarzystwie trzech oficerów.

– Na moje urodzinowe przyjęcie? To brzydko. Bardzo brzydko – mamrocze pijany major. – Zdrowie pięknej kobiety! – wstaje z kieliszkiem w dłoni. Drugi kieliszek wręcza Hildzie. – My, oficerowie, cenimy piękno! Co ja mówię, kochamy piękne kobiety. Nieprawda, moi panowie?

Wybucha wrzawa i oklaski.

– Poza tym dowiedzieliśmy się, że pani tańczy, pięknie tańczy!

– Kto to powiedział? – Hilda spogląda na Gizellę. Ta spuszcza oczy.

– To tajemnica – major wciąż jeszcze z kieliszkiem w dłoni kołysze się. – Wielka tajemnica. Kriegsgeheimnis! – wybucha śmiechem, w czym wtórują mu wszyscy podwładni.

– Nie będę tańczyła – mówi Hilda.

– Nie będziesz tańczyła? – Hartmann podchodzi bardzo blisko i spogląda ze zdziwieniem.

– Nie dzisiaj.

– Ale dzisiaj są moje urodziny – znów zanosi się śmiechem. – Jutro ich nie będzie. Dzisiaj zapominamy wszystkie urazy! – potrząsa palcem. – Chcemy się bawić, bo raz się żyje. Taka jak ty nie może odmawiać mężczyźnie. A już w dniu jego urodzin... Brzydko. No, moje zdrowie! – unosi kieliszek.

Rudi trąca Hildę – wypij!

Dziewczyna waha się przez moment, po czym wychyla zawartość swego kieliszka jednym haustem. Gromkie pochwały, rzucone pod jej adresem, mieszają się z brawami. Uśmiechnięty Rudi kładzie jej rękę na ramieniu.

– Teraz tańcz! Pokaż, co potrafisz! – wrzeszczy młody esesowiec, siedzący pod oknem z kuflem piwa. – Chcemy cię... – przerywa w środku zdania, dostrzegając spojrzenie Hartmanna.

– Czy zechce nam pani teraz zatańczyć? – pyta major z szarmanckim ukłonem. – Coś specjalnego, coś egzotycznego. „Stern von Rio”! – spogląda na młokosa.

Tumult ma wyrażać zadowolenie biesiadników z tej decyzji. Tęgi oficer z czarną przepaską na lewym oku zakłada już nową płytę.

Hartmann wyciąga ramiona.

– Spokój! Cisza! Meine Herren... – przerywa i skłania się w kierunku kobiet. – Pardon. Meine Damen und Herren, za chwilę wszyscy przeniesiemy się w rejon egzotycznych mórz południowych! Zostaniemy tam przeniesieni porywającym tańcem! – Hilda nie porusza się. Oczy wszystkich obecnych zwracają się w jej stronę.

– Moja dama nie w nastroju? – major zbliża się powoli do dziewczyny. – Podchodzi tak blisko, że stoją twarzą w twarz. – Nie odmówi pani chyba tej przyjemności solenizantowi? – w miarę wypowiedzania tych słów wyraz jego oczu zmienia się. – Wszyscy tu obecni kochają taniec, taniec artystyczny. I byłoby nam ogromnie przykro, gdyby „artystka” odmówiła nam w takim dniu. Bylibyśmy przygnębieni i smutni... – mężczyźni, siedzący za stołem, śmieją się.

– Ona zatańczy – wtrąca zmieszany Rudi. – Ja tylko...

– Ty nic! – rzuca major pod jego adresem. – Tańczyć! – purpurowieje i siada nagle.

– Nie bądź bezdenną idiotką! – szeptem Gizella za plecami wciąż jeszcze stojącej bez ruchu dziewczyny.

– Chcę więcej schnapsa – mówi Hilda.

– Wspaniale. To mi się podoba! – wykrzykuje bezręki oficer.

Hilda wypija jeszcze jedną dużą szklanekę wódki, przechylając do tyłu głowę. Spogląda na krąg mężczyzn dookoła siebie. Kołyszają się, zdają się przewracać. Rząd spoconych twarzy rozciąga się w różnych kierunkach, wirując coraz szybciej i szybciej. Wychodzi na środek salki.

– Muzyka! – Rudi klaszcze w dłonie.
Hilda zaczyna tańczyć.
– Stop! – woła Walden niespodziewanie. Podchodzi do dziewczyny. – Panowie, „Stern von Rio” jest tańcem egzotycznym i powinien być tańczony inaczej. Tak, jak go tańczą krajowcy na dalekich, słonecznych wyspach! – dotyka sukni Hildy.
– Tak! Tak! Brawo! – ryczą widzowie.
Major podnosi się.
– Słusznie. Taniec jest pięknym samym w sobie i nie można go psuć ubraniem!
Podnieceni mężczyźni klaszczą.
– Czy panowie się zgadzają? – Rudi stuka obcasami.
– Tak! – wrzeszczy męskie audytorium.
Hilda rozbiera się powoli. Wzrok ma utkwiony w jakimś odległym punkcie.
Inga szepce coś do Gizelli. Jej oczy są pełne współczucia. Melodia tanga „Stern von Rio” wypełnia oficcerski barak. Uważne, pożądliwe spojrzenia mężczyzn przywierają do ciała dziewczyny.
Ktoś gasi górne światło i ogromny cień poczyna przesuwać się po ścianach.
Hilda tańczy nago.
Eigenbracht zeszczuplał. Przyjechał niespodziewanie. Okazało się, że list do Amsterdamu szedł z racji strajku personelu lotniczego cały tydzień. Chudeusz zaciągnął zasłonę z jednej strony łóżka. Łóżko wdowy Montefiore, z leżącym w nim starcem, zniknęło.
– Kwiaty ci zwiędły. Śmierdzą – rzekł stawiając na stoliku przy łóżku butelkę „Black and White”.
– Karina przyniosła i... zapomniałem wyrzucić – zaczął redaktor. Uśmiechnął się, widząc wyraz twarzy przyjaciela.
– Stajesz się sentymentalny – gość wzruszył ramionami. – W naszym wieku to luksus. Każde piękno kiedyś zaczyna gnić. Wtedy trzeba z nim tak – wyjął bez pytania kwiaty z wazonu i trzymając je z daleka od siebie wyniósł do kosza na korytarzu. Wracając omal nie zderzył się w drzwiach z Nitto. Coś powiedział z uśmiechem, zabawnie wyginając nad nią swoje długie ciało. Hinduska uśmiechnęła się także.
– Wyglądałeś przed chwilą jak przęsło mostu – rzekł redaktor. – Ta mała zupełnie zniknęła w twoim cieniu.
– A było odwrotnie. To właśnie ja poczułem, że istnieję w cieniu tego zjawiska – Eigenbracht otworzył butelkę. – Kto? Jak się nazywa?
– Wiem tylko, że ma na imię Nitto.
– Nitto... – powtórzył i rozejrzał się, jakby w nadziei, że zobaczy ją znowu. – Wolno ci pić?
– Mnie nic nie wolno – odparł redaktor.
– To znaczy, że możesz robić wszystko – Holender napelił dwie szklanki. – Zakazy znoszą się automatycznie, jeśli jest ich za wiele.
Uśmiechali się do siebie upijając ze swych szklanek.
„Jest jak dom, do którego człowiek wraca, kiedy jest zmęczony lub samotny. Taki dom, w którym wszystko stoi na swoim miejscu. Gdzie zegar tika jak dawniej i gdzie zapach jest zawsze ten sam.”
– Więc przyjechałeś – powiedział. – Cieszę się, że cię widzę,
– A ja wcale się nie cieszę – Eigenbracht zwrócił oczy na leżące. – Jeżeli kwiaty zaczynają się psuć w wazonie, to znaczy...
– To znaczy, że ktoś nie zmienił wody – rzucił redaktor.
– To znaczy, że zostały przyniesione już dość dawno i że nikt nie zastąpił ich nowymi...
Gdzie ona jest?
– Chcesz, żeby tu siedziała całymi dniami?

– Całymi nie, bobyś nie wytrzymał. Ale powinna przychodzić.

– Przychodzi – odburknął.

– Kiedy była ostatnio?

– Odczep się! Przed trzema dniami. Pracuje. Nie ma czasu. Daj mi papierosa!

– Ręka ci drży jak... – Holender zdmuchnął płomyk zapalniczki. – Słuchaj... Albo rozmawiamy po staremu, albo wcale. Już z twojego listu wywnioskowałem, że coś dzieje się nie tak.

– U mnie przeważnie wszystko dzieje się „nie tak”. Nie wiedziałeś? – redaktor wypił jednym haustem całą zawartość swej szklanki.

– Myślałem, że ostatnio... – gość dolał nieco whisky. – Sprawialiście oboje wrażenie...

– Kiedy jest zupełnie dobrze, naprawdę. Histeryzuję rozumiesz? Piszę teraz coś takiego... Sam nie wiem, jak to nazwać... Aha, balladę.

– Dla niej? Będzie to śpiewała?

– Nie. Nikt tego nie będzie nigdy śpiewał ani oglądał.

– Ja was, Polaków, nie ogarniam. Nie macie pieniędzy, a stać was na luksusowe spędzanie czasu. Po co piszesz w takim razie? Chcesz, żeby ktoś się tym zajął po twojej śmierci?

– Nikt się tym nie zajmie nawet po mojej śmierci. Zapewniam cię. Nie mam tu co robić, więc skrobię – odparł, zapalając raz jeszcze papierosa. – Wydaje mi się tylko, że trochę za bardzo mnie to wciągnęło.

– Zajmij się tą małą. To odświeża – Holender odprowadził wzrokiem przechodzącą Nitto.

– Genialna dziewczyna! Zresztą...

– Strzelaj! – uśmiechnął się leżący.

– Chętnie bym sam do niej strzelił. Co, myślisz, że bym tego nie zrobił?

– No, to spróbuj! Naprawdę cię się podoba?

– Stary, rozgrzesza cię tylko ten wstrząs mózgu. Zaniewidziałeś czy co? Przecież zawsze, jeśli chodzi o te sprawy, byliśmy zgodni. Gdzie znajdziesz w dzisiejszych czasach taką harmonię piękna, delikatności i energii? – chudzielec zerknął na twarz leżącego. – Przepraszam. Ustaliliśmy już dawno, że nigdy nie będziemy sobie zadawali konwencjonalnych pytań.

– Jasne – odparł redaktor.

– Ale czujesz się już lepiej?

– Oczywiście. Widząc ciebie, czuję się genialnie. To było właśnie konwencjonalne pytanie.

– To było twierdzenie. Nie znasz się. W ogóle podziwiam, jak potrafisz coś napisać.

– O to chodzi, że nie potrafię – roześmiał się redaktor.

– Temu panu nie wolno! – Nitto przystanąła wsparta na białej poręczy łóżka.

– Ten pan jest okropny. Trzyma pod poduszką jeszcze galon whisky. – Eigenbracht zmarszczył brwi. – Ja też go potępiam!

– Tu nie chodzi o potępienie, a o zakaz – Hinduska zaczerwieniła się lekko. – Poza tym codziennie poprawiam tę poduszkę. Nic tam nie ma.

– Boże, ile ja muszę codziennie poprawiać poduszek! – Holender wznosił oczy w niebo. – I nikt mi nie pomaga!

– Dlaczego? – Nitto rozstawiła swoje długie, śniade nogi. Eigenbracht ocenił ich jakoś jednym spojrzeniem.

– Pan Eigenbracht jest właścicielem hotelu w Amsterdamie – rzucił redaktor.

– Ten hotel musi być bardzo mały – roześmiała się.

– Lubię swoje przeciwieństwa – wielkolud rozłożył ręce.

– To dotyczy nie tylko hoteli – zrobił zabawną minę. Parsknęła śmiechem.

– A ciekawa jestem, ile... tam może być pokoi? – rzekła po chwili zdawkowo. Spoważniała jednak.

– Tylko szesnaście, ale za to do niektórych idzie się po najbardziej stromych schodach świata. Dlatego zatrzymują się u mnie przeważnie alpinisci.

- Holenderscy – dorzucił leżący.
- Jej śmiech zaczyna się od iskierki w oczach, a potem spływa niżej, zauważyłeś? – gość spoglądał na śniadą dziewczynę z zachwytem. Redaktor doszedł do wniosku, że i jemu zaczęła się nagle podobać.
- „Stara gwardia nie poddaje się nigdy. Zmurszały drań tokuje jak za dawnych, dobrych czasów. Ta mała także grucha, aż miło.”
- Nie ma pan naprawdę nikogo... do sprzątnięcia? – Nitto spoglądała w ziemię. – Przecież to dużo pracy. A co robi pańska żona?
- Nie mam żony. Przychodzą dwie kobiety. Jedna pomaga mi rano, a druga wieczorem. Czasem, jedna z nich zostaje, kiedy muszę wyjść.
- Wyobrazam sobie, ile to kosztuje – rzekła Hinduska ze współczuciem, jak gdyby to ona sama płaciła ze swej kieszeni.
- Sporo. Poza tym, wie pani, hotel jest „bed & breakfast”, a ja nie bardzo potrafię... Za śniadania goście płacą ekstra.
- Ile guldenów bierze pan za pokój?
- Najtańszy – trzydzieści pięć, najdroższy – siedemdziesiąt.
- To się niezbyt kalkuluje – kiwnęła głową. Najwyraźniej przeliczyła coś w myślach. – Ale gdyby podnieść standard...
- Można by zrobić windę – rzekł Eigenbracht. – Nie daję rady. Nie chcę brać współnika, więc...
- Słucham pana – rzekła bez uśmiechu. Była teraz zupełnie inna.
- Bardzo mi się pani podoba, panno...
- Nazywam się Nitto Huma-Dien. Mnie też się pan podoba – uśmiechnęła się znowu po dawnemu. – A ile pan ma lat?
- Pięćdziesiąt jeden – dwa słowa zabrzmiały jak cena. – Dien, czy mogłaby pani...
- Nitto – poprawiła go z uśmiechem.
- ...Chciałbym, żeby pani do mnie przyjechała. Koszt przejazdu biorę na siebie – rzekł Holender. – Przepraszam cię – zwrócił się do redaktora.
- W porządku – rzucił ten w odpowiedzi.
- „Oto lekcja. Może w ten właśnie sposób należy omawiać wszelkie związki z kobietami. Na pewno uniknęłyby się wielu rozczarowań.”
- Przejazd do Amsterdamu kosztuje dziewięć funtów w jedną stronę, wie pan? Muszę już iść – rozejrzała się. – Już dawno skończyłam pracę.
- Zje pani ze mną lunch? – Holender spojrzał na zegarek.
- Bilet do Amsterdamu kosztuje dziewięć funtów – powtórzyła, jakby nie dosłyszawszy jego pytania.
- Nie szkodzi – machnął ręką.
- Ja zapłacę połowę – powiedziała z wyraźną ulgą. – Dobrze, że pan nie jest skąpcem. Wytestowałam pana.
- Ten pan się tylko konspiruje – wtrącił redaktor. – Zapałkę dzieli na czworo,
- Doceniam wartość pieniądza – powiedział Eigenbracht.
- To wszystko.
- Bardzo dobrze. Dlatego coś pan ma. A jak by pan widział... naszą?... Co mi pan właściwie proponuje?
- Mam dla pani ogromną, gigantyczną propozycję... życiową – zawiesił głos.
- No, słucham.
- Urzeczywistnienie jej zależałoby od tego, czy zechciałaby pani rzucić ten szpital.
- To jasne – zerknęła na zegarek. – Spiesz się pani?
- Nie, to jest ważniejsze.
- Proponuję pani współpracę.

– Jaką?

– Chcę, żeby pani kierowała wszystkim, całym hotelem. Warunki omówimy. Nie będzie pani żałowała.

– Powie mi pan dokładnie dzisiaj w czasie lunchu?

– Postaram się.

– Bardzo bym chciała wiedzieć wszystko dokładnie. Chyba dałabym sobie radę z tym hotelem – uśmiechnęła się. – Panowie chcą jeszcze porozmawiać, prawda? Proponuję spotkanie za godzinę u „Smitha” na Charlotte Street. To jest kontynentalna kuchnia i tanio. Wejście konspiracyjne – przez sklep kolonialny. Trafi pan. Blisko Goodge Street. Szkoda, że pana z nami nie będzie gdzie – zwróciła się do redaktora.

– Ja także bardzo żałuję – zdążył tylko powiedzieć, gdyż uśmiechnęła się raz jeszcze i machnąwszy ręką na pożegnanie, odeszła.

– Cwaniara nie z tej ziemi! Lubię takie. Uwielbiam! Ma randkę z boy-friendem, to jasne, i jak pięknie kręci! – rzekł Eigenbracht i zachichotał.

– Już myślałem, że chcesz się jej oświadczyć – powiedział redaktor.

– Oświadczyć? Masz na myśli małżeństwo? A po co? Nie upadłem na głowę. Bardziej mi się kalkuluje jej płacić i mieć pełną obsługę, pełną pod każdym względem, he, he... Ona będzie i w tym, i w tym wysmienita. – Mogę się z tobą założyć. Jest urocza. Bystra i zorganizowana. Pamiętasz Kathy? Była u mnie siedem lat. Trochę podobna do tej... jak jej tam? Nitto. Na Kathy także zdecydowałem się od razu i nigdy tego potem nie żałowałem. Ta mała zarobi u mnie dwa razy tyle, co tu, albo i więcej, więc oboje będziemy zadowoleni. Wydam ją potem za porządnego chłopaka i zostanę przyjacielem numer jeden ich domu.

– I nie boisz się... samotności? – rzekł redaktor. – Przepraszam cię. Muszę... wiesz – postawił stopy na chłodne linoleum.

– Jeśli ona okaże się pojętna pod każdym względem, a mnie „odbije” i w chwili słabości ulegnę złudzeniu, że dzięki kobiecie mężczyzna może nie być sam, to się z nią ożenię. I będzie to mój upadek – podał kule redaktorowi. – Ożenię się z nią albo z jakąś inną. Chociaż te Hinduski są najlepsze. Mają jednak jakiś ukryty rasowy kompleksik. Od dziecka przygotowane są – przynajmniej na bazie tradycji – do funkcji służenia mężczyźnie... To wszystko nadzwyczaj pozytywne, jeśli chodzi o wykonywanie obowiązków. Każdych! rozumiesz?

– Rozumiem – odparł redaktor i pokuśtykał w stronę łazienki, ruchem ręki odrzucając chęć pomocy

„Cholera, działałem zawsze odwrotnie niż on. Dostawałem cięgi, lecz nigdy bym nie zniósł uprawiania miłości na sklepowej ladzie, a w dodatku przy wtórze stukotu kasy. A tak właśnie on sobie to wyobraża. Kombajn spełniający wszystkie funkcje. Miłość i codzienne obliczanie utargu... In and out and bread.”

Ale nie był pewien, czy tak właśnie czuje, jak mówi w myślach. Wiedział tylko, że Eigenbracht przestał być dla niego kimś podobnym do zacisznego, dobrze znanego domu, do którego pragnąłby wrócić w chwili samotności lub wielkiego zmęczenia.

Coś się znowu skończyło. „Wygląda na to, że coraz łatwiej wszystko się kończy, a coraz trudniej – zaczyna!”

Przypomniał sobie, że Kariny nie było już trzy dni, i wredne, szarpiące uczucie przyćmiło znowu wszystko inne.

Po wyjściu Eigenbrachta leżał długo, zwrócony twarzą do ściany. Dopiero kiedy na murze pojawiły się obrazy – usiadł i wziął zeszyt do ręki.

IX

W zagrodzie dla koni pod ziemią jest parno. Spocony Bulla siedzi z zamkniętymi oczyma. Hilda czyta z gazety ostatnie doniesienia z frontów.

Z żarówki okręconej gazetą płynie nikłe światło. Wiadomości są optymistyczne. Hitlerowskie wojska zdają się gromić przeciwników na wszystkich frontach.

Stary człowiek otwiera oczy i skręca papierosa.

– To znaczy, że Hitler dalej załatwia wszystkich, jak chce. We Włoszech... w Rosji... we Francji. Jestem szczęśliwy, że nie mam syna.

– Masz córkę, Klemens?

– Też nie. Albo to chyba jeszcze lepiej. Kłopot z córkami, kiedy dorastają, prawda?

Hilda spuszcza oczy.

– Kłopot.

– Ja wszystko wiem, Hilda. Wszystko rozumiem.

– Co?

– Ty wiesz, co. Temu tu nic nie mówię. Pytał mnie wczoraj o ciebie. Nie spuszczał oczu. Patrz prosto!

– O co pytał?

– O takie... różności. Jak dziecko jest. Uczył się i pracował. Na kobiety wiele czasu nie miał, to teraz...

– I coś mu powiedział?

– Nie bój się.

– Nie boję się.

– Boisz.

– Coś mu powiedział?!?

– Nie wrzeszcz! Nigdy się nie dowie, jak jest z tobą naprawdę. Powiedziałem, żeś porządna dziewczyna.

– Dziękuję.

– Myślisz, że ja to dla ciebie?... Och, głupia jeszcze jesteś, „zielona”. Chodź do koni!

Podchodzą do zagrody. Gucek opiera głowę na ramieniu swego pana. Prycha lekko.

– Nie lepsze to niż dziecko? – mówi Bulla. – A tego to najbardziej lubię. Od małego do starości go chowam. Piętnaście lat ma dzisiaj, a powiedziałaabyś? Z początku chorował, kiedy go tu przywieźli, a potem przywykł: zapomniał o świecie. Ale głupi. Razu jednego to się o mało nie spalił. Bajtlok pieroński!

– Mówiliście, że mądry.

– Tak mówiłem dla żartu, ale naprawdę to on najgłupszy. Ciągłe mu się zdaje, że jeszcze żrebak. O, popatrz – pokazuje, jak koń wargami łapie go za rękaw. – A poszedł!

Piotr wychodzi nagle z ciemności i siada daleko od nich.

– Piotr! – Hilda podbiega do niego.

– Czego chcesz?

– Nie jesteś zbyt uprzejmy.

– W ogóle nie jestem. Nie ma mnie. Nie widzisz tego?

– Jesteś, bo przysłałam cię odwiedzić. Czekałam na ciebie.

– Nawet umarłych odwiedzają.

– Miękniesz.

– Tak. Jestem tchórzem, jasne?
 – Chcesz papierosa? Buchnęłam paczkę juno. „Juno Rund macht dich gesund!”
 – Komu?
 – Wszystko jedno – Hilda spuszcza oczy.
 – Nie.
 – Majstrowi w sortowni.
 – Sabotażystka! – Ty też.
 – Tak. Sabotuję samego siebie. Spójrz na moje palce. Widzisz, jak się trzęsą? Myśli moje w głowie trzęsą się tak samo. Wczoraj nie mogłem sobie przypomnieć twojego imienia. Klemens mi odpowiedział.
 – Więc myślałeś o mnie?
 – Nie. Próbowałem sobie przypomnieć twoje imię.
 – Zjadłeś coś?
 – Tak. Bulla postawił mi miskę w zwykłym miejscu. Tak jak w ZOO.
 – Nic nie zjadłeś?
 – Nie byłem głodny.
 – Musisz jeść.
 – Po co?
 – Żeby żyć.
 – Po co? Widzisz, też nie wiesz. Po co żyć? Komu jestem potrzebny?
 – Każdy człowiek jest potrzebny światu. Najlepszy dowód, że się urodził.
 – Jakemu światu? Twojemu? Mojemu? Gdzie jest ten mój?! Wiesz? Bo ja nie. Płaczesz?... Nie płacz... Widzisz, spotkaliśmy się w złym czasie, w zamęcie, w końcu wszystkiego... Tylu wspaniałych chłopców umarło w tym szybie. To jeden cmentarz. We mnie też coś się skończyło... Zmieniłem się... rozklejam się łatwo... Próbuję z tym walczyć... ale... Już dłużej nie mogę. Nie mogę!...

– Spójrz na mnie – Hilda zbliża lampę do swej twarzy.

– Jesteś piękna... najpiękniejsza na świecie!

– A więc świat mimo wszystko istnieje!

Zamyka go w swych ramionach jak dziecko.

Zima. Śnieg pokrywa ziemię, Hilda ma gości. To Rudi. Esesman jest w dobrym humorze. Przyniósł żywność dla dziewcząt. Zaprasza Hildę na spacer. Ta przyjmuje zaproszenie. Mężczyzna w mundurze mówi o swym awansie, rodzinie, rzuca śniegowymi kulami. Zdaje się być zwykłym, młodym człowiekiem idącym ze swą dziewczyną na przechadzkę.

Hilda, promienna uczuciem, jest dla niego łaskawsza. W pewnej chwili zaczyna nawet mówić o swym szczęściu. Gotowa jest powiedzieć coś więcej, wypowiada ciepłe, przyjazne słowa. Lecz zbliżają się oboje do składu drzewa i oto wychodzą na jaw zamiary młodego esesowca. Powalona na ziemię dziewczyna walczy rozpaczliwie.

Jedynie zdumienie Waldena, który nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, doprowadza do tego, że udaje się jej wyrwać z jego ramion. Ucieka.

Przed wejściem do kuchni, w załamaniu muru, Berta rozmawia z Marcelem. Francuz – rozjezdzony się uważnie – podaje jej jakiś drobny przedmiot. Oddala się pospiesznie. Tymczasem wewnątrz, obok rozgrzanego, kuchennego pieca, Hilda odbiera garnek z zupą i chleby.

Podchodzi Berta.

– Masz – podaje dziewczynie mały flakonik. – Ma to brać trzy razy dziennie. W każdej pastylce są wszystkie witaminy. Tu masz mleko – wręcza Hildzie butelkę. Ta wsuwa ją pomiędzy worki z obrokiem. – I jeszcze... – Berta waha się jakby – powiedz mu, że Rosjanie podszli aż pod samą Wisłę.

– To pewne? Skąd wiesz?

– Pewne. Nie pytaj za dużo i nie chodź taka, jakbyś spacerowała w chmurach. Już Gizella pytała, co się z tobą dzieje. Jak zapyta kto inny, może być źle.

– Dobrze. Dziękuję. Gdzie kucharka?

– Ta stara? Syna jej zabili na Ostfroncie. Płacze całymimi dniami. Miłość, miłość... I cóż to jest ta miłość? Ludzie się kochają, żenią, mają dzieci, a potem w samotności czekają na śmierć.

– W takim razie dobra jest wojna. Ludzie mogą kochać się i umierać tego samego dnia – mówi Hilda na odchodnym.

Zapomniany płaszcz Holendra dostrzegł dopiero przed wieczorem. Eigenbracht musiał się spieszyć na spotkanie z Nitto, jak na żadne inne w swoim życiu. Zdjął z poręczy łóżka szarą gabardynę. Trench pachniał fajkowym tytoniem.

Miał go już powiesić na powrót i przywołać którąś z sióstr, aby go zabrała, gdy wtem, działając jakby bezwiednie, wsunął go pod materac od strony ściany.

Dopiero dokonawszy tego zastanowił się, dlaczego to zrobił. Odkąd zaczął pisać, zdarzały mu się czynności lub słowa, dla których uzasadnienie odnajdywał opornie i z opóźnieniem albo nie odnajdywał wcale.

Niekiedy włączał się do rozmów innych chorych. Pytał, odpowiadał na pytania, komentował, zdobywał się nawet na uwagi, które – ku jego zdumieniu – odbierane były jako dowcipne.

W chwilę po zakończeniu każdej z takich rozmów wydawało mu się jednak, że wszystko – wymiana poglądów i opinii, mimiczne lub intonacyjne reakcje rozmówców – zdarzały się we śnie. Własne słowa wracały do niego w takich momentach, jakby niesione echem. Często dziwił się, że mógł je w ogóle wypowiedzieć, gdyż wydawały mu się tak niepodobne do wszystkiego, co zwykł był przekazywać do tej pory innym ludziom.

Kalecy dyskutanci byli bezkompromisowi i zaciętrzewiali się łatwo jak dzieci. Jeśli chodziło o konflikty i problemy natury moralnej czy też zagadnienia społeczne – załatwiali je od ręki.

Jones, kędzierzawy Walijczyk spod okna, domagał się likwidacji Izby Gmin i odrębnego, autonomicznego rządu dla Walii. Jego sąsiad, Mr Ceiling, właściciel straganu na Soho, starzec, któremu amputowano lewą stopę, był za natychmiastową reformą więziennictwa. Student, Mike Davies, cierpiący na tajemniczą chorobę szpiku kostnego, nieszczęśnik, poddawany nieustannym badaniom i zabiegom, był anarchistą i nie krył wcale, iż chciałby rozprawić się raz na zawsze ze wszystkimi politykami świata. Nie przeszkadzało mu to wierzyć w transcendentną wibrację. Co wieczór zatem walczył z bólem i rozpaczą, śpiewając monotonię, do taktu rytmicznym skłonem to samo, co zawodzili na biało odziani chłopcy i dziewczęta z ogolonymi głowami, drepczący rzędem w takt bębienka, wzdłuż Oxford Street:

Hare Krishna Hare Krishna
Krishna Krishna Hare Hare
Hare Rama Hare Rama
Rama Rama Hare Hare...

„Ukryłeś ten płaszcz, gdyż w nim tylko udać ci się może nowa ucieczka. Eigenbracht jest wysoki. Nie będzie nawet widać nogawek spodni od piżamy. Nie przyznajesz się do tego przed sobą samym, ale zdajesz sobie przecież sprawę, że Hilda i Karina się nie znoszą. Wystarczy, abyś dwa dni nie widział którejś z nich, a już umierasz z rozpaczą. Ty stary durniu, masz przecież zupełnie dość, jeśli nie potrafisz przenieść na papier tego wszystkiego, co ci chodzi po głowie. Więc... musisz każdą z nich... widywać oddzielnie. Hilda... Mrozy przyszły wcześniej tego roku. Wojna dopala się z wolna, hen na odległych frontach. W Ilwitz zmieniło się tylko to, że o wiele trudniej zdobyć coś do jedzenia. Poza tym wszystko... po staremu. Dziewczyny w baraku powinny teraz... Dlaczego Karina nie dzwoni? Telefon na Archway nie odpowiada... Chryste, a jeśli ona!... Uciekam. Poły trencha majdają mi się wokół łydek. Por-

tier nie widzi, że jestem w piżamie. Mijam jego okienko i wychodzę na Gower Street. Teraz w lewo, do Tottenham! Autobus jedzie dziwnie szybko. Już Archway. Otwieraj drzwi cicho, jak najciszej! Przemykasz ciemnym przedpokojem. Naciśnięcie klamki. Drzwi nie skrzypnęły. Na tapczanie, w blasku czerwonej poświaty bijącej z kominka tarzają się dwa nagie ciała... Mężczyzna to Rudi – kochanek! Wiedziałeś przecież. Domyślałeś się. Szerokie, muskularne ramiona. Odblask ma kolor krwi. Stoisz śmieszny w długim szarym trenczu. Tamten prostuje się, obejmuje jej biodra. Zaraz zginie. Lecz ponieważ to nastąpi, bo nastąpić musi, jest jeszcze trochę czasu. Możesz popatrzeć, posłuchać. To przecież fascynujące. Pamiętasz, mówiłeś jej kiedyś, że chciałbyś podejrzeć innego mężczyznę w chwili... Teraz to masz. Masz to, co chciałeś. Patrz!

Karina wykrzykuje coś, jak zawsze, kiedy... Jej twarz staje się napięta. Tak, to ten bieg. Zaraz meta. Nie pozwolę! Boże, jakie to straszne! Przecież ja autentycznie cierpię. Jak nigdy dotąd. Jestem tam, z nią, z Hildą – wszędzie! Nie ma mnie. Nie zabiję tego człowieka. Dam mu odczuć swoją pogardę. Niech i on się dowie, jaki jestem. »Jest już pani w moim archiwum akt dawnych. Litera K, rozumie pani? – Litera K...« Teraz jeszcze pogardliwy, pełen wyższości uśmiech. Nie uśmiech, uśmieszek. Dłoń na klamce. Cztery schodki. Ogródek i już ulica. A jeśli oni się z ciebie śmieją?... Nie, Rudi musi zginąć. Odczekam jeszcze chwilę. Potem jakieś słowo. Obojętnie, jakie. A w chwilę później jej szeroko rozwarte oczy i usta, które coś krzyczą. I jego białe zęby. Cofa się nagi, wspiera plecami, wgniata te plecy w poręcz łóżka. Przywiera do tej poręczy całym tym swoim pięknym, zdrowym, młodym ciałem. Już wie, że to nieodwracalne, że już raz... Prosi o coś, pada na kolana. Ona to widzi. Dobrze, wspaniale! Niech wie, z jakim chłystkiem mogła... Niech porówna. Usta jej wyginają się w pogardliwym uśmiechu. Melodramat. O to chodziło. Strzał nie pada.

Błagam! Błagam pana! Już nigdy!! – mamrocze tamten. Ślina spływa mu z ust. Wtedy on, mściciel, zaczyna się śmiać i z tym coraz to naturalniejszym śmiechem wychodzi, nie mówiąc już ani słowa. Na ulicy, tuż przy wejściu do Highgate Wood, obok autobusowego przystanku, stoi Hilda. Uśmiecha się do niego. Objęci, ruszają przed siebie.

Będę budował domy. Studiowałem architekturę. Po wojnie wszystko się zacznie na nowo. Będę ci grała na fortepianie. Lubisz Wagnera? Nieprawda, wcale nie jest ponury! Zapalimy świece i zrobimy muzyczny wieczór. Zaprosimy Bertę i dziewczyny, a ja będę o ciebie okropnie i beznadziejnie zazdrosna.”

– Siostrzo, szybko! – zawołał ktoś i od razu, jakby do wtóru tym słowom, zastukały obcasy.

Redaktor usiadł i rozejrzał się. Była już noc. W przeciwległym rogu sali ktoś pospiesznie zaciągał zasłony wokół łóżka „lorda”. Doktor Thunder zrobił, jak zwykle, zabawny grymas, mijając łóżko chłopca bez nóg. Zniknął tak szybko za zasłonami, jakby się zapadł pod ziemię. Cienie tańczyły na suficie w prostokącie światła. Wtem przestały się poruszać.

Redaktor podniósł się i zsunąwszy na ziemię sięgnął po swoje kule. Fotografia Kariny na stoliku połyskiwała. Kuśtykał przez salę, odprowadzany spojrzeniami tych, którzy nie spali.

– Pan tu nie jest potrzebny, sorry – jedna z sióstr, korpulentna szatynka, zastąpiła mu drogę. Miała na imię Betty. Uśmiechała się tym typowo angielskim grymasem, pokrywającym – w zależności od sytuacji – lęk lub gorycz. Nie dał się nabrać.

– A może jednak – zaoponował. – Przecież wczoraj wieczorem grałem z „lordem” w szachy. Rozmawialiśmy... Nawet nie dokończyliśmy partii.

– Niech pan wraca do łóżka, dobrze? – Betty przestała się uśmiechać. Zrozumiał. Jones poprosił o otwarcie lufcika. Redaktor zawrócił i przeszedł obok jego łóżka. W rogu znalazł drąg służący do otwierania, gdyż okna były niezmiernie wysokie. Walińczyk nie pytał o nic. Spoglądał gdzieś przed siebie. Student miał chyba nowy atak bólu, gdyż kiwał się miarowo śpiewając to, co zwykle.

Minąwszy jego łóżko, przyspieszył. Butelka whisky, zostawiona przez Eigenbrachta, stała w szafce obok łóżka. Pociągnął z niej spory łyk. Przez chwilę pragnął miłostnego spełnienia.

Starał się myśleć o Betty i wyobrazić sobie jej ciało. Bez skutku. Betty była sobą jedynie z daleka. Kiedy zbliżała się, miała twarz Kariny. Próby przełamania tego kosztowały go sporo. Zasnął. Obudził się tuż przed śniadaniem. Ciało „lorda” zabrali i wywieźli w nocy tak dyskretnie, że nawet student tego nie zauważył.

Karina pojawiła się, kiedy siedział obok człowieka z obandażowaną głową, czytając mu gazetę. Nagle artykuł o zatargu pomiędzy Pakistanem a Indiami przestał mieć jakikolwiek sens. Była w liliowym kostiumie, którego nie znał.

– Siedź! – przytrzymała dłonią jego ramię.

– Przyszła moja żona – powiedział do swego słuchacza.

– Wiem – odparł tamten, jakby widział wszystko. – Halo!

– Halo! – rzuciła jasnym głosem w odpowiedzi.

– Jaka jest dzisiaj pogoda?

– Jest trochę chmur i wiatr – rzekła po angielsku, uśmiechając się do męża. Ujęła jego dłoń. – Nie uwierzysz, byłam w Edynburgu. Wysłałam ci kartkę. Poznałam kapitalną starszą panią. Nazywa się Mrs Mary Lampton i pisze pamiętniki. Niegdyś była śpiewaczką. Wybiera się tu do ciebie.

– A w Edynburgu? Byłyście razem?

– Właśnie. To stało się zupełnie nieoczekiwanie. Poznałam ją, a tu problem – jej przyjaciółka w ostatniej chwili zrezygnowała ze wspólnego lotu. W tej sytuacji za bilet zwróciliby grosze. Więc ja – szybka decyzja. Samolot i jesteśmy obie na Princes Street. Zupełnie jak sen. Dwa cudowne dni. Nie mogłam przecież zrezygnować z takiej okazji. „Jakaś bogata lesbijka? Mężczyzna kryjący się pod kryptonimem Mrs Lampion? Zostaw to teraz. Nie myśl.”

– Jasne. Jasne że nie – powiedział.

– Niech państwo sobie nie przeszkadzają – władował się w ich nagłe milczenie zabandażowany. Spojrzeli oboje na jego poruszające się wargi. – Nigdy nie sądziłem, że polski jest taki melodyjny i ostry jednocześnie.

– Polski to pikantna przyprawa innych języków. Coś w rodzaju tatarskiego sosu – rzekł redaktor i podniósł się. – Do czytania wrócimy później.

– Ależ naturalnie. Przepraszam, że pana eksploatuję. Dziękuję bardzo – rzekły wargi. – See you! mogły się jeszcze nawet uśmiechnąć.

– Co mu jest? Chodzisz już dużo lepiej, wiesz? – rzekła, kiedy wlekli się w stronę łóżka.

„Boże, jak to szybko poszło! Jak obłędnie, przerażająco i nieodwołalnie dzieje się to wszystko między nami! Przecież ona zupełnie nie wie, co powiedzieć. Przychodzi tu do mnie jak do obcego człowieka. Nawet nie uważa za stosowne wspomnieć, gdzie była w ciągu pozostałych dwóch dni... Gdzie była NAPRAWDĘ! Nie widziałem jej przecież cztery dni i noc! Załóżmy, że no przylocie była zmęczona. Ale mogła przecież zadzwonić. Pozostaje poza tym jeden długi dzień, a ja...”

Jesteś tchórzem, zwykłym parszywym tchórzem! Boisz się wyrzucić z siebie otwarcie, że wszystko... Tak, boję się. Umieram ze strachu. Zawsze się tego lękałem, ale teraz właśnie, kiedy jestem odrażający, chory, słaby, kiedy przybyły mi nowe zmarszczki – dopadło mnie.”

– Tak, doktor Thunder jest ze mnie zadowolony. Mówi, że jestem taki chłopak – zrobił knajacki grymas. – A jemu? Wypadek w laboratorium, wybuch, ale oczy całe. Ma tylko poparzone powieki, policzki no i – last but not least – pęknięcie miednicy. Jak doszło do tego ostatniego, nikt nie wie. Podobno zupełnie. nietypowe. Inżynier chemik. Miły chłopak. Wyglądasz świetnie.

– To znaczy, zdrowo?

– Zdrowo i pięknie. Co porabiają Joe i Robert?

– Och, to nieważne. Joe wyjechał. Ma jakiś koncert we Francji. A Robert... Nawet telefonował dzisiaj rano i pytał o twoje zdrowie. Kręci film telewizyjny o ochronie środowiska naturalnego. To teraz modne..

– Podziękuj mu za pamięć. Ja też dzwoniłem. Nie widzieliśmy się przecież parę dni. Ale chyba cię nie było.

„Opanuj oddech. Dobrze, iż powiedziałaś o tym w chwili wchodzenia do łóżka. Ona jest teraz zajęta opieraniem kul o ścianę.” Wypadło to zdawkowo i nie wyglądałaś chyba na zbytnio zainteresowanego jej odpowiedzią.

Boże, jaka ona piękna i jakie te kule przerażające!”

– Nie zgadniesz, gdzie jeszcze byłam!

– A właśnie, że zgadnę: w Brighton!

– Nie. W studio BBC Television. Oglądałam próbę sztuki – poprawiła poduszkę i przygłęła na moment do jego uda. To było jak jałmużna. Odsunął się.

– Jesteś dziewczyna „dynamit”! Kiedy zdażyłaś?

– Zaprosili mnie. Opowiem ci wszystko. Jesteś ciekaw?

– Mowa – zapalił ofiarowanego papierosa. Podał jej ogień. Pokręciła głową przecząco.

– Przyszły do ciebie listy – położyła na kocu kilka kopert z ogromnymi, kolorowymi znaczkami, a na stoliku – pomarańcze i cytryny. Przechwycił jej dłoń i zbliżył do swej twarzy. Leżał przez chwilę z zamkniętymi oczyma. Gładkie palce poruszyły się. Były chłodne.

Coś załaskotało go na brodzie. Spojrzał. Tuż przed sobą miał szkocką lalkę w kraciatym kilcie i z kobzą zwisającą z ramienia.

– O, dziękuję! Gdzie mieszkałaś w Edynburgu?

– Pani Lampton miała dwa wykłady na uniwersytecie, ona jest historykiem. I zatrzymałyśmy się w Pollock Halls of Residence. Wiesz, gdzie to jest?

– Chyba tak. Na wzgórzu. Widać stamtąd The Arthus’s Seat. Z Princes Street jedzie się tam autobusem przez Waverley Bridge, zdaje się – dwójką...

– Może... Podziwiam twoją pamięć. Wdrapałam się na sam wierzchołek tej góry. Z drugiej strony widać jezioro i stare zabudowania. Ale najpiękniej wyglądał zamek iluminowany wieczorem. Piłyśmy piwo w małej knajpce na Rutland Street, widzisz, ja też zapamiętałam jakąś nazwę. Oświetlone mury i baszty zupełnie jakby unosiły się w powietrzu. Żałowałam, że ty...

– Kropelko – rzekł zduszonym głosem.

Przez chwilę spoglądała prosto w jego oczy.

– Wieki już tego nie słyszałam – odparła z odblaskiem dawnego uśmiechu. Przyciągnął ją i pocałował. Nie usunęła ust. Wtedy pocałował ją raz jeszcze i trwało to długo. Nie wiedzieć kiedy dłoń jej wpęzła pod kołdrę. Nie zdażył uciec. „Dziwka” – pomyślał. Zadudniło naraz tysiące dzwonów, a kolorowe race rozprysły się nad połyskującą wodą.

Oslabły jeszcze i rozedrgany, zaczął szukać niespokojnie palcami. Zrazu nie reagowała. Wtem zwróciła się w jego stronę. Jej kolana były ciepłe. Zwarła je na powrót.

– Nie! – wróciła do poprzedniej pozycji. Siedziała teraz nienaturalnie wyprostowana, spoglądając w odległą część sali.

Dotknął jej pleców. Drżała.

– Studia telewizyjne mają tutaj ogromne. Kable wyglądają jak zwisające liany – rzekła, dając mu nowego papierosa. Sama nie zapalała. Wypowiadane przez nią słowa brzmiały zupełnie nienaturalnie. Było mu znowu dobrze i szczęśliwie.

– Restauracja na ostatnim piętrze nie jest większa niż u nas, na Woronicza. Nie ma także kawiarni. No, ale studia wyposażone „types-topes”. I ile ich jest! Nie masz pojęcia!

– Kocham cię – powiedział. – A jak z twoim głosem? Chodzisz na lekcje?

– Chodzę. Podobno idzie mi coraz lepiej. Profesor Tellini jest zadowolony.

– Zupełnie jak ze mnie doktor Thunder, jeśli chodzi o kolano. Zaczynamy być oboje „do przodu”, nie uważasz?

– Jesteśmy piekielnie „do przodu”. Płakać się chce – rzekła bez uśmiechu. – A jeśli chodzi o „tak zwaną miłość”, to... Kocham cię także.

– Był tu Eigenbracht. Zemścił się i wyrzucił twoje kwiaty – rzekł, zaskakując samego siebie.

– Boże, zapomniałam ci przynieść!

– Wybaczam wam, obywatelko – rzekł, wydymając wargi. Uśmiechnął się. – „Jest znowu prawie tak, jak było. Właściwie to piekielnie mało potrzeba człowiekowi na wyprostowanie własnych zakrętów. Prawie...”

I właśnie w tej chwili niecierpliwej i radosnej, kiedy pieścił ustępliwe, to znowu odporne palce żony, gdy czuł, że wnika w niego coś nieopisanie potrzebnego, a budzącego nadzieję – naszła go Hilda.

Stało się to tak niespodziewanie, że zdrętwiał. Zatrzymała się tuż obok. Przysiągłby, że widzi jej oczy.

Pochyliła się. Była zajęta jakąś pracą. Zastanowił się, co mogłaby robić.

Może szyje? A może kraje chleb? Nie, bochenek chleba stałby się w tej sytuacji symbolem jej uległości.

– Naturalnie —odpowiedział na zadane sobie pytanie, którego nie dosłyszał. Oczy Kariny ściemniły się. Zaniepokoił się.

– A ja tylko chwilami. To miły kraj – rzekła. – Czuję się tu coraz lepiej. Porozmawiamy zresztą, kiedy wyzdrowiejesz – podniosła się. – Kochany, tak chciałabym, aby między nami było dobrze.

– Będzie. Na pewno – powiedział jak polityk zapewniający swych wyborców o przyszłym sukcesie. – Kochamy się przecież i przezwyciężymy wszystkie przeszkody.

– Cieszę się, że tak mówisz – odparła, całując go.

„Obraz Hildy rozjaśnia się i gaśnie. Zupełnie, jakby pulsował. Co ona rozumie przez to: »aby między nami było dobrze«? Zabrzmiało to jakoś...” Chciał prosić o wyjaśnienie, lecz nagle uprzytomnił sobie, że wie już, gdzie jest Hilda i co robi.

Karina odeszła. Zatrzymała się przy drzwiach i pomachała dłonią. Przesłał jej całusa, a wtedy ona pogroziła mu z łobuzerską miną. Stała jeszcze ułamek sekundy, trwając jakby na jęczyczku wagi, gdyż w tym momencie wypełniały go obie z tą samą intensywnością. Potem piękność stojąca opodal załamania białej szpitalnej ściany zniknęła. Jej miejsce zajęła tamta. Najpierw ściana zmieniła kolor, stając się płaszczyzną z surowego drewna.

W baraku Hilda zajęta jest szorowaniem drewnianej ławy. Wchodzi Marta i zrzuca wataną kurtkę. Przeciera oczy. – Nic nie widzę.

– Bo ze śniegu przysłaś – Hilda spogląda na koleżankę.

– Nie, to nie. Wczoraj wieczorem też nic nie widziałam. Już po piątej wszystko mi się robi takie zamazane. Ślepnię czy co? Ale byłoby fajnie! Daliby mnie do przytułku. W tej wrednej sortowni nie musiałabym tyrać. Wypięłabym tyłek na cały świat.

– Wykończyliby ciebie i twój tyłek.

– Miejsce pracy by straciła – dorzuca Gizella leżącą na swej pryczy.

– O przytułku myśli, kretynka! Na jakim świecie ty żyjesz? Daliby ciebie do „przytułku”, z którego wyszłabyś przez komin – mówi Hilda.

– Nawet na mydło za chuda. – Gizella zaczyna się śmiać. Spogląda na koleżanki i widząc, że żadna z nich się nie śmieje, wraca do śpiewania:

Es geht alles vorüber,

Es geht alles vorbei,

Mein Mann ist an der Ostfront,

Bitte, ein Bett ist frei!...

– Złóż i szoruj drugą ławkę! – rzuca Hilda pod jej adresem.

– Jeszcze czego? Wojna się kończy.

– Nim się skończy, pluskwy cię zjedzą. Złazisz czy nie?

– Już niedługo waszego szwabskiego rozkazywania! – Gizella opiera się na łokciu.

– Coś ty powiedziała, dziuro? – Hilda podbiega do jej pryczy i chwyciwszy za nogę próbuje ściągnąć na ziemię.

– Sama jesteś zdzira. Myślisz, że nie wiem, że się puszczałaś za pięć marek. Cały Hamburg cię znał, bo byłaś... naj... tańsza!

Gizella spada na ziemię. – Ty franco pierdolona! Ważniaczko esesmańska! Myślisz, że tak ze mną możesz, bo masz Rudiego?! – rzuca się na Hildę i obie padają na podłogę, szarpiąc się za włosy i okładając pięściami.

– Rudi! – wykrzykuje naraz Marta. Podrywają się z ziemi.

– Gdzie? – Hilda dysząc poprawia włosy. Zbliżają głowy do okna.

– Zaproś go tu, niech cię... obroni – sapie Gizella.

– Zamknij mordę! – odpowiada jej Hilda.

– Co on tak patrzy? – mówi Marta. – Patrzy prosto w nasze okno.

– Porca la madonna, rozerwałaś mi najlepszą bluzkę – mówi Gizella płacząco za ich plecami.

– Zamknij się! – oczy Hildy obserwują sylwetkę w mundurze, są poważne. Esesman patrzący w ich okno odwraca się i wolno odchodzi. Hilda odprowadza go wzrokiem.

Piotr układa i obmurowuje nowe cegły w tamie przeciwogniowej.

Hilda klęczy obok niego.

– A co jest po tamtej stronie? – podaje mu cegłę.

– Piekło. Spójrz!

Dziewczyna zbliża oczy do szpary pomiędzy najwyższą warstwą cegieł a stropem. Ogień po drugiej stronie muru buzuje. Patrząca cofa się.

– Ładnie, co? Ogień, gazy, woda... Wszystkie żywioły są przeciw nam.

– Ludzie też – dodaje Hilda.

– Ludzie gorsi – Piotr siada, opierając się o czarną ścianę. – Chodź! – Hilda siada obok niego. Piotr patrzy na jej twarz.

– Sabotażystko!

– Bandyto!

– Nigdy dotąd nie zauważyłem, że masz krzywy nos.

– Nie mam krzywego nosa.

– Masz. Ale dla mnie jesteś wszystkim, czego tu nie ma – całuje ją.

– Niemało rzeczy! Czego ci najbardziej brak?

– Wiatru.

– Jestem twoim wiatrem.

– Słońca.

– Jestem twoim słońcem.

– Zapachu kwiatów.

– Zima. Nie ma kwiatów.

– Ty jesteś kwiatem.

– Nie mogę być kwiatem.

– Dlaczego?

– Dobrze, jestem twoim kwiatem. Czego ci jeszcze brak?

– Kobiety.

– Jestem twoją...

Całują się. Wtem Piotr odsuwa ją od siebie i nasłuchuje. Po chwili nakazuje Hildzie gestem, aby położyła się. Przypadają do ziemi oboje. Jeniec gasi lampę. Trwają w kompletnym milczeniu.

– Zdawało ci się – szepce dziewczyna.

Nie musi odpowiadać. Daleko, w perspektywie chodnika, dostrzegają jasny strumień światła.

– Hilde, wo bist du?! – słycać głos Rudiego. Leżą niewidoczni dla przybysza. Odblask ognia tańczy na ich ciałach. Piotr szepce:

– Wracaj tą samą drogą, którą przysłaś. W kierunku światła. Po trzydziestu metrach skreć w pierwszy korytarz na prawo, a potem wyjdź z niego tak, jakbyś szła nim przez cały czas. Szybko!

Hilda podrywa się i biegnie. Lecz zaczepia nogą o wiadro leżące w ciemnościach. Dźwięk potraconej blachy rozchodzi się szerokim echem.

– Wer da? Was ist denn los mit dir? – głos esesmana jest już o wiele wyraźniejszy. Hilda biegnie, potykając się w ciemnościach. Zbliża się do korytarza idącego w prawo, lecz Walden biegnie także. Jego lampa tańczy rozkołysana.

Piotr obserwuje ten wyścig. Za plecami ma mur z ognioodpornej cegły. Ognista poświata ma kolor krwi.

– Ty jędo! Uciekasz? Zaraz będę cię miał i tak! Rudi śmieje się, podniecony gonitwą; Rozbudzony instykt łowcy potęguje jego pożądanie. – Tu jeszcze tego nie robiłem! Zaraz zobaczysz! – dopada i łapie uciekającą. Dziewczyna krzyczy, wrywając się z jego rąk. Dyszą oboje.

– Myślałaś, że cię nie znajdę, tak? – unosi lampę i oświetla jej twarz. – Myślałaś, że tutaj ci się uda, tak samo jak na górze. Nie, maleńka. Ale przedtem musisz przeprosić. Ładnie, bardzo ładnie przeprosić – wykręca jej ręce tak, że Hilda zmuszona jest ukłknąć przed nim. Walden śmieje się.

– Teraz mów: nigdy więcej...

Nagły cios w szczękę odrzuca esesowca. Ten jednak natychmiast orientuje się w sytuacji. Wrywa pistolet z kabury.

– Du Schweinhund! – strzela z półobrotu. Piotr ma jeszcze czas pchnąć Hildę na ścianę. Kula trafia go w ramię. Pada.

Hilda przekonana, że Piotr został zabity, rzuca się jak furia na esesowca. Jeniec podnosi się. Teraz walczą obaj mężczyźni. Nowy cios pięści Amerykanina odrzuca esesmana daleko poza krąg światła. Rewolwer wypada z ręki Niemca. Próbuje go dosięgnąć, lecz Piotr jest szybszy. Strzela. Esesman pada zabity. Lecz nawet teraz nie wszystko jest skończone.

– Podnieś lampę! – rzuca ranny chrapliwym głosem. – Weź go za ramiona.

Włoką teraz oboje zabitego w kierunku zapory ogniowej. Krew uchodzi z Piotra coraz szybciej. Nadludzki wysiłkiem udaje im się przepchać ciężar przez otwór w murze. Ciało zabitego wpada w płomienie po drugiej stronie przeciwogniowej tamy.

Piotr siada ciężko, a potem osuwa się coraz niżej.

– Słuchaj, wyjeżdżaj na górę natychmiast, rozumiesz? Nie mogą cię tu zastać. Zostaw mnie w tym miejscu i powiedz Bulli, że... – traci przytomność.

Hilda podbiega do Bulli, który podbija stempel opodal zagrody dla koni. Dziewczyna ma krwawe znaki na twarzy i ubraniu.

– Piotr miał wypadek! Nie pytaj! Szybko! Trzeba, go tu przywieźć.

Stary pospiesznie wyprowadza konie i zaprzęga do wózka.

– Był tu jeden esesman z obozu i pytał o ciebie. Widziałaś go?

– Masz jakiś bandaż? – rzuca Hilda, jakby nie dosłyszawszy pytania.

– Nie.

– A jakąś starą koszulę, szmaty?... Wbiega do domu Bulli i porywa ręcznik. Stary zbliża się do niej.

– Masz. Pakuły. To jeszcze lepsze. Gdzie to jest?

– Pokażę ci.

Ruszają szybko, popędzając konia.

X

– Gdyby nie te zafajdane migreny, byłoby nieźle – odparł Fred. – Poza tym spiam w czymś w rodzaju gipsowego negatywu swego grzesznego ciała. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że to łupanie w czaszce może mieć coś wspólnego z kręgosłupem. W każdym razie mogę cię zapewnić, że ilekroć zobaczę czarny Rover, będę spluwał w cztery strony świata i mówił „a kysz!”... Aha, jeszcze jedno, opiekuje się tu mną lekareczka – mówię ci – cudo! Kuperek ma taki, że można by na nim postawić dwie szklanki whisky bez obawy, że spadną. Poza tym pod swoim białym kitlem nie nosi niczego. Ożenię się z nią, jak tylko wyjdę z tego ... świństwa. Ona jest tu General Practitioner – obłęd! Te sufrażystki odwalily jednak kawał roboty.

– Chciałem ci przypomnieć uprzejmie, że jeszcze się nie rozwiodłeś – redaktor obsunął nieco słuchawkę przy uchu i położył się wygodniej. Odpowiedział na uśmiech przechodzącej Nitto. – A w jakim ty właściwie jesteś teraz szpitalu? Mówiłeś, że cię przenieśli.

– W klinice specjalistycznej w Manchesterze. Trzęsą się tu wszyscy nade mną. Pewno jestem „ciekawym przypadkiem”.

– Ja chyba też. Moje kolano robi furorę – roześmiał się redaktor. – Słuchaj, zapłacisz za tę rozmowę masę forsy.

– Kładę na to! – Zresztą na co mam wydawać? Na kartki pocztowe i czekoladki Nestle’a? Widziałeś może mecz Yerntown–Hennington? Ten Hortler jest jednak całkiem niezły. Jak on potrafił sklecić taką drużynę i z czego, to jeden Pan Bóg wie. Ale grają. Przerzuty w poprzek boiska, jakiś szwung do gry, drybling...

– Nie widziałem – wtrącił redaktor.

– To żałuj. A co, nie macie telewizora? U nas taki kolorek, że aż oczy bołą.

– Jest, ale... jakoś...

– Pieprzę to twoje „jakoś”! – wykrzyknął Fred. – Oglądaj wszystko, co jest do oglądania, gadaj z ludźmi, podszczypuj te dziewczyny w białych ciuchach, bo jak tego nie będziesz robił, to... – Fred przerwał, a redaktorowi wydawało się, że widzi ściągnięte namysłem brwi przyjaciela. Przez chwilę gotów był przysiąc, że siedzą obaj naprzeciwko siebie.

– Robię co innego – rzucił.

– Pisziesz to swoje dziwo?

– Właśnie.

– No i jak?

– Do kitu.

– To znaczy, że jest nieźle. Z tym twoim kolaniem to heca nie z tej ziemi. Nie bujałeś? Naprawdę rozwaliłeś je za pierwszym razem w czterdziestym trzecim? I naprawdę leżałeś już raz w tym szpitalu? Co ci było? Nie napisałeś o tym w liście.

– Nieważne. Zachciało mi się w czterdziestym drugim polecieć z Hacknall na coś w rodzaju wycieczki ćwiczebnej Tiger-mothem. Polecieliśmy z kumplem w kierunku Londynu i poszukał nas Messer, który wracał akurat z jakiejś powietrznej rozróby i nie miał nic innego do roboty, a nasi jakoś dali mu spokój.

– No i co?

– Wypaproszył nas. Dostałem rykoszetem w płuco. A ten, który ze mną leciał, dociągnął nasz pojazd cudem na londyńskie lotnisko. Też oberwał w ramię, ale lekko.

– I wtedy przywieźli cię na Warren Street. Przecież to można dostać kręćka!

- Właśnie trochę dostaję!
- Napisz o tym. To prawie jak reinkarnacja – rzekł Fred po chwili namysłu. – Chociaż nie! Nikt by ci nie uwierzył. O rany! Idzie ta moja seksbomba. Fantazja! Hi, hi, hi, najgorsze było, kiedy profesor wykorzystał mnie do ćwiczenia ze studentkami z drugiego roku. Ja golusieńki. Dookoła dziewczyny, a profesor spokojnie nawija, co jest co, wskazując różne punkty mojego cielska, jakbym był mapą strategiczną, a nie człowiekiem. Ona stała tuż obok i patrzyła.
- Najfatalniejsze, rozumiesz, że ten facet oszalał i zrobił się okropnie malutki. Małał dosłownie w oczach. Kompromitacja! Zupełnie jakbym wlaźł do lodowatej wody!
- Redaktor nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Spowaźniał, widząc wyraz oczu studenta, kiwającego się właśnie na swoim łóżku.
- Powinieneś wyprowadzić ją z błędu – rzekł po chwili.
- Zrobię to zaraz po ślubie. A może troszkę przed – Fred roześmiał się.
- Dobrze, że się trzymasz – powiedział redaktor
- Udaje mi się to tylko dlatego, że zakochałem się w tej małej. Inaczej rozpirzyłoby mnie to na tysiąc kawałków. Powiedziałem sobie: „zrób to!” i jakoś wyszło. Kiedy siedzi przy łóżku i trzyma mnie za rękę, zapominam o wszystkim.
- Ach, więc to tak. Myślałem, że żartowałeś – redaktorowi udało się zapalić papierosa.
- Jasne, że żartowałem. Ma męża – fajnego chłopca z żółtym Morrisem i dwoje dzieci. Jak to się mówi – „cudne bobaski”. Ja sobie tak tylko to wszystko wyobrażam. Leżę i wyobrażam sobie. To moja dziewczyna, kapujesz? Ten jej fagas to zwykły chłystek. Ona o tym wie. Nie patrzy na mnie. Ale mnie nie daje rady uciec. Nieraz, w nocy... Nie masz pojęcia – tylko jęczy i pokrzykuje. Ma się tę wyobrażnię. Noce z własnym negatywem... Żebyś poleżał w czymś takim, to zrozumiałbyś dopiero. Kiedy sobie wyobrażam, że ją kocham – jest lżej.
- „Fiksujemy obaj. Każdy na swój sposób. Właściwie to nie mamy o czym mówić. Przestaliśmy uczestniczyć. Nie ma nas. Wypadliśmy z kursu i w związku z tym, cokolwiek moglibyśmy powiedzieć, stało się kompletnie bez znaczenia. Niebawem zaczniemy rozmawiać o snach i przywidzeniach.”
- Jaka była pogoda tam, na górze? – spytał nagle.
- Na jakiej „górze”? Nie wygłupiaj się! – odpowiedział Fred.
- Tu u mnie bardzo ciemno. Coraz ciemniej.
- O czym ty gadasz?
- Fred, słuchaj mnie uważnie – redaktor ściszył głos. – Wszystko zrobiło się do kitu, zgadzasz się?
- Przeze mnie. Szlag mnie trafia! Kiedy pomyślę o tym, że gdyby nie ten wredny mecz...
- Spuszczam na to zasłonę. Ale... wszystko się nam rozleciało, mam rację?
- No... chyba tak. Masz – przyznał tamten także prawie szeptem.
- To nieprawda, co ci powiedziałem o Karinie. Nie jest dobrze. Znowu trzy dni jej nie widziałem. Nocami...
- Co jest?! – wykrzyknął niespodziewanie Fred. – Jeszcze chwila. Płacę za to, nie?! Nieprawda! Nikt nie czeka! Nic, chcę mi zabrać telefon. Poczekaj!
- Jego głos stał się naraz niewyraźny, a redaktor domyślił się, że zasłonił słuchawkę dłonią. Słuchał. Oderwane słowa dudniły głucho.
- ...Mój przyjaciel jest ciężko... No, mówiłem... umierający... Przecież... Pani doktor... Jeszcze chwila... Wcale się nie ruszyłem... Tylko ręka...
- Halo – rzekł naraz zwykłym głosem.
- Słuchaj, wyskakuję – rzekł redaktor. – Nie mam zamiaru umierać. Zadzwoń do ciebie! – położył słuchawkę.
- Podeszła Nitto i odciągnęła wózek z telefonem. Nie powiedziała ani słowa. Był trochę zdziwiony, że nie wspomniała o płaszczu Eigenbrachta.
- ...To panu dokończę – odezwał się człowiek z łóżka wdowy Montefiore. – Można?

„O, Boże! Jeszcze ten. Przecież nie mam już naprawdę na nic sił. O czym on zaczął bajdu-
rzyć przed telefonem Freda? O jakiejś gazecie?...”

– Proszę bardzo – położył się na boku.

Twarz starego była blada. Na skroniach pojawiły się dwie grube żyły. Zaczerpnął tchu i uśmiechnął się tym grzecznościowym grymasem Brytyjczyka starej daty, w ten sposób przy-
wykłego objawiać wdzięczność za chęć wysłuchania.

– Więc jak panu powiedziałem, jechałem undergroundem do pracy, jak zwykle o ósmej ra-
no. Wie pan, jak to jest – tłumy gnających przed siebie ludzi. Rzadko kiedy ma się siedzące
miejsce, ale tego dnia miałem. Jeżdżę aż do Ealing Broadway z London Bridge. Przesiadłem
się na Bank. Jak raz później tego ranka wyszedłem z domu. Wpadam do wagonu, a tu jakiś
jegomość wstaje i wysiada. Została po nim gazeta. Już nie wiem, czy „Daily Telegraph”,
„Guardian” czy może „Financial Times”. Nieważne. Usiadłem i wziąłem ją do ręki. Na Tot-
tenham Court Road, potem na Oxford Circus napchało się tyle ludzi, że musiałem gazetę
trzymać tuż przy oczach. Przeciągi, szcęk, przesuwające się nogi, biodra, ręce – zwykły
obłęd rush hour. A tu na jednej gazetowej stronie – cudna dziewczyna o wielkich oczach i
wspaniałym ciele. Za nią palmy, błękitne morze. Spokój. Może się pan śmiać ze mnie, ale
wydawało mi się, że czuję wiatr wiejący od tego morza. przez moment wdzięczny byłem Co-
okowi, że dzięki tej reklamie przeniósł mnie na wyspy, na których wszystko jest piękne i
świeże, a ponadto, iż mogłem znaleźć się tuż obok tej piękności. Nie każdy jest taki szczęśli-
wy jak pan i nie każdy ma tak śliczną żonę. Mówię tak, jak jest. No i pracowałem cały dzień.
Ciężko. A potem znowu to piekło – tłum ludzi czekających na zakurzonych, podziemnych
peronach. Duchota, powiewy, strzępy rozmów i ta piekielna precyzja pociągów.

Wchodzę ja do wagonu w tłumie innych, takich jak ja sam, i znowu mam fart – jest miej-
sce wolne, a na nim gazeta. U nas to, widział pan, tych bezpieczeństwa gazet przewala się bez
liku. I wszystko się jeszcze raz dzieje. Tylko... jak by tu powiedzieć – w drugą stronę. Od-
wrotnie. Każdy skonany. Ten i ów zasypia, wsparty o framugę okna. Mnie się nawet nie chce
otworzyć gazety. Ale robię to, bo przypomniałem sobie tamtą dziewczynę, podobną do pań-
skiej małżonki. Słowo daję, że podobną! Otwieram. Jest! Patrę i oczom nie wierzę. Jest niby
ta sama, ale jakże inna! Na jednym policzku – plama błota (widocznie gazeta leżała na ziemi).
W rogu, na żółtym piasku, ktoś zrobił rachunki i widać, że dodawał jakieś funty i pensy. Cała
gazeta zmięta, jakby wyciągnięta komuś z gardła. Tłuste plamy, odbite zelówki. Tam, gdzie
palmy – bezkształtna dziura. Na pięknej twarzy dziewczyny załamanie. Na próżno starałem
się wyprostować papier. Nie dało się. Odłożyłem gazetę.

I niby nic to nie było, nie miało żadnego znaczenia, ale pamiętam, że czegoś bardzo smut-
ny wróciłem do domu. Ta cała historia. Pan ciągle pisze, to może się panu przyda coś takie-
go?

– Dziękuję. Przyda się – rzeki ze ściśniętym gardłem. Leżał przez chwilę, nie wiedząc, co
powiedzieć. Uśmiechnął się i pokiwał głową. Tamten zrozumiał i odwrócił się do ściany.

Poszło dobrze. Przebrał się w toalecie. Zjechał windą. Portier nie zareagował. Wychodziła
akurat duża grupka pracowników szpitalnej pralni. Tylko jeden z mijających go młodych lu-
dzi przyjrzał mu się uważnie. Kolano spisało się dzielnie. Nie czuł bólu. Zaczął kuleć dopiero
za rogiem. Przystanął i rozejrzał się. Był na Gower Street. Po drugiej stronie jezdnii, w głębi,
wznosił się obszerny budynek uniwersyteckiego koledżu. Powietrze wydało mu się niezwykle
ostre.

Zawrócił w stronę Tottenham Court. Było już około dziesiątej wieczorem. Na przystanku
czekało sporo ludzi.

„Gdyby autobus jechał, jak dawniej, przez Leicester Square i Charing Cross, nie zatrzy-
małby się nawet. Wszyscy przecież wychodzą teraz z teatrów i kin. Wsiądę na przystanku na
żądanie obok pralni.”

Zacisnął palce na sztywnej okładce zeszytu w kieszeni, która znajdowała się niezwykle nisko. To, że Hilda i Piotr uciekli z nim razem, było pokrzepiające.

Zaczął mżyć drobny kapuśniaczek. Szyby autobusu pokryły od razu miliony kropelek. Mimo to dostrzegł, iż jezdnia Archway Road od strony Tufnell Park została już poszerzona.

„Piotr ranny. Co z nim dalej zrobić? Tracę powoli kontrolę nad całą sprawą. Każdy z nich żyje własnym życiem i działa trochę, jak chce. Umierają nawet bez pytania. Taki Rudi Walden, na przykład, miał umrzeć znacznie później. Ponieważ jednak zniknął z powierzchni ziemi już teraz, trzeba... należałoby...”

Nacisnął guzik dzwonka w ostatniej chwili. Konduktor uniósł brwi z dezaprobatą. Autobus zatrzymał się. Wysiadł powoli. Skoczył trzy razy na lewej nodze i był iż obok sklepu z antykami. Przechodzący ludzie nie zwracali najmniejszej uwagi na jego niecodzienny sposób poruszania się.

Londyn... Można tu iść z nocnikiem na głowie, gotować na prymusie obiad w samym centrum Piccadilly Circus, kochać się na trawie w parku albo umierać rżąc, wsparty o postument latarni, i nikt – chyba tylko obcokrajowiec – wśród tysięcy przechodniów nie zwróci na to uwagi”.

Wystawiony do sprzedaży garnitur mebli w stylu dyrektoriatu był w kolorze ciemnego miodu. Pomyślał o miodzie w słoikach i butelkach, sprzedawanym przez gaździnki na rynku w Nowym Targu. Zateśknął naraz szarpiąco, boleśnie.

Właściciel sklepu z szyldem „Garden Tools”, po drugiej stronie jezdni, wystawił kolorową tabliczkę „Paraffine Oil”. Poza tym nic się tu nie zmieniło. Rząd przysadzistych, piętrowych, „willo-podobnych” domów, po lewej stronie, trwał w pewnym oddaleniu od ulicy. Jezdnią, mimo późnej pory, sunęły bez przerwy samochody we wszystkich możliwych odmianach, jakie zdołał wyprodukować świat. Warkot, dudnienie i szcęk trwały nieprzerwanie.

Wsparty lewą ręką o murek, jaki oddzielał ogródki przed domami od ulicy, zaczął posuwać się, wciąż skacząc na jednej nodze – w kierunku przedostatniego budynku.

Świeciło się u Amerykanina na pierwszym piętrze. Pozostałe okna były ciemne. Przepęłniało go zbyt wielkie zmęczenie, aby mógł czuć zdenerwowanie. Zadzwoił, nie jak zwykle, trzykrotnie, lecz jakoś urywanie, nerwowo. Miał w tym swój cel.

„Jestem nieopisanie naiwny. Nawet jeśli ktoś u niej jest, nawet jeśli robiła to z kimś przed chwilą, nie zdobędę się przecież na zryw Otella. Ledwo stoję, pomimo »strategicznego« odpoczynku. Na wszystko – na zemstę, na szczęście, a nawet na cierpienia trzeba mieć siły.”

Wyrzekł tylko jedno słowo. Otworzyła od razu. Jej oczy były ogromne, niespokojne. Ujęła go pod ramię i, nie mówiąc nic, poprowadziła w stronę pokoju. Usiadł w fotelu. Cały świat wirował. Pił coś z przytkniętej do warg szklanki. Westchnął głęboko, a potem raz jeszcze zaczerpnął powietrza. Siły z wolna wracały. Z biurka zniknęła jego fotografia.

„Maszyna znowu płonie. Czeka mnie jeszcze jeden skok. Tym razem nieodwołalnie ostatni. Jeśli schowała moją fotografię, to znaczy... Opanuj się, bo przegrasz. Teraz uśmiech. Tak...”

– Nie mogłem dłużej!

– Przed chwilą, dwie minuty temu, dzwonili ze szpitala – rzekła, podchodząc do fotela. – „Bardzo nam przykro, ale Mr Legut chyba sobie zdaje sprawę, iż swoim postępkami zwolnił z odpowiedzialności za swoje zdrowie władze szpitala. Ubranie odebrać można w godzinach...”

– Tak, to w ich stylu – skinął głową.

– Powiedziałyby, że raczej „w twoim” – przeszła! do drugiego fotela i usiadła. – I co teraz?

– Widzę, że masz masę nut – wskazał biurko.

– O, tak. Prawie wszystkie najnowsze przeboje – podniosła się. Myślał, że zapali papierosa, lecz nie zrobiła tego. Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Halo! Witaj! Ja też – jej spojrzenie prześliznęło się łukiem po dywanie i powędrowało w stronę okna. – Słuchaj... Ja właśnie... Wrócił Marek. Marek, mój mąż! Przed chwilą. Tak... Niespodziewanie. Przekażę. No, właśnie... O piątej. Nic się nie zmienia. Mówię, że o siedemnastej zaczynam. Tak... Naturalnie. Ja też się cieszę. Więc – see you!

– Adorator? – zrobił wszystko, aby wycięcie jego warg wyglądało jak prawdziwy uśmiech.

– Pan Brems. Chcesz herbaty?

– Proszę. Co to, nie palisz?

– Już od dawna – jej ręce przestawiły coś bez sensu na stoliku pod lustrem. – Najgorsze minęło. Chyba wytrwam.

– To znaczy, że nie masz w domu ani jednego papierosa?

– Chyba nie – uśmiechnęła się. – Ale mogę ci...

Ostatecznie trzeba tylko przejść przez jezdnię do automatu.

– Wytrzymam. Zresztą... została, zdaje się, paczka carmenów w mojej marynarce. Znieśiesz, jeśli przy tobie zapalę?

– To będzie szkoła woli – otworzyła drzwi szafy w drugim pokoju. Wróciła z papierosami. Zapalił.

– Gdzie nasi gospodarze? Znowu wyjechali?

– Tak. On podpisał kontrakt i gra w jakimś lokalu w Cardiff. Podobno tam uchodzi za gwiazdę. Ona jest z nim.

– Bardzo wygodni gospodarze. A jak z twoim głosem? – wstał, zrobił dwa podskoki na jednej nodze w kierunku biurka.

– Coraz lepiej – odparła.

Podjął nuty w kolorowej okładce, pierwsze, jakie leżały z samego brzegu. – „Rhapsody in grey” – przeczytał wolno.

– Kto to jest ta dziewczyna?

– Lucia van Nocke. Nie słyszałeś? Mam kilka jej płyt.

– O, adapter i kolumnowe głośniki! Zawsze marzyłem o takim stereo z prawdziwego zdarzenia!

– No, to teraz jest – rzekła przystając obok okna.

– Kropelkę... – zaczął wolno. Dostrzegł kątem oka, że zwróciła ku niemu nagłym podrzutem głowę. Spojrzał na jej twarz. Wyglądała na zdumioną. Odczekał jeszcze.

– ...Kropelkę alkoholu bym się napił. A ty? Masz coś w domu?

– Chyba się znajdzie. To niezła myśl – wyszła z pokoju. Wróciła z butelką.

– Kochasz mnie? – spytał, rozgniatając niedopałek papierosa.

– Kocham – odrzekła. Postawiwszy na stoliku szklanki, pochyliła butelkę nad jedną z nich.

– Say when!

Przeciął powietrze dłonią. Naląła sobie.

„Więc w ten sposób, zimno i okrutnie... więc w ten sposób wyginęło wiele osób... Koniec. Jest zupełnie odmieniona. Zdumienie i rozpacz stają się znowu twoim udziałem. Walcz, zabiegaj o jej względy! Bądź dowcipny! Pleć coś trzy po trzy!”

– Znakomita whisky.

– Ballentines. Są lepsze – reflektując się, widać, zerknęła w jego stronę po dawnemu. – O czym myślisz? – spytała ze zwykłą intonacją.

– O „Królowej Śniegu” – opanował nagle wzruszenie.

– Więc już nie o „Królowie Śnieżce”?

– Teraz dopiero zaczynam myśleć o tamtej.

– Uwiodłeś tę Hinduskę?

– Jaką znowu Hinduskę?

– Nie udawaj, że nie wiesz. Tę salową z dużymi oczyma. Wlepiała je w ciebie bez chwili przerwy.

„Boże, co za cwaniara! Wie, że najlepszą formą obrony jest atak. Tylko że to takie prymitywne. Niegodne Hildy i Piotra. Co oni mają z tym wspólnego? O to chodzi, że nic. Powinieneś teraz rzucić coś w rodzaju:

Czyżbyś była o mnie zazdrosna? A wtedy ona znalazłaby jakąś kokietującą odżywkę. Miałkie to wszystko, małe...”

– Kropelko... – zaczął miękko.

– Jeszcze? – zbliżyła butelkę do jego szklanki.

A więc odegrała się. Dostrzegł wesołość w jej zmrużonych, wspaniałych oczach.

„Ty bestio! Nie masz ani odrobiny litości dla znużonego wędrowca. Wzorem swych prababek sprzed tysięcy lat wychodzisz z jaskini i chcesz, aby biec za tobą lasem. Prowokujesz do tej gonitwy. Rzecz w tym, że twój mężczyzna przestał mieć pewność, czy godna jesteś... Bzdura! To najwspanialsza dziewczyna jaką w życiu spotkałeś. Może nawet zbyt doskonała, aby można było przy niej odpocząć. Tego nie zaznasz. Trzeba wiecznie gonić śmigające wśród drzew ciało, warczeć pod adresem rywali, objawiać własną tężyźnię i jurność wszelkimi dostępnymi sposobami. Ale potem... Czyż nagroda nie jest godna tego wysiłku? Która dała ci w życiu tyle, co ona?”

Dostrzegł jej matowe kolana i wlepił w nie oczy. Alkohol robił już swoje. Zacierały się kontury złych, ponurych przemyśleń. Powiedziała coś o kolacji i zniknęła. Zostawszy sam, rozsiadł się wygodniej. Słyszał odległy szcęk naczyń, płynący z kuchni. Zanuciła coś. Przystało docierać do niego dudnienie samochodów za oknami.

„Jest dobrze. Zaraz będę jadł kolację, słuchał muzyki, a potem... Po co szukać czego innego? Dla pięćdziesięciolatków nie ma nieznanymi łądów. Wszystko odkryte. Tak powinno przecież wyglądać szczęście – stabilność, bezpieczeństwo, pełny brzuch, pożądanie, spełnienie, dom, samochód...”

Ten wieczór i część nocy, jaka po nim nastąpiła, były właśnie takie. Zasnęła zmęczona. Słyszał jej lekki oddech. Z głośników, niezmiernie cicho, płynęły wciąż jeszcze tony jazzowej melodii. Jeden motyw powtarzał się natrętnie.

Wyślizgnął się z objęcia jej nóg. Wyłączył adapter, usiadł w fotelu i zapalił. Tamci dwoje byli już z nim od dłuższego czasu. Właściwie to nie opuszczali go ani na chwilę.

Zrobił kilka kroków w kierunku przedpokoju. Wyjął zeszyt z kieszeni płaszcza. Drżały mu palce.

Hilda zjeżdża windą stojąc obok swego zwykłego ładunku. Gryzie palce ze zniecierpliwienia. Metalowa klatka zatrzymuje się z chrzęstem. Dziewczyna wypycha wagoniki i biegnie w kierunku domku Bulli. Stary wychodzi jej naprzeciw.

– No i jak? – dziewczyna podbiega i patrzy mu w oczy.

– Długo cię nie było.

– Nie mogłam wcześniej. Na górze przesłuchują wszystkich. Jak z Piotrem?

– Gorzej.

– Gorzej?! – wpada do izdebki.

Ranny, leżący na posłaniu Bulli, miota się w gorączce. Bredzi. Z jego ust wybiegają urywane, poszarpane słowa o matce, siostrze, domu. Chwilami walczy z kimś, znów tańczy na zabawie. Łzy kogoś najgorszymi wyzwiskami, udowadnia coś profesorowi, opowiada o znajomych, eskadrze...

Hilda klęka obok niego i przytula swoją twarz do pałającego policzka. Upływa czas. Dziewczyna zmienia kompresy na głowie rannego, coś do niego mówi, uspokaja. Chwilami Piotr zwraca się do niej tak, jakby mówił do swej matki.

– Trza go wziąć na górę, do doktora. – Bulla podchodzi i ujmuje dłoń Piotra. – Jak tego nie zrobisz, to umrze.

– Umrze! – Hilda spogląda na twarz starego przerażonymi oczami.

– A co ty myślisz? Gangrena i gotów. Gorączkę ma, znaczy, rana mu się zabrudziła. Jemu potrzebny doktor, a nie kompresy.

– Sama go wyleczę.

– Ile ty masz lat, że mówisz jak dziecko?! Myślisz, że ja pierwszy raz takiego widzę? Na górze jest lekarz. Jak ty go nie weźmiesz, to ja to zrobię.

– Bulla... – mówi Hilda zmienionym głosem. – Tego zrobić nie można, rozumiecie? Po prostu nie można!

– Czyś ty zwariowała, dziewczyno?! Czemu nie można? Czego ty się boisz? Ma tu skonać, że coś tam sobie umyślała?...

– Pamiętacie tego esesmana, co tu zjechał i pytał o mnie?

– Pamiętam. Mówiłaś, że wyjechał nazad, kiedy, nie słyszałem.

– On nie wyjechał.

– Jak to?!

– Piotr go zabił. Ten esesman do niego strzelił, rozumiecie?

– O, pieroński, zapierunowany świat! – Bulla nie kryje przerażenia. – To przecie oni tu zjadą. Konie zabiorą. Ty zafanzolona dziwko! Wszystko było dobrze, pókiś tu nie przyjechała!

– Wiem – dziewczyna spuszcza głowę. Stary wybucha.

– Nic nie wiesz! Głupia jesteś jak but z lewej nogi!

„Wiem!”... – niespodziewanie podchodzi i obejmuje Hildę ramieniem.

– Jak możesz, to mi wybac. W głowie mi się już miesza od tego wszystkiego.

– To była prawda.

– Gówno prawda! Tyle ci powiem, że chciałbym taką córkę mieć jak ty. Teraz go odwróć. Tylko uważaj! Kładą jeńca na brzuchu. Bulla bada ranę.

– Źle. Kula w nim siedzi. Obok kości przeszła, o tu, bokiem. Nawet niegłęboko jest.

– Myślicie, że – oczy Hildy i starego człowieka spotykają się.

– Myślę. Tylko wracać zaraz musisz. Teraz nie możesz tu długo siedzieć.

– Dalej, przesuwamy stół! – dziewczyna podnosi się. – Trzeba wypalić nóż.

Nieprzytomny, obnażony do pasa Piotr leży na stole. Bulla przywiązuje go do blatu sznurami i drutem. Hilda podsuwa nieco bliżej miednicę z parującą wodą.

– Gdzie trzymać? – stary człowiek podnosi lampę.

– Z tamtej strony – Hilda pochyła się nad ciałem rannego z nożem. Zagryza wargi i dokonuje pierwszego cięcia. Ciało Piotra napręża się, lecz sznury i druty nie puszczaają. Ranny krzyczy z bólu. Twarz Hildy ocieka potem, lecz skupiona i pełna koncentracji pochyła się nad otwartą raną.

– Jest – mówi Bulla. Dziewczyna ostrożnie wyjmuje kulę i patrzy na nią pod światło.

– Co się tak gapisz? Bandażuj! – niecierpliwi się stary. Hilda bierze pasy białego płótna z jego ręki. Owija ramię Piotra.

Prawie natychmiast po zabiegu ranny uspokaja się. Ta cisza po nieustannym potoku słów przeraża dziewczynę.

– Nie oddycha! – zbliża ucho do ust leżącego.

– Dycha. Chciałabyś, żeby ciągle sapał jak lokomotywa? Kończ!

Hilda słabnie. Bandaż wypada z jej dłoni. Dziewczyna osuwa się na ziemię obok stołu.

– Z babami!... – mruczy Bulla gniewnie, bandażując Piotra w dalszym ciągu. – No i jak ci?

– spogląda na leżącą.

Ta otwiera oczy. Uśmiecha się słabo.

– Dobrze – zaczyna się powoli podnosić.

Noc. Rewizja w baraku dziewcząt. Berta, Inga, Hilda, Marta i Gizella stoją pod ścianą, zwrócone tyłem do przeszukujących wnętrze gestapowców.

W istocie rewizji dokonuje stary żołnierz Wehrmachtu. Dwaj mężczyźni w cywilnych ubraniach tylko patrzą.

- Nur Briefe, Papiere... – żołnierz odwraca do góry nogami zawartość kolejnej walizki. Na podłodze piętrzy się już stos najprzeróżniejszych rzeczy. – Nichts mehr.
- Zeig mal diese Papiere! – jeden z gestapowców bierze plik kartek do ręki. Przegląda. Pokazuje drugiemu. Obaj śmieją się.
- Wer von euch hat das gezeichnet? – pokazuje rysunki i obrazki.
- Ich – mówi Inga.
- „Kunstlerin”? Zu viel Zeit habt ihr alle. Zu wenig Arbeit! Na, schön – rozgląda się po izbie. Wyższy opukuje ścianę.
- Erledigt? – pyta naiwnie stary żołnierz.
- Ja, Vater. Wir müssen weitergehen. Oder wilst du hier bleiben? Mit welcher? – śmieją się, patrząc na dziewczyny.
- Wyższy wsuwa rękę pod koszulę Gizelli. Ta pręży się i mruży oczy, jakby jej to sprawiało przyjemność. Pozostałe patrzą na nią z niechęcią.
- Heil Hitler! Gute Nacht! – trzech mężczyźni wychodzą. Dziewczyny stoją jeszcze chwilę w tej samej pozycji.
- Gute Nacht – mruczy Berta i nagle wypina się sprośnie. – Tu mnie możecie pocałować na „Gute Nacht”!
- Ale ty jesteś świnia – zwraca się naraz Marta do Gizelli. – Wystarczy, jak parę portek zobaczysz, to zaraz się spuszczasz.
- A co, chciałabyś, żebym mu dała w gębę? Ja wiem, co to gestapo.
- W gębę, nie w gębę. Ale zaraz takie jakieś...
- Jakie? No, gadaj, o co ci chodzi?
- O nic – Marta otacza ramieniem Hildę. – Co, słabo ci?
- Trochę – Hilda siada ciężko na pryczy. Jest bardzo blada.

- Co jeszcze mówiłem?
- O projekcie jakiegoś domu, jakimś złym obliczeniu... nośności stropów czy czegoś takiego... To było, kiedy musieliśmy cię przywiązać. Jesteś architektem?
- Tak. I co jeszcze?
- Och, mnóstwo rzeczy. Teraz wiem o tobie wszystko. Piotr leży na pryczy Bulli. Hilda karmi go łyżką.
- A ja o tobie niewiele.
- To nieważne.
- Przeciwnie, Fraulein, to jest teraz najważniejsze.
- Urodziłam się. Żyję. Kocham cię: Co może być ważniejsze od tych trzech rzeczy?
- Gdzie chodziłaś do szkoły?
- W... w Hamburgu.
- Już ciebie widzę: grzeczna pensjonarka z warkoczykami idąca ulicą. Pewno ojciec pokazywał ci port, statki... Mój chodził ze mną po górach. Był geologiem, wiesz?
- Wiem.
- Wiesz teraz – jeniec śmieje się. – Jacy są twoi rodzice?
- Och, przestań! – zamyka mu usta nową zawartością łyżki.
- Nie. Chcę wiedzieć wszystko. Mówiłaś mi o swoim domu, że stoi w ogrodzie. Duży?
- Tak. Nie.
- Więc tak czy nie?
- Nie.
- A więc mały – spogląda prosto w twarz dziewczyny. – Hilda, czy twoi rodzice wrócili?
- Skąd?
- Przecież mówiłaś, że wzięło ich gestapo!
- Masz, jedz! Wrócili.

- To dobrze. Zaprosisz mnie po wojnie do swojego domu?
- Oczywiście. Jedz!
- Będę się starał zrobić dobre wrażenie na twoich rodzicach. Przyjadę taksówką, nie, zarobię! Własnym samochodem. Wystąpię w świeżo wyprasowanym ubraniu, a w rękach będę miał mnóstwo prezentów i kwiaty... dla twojej matki.
- Będę musiała cię przedstawić...
- Jasne. Zrobisz to z całą pompą. Twoja matka stanie w drzwiach. Ty wybiegniesz mi na przeciw...

Hilda poddaje się marzeniu.

- ... potem przejdziemy pod rękę przez ogród...
- Duży?
- Dość duży.
- To dobrze. Będę cię całował za drzewami. Są drzewa?
- Nie – Hilda śmieje się. – Nie ma drzew.
- No to są kwiaty.
- Tak. Setki kwiatów.

Sprawia to przyjemność Piotrowi, więc Hilda kłamie. Tutaj, w ciemnych korytarzach starego szybu, zapomina dla niego o swym życiu, wymyśla coraz to nowe historie z przeszłości, sama wskazuje, uzupełnia obraz, jaki on stworzył w swej wyobraźni. Fantazjuje coraz śmielej. Chwilami sama wierząc w to, co mówi. Częściej zaś czując rozpacz.

Hilda w klatce windy jadącej na powierzchnię. Wspomnienia rozmowy z ukochanym są w niej jeszcze świeże. Uśmiecha się do swych myśli. Winda zatrzymuje się. Dziewczyna otwiera drzwi i wypycha wagonik napięciem wszystkich mięśni.

Dwaj mężczyźni w skórzanych płaszczach podchodzą do niej z dwóch stron. Poznaje ich. Ci sami, którzy przeprowadzali rewizję w baraku.

– Chodźmy na małą rozmowę, ślicznotko! – mówi wyższy. Prowadzą ją przez dziedziniec kopalni.

XI

Pisanie było jak latanie samolotem. Odrywanie się, raptowne skoki w inne proporcje, odmiennie kryteria.

Wznoszenie się i opadanie zabrały mu sporo sił. Upływał czas. Z kolaniem było lepiej. Wsparty na lasce kuśtykał z wolna po Highgate Wood.

Tylko jedna czy dwie pozycje nogi budziły piekielny ból. Działo się to wówczas, gdy zapominał o wszystkim czy też raczej o wszystkim pamiętał. Dialogi miłosne pisał wiele razy. Nie szły mu. Lepiej wypadało gestapo lub werystyczne sceny rozmów dziewcząt w baraku.

Budził się nieraz, przerażony myślami Hildy i tym, że tak bardzo zafascynowany jej osobowością mógł kiedyś ulec i kazać jej zrobić jakieś głupstwo.

Mówił teraz do siebie coraz częściej. Strzępy jego podsłuchanych przez Karinę monologów wydawały się nieopisanie zabawne. Śmiała się. Hilda nie znosiła jej coraz bardziej. Piotr nie zwracał najmniejszej uwagi. Karina śpiewała znowu swoim głębokim, bogatym w odcienie głosem. Pojawił się Mr Derek Brems. Okragły, jowialny pan o miękkim uścisku flakowatych, wiecznie spoconych palców i o malutkich, głęboko osadzonych oczkach.

– Wygląda, jakby go ktoś żywcem przeniósł z „Klubu Pickwicka”. Chyba okropnie lubi jeść.

– Może sobie pozwolić na najbardziej wyszukane potrawy, i to w najlepszych restauracjach.

– Nie zazdroszczę mu. Wolę domową kuchnię.

– W domu ma francuską kucharkę. A kiedy zobaczysz ten dom i bibliotekę, zaczniesz zazdrościć. Gwarantuję. Męskość to nie tylko aparycja.

„Ach, więc rzeczy zaszły już aż tak daleko!”

– Słuchaj, przecież on jest obleśny, żabi, przerażający! – Przynajmniej przyznaj, że to widzisz!

– Jest bardzo lubiany. Mogę cię zapewnić, że ma więcej przyjaciół niż ty.

Uciekał. Myśli jego biegły z szybkością błyskawicy. Ciało wlokło się w tej rejteradzie z groteskową powolnością. Któregoś dnia czekał go wstrząs.

Człowiek w zielonym, myśliwskim kapelusiku strzelał do szarych wiewiórek w Highgate Wood. Robił to beznamietnie i metodycznie, jak gdyby z packą polował na muchy.

Przywykłe do ludzkiej życzliwości stworzonka nie uciekały, a odwrotnie, biegły w kierunku swego oprawcy.

– Rozmnażają się za szybko i zawsze się je wybija przed zimą, sir – oczy pod zielonym rondem były dobre. Tak – właśnie dobre. Ten człowiek nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia. Nawet mu coś takiego nie przyszło do głowy...

– To znaczy, że ma pan wybić wszystkie? – redaktor stwierdził, że zapomniał wziąć papierosów. Zamarzył o sztachnięciu się extra mocnym lub gauloise'em.

– Nie, wszystkie to nie. Ale sporo. Jest ich dużo. W zimie nie będą miały co jeść i zabiorą się do obgryzania kory. A drzewa są tu szczególnie cenne, sam pan widzi.

– Widzę. Dziękuję – redaktor zaczął uciekać w stronę domu. Czuł pot spływający mu po grzbiecie. Miał do przejścia najwyżej pół mili. Zajął mu to prawie godzinę.

Kariny już nie było. Został po niej zapach, rozsypane przed lustrem spiniki do włosów, nie dopita kawa i zaproszenie na jakieś przyjęcie.

Czytał, nie rozumiejąc ani słowa. Poszedł do kuchni i wyciągnął z lodówki butelkę z resztką polskiej wódki. Odkręcił korek. Pił ją wolno, jak wino, parząc ostrym płynem dźwięka i język. Miał złudzenie, że coś w ten sposób wypala w sobie samym. Wrócił do pokoju i sięgnął papierosa. Później – istniejąc już znowu pod ziemią – pozmywał naczynia i machinalnie dolał oleju parafinowego do piecyka, który od jakiegoś czasu ogrzewał pokój.

Hilda zeznawała przed gestapo. Nie potrafiłby teraz – kiedy przesłuchanie jej nie było jeszcze zakończone – napisać nawet jednego słowa.

Wyszedł przed dom i rozejrzał się. Czuł się piekielnie osamotniony. Pomyślał znowu o wiewiórkach. Odrzutowiec przekreślił niebo białą wstęgą. Amerykanin z pierwszego piętra zszedł ze swoim kotem na ramieniu, wziął dwie butelki mleka sprzed drzwi i zawrócił. Redaktor był mu wdzięczny za milczenie. Stał jeszcze chwilę, lecz jazgot samochodów, sunących bez przerwy pod górę w kierunku East Finchley i North Circular lub w dół, w stronę Tufnell Park – wydał mu się nie do zniesienia. Najciszej było w przedpokoju. Przystanął obok telefonu.

„Ludzie, do których chciałbym zadzwonić, są daleko albo już nie istnieją. Andrzej, syneczku, uważaj na siebie! Basiu, to nie my byliśmy winni. To czas. Mamo, błagam cię, rzuć palenie. Masz już ponad siedemdziesiątkę. W tym wieku nie można... należy... Fred, wszystko mi się znowu rozsypuje, rozpada. Nie widzę najmniejszej szansy... Więc co byś zrobił, ojczu, na moim miejscu? »Wygarnąłbyś?«... Tak... Zawsze pozostaniesz szlagonem. Rzecz w tym, że ja próbuję »zgarnąć«, rozumiesz? I nie idzie mi, a nawet wręcz odwrotnie... Hilda, ten, który cię bije w tym momencie, jest świadom, że nic nie powiesz. Wytrwaj! Mów, że o niczym nie wiedziałas. – Tak – dobrze. Rudiego spotkałaś kilka razy... przypadkowo. Nawet nie wiedziałas, że nazywał się Walden. Uważaj!

– Nie nazywał, lecz NAZYWA. Rozumiesz. To ogromnie ważne! Pamiętaj – NAZYWA! Wbij to sobie w głowę, bo jeśli tego nie zrobisz, może być źle.

Kropelko... Gdzie jesteś? Nie znaczy to, że jestem wścibski czy natrętny, tylko słaby piekielnie. A widzisz – kiedy mówiłem o korozji, jaką niesie czas, milczałaś. A teraz... Przecież mam prawo wiedzieć, z kim się widzisz. Zrozum, myślę – muszę myśleć także o Klemensie Bulli. On jest biedny i stary. Dobry, przerażony człowiek. A co się stanie z końmi?... Spadł na mnie obowiązek zadecydowania w tak wielu sprawach. Masz rację, zmieniłem się. Chociaż nie, zawsze byłem taki. Tylko że tobie... tobie wystarczał fragment mojej osobowości. Brałaś to za całość. Robiłaś ze mnie »perfumowany nagrobek«. Tak, lubię »Men's Club« Heleny Rubinstein, tylko że jeszcze... nie umarłem. Więc protestuję. Nie nadaję się już do wielu rzeczy, ale cię przecież kocham. Tylko ciebie. Rozumiem – małżeństwo to instytucja. Barbara pocieszała mnie w ostatnim okresie naszych »błędów i wypaczeń«: »Tyle małżeństw się nie znosi i żyje ze sobą. Nienawiść czy niechęć to nie powód, aby się rozwodzić«. Ale miłość... Jest coś przecież... Teraz sprawa tego wymówienia. – »Szanowny Kolego Redaktorze, nie odpisywałem na pańskie listy i nie nadsyłałem obiecanych materiałów z powodu choroby. Ostatni z pańskich wyżej wspomnianych listów, wypowiadający mi pracę, zrobił mi prawdziwą przykrość... Wie pan, jak bardzo byłem zawsze oddany naszej redakcji, i zwolnienie mnie – zwłaszcza po przekazaniu dobrej oceny moich dwóch artykułów o brytyjskich klubach sportowych – wypowiedzenie mi w takiej chwili...«”

Dzwonek telefonu wydał mu się przerażająco głośny. Nieznajomy mężczyzna pytał o Karinę. Mówił jakby z rosyjskim akcentem. Po odłożeniu słuchawki redaktor podniósł ją na powrót i nakręcił tasiemcowo długi numer szpitala Freda. Przez chwilę miał w uchu ciche szmerzy i odległe szczęki, znaczące trasę przekazywanego automatycznie impulsu, który zapoczątkował własnym palcem.

„Człowiek to impuls, zapoczątkowany...” – uśmiechnął się.

Kobięcy głos, jaki się odezwał, był melodyjny i ciepły. Podał nazwisko Freda i numer sali. Okazało się, że przez przypadek został z tą salą połączony bezpośrednio.

– Jesteś genialny, że zadzwoniłeś! Tak się cieszę! Deszcz leje. Szara beznadziejność. Z nieba mi spada twój głos. Ale twoi Polacy grali! Gratuluję! Takiej piłki nożnej dawno nie oglądałem.

– A jak się czujesz!

– As fit as a fiddle, rozumiesz? Doszedłem do wniosku, że pobyt w szpitalu to najwspanialsza rzecz na świecie. Te dzieci i mąż to był kawał. Mówi, że chciała mnie wypróbować. Co przez to rozumie, nie mam pojęcia. Ale kto jest w stanie ogarnąć rozumem, pojąć kobietę. A już taką jak Debora...

– Piękne imię...

– Żebyś tylko zobaczył tę, która je nosi! Królowa!...

Oczywiście z twoją Kariną nie może się równać, ale... A propos, u was w porządku?

– W porządku.

– To fajnie. Bo ostatnio byłeś taki jakiś...

– Ale już jest dobrze.

– A jak z tym, co pisziesz?

– Jakoś leci. Halo!...

– Słuchaj, przyszła Debora. Mówi, że to ona przyjęła twój telefon. Więc właściwie już się znacie. Pozdrawia cię.

– Ja ją też. Uściskaj ją ode mnie!

– Zrobię to jutro, bo mamy schadzkę. Nawet nie wiesz, gdzie się spotykamy. Nigdy byś nie zgadł... Debora, cicho! Przyjacielowi można. Wcale nie jestem żaden papla. I liczę się ze słowami! To nie było oczywiście do ciebie. Musi znać mores. Kiedy wyzdrowieję, wezmę ją tak w garść, że ani piśnie.

– Gratuluję ci, Fred, i bardzo się cieszę, stary. Naprawdę, bardzo. Cheers! Dobra, zadzwoń! Buźka! Będę czekał.

– Bili cię? – pyta Inga. W baraku znajduje się tylko Inga, Hilda i Berta. Hilda nie odpowiada.

– Daj jej spokój! – wtrąca się Berta. – Ona ma już na długo dosyć pytań! – zwraca się do przyjaciółki. – Chcesz herbaty? Mam „Rumol”.

Hilda zaprzecza ruchem głowy. Berta podchodzi do niej i kładzie jej rękę na ramieniu. – Połóż się.

– Najważniejsze, że ją puścili – mówi Inga.

– No, połóż się! – powtarza Berta.

– Nie! – wybucha naraz dziewczyna i zaczyna płakać. Inga chce podejść do dziewczyny, lecz Berta nakazuje jej gestem, aby się trzymała z daleka.

– Musieli jej zdrowo wsolić – szepce Inga.

Wchodzi Gizella i błyskawicznie się rozbiera.

– O rany, ale mam ochotę na chłopa! – przeciąga się, stojąc w śmiesznych majtkach po kolana. Rozgląda się nagle. – Co jest? Co to za trupiarnia?

– Położę się – Hilda szybko, kryjąc twarz, wchodzi na swą prycę i odwraca się do ściany. Patrzy na słoje drzewa, jakie ma przed oczyma.

– Pełno tej krwi wszędzie. Zaszła i nic się nie da zrobić. – Bulla wchodzi do swego domku. Piotr podnosi się z ławy.

– Siedź – stary człowiek sadza go na powrót.

– Myślisz, że tu przyjdą? – pyta Amerykanin. – Jeśli tamtego nikt nie widział, że tu zjeżdżał...

– Przyjdą. Tylko ich patrzeć. Piotr...

– Co?

– Można by zranić konia i powiedzieć, że to była jego krew.

- Jak to „zranić”?
- No... zabić. Inaczej wykończą was – ciebie i ją. Z koniem łatwo. Powie się, że wypadek i już. A krwi starczy.
- Dobra. Dziękuję ci – jeniec zamyka oczy. Stary wychodzi.

Gwizd syren. Pochylone nad taśmą sortowni kobiety prostują plecy, wstają. Hilda nakłada kurtkę i wychodzi. Tłum kobiet w zniszczonych ubraniach wysypuje się z różnych budynków kopalni. Te, które pracują w sortowni, schodzą stukocząc drewniakami po żelaznych stopniach wiodących na dziedziniec. Wszystkie zmierzają do bramy.

– Zigarette? – uśmiechnięty mężczyzna w zniszczonym kombinezonie, Marcel, podchodzi do Hildy z paczką papierosów w wyciągniętej dłoni. Dziewczyna spogląda na pogodną twarz.

– Ich rauche nicht – odpowiada, przyspieszając kroku.

– Weź i zapal teraz jednego. Reszta dla Piotra – nieznajomy zostawia w jej dłoni paczkę papierosów. – Masz dać tylko jemu. Całą paczkę. Pamiętaj! Powiedz, że myślimy o nim. Śmie się! – nieznajomy kątem oka dostrzega przechodzącego Wachposten.

Hilda zaczyna się śmiać, jak gdyby usłyszała właśnie dobry dowcip.

– Los! Los! Weitergehen! Keine Zeit für Witze! – stary strażnik zatrzymuje się. Nieznajomy odchodzi.

– Będziesz gadał? – gestapowiec siedzący naprzeciw Piotra nastawia lampę tak, że jej światło oblewa twarz jeńca oślepiającym blaskiem. W izdebce Bulli znajduje się także major Ludwig Hartmann oraz jeden barczysty Wachposten z karabinem.

– Powiedziałem, nikt tu nie przyjeżdżał. Miesiąc temu byli technicy, trzech inżynierów i...

– O tym wiemy – wtrąca major. – Teraz chcemy, żebyś nam powiedział, co ty wiesz.

– Nie wiem nic więcej.

– Więc jednemu z koni zdarzył się wypadek...

– Tak, przywalił go blok węgla.

– I co, ten koń był sam?

– Mówiłem już, że... – zaczyna Piotr. Gestapowiec uderza go w twarz.

– Będziesz mówił, ile razy trzeba. Choćby i tysiąc!

– Ja prowadziłem tego konia. Wiozłem stemple.

– I tobie nic się nie stało?

Amerikanin zastanawia się przez ułamek sekundy. – Nie, nic.

– Kiedy to było? – człowiek w skórzanym płaszczu przyjmuje ofiarowanego mu przez majora papierosa. Sam podaje ogień komendantowi obozu, wstając.

– Nie wiem. Nie mamy zegarków. Chciałem coś powiedzieć.

– Gadaj!

– Tutaj nie wolno palić. Gazy.

Przybyli wymieniają spojrzenia.

– Nic się nie stanie – mówi gestapowiec niezbyt zdecydowanie. Po chwili, ukradkiem, gasi swego papierosa. Major robi to samo.

– Trzeba będzie w każdym razie wziąć próbkę tej krwi do badania – niższy z mężczyzn w skórzanych płaszczach nachyla się ku swemu koledze. Siedzący nie odpowiada.

– Powiedz mi... – zaczyna miękko Hartmann. – Przecież jesteś z natury szczerzy, bardzo szczerzy, czy nikt nigdy nie zjeżdżał tu pod ziemię z tą dziewczyną?

– Nie, nigdy.

Słychać odległe dudnienie. Nagły podmuch wdziera się do wnętrza izdebki. Stół drży.

– Co to? – pyta gestapowiec.

– Zawałiło się gdzieś – odpowiada jeniec. – Tutaj tak stale.

– Trzeba będzie zwiększyć obsadę konserwującą – mówi major. – W związku z tymi planami... – spogląda na twarz gestapowca i przerywa. Ten podnosi się.

– No, cóż, sprawdzimy i jeśli skłamałeś, będziesz wisiał – gestapowiec zabiera swoją lampę. Nagle woła donośnie: – Rudi! – Major obserwujący twarz Piotra mówi krótko: – Tak. Teraz wiem, żeś skłamał – wyższy z gestapowców podchodzi bardzo blisko i spogląda w oczy jeńca. Ten wytrzymuje spojrzenie.

– Nie.

– Przyjdziemy tu jeszcze. Nie cieszysz się? – Piotr milczy. Wychodzą. Zostaje Wachposten z karabinem.

– No, co ja zrobię, ale ten tu mi się podoba. Lubię takich – mówi major półgłosem. – Walczy ze mną ideologicznie. To mój prywatny gangster. Kompletny bandyta, ale z charakterem. Kiedy się ugnie... zaproszę go na wódkę. Przynajmniej nic nie ukrywa.

Gestapowiec spogląda zimno w oczy oficera. – Ukrywa. Zabiłby pana z zimną krwią.

– Ależ wiem – major śmieje się rozbawiony. – I to jest właśnie dla mnie podniecające.

– Marnuje się pan tutaj. Są jeszcze miejsca, gdzie mógłby pan znaleźć wiele takich... podniet – mówi mężczyzna w skórzanym płaszczu.

Major poważnieje.

– No, teraz te szkapy – mówi, skręcając nagle w kierunku zagrody. Drugi gestapowiec stoi obok odwróconego twarzą do ściany Bulli.

– No i co? – rzuca ten, który rozmawiał z majorem.

Niższy wzrusza ramionami.

– To samo. Stary ramol, jak te jego konie. Gada od rzeczy. Trzeba by wziąć tę próbkę.

– Sam wiem, co trzeba – odpowiada niechętnie jego towarzysz. – Krwi jest za dużo, żeby mogła być...

– Właśnie to wydaje mi się podejrzane – przerywa mu jego rozmówca.

– Już ci się kiedyś coś wydawało, pamiętasz? Ładnie przez ciebie i to twoje wygląkanie wypadłem przed Schultzem...

– Zrobisz, jak będziesz uważał za stosowne.

– Nareszcie mądre słowo. Te krwawe ślady ciągną się nie wiadomo, jak daleko. Wiesz, ile by trzeba wziąć próbek, aby coś znaleźć? Gdzie trafiło tego konia? – zwraca się nagle do Bulli.

– W głowę i w kark – stary mruga nerwowo oczami. – Jak poniósł, to biegł z wagonikiem i krwawił jeszcze bardziej. Anim nie myślał, że...

– Dobrze, ale jak daleko biegł?

– Rąbnęło go, to się... przestraszył... – mamrocze Bulla. – A biegł, będzie z pół... a może i więcej. Nie, pół kilometra, tak... pół przeleciał.

– Masz. Idź tam i zbieraj próbki! – wyższy z gestapowców wskazuje ciemny wylot korytarza.

– Te chabety trzeba będzie załatwić. Niepotrzebnie zrą sieczkę – mówi major, oświetlając konie latarką. – Już dawno to trzeba było zrobić. Przynajmniej więcej byłoby mięsa – zwraca się do Bulli. – Ile mają te konie? Po sto lat?

Stary podrywa się.

– One są młode! Całkiem młode! – mówi zmienym głosem. Dygocze cały.

– Człowieku, tyś zwariował! – trzej mężczyźni wybuchają śmiechem.

– Te dwa można by pokazywać na wystawie – chichocze wyższy z gestapowców. – Jeszcze by można zarobić.

– Wywieziesz je na górę i zaprowadzisz do rzeźnika – mówi major do Bulli.

– Po co zaraz rzeźnik – wtrąca niższy z gestapowców. – Wystarczy do kuchni. Tam je zarzną.

– Myśli pan? – zastanawia się major. – Ja zawsze myślę o potrzebach wojennych. Wszystko, co robię, podlega temu dążeniu. Hasło „Koła muszą się toczyć dla zwycięstwa” pojmuję szerzej.

– To się panu chwali – wtrąca wyższy z gestapowców. – Ale wracając do sprawy koni...

– Tam jest taki jeden, były rzeźnik – mówi niższy. – Przesłuchiwałem drania. Od razu to załatwi, poćwiartuje i jutro będzie obiad dla całego obozu.

– Jutro cały obóz będzie rżał – wybucha śmiechem jego towarzysz.

– Dalej, wprowadzaj je do windy. Pojadą na wycieczkę – rozkazuje Bulli major.

– Nie. Nie dam! – stary rzuca się na kolana. – Mnie weźcie, ale konie zostawcie! – chwytając za nogi majora. Ten kopie go. Bulla pada.

– Ti giździe diosecki! – wstaje zadziwiająco łatwo i rzuca się na majora. Jeden z gestapowców strzela z bliska. Bulla pada. Major obciąga kurtkę munduru.

– No i po co ci to było, idioto? – spogląda na leżącego ze zdumieniem.

Słuchać nowe dudnienie.

– Idziemy – oświadcza major. – Po konie zaraz kogoś przyślę. – Horst! – wywołuje strażnika z domku.

– Ja! – słychać mocny głos. Wachposten wychodzi i staje na baczność. – Melduję: ten tutaj wrywał się. Dałem mu w mordę. Zemdłał, czy jak?...

Wchodzą. Piotr podnosi się z ziemi ostatkiem sił.

– To gazy. Nie czujecie? – mówi ochryple. Jego twarz ocieka potem. – Gazy, wszędzie gazy. Pociągają nosami.

– Ja coś czuję – major zaczyna nagle kaszleć.

– Ja tu ciągle tym gazem... oddy... cham... – jeniec sprawia wrażenie nieprzytomnego. Szlocha.

– Ma pan swojego bohatera – mówi gestapowiec do majora.

Twarz komendanta obozu wykrzywia grymas odrazy. Podchodzą do bramy windy.

Piotr czeka w napięciu, dopóki nie odjadą. Wsuwa dłoń pod kurtkę i spogląda na krew na swych palcach. Dociera do niego szcęk zamykanej bramy windy. Podrywa się i rusza zataczając w kierunku nieruchomego ciała Bulli.

XII

– Jeśli nie zastopuje się eksplozji demograficznej, to już w roku 2025 żyć będzie na naszym globie blisko czterdzieści miliardów ludzi – powiedział mężczyzna z wypiełgnowanym, angielskim wąsem, biorąc z półmiska kawałek łososia. – A wiecie, państwo, ile przybędzie ludzi do roku 2075?

– Ja nie mam pojęcia – oświadczyła pani w wydekoltowanej sukni.

– Ja zgadnę! – dziewczyna siedząca obok Carla Vickersa wytrzeszczyła ładne oczy.

– Uwaga, Mignon osiąga w tym momencie swój wieczorny szczyt intelektualnego wzlotu! – oświadczył jej sąsiad.

– Przestań! Bo on mnie zawsze peszy – zrobiwszy płacziwą minkę rozejrzała się sprawdzając, czy wszyscy na nią patrzą.

Mr Brems przerwał rozmowę z chudym chłopakiem w okularach.

– Ja myślę... – zaczęła dopiero wówczas – ...myślę, że w roku 2075 będzie na naszej planecie...

– Ja zgadnę! – dziewczyna siedząca obok Carla Vickers, wznosząc oczy w niebo. Trzepnęła go po palcach.

– ...będzie bilion ludzi.

– No, przesadziła pani. Sto miliardów – rzekł mężczyzna z wąsikiem. – Ale to i tak samobójstwo.

On i redaktor byli jedynymi, którzy nie uczestniczyli teraz w powszechnej wesołości.

– A co ja mogę na to poradzić? – wykrzyknął Brems. – Mam osobiście sterylizować Hindusów?!

„Jest sposób. Przy twoich pieniądzach możesz wynająć do tego celu człowieka w zielonym, myśliwskim kapelusiku, który ze strzykawką lub karabinem maszynowym załatwi pewną, określoną, część ludzkości, podobnie jak wiewiórki w Highgate Wood.”

– Derek, zachowuj się! – po twarzy Vickersa przebiegł grymas wyolbrzymionego zabawowo niesmaku.

– Bo ostatnio ogarniają wszystkich lękowe obsesje. W roku... Przepraszam, w którym roku, mówi pan, ma się to zdarzyć?

– W 2075 – odparł z pełnymi ustami mężczyzna z wąsikiem.

– W roku 2075 nie będzie już nawet istniał posąg na moim grobie – Brems machnął pogardliwie krótkimi ramionkami. – „Silent Generation” nie istnieje... – wrócił do rozmowy z młodzieńcem w okularach. – ...Po prostu krzyk protestu pewnych ludzi brzmi tylko na wysokich częstotliwościach i dlatego nie dociera do profanów – upił ze swego kieliszka. Ten ruch był jak postawienie kropki.

– Wiem, jaki będziesz miał nagrobek – roześmiał się Carlo Vickers.

– Domyślam się, jak go widzisz. Ale to za bardzo wschodnie. Zresztą nie mam ambicji Buddy. Zastanowię się jeszcze. Być może, rozpiszę jakiś konkurs... – dał znak dłonią komuś w odległej części obszernego pokoju. Ozwały się tony muzyki. Przetarłszy czoło śnieżnobiałą chusteczką podniósł się i skłonił dość niedbale przed Kariną, zerkając jednocześnie w stronę redaktora.

– Pan pozwoli?

– Ależ naturalnie... – przeniósł oczy na sąsiadkę z lewej.

Piękna i obca, siedziała na tle połyskującej kolumny w kolorze kości słoniowej. Miała semicki profil. Jej gładko przyczesane włosy lśniły.

– Marzyłbym o tańcu z panią, ale jestem trochę inwalida, więc...

– Słyszałam o pana wypadku. Mój brat miał coś podobnego w czasie polowania na kangury – alt wznosił się, to znów opadał. Białe dłonie zmieniły pozycję. Zadzźwięczały bransolety. Jeden z pierścionków rozjarzył się i zgasł.

– Uprawiają państwo surfing? – rzucił mężczyzna siedzący naprzeciwko. – Kiedy kręciłem film w Australii, zakochałem się w tym szaleństwie. W Kenii mają podobno wspaniałe kluby.

– Ja tylko raz próbowałam – odparła starsza dama, siedząca po lewej stronie, choć to nie ona była pytana.

– No i jakie wrażenie? – rzuciła piękność o połyskujących włosach.

Zbliżył się kelner z półmiskiem. Jasne płatki pulardy otoczone były kolorowymi jarzynami. Dama odchyliła się kokieteryjnie, podczas gdy obsługujący nakładał mięso na jej talerz.

Karina i Derek Brems tańczyli w gronie dwóch innych par. Czarna, gładka posadzka sięgała aż po drzwi wiodące na taras. Tony muzyki zagłuszali niemal zupełnie rozmawiający przy stole. Tańczący poruszali się jak aktorzy pantomimy. Karina śmiała się, gdyż jej niski partner mówił coś bez chwili przerwy.

– Tak, patos wychodzi z mody – napłynął głos młodego mężczyzny w okularach. – Lwy – nawet nasz, brytyjski – przestały już dawno być majestatycznie groźne. Operowe arie w rodzaju: „Ach, umieram. Oj, konam!” doprowadzają publiczność do łez ze śmiechu.

– To szczególne – wtrącił starszy pan w modnie zawiązanym krawacie. – Czyżby do tego stopnia staniała ludzka egzystencja?

– Karina, salve!

Jacyś dwaj mężczyźni przystanęli opodal tańczących. Jeden z nich o szerokich ramionach i wąskich biodrach bezceremonialnie przystąpił do powitania. Rozpromieniony Derek Brems zaczął się giąć w ukłonach.

Przybyły porwał Karinę do tańca. Przesuwając się z nią w stronę odległego rogu pokoju rzucił jakieś słowo do bladego chłopaka siedzącego przy drzwiach. Ten odpowiedział mu głębokim ukłonem i wyszedł. Za chwilę ozwała się melodia tanga „La Cumparsita”.

– Pańska żona znakomicie tańczy – rzekła ciemnowłosa piękność spod kolumny. – Zresztą Douglas także. Musiało mu coś wyjść w filmie. Już dawno nie był w tak dobrym humorze.

– Reżyser? – zapytał, nie unosząc głowy.

Wszystko dookoła zdawało się istnieć w spotęgowanym nagłośnieniu.

„Śmierć Bulli siedzi we mnie tu przy tym stole. Dziwne, że nikt jej nie dostrzega.”

– Nie zna pan Gregory Douglasa? Przecież to on zrobił ten muzyczny film „Cry of the Wind”. Moim skromnym zdaniem, zupełny kicz. Ale ludzie na całym świecie walili na to drzwiami i oknami.

Producentami byli Eric Gilbert i właśnie Derek Brems. Gilbert zginął rok temu w katastrofie swojej awionetki, więc teraz...

„Karina tańczy z nim przeginając się w tych samych, zabawnych, groteskowych skłonach, co ze mną, wtedy w Grand Hotelu po wręczeniu jej nagrody Sopotkiego Festiwalu. Człowiek ma ograniczone możliwości wymyślenia czegoś nowego. Ale swoją drogą mogłaby właśnie teraz... kiedy tu jestem...”

To było przed trzema laty. Ile to czasu! Później ten zwariowany, nocny spacer po sopockim moło na bosaka, słone pocałunki...”

– Tak, proszę pani, moja żona jest śpiewaczką.

„Dziewczyna pod kolumną jest całkiem niezła i sympatyczna. Ma smutne oczy. Kiedy pyta, zdaje się, że naprawdę chce wiedzieć. Karina zawsze wołała, żeby nazywać ją śpiewaczką aniżeli »piosenkarką«. Wypowiadam to słowo zupełnie podświadomie. Wszystko zresztą jest kompletnie, całkowicie nieważne, bo tam pod ziemią!... Przecież oni na mnie czekają!...”

Karina jest coraz piękniejsza, rozkwita w ramionach swego partnera, jak zawsze, gdy... Czuje już chyba... Myśli o tym samym co on. O tak, nie tańczyłaby nigdy w ten sposób, gdyby... Co on jej tam sący, do cholery?! Jakie słowa?"

– Ach, więc pani także śpiewa! Ballady? Ja właśnie...

Nagle szarpnięcie czujności. Piękność poszła w swoim pytaniu za daleko.

– Dlaczego nie mam być szczęśliwy? Przeciwnie, jestem. Bardzo. Może trochę straciłem humor z racji choroby, ale... tak ogólnie... Jestem zbyt wielkim optymistą – niepoprawnym. Pani też? To wspaniale! Przepraszam, zaraz wracam!

„Idąc w kierunku hallu i drzwi wyjściowych, zrób wszystko, aby nie kuleć. Tak, teraz płaszcz. Daj pół funta temu fagasowi o zdumionych oczach.

– Tak, muszę wyjechać. Dobranoc.

„Tu zaraz, niedaleko, jest park. Będiesz mógł przejść się trochę i otrzeźwieć.”

– Taxi? Nie, dziękuję. Tam dalej zaparkowałem samochód.

„Zresztą... Zastanów się! Wystarczy dwa kilometry i znowu wysiadzie ci kolano. Raz się żyje. Ta przyjemność będzie kosztowała ze cztery funty. Masz jeszcze dziesięciofuntowego zaskórniaka.”

– Ma pan rację. Trochę za dużo wypilem. Poproszę o taksówkę!

„I znowu – obcy pokój na Archway z fotelami przed kominkiem. Na stoliku przed lustrem jej puder i szczotka do włosów. Jak szybko jechała taksówka. Jeszcze jestem tam. Wszystko się kręci, wiruje. Wypilem chyba trochę za dużo. Obojętnie! Nie myśleć! Czysta kartka w poświęcanej płynącej z biurkowej lampy. Pióro. Już do was zjeżdżam do podziemia! Jeszcze chwila.” Klemens Bulla dogorywa. Leży na swoim posłaniu. Oddycha urywanie. Piotr trwa nad nim pochylony.

– Co?

– Konie...

Jeniec pochyla się jeszcze niżej. Głos starego jest słaby, jak głos dziecka.

– Bądź spokojny. Zajmiemy się nimi.

– I nie pozwólcie ich...

– Nie pozwolimy. Bądź spokojny.

Słychać stukot zatrzymującej się windy. Zgrzyta rozsuwana brama. Piotr nasłuchuje. Dobiegają go niemieckie słowa.

– Ktoś przyjechał – mówi stary otwierając szeroko oczy.

– Zdawało ci się – jeniec nachyla się jeszcze niżej. Jego ciało przykrywa niemal umierającego. Zaczyna mówić ze sztucznym ożywieniem: – Nieraz, kiedy siedziałem na ósmym pokładzie, to przysięgłbym, że winda zjeżdża – mówi głośniejszym głosem, pragnąc zagłuszyć rzenie koni. Słychać stukot kopyt. – No, po prostu słyszałem, jak otwiera się brama, ktoś wchodzi. Słyszałem głosy, nawoływania. A potem okazywało się, że... – Piotr unosi głowę i spogląda na twarz starego. Bulla nie żyje.

– Tego tu też mamy zabrać! – jeden z żołnierzy wchodzi i wskazuje ciało Bulli. Za nim, w drzwiach, staje drugi.

– Zdejmijcie czapki! – mówi Piotr zmienionym, drżącym głosem. – No, zdejmijcie czapki! – krzyczy histerycznie.

Przybyli baranieją ze zdumienia i posłusznie ściągają czapki z głów. Przez chwilę nie wiedzą, jak się zachować.

– Nie rób się taki ważny! – mówi jeden pod adresem jeńca.

Podnoszą ciało Bulli i idą z nim w kierunku windy. Obok otwartej klatki stoją już konie.

– Nie zmieści się wszystko razem – mówi jeden Wachposten.

– Niech jedzie z jednym koniem, z tym! – Piotr wskazuje na Gucka. – Inne mogą pojechać w drugiej turze.

– Można tak zrobić – mówi drugi z żołnierzy.

Wnoszą ciało Bulli i kładą na podłodze. Wprowadzają konia. Gucek zbliża nozdrza do twarzy swego pana. Winda rusza.

„Wciąż jeszcze noc. Jaka długa. Nic już nie napiszę. Wszystko przeciwko mnie. Sforsowałem kolano. Boli. Sforsowałem serce. Nieobecność Kariny staje się coraz to bardziej dojmująca. Chryste, już czwarta! Gdzie ona jest?...”

Piotr rozrywa nerwowo przyniesioną przez Hildę paczkę papierosów i wyjmuje małą kartkę papieru. Czyta. Dziewczyna spogląda na jego twarz.

– Chcą, żebym uciekał.

– Kto?

– Ci na górze. Organizacja. Właściwie wszystko zdecydowane.

– Kiedy?

– Nie piszą. Tu jest tylko: „Termin podamy tą samą drogą”, to znaczy przez ciebie – ogarnia Hildę ramieniem.

Ta odsuwa się.

– Co ci jest? – Piotr spogląda zdumiony.

– Nic – twarz dziewczyny posępna. Opanowuje się i uśmiecha. – To znaczy, że już niedługo... Wspaniale! Bardzo się cieszę!...

– A ja! – jeniec promienieje. – I pomyśleć, że wyjdę jednak z tego grobu jak człowiek, z podniesioną głową. Wprost wierzyć mi się nie chce! Wspaniale to za słabo powiedziane. Znowu będę żył, rozumiesz? I to ze świadomością, że nie uległem!

– Poruszaj ręką!

Piotr wyrzuca ramię w nazistowskim pozdrowieniu.

– Jeszcze trochę sztywna – Hilda spogląda bez uśmiechu.

– Przesadzasz.

– Nie możesz uciekać, dopóki nie będziesz całkiem zdrow.

– Zwariowałaś? Wyzdrowieję tam – Amerykanin wskazuje palcem w górę. – Jesteś najwspanialszym chirurgiem na świecie!

– Dziękuję. Nie jesz?

– Jeść po takiej wiadomości?!

– Będziesz teraz musiał dużo jeść. Piotr...

– Co?

– Boję się.

– Czego?

– Że oni tu wrócą i że nie zdążysz.

– Mogą wrócić. I tak nic mi nie udowodnią.

– Wystarczy, że będą podejrzewali.

Piotr nie odpowiada. Odsuwa swój talerz.

– Powiedz coś – prosi Hilda.

– Co?

– Opowiedz, jak będzie po wojnie.

– Po wojnie... – zaczyna Kerns tak, jakby mówił bajkę. – Jest niedzielne popołudnie. Nikt nie pracuje, a my idziemy sobie przez las... Wieje lekki wiatr... szumią liście... Jest wczesna wiosna i ptaki śpiewają... Zatrzymuję się na małej polance...

– Po co?

– Żeby ciebie pocałować – zamyka Hildzie oczy dłonią. – Nie patrz na mnie. Wtedy będę wspaniale ogolony.

– Nie, to ja ciebie całuję w jasnym słońcu. A czuję, jakbym całowała świat – mówi Hilda.

– Tylko mnie – protestuje Piotr. – Świat mnie nie interesuje.

– Co jeszcze robimy?

– Och, mnóstwo rzeczy; zbieramy kwiaty, całujemy się...

– Znowu?
 – Znowu. Przecież nie całowałaś się często w życiu. Trzeba to odrobić.
 – Tak – mówi Hilda martwo. – Odrobię. Muszę już zaraz wracać.
 – Co ci jest?
 – Nic – dziewczyna milczy przez chwilę. – Dlaczego świat jest taki?... Piotr, dlaczego ludzie robią wojny?
 – Nienawiść narasta w ludziach tak silnie jak miłość. W końcu jest zbyt wielka i wybucha.
 – Jesteś strasznie mądry.
 – To rodzinne.
 – Jaki jest twój ojciec?
 – Dziwak zawstydzony własnym rozsądkiem.
 – Zabolało cię?
 – Nie.
 – Kiedy widziałam, że zabolało.
 – Byłabyś strasznie nudną żoną.
 – Oczywiście. Mam mnóstwo wad.
 – Trzymałabyś mnie pod pantoflem.
 – Jasne.
 – Hilda Kerns... Jak to brzmi?
 – Źle.
 – Hilda Kerns... Jakie jest twoje nazwisko?
 – Weber.
 – Okropnie niemieckie!
 – Twoje jest okropnie angielskie.
 – „Czy chcesz, Piotrze Kerns, poślubić tu obecną?...”
 – Nie mów tego, rozumiesz? Głupie żarty!
 Nie żartuję. Chcę, żebyś była moją żoną, bo łatwiej się będzie meldować w hotelach. Specjalnie w Hiszpanii.
 – Jesteś głupi!
 – Czy chcesz mieć głupiego męża?
 – Przestań!
 – No, chcesz czy nie? Bo się rozmyślę.
 – Chcę.
 – W porządku. W takim razie załatwione.
 – Kiedy jedziemy do Hiszpanii?
 – Niedługo. Po wojnie będę budował domy i będziemy mieli okropnie dużo pieniędzy.
 – Pocałuj mnie.
 „Zajechał jakiś samochód. Głosy. Ktoś się śmieje. Jest piąta trzydzieści. Teraz spokojnie! Tak, to ona. Derek Brems idzie wraz z nią w stronę furtki. Gregory Douglas zawraca do srebrzystego cygara, które jest samochodem. To z jego strony akt dyskrecji. Mnie nie ma. Nie istnieje. Obdzielili się sami.

Profile. Ten malutki potworek o żabich wargach pochyla się. Ma już w czubie i myśli o całowaniu. Karina, też z profilu, odpycha go. Zupełnie jak chińskie cienie. Gregory przy samochodzie macha dłonią i porusza się zabawnie. Aha, to śmiech. Daje dyskretny sygnał klaksonem. Wyjdę i dam mu w mordę. Temu drugiemu też. Nie mogę. Nawet zejście po schodach w moim wykonaniu będzie wyglądało groteskowo. To cholerne, przekłete kolano!

Gnom pochyla się bardzo głęboko. Tam są krzaki. Nie widać. Ale ona cofa się o krok. Teraz... teraz masz. Po co uparłeś się podglądać?... Ostatecznie jeden pocałunek to jest nic... Świat się zmienia. Zmieniają się kryteria... moralności... Jesteś anachronicznym typem człowieka... Boże, znowu wszystko kołysze się i wali.

Uwaga, twoja żona idzie w stronę domu! Samochodu już nie ma. Jego warkot roztopił się w chaosie. Nie zauważyłaś nawet, kiedy odjechali. Dzwonek. Widocznie zapomniała klucza. Jak zacząć? Co powiedzieć? Nic już nie ma... Jeszcze raz idziesz wśród ruin. Rozbite szkło tnie ci gołe stopy. Zabiedzony tłum grozi pięściami i pluje. Dym piecze pod powiekami. Nie płacz! Nie wygłupiaj się, tato! To tylko orkiestra wojskowa. Wielkie mi mecyje!”

– No i jak się bawiłaś?

– Nie śpisz? Myślałam, że światło się pali, ale ty... Dlaczego to zrobiłeś? Ominął cię mój pierwszy londyński koncert!

– Śpiewałaś?

„Jest cudowna, piękna! Nawet sposób, w jaki zrzuca z ramion płaszcz, ma w sobie coś królewskiego. Stoi teraz otoczona kręgiem ciemniejącym na dywanie. Powinieneś podnieść płaszcz, likwidując podłogową aureolę, powiesić w szafie. Pocałować artystkę i powiedzieć, jak bardzo jesteś z niej dumny. Nie potrafisz? Serce łomocze ci w skroniach? Opanuj się. Niech mówi.”

– Dobrze sobie! Ty jesteś dotknięty?! Ty?! Skompromitowałeś mnie, a teraz jeszcze wygrywasz coś przede mną?!

– Jesteś pijana!

– Ty chamie! Nie masz prawa tak do mnie...

„Policzek brzmi jak kłaśnięcie. Nie spodziewała się tego. Przykłęka. Nawet nie płacze. Drży. Szczękają jej zęby. Dosiegamy dna, moja miła. Prawdliwość. Najpierw szczyty, a teraz...”

– Wstań, powieś swój płaszcz i połóż się do łóżka! Słyszałaś?

„To chyba nie twój głos... Nigdy tak do niej... Akcja równa się... Co jej jest? Nie odpowiada. Zemdląca?”

– Chodź!

– Nie dotykaj mnie!

– Rozbiorę cię i położę do łóżka!

– Nie chcę!

– Nie mam zamiaru się ciebie pytać, jasne?!

– Powinieneś być gestapowcem! Ty jesteś Rudi, Rudi! Rudi!... Nie szarp mnie, rozumiesz?!

„Więc jednak czytała. Sam jej dałeś. Człowieku, co się z tobą dzieje? Pachnie... Jej ciało pachnie. Ale nie można teraz właśnie...”

– Ty jesteś zбочeniec! Zwykły zбочeniec! Potwór! Ja nigdy, nigdy!... Nienawidzę cię, rozumiesz, potworze! Nie ruszę się! Będę zupełnie obojętna!... Nie da ci to najmniejszej... Jest mi to... obojętne tak, jak ty... sam! Och, co ty? Kocham cię, wiesz? Kocham!...

„Nie, nie kochasz. Ale to nic... To nic... To nic... Woda jeziora jest ciepła. Pachnie tatarskim. Stopy zapadają się w grząskie, muliste dno... Dookoła latają ważki i motyle... Ważki i kolorowe »motyło-kolibry«. Śliski, rozgrzany szlam przechodzi między palcami stóp. Jest dobrze, łaskotliwie, miękko. Już! Dzieje się. Zapada się wszystko, cały świat. Jak szybko wraca pamięć! Gorzko, pusto dookoła...”

– Śpisz? Karina, chciałbym z tobą porozmawiać.

Spokojny, równy oddech dziecka. Różowe policzki. Wciśnięta w poduszkę głowa. Za oknem budzi się wraz ze świtem łoskot pneumatycznych młotów. Brzmią jak salwy „Flack Artillerie”. Poszerzają coraz bliżej. Dom, w którym mieszkamy, wkrótce zburzą. Nic nie zostanie. Będą mechaniczne, nakręcane, jednosezonowe wiewiórki. Nie będzie miłości, bo zastąpi ją jej przeciwieństwo – kalkulacja.

Na biurku leży nowa kartka papieru. Zeszyt się już skończył. „Zrób sobie kawy, stary, bo wysiadziesz. A potem...”

Najpierw jazgot i stuki. Rząd kobiet pochylonych nad sunącą taśmą sortowni. Poprzez huk i szcęk przesuwających się pasów transmisyjnych zaczyna naraz przebijać przerywany dźwięk syreny. Niektóre kobiety nasłuchują. Wachposten z karabinem podchodzi wolno do drzwi, otwiera je i spogląda w niebo. Zawraca. Wtem po schodach wbiega drugi i zwiija dłonie w trąbkę wokół ust.

– Fliegeralarm!

Maszyny stają. Kobiety wybiegają na dziedziniec i patrzą w niebo. Bezręki oficer pojawia się ze swym psem.

– Alle zum Luftschutzraum! – biegnie w kierunku warsztatu.

Zewsząd wysypują się ludzie i spoglądają w niebo. Strażnicy szaleją. Ich wrzaski nie robią jednak na nikim większego wrażenia. Małe grupki jeńców, otoczone konwojentami, zmierzają bardzo powoli w kierunku bramy.

– Macht das aber schnell! – ryczy Hartmann.

Zrazu lekkie, prawie niedosłyszalne dudnienie przeradza się w warkot motorów, przechodzi w grzmot. Odzywa się Flack Artillerie. Na niebie pojawiają się obłoczki.

– Tam! – wskazuje któryś z jeńców dłonią. Inni zadzierają głowy. Śmieją się. Któryś podskakuje z uciechy jak dziecko.

– Los! Mach, dass du weggehst! Schnell! Verschwinden! – bezręki oficer miota się na dziedzińcu bezsilnie z rewolwerem w dłoni. Samoloty są już widoczne. Lecą w bojowym szyku na bardzo dużej wysokości.

Nie wiadomo skąd, zaczyna naraz opadać tysiące malutkich wąskich blaszek z cynfolii. Zmierzających do schronów jeńców ogarnia szal. Zachowują się jak dzieci. Gonią za srebrzystymi skrawkami, tańczą, podskakują, kuja, śmieją się, próbując je złapać. Tłum ludzi widziany z góry kłębi się, rozpada.

Strażnicy wychodzą ze skóry. Ich szczekliwe rozkazy mieszają się z ujadaniem psów. Któryś strzela z rewolweru, lecz podnieceni, rozradowani ludzie nie zwracają na to uwagi. Podnoszą i oglądają cynfolie.

Hilda łapie jedną z nich. Zostaje nieco w tyle za grupą kobiet.

– Hilda! – Marcel zbliża się do niej niby przypadkiem. Mija ją bokiem, czyniąc znak ręką, by szła za nim. Nikt tego nie dostrzega. Zbliżają się do głównej bramy wraz z innymi. W tej chwili jeniec odskakuje w lewo i biegnie nie oglądając się. Dziewczyna podąża za nim. Ich ucieczka nie została zauważona przez nikogo. Kanonada działek przeciwlotniczych i wypadki rozgrywające się w powietrzu przykuwają uwagę wszystkich.

Zatrzymują się wśród cmentarzyska starych wagoników na rozległym placu.

– Powiedz Piotrowi, że dostaliśmy jego list i że godzimy się, abyś ty uciekała z nim razem.

– Ja? – Hilda jest zdumiona.

– Nie wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Wszystko jasne. Piotr o to prosił. We dwójkę będzie wam... łatwiej. Ty jesteś Niemka, tak?

– Tak.

– Dostaniesz lewe dokumenty. I jeszcze jedno – zmieniamy „skrzynkę pocztową”. Od teraz wszystko, co przyniesiesz od niego, masz zostawiać o tu – uniósłszy ciężką blachę, leżącą na ziemi, odsłania małą skrytkę. – Ja też tu będę zostawiał wiadomości. Wiemy, że gestapo ma cię teraz „na wabia”. Jesteś obserwowana. Jakby co, połykasz to, co niesiesz. To będą bibułki papierosowe. Nie bój się, połkniesz bez popijania – uśmiecha się. – Pamiętaj, bardzo uważaj! Uciekacie we wtorek, siódmego, w nocy o drugiej – punktualnie, kanałem podsadzki, który wychodzi na teren osady. Tam będą na was czekali ludzie. Przy włączu będą też nasi – miejscowi. Pomogą wam. Pojutrze będziesz pracowała przy podsadźce.

– Ja? – dziewczyna nie kryje zdumienia. – Przecież jestem w sortowni.

– Na jeden dzień zostaniesz przeniesiona. Boisz się?
Strzały artylerii przeciwlotniczej stają się rzadsze.

– Nie.

– W porządku. Trzeba, żebyś poznała teren.

– Ale jak?... Przecież mnie nie przeniosą, a podszadzka jest poza obozem.

– Nie martw się. Wszystko załatwione. Mamy swoje chody.

– Nie wierzę.

– A uwierzysz, jeśli ci powiem, że załatwiły to krasnoludki? – Francuz śmieje się. – Masz jakieś pytania?

– Jak Piotr wyjedzie z dołu?

– Tym się już ktoś zajmie. Ty masz być we wtorek o drugiej w nocy przy włączu. Więcej cię nie obchodzi. Gdyby coś zaszło w ciągu nadchodzących dni, to tutaj... – nasłuchuje.

Dociera do nich szczekanie psów i zbliżające się kroki.

– Uciekaj! Tędy! – jeniec popycha lekko dziewczynę. Ta zaczyna biec. Marcel biegnie w drugim kierunku. Zatrzymuje się, wyjmując rewolwer i wpycha go pod odwrócony do góry kołami wagonik. Dostrzega to bezręki oficer, który wybiega nagle spoza stosu przeróżnych żelaznych rupieci.

– Halt! Halt! – krzyczy na całe gardło, wymachując rewolwerem.

Jeniec zatrzymuje się. Bezręki podbiega.

– Was machst du denn hier? – pyta dysząc. Pojawia się jeszcze jeden Wachposten z karabinem gotowym do strzału.

– Nichts – jeniec wzrusza ramionami. Wachposten podchodzi, mierząc do niego z karabinu. Bezręki sięga pod wagonik i wyjmując rewolwer.

– „Nichts”, ja? Von wem hast du das bekommen?
Marcel milczy.

XIII

Połknął dwie tabletki. Nawet po nich zasnął nie od razu. Obudziła go samotność. Kariny już nie było. Zostały po niej tylko zwykłe ślady jej istnienia. Tępy ból pod lewą łopatką ustępował z wolna. Głowę miał jak nie własną. Myśli kołatały w niej wyodrębnione i odległe.

Wyszedł przed dom w piżamie, zerwał kapsel z butelki i upił trochę mleka. Gorzki smak w ustach nie ustąpił.

Włączył radio i zabrał się za chowanie pościeli. Koszula Kariny pachniała. Wtulił nozdrza w chłodny, przelewający się materiał.

Zjadł w kuchni śniadanie. Kiedy zajęty był zmywaniem talerzy, zadzwonił telefon po raz pierwszy. Nie poruszył się nawet. Zrobił sobie jeszcze jedną kawę. Dzwonek telefonu odezwał się powtórnie. Podniósł słuchawkę. Znany głos wydał mu się zupełnie nierzeczywisty. Dziewczyna, która spała w tym samym pokoju co on, mówiła, że w czasie wybuchu jakiejś bomby przy Baker Street kawałki szkła poraniły kobietę przechodzącą obok księgarni. Zaraz potem, jakby to miało jakiś związek z detonacją, powiedziała, że wyjeżdża do Brighton i że gdyby miał ochotę, to mógłby także przyjechać tam na weekend razem z Joe Ramezem, który w tej sprawie zadzwonił.

„To mówi Karina, moja żona. Cieszę się, że zadzwoniła, bo ani w kuchennym kredensie, ani w lodówce nie zostało już nic do jedzenia.”

– Uważaj na siebie, błagam cię! – powiedział do słuchawki bardzo powoli. – Postaram się przyjechać. Więc to już sobota? – Odpowiedziała, że piątek, i roześmiała się. Stojąc w przedpokoju, widział przez kuchenne okno szaro-żółte cegły domku z drugiej strony ogródka.

Syn sąsiadów, niedorozwinięty chłopiec o łagodnej twarzy, klęczał w trawie, bawiąc się ze swoim żółwiem. Obserwując piętnastolatka, zapytał Karinę, gdzie schowała pieniądze. Wspomniał też coś o jedzeniu. Wyprowadziło ją to z równowagi.

– Nigdy nie miałaś gestu! Rozmowa o finansach to nie temat na telefon – rzekła sucho.

Wówczas on poczuł tępą, prymitywną złość. Niespodziewanie podnieśli głos oboje, a słowa zaczęły nadlatywać jak złe, posępne, czarne ptaki.

Dzwoniła z automatu. W słuchawce ozwał się przerywany dźwięk i wówczas, czując nagłą, przejmującą trwogę, rzucił pośpiesznie: – Kropelko!... – to było ostatnie słowo. Rozłączyło ich. Nie miała już chyba drugiej monety, gdyż nie zadzwoniła. Pomyślał, że gdyby podała mu numer swego automatu, wykręciłby ten numer natychmiast. Położył słuchawkę na widelkach i po chwili znowu ją podniósł.

– Kropelko... – powtórzył i uczuł ze zdumieniem, że do oczu napływają mu łzy. Roztarł je gniewnym, niecierpliwym ruchem. Lewą dłoń miał zdrętwiałą. Rzucił słuchawkę. Wracając do kuchni, kopnął zagipsowaną nogą stojące w przejściu krzesło. Przewróciło się. Stracił równowagę i padł tuż obok. Roześmiał się.

Telefon odezwał się raz jeszcze. Nie wstawał. Dzwonienie brzmiało natrętnie, lecz – jak wszystko tego ranka – zdawało się być niezmiernie odległe.

Umilkło. Jedyнным dźwiękiem stało się teraz znowu rytmiczne dudnienie za oknami.

Dowlókl się do biurka i spojrział na ostatnie zdania, jakie napisał. Wydały mu się kompletnie pozbawione sensu.

Przerzucił kilka kartek. Sięgnął po ołówek i wciąż stojąc, zapomniawszy o istnieniu krzesła, zaczął coś poprawiać.

Ponownego sygnału telefonu już nie dosłyszał.

Słoneczny dzień. Słońce zawisło wysoko nad szybem kopalni. Na rozległym placu – składowym – foremne bloki stempli, służących do podpierania stropów, kopalnianych chodników. Ostateczna próba wydobywania od Marcela informacji.

Francuz, ślaniając się ze zmęczenia, przenosi właśnie jeden ze stempli i układa wysoko, na czworoboku innych.

Dwusereg jeńców, pilnowanych przez strażników z karabinami i psami, patrzy w milczeniu.

Major Hartmann, stojący obok bezrękiego, ziewa lekko, zdejmując czapkę i przeciera łysinę chustką.

Chrapliwy oddech ociekającego potem francuskiego jeńca jest jedynym słyszalnym dźwiękiem. Marcel zawraca i z ogromnym wysiłkiem podejmuje następną kłodę. Przewraca się pod jej ciężarem, lecz podnosi się i wlecze ją na czworakach. Pot spływa strugami po jego twarzy.

– Jezus! – szepce ktoś w szeregu oberwańców w resztkach mundurów.

– Ruhe! – wrzeszczy bezręki, postępując w kierunku wymizerowanych postaci.

Marcel rzezi, windując kłodę coraz wyżej.

– Każdego, kto konspiruje, czeka taka kara! Zrozumiano?! Wy nie jesteście normalni jeńcy! Wy jesteście bandyci! Mordercy! Bombardujecie dzieci! Uciekacie z obozów!... – major Hartmann zwraca się do milczącego dwuszeregu.

– Los! Los! – popędza Marcela bezręki.

Francuz przenosi właśnie ostatnią kłodę ze sterty. Jest niemal nieprzytomny ze zmęczenia. Napięciem wszystkich mięśni winduje kloc coraz wyżej. Palce jeńców, trwających w bezruchu, zaciskają się, jak gdyby i oni brali udział w jego wysiłku. Pal zsuwa się z najwyższej warstwy. Marcel podnosi go jeszcze raz. Jego rzeźący oddech staje się coraz głośniejszy. Przepełniona koszula na grzbiecie pęka. Pcha teraz całym ciałem – pomaga sobie barkami, brodą. Ma wyszczerzone, jak zwierzę, zęby. Udaje się. Stempel jest już na szczycie sterty. Francuz wspina się ku niemu i układa równo, jak inne. Schodzi. Nie jest w stanie postąpić ani kroku. Dyszy chrapliwie, patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma,

– Nun, wirst du reden? Wer hat dir diesen Revolver gegeben? – pyta Hartmann. Jeniec milczy.

– Keine Antwort?... Schön – major Hartmann zakreśla obcasem swego buta kąt na ziemi. – Jetzt alles zurücknehmen! Bis hier! Los!

– Dalej, przenosisz wszystkie tam! – wskazuje skazańcowi bezręki.

Jeniec nie pojmuje od razu. Po dwuszeregu jeńców przelatuje szmer.

– Ruhe! – wrzeszczy Hartmann. – Kto się odezwie, ten będzie robił to samo!

Wachposten repetują karabiny.

Marcel ujmując w dłonie i ściąga najwyżej leżący stempel, ten, który przed chwilą wpełznął na sam wierzchołek sterty. Niesie go na wskazane miejsce. Jego charczący oddech zmienia się w szloch. Bełkocze coś nieprzytomnie. Pada jeszcze raz. Zwraca oczy na spokojnie patrzącego Hartmanna.

– Nie! Nie! – chwyta się za gardło obiema dłońmi i naraz zaczyna uciekać. Niemcy są zaskoczeni.

– Halt! – bezręki wrywa pistolet z kabury, lecz jeniec znika za najbliższą stertą stempli. Kaleki oficer spogląda na twarz majora i dostrzega, że ten uśmiecha się lekko. Uspokaja się.

– Alle stehen bleiben! – krzyczy jeden ze strażników.

Karabiny pozostałych mierzą teraz w jeńców. Słychać pierwsze strzały i szczekanie psów. Dwa wilczury dopadają już niemal uciekiniera. Ten jednak przyspiesza. Jest już tuż obok wieży wyciągowej szybu.

Na rozległy plac przed sortownią wybiegają Hartmann i bezręki.

Marcel wspina się po metalowej drabince. Jest coraz wyżej.

– Halt! – krzyczy jeden ze strażników i strzela. Chybia.

Teraz strzelają już i inni.

Francuz, oddychając chrapliwie, zatrzymuje się na wysokości wyciągowego koła. Unosi się na rękach i wpełza na dach z falistej blachy. Jest na dużej wysokości. Tuż obok łopocze sztandar ze swastyką. W dole dostrzega małe figurki biegających strażników i rozległą przestrzeń – pola, lasy, tuż za bramą kopalni baraki jenieckiego obozu...

Kule dziurawią blachę dokoła niego. Próbuje przesunąć się w inne miejsce. Wtedy trafia go pocisk. Podnosi się, rozrzuca ręce, jak gdyby obejmując nimi wszystko i wszystkich.

Kula dosięga go raz jeszcze.

Ostatnim skurczem mięśni rzuca się w kierunku sztandaru. Odbija się mocno. Jego ciało urywa maszt i spada razem z flagą.

Autobus numer 43 dochodził tylko do Muswell Hill Broadway. Redaktor wysiadł i podszedł w kierunku Hillfield Park. Pomiędzy domami, daleko w dole i niewiarygodnie nisko, widać było zamglony bezkres zabudowań.

Zjadł smażoną rybę w bezosobowej restauracyjce opodal kościoła. Wnętrze lokaliku podzielone było drewnianymi ściankami na coś w rodzaju przedziałów kolejowych.

Dojście do pubu „Bird’s Nest”, drewnianego budynekczku znajdującego się tuż obok stromizny Muswell Hill, zajęło mu pół godziny. Ciemne, pełne odgałęzień i zakamarków wnętrze było zaciszne. Przysiadł ze swoim piwem w najodleglejszym miejscu.

Przy ścianie znajdowało się drewniane poidło dla koni. Nieco dalej, z ciemnej, drewnianej belki, zwisały mosiężne munsztuki. Właściciel baru chełpił się wyraźnie, iż jego lokal był niegdyś zwykłą stajnią.

Wtulona w siebie młoda para trwała bez ruchu. Oboje długonodzy i szczupli tworzyli dość zawikłaną kompozycję. Poświęcił im, a raczej ich połączonym jasnym włosom, tylko krótkie, zdawkowe spojrzenie. Lecz i to wystarczyło, aby chłopak łypnął niechętnie. Odwrócił się i mając wciąż jeszcze pod powiekami harmonijny, uspokajający obraz dwojga młodych, siedział długo bez ruchu, celując swą wyprostowaną nogą prosto w niewielkie okienko, z którego sączyło się światło.

Przyszli dwaj mężczyźni i usiedli pod ścianą. Spokój się skończył. Ostrymi głosami rozmawiali o wyścigach psów.

Redaktor podniósł się i ruszył w kierunku wyjścia.

Świeciło słońce. Na rogu Dukes Avenue grupa wrzaskliwych nastolatków, chłopaków i dziewczyn, ubranych w kolorowe zestawy mundurowe o przedziwnych dystynkcjach, jadła chipсы. Drobnny chłopak o fryzurze afro markował drybling, kopiąc, jak piłkę, pustą puszkę po piwie.

Jedna z dziewczuch była pijana. Nie krępując się kucnęła i oddała mocz.

Mijał ich wolno, wsparty na lasce. Spoglądali na niego, próbując się, widać, domyślić, dlaczego kuleje. Najmniejszy z chłopaków, trzymając w swych ramionach pyzatą dziewczynę, beknął rozgłośnie. Pozostali roześmiali się.

Był już na rogu Wellfield Avenue, naprzeciwko kościółka z czerwonej cegły, takiej samej, jaka posłużyła murarzom do wzniesienia nie kończących się rzędów domków, wspinających się razem z jezdnią w kierunku parku. Parter każdego z nich zajmowało wybrzuszenie living-roomu. Tuż pod oknami znajdowały się ogródeczki, także niemal jednakowe. Dopiero przy samym podejściu na szczyt wzgórza ogródki zmieniały charakter, stając się, podobnie jak zabudowania, okazałe i zadbane. Widać było, iż mieszkańcom tej części ulicy nie tylko zależało na maksymalnym upiększeniu swych obejść, lecz że mogli sobie na to pozwolić.

Minął staw, znajdujący się na szczycie wzgórza. Pływały po nim kaczki, a ludzie w kolorowych łódeczkach wiosłowali z groteskową powagą, krążąc jednokierunkowo wokół wysepki na środku wody.

„Śmierć Marcelego nie ma żadnego, najmniejszego znaczenia. Sunąć będą po tej wodzie bez przerwy jacyś nowi, żyjący ludzie. I będzie ich coraz więcej. Czym się różni ofiara tego Francuza od bohaterstwa kogoś, żyjącego przed wiekami czy też tysiącami lat, kogoś, kto także ofiarował samego siebie w imię obrony wolności, ludzkiej godności czy też sprawiedliwości...

Czy »niegramotnyj« Wienia, który zginął pod Moskwą w 1812 roku, mniej był wart niż jego uświadomiony politycznie imiennik, poległy w sto lat później? Wszyscy zapominają o wszystkich, gdyż zdolność pamiętania doprowadziłaby ludzkość do obłędu. Gwoli profilaktyki istnieje zatem coś w rodzaju »strefowej pamięci«.

Tak, myśleć o czymkolwiek, byle nie o niej!... Gdzie ona jest? Co robi w tym Brighton?... Alexandra Palace... Sądziłem, że przyjedziemy tu razem. No nic. To zwałiste gmaszysko na szczycie wzniesienia górującego nad miastem starzeje się brzydko – jak ja. W podziemiach trwa aukcja samochodów. Jak okiem sięgnąć, samochody z numerami na szybach. Lśniące nowością lub zniszczone maski.

A więc właśnie to miejsce miało się stać rozrywką twego samotnego weekendu. Bądź zdrowiony! Stajesz się jednym z tych ludzi, którzy przechadzają się wolno, z kartkami w dłoniach. Uznaj, że to dla ciebie męski, sztucznie podniecony głos wykrzykuje do mikrofonu, podając co chwila inny rocznik, markę i cenę wywoławczą! Mężczyźni, siedzący na ławkach za balustradą, robią jedynie krótkie, urywane ruchy dłońmi. Podający ceny widzi wszystko. Każdy taki ruch znaczy co innego. Głos, odbijany przez ściany, zawraca, dudni. Niekiedy, gdy okazja jest – zdaniem handlarzy – szczególna, podnosi się ogólny tumult. Defilada pojazdów zostaje wówczas przerwana, a wóz, który wzbudził zainteresowanie, tkwi pomiędzy trybunami. Właśnie jest taki. Jaskrawoniebieski Austin. Lśniące chromy, przeciwmgielne reflektory...

– Dwieście pięć! Kto daje więcej?! – wykrzykuj do trzymanego przy ustach mikrofonu spocony mężczyzna w kraciastej cyklistówce, stojący na trybunie sprzedawców.

– Dwieście dziesięć!

Widocznie nastąpiło niedostrzegalne dla postronnych machnięcie czyjejś ręki i:

– Dwieście dwadzieścia po raz pierwszy! Dwieście dwadzieścia po raz drugi, po raz... – wykrzykującemu ceny głos odmawia nagle posłuszeństwa. Przeciera twarz chusteczką. Zastępuje go inny, stojący obok.

– Dwieście trzydzieści po raz pierwszy! Dwieście trzydzieści po raz drugi! Po raz trzeci! – następuje stuknięcie młotkiem i symboliczne – „gone!”

Nabywca podchodzi do trybuny, aby załatwić formalności. Kupiony pojazd zostaje wywieziony na parking przed bocznym wejściem.

Postał chwilę wśród gapiów. W bufecie za trybuną dla gości można było kupić kanapki, pieczone ziemniaki z surowym masłem i piwo. Prawie wszyscy siedzący na ławkach poruszali ustami.

Zajął miejsce. Zmusił się do myślenia o tym, co widzi. Jeden z dwóch młodych mężczyzn najwyraźniej był zainteresowany zbliżającym się ceglastym Fordem Escortem. Przysunął się ku nim bliżej. Spojrzeli na intruza krótko, by już potem, w czasie transakcji, nie poświęcić mu najmniejszej uwagi.

Milcząca umowa niedostrzegania siebie wzajem przestrzegana była przez Brytyjczyków najwidoczniej i w takim miejscu. Pomyślał, że było to założenie przewrotne i zafałszowane. Żaden chyba bowiem przedstawiciel innej nacji nie mógł się równać z mieszkańcem Albionu w szybkości dokonywania oceny nawet przypadkowego sąsiada.

Uczuł zmęczenie. Zapach spalin wydał mu się nagle nie do zniesienia. Kiedy wstał, przez moment spoglądał na niego ten, który wywoływał ceny. Być może takie raptowne poderwanie się coś tutaj znaczyło. Wahanie człowieka za stołem na podwyższeniu trwało jednak niezmiernie krótko.

– ...i trzysta piętnaście po raz trzeci! – dokończył ochryple uderzając swym młotkiem.

Na hali wciąż jeszcze stały setki samochodów. Głośniki umieszczone pod stropem przekazywały coraz to nowe, historyczne okrzyki tego, który przeprowadzał transakcję.

„Już nigdy nie zapomnę jego twarzy. I po co mi to? Dlaczego, po kiego diabła mam go pamiętać?...”

Włókł się do autobusowego przystanku niemal godzinę. Konduktor był ten sam.

– Back home? – uśmiechnął się na powitanie.

– That’s right – odparł, zajmując miejsce.

„W pokoju gospodarzy jest telewizor. Wejdę tam i będę oglądał program »jak leci«. Muszę coś zrobić, aby nie myśleć. Bo inaczej odbije tacie! Odbije tacie!..” – zobaczył nagle Andrzeja, tańczącego dokoła z wykrzywioną szyderczo twarzą.

Tam gdzie stał telewizor, panował niesamowity bałagan. Widocznie gospodarze spieszyli się przed Wyjazdem.

Usiadł, przesunawszy książki zalegające kanapkę. Wytrzymał pół godziny, nie więcej. „Thames” nadawała reportaż z wystawy kwiatów. „BBC 2” nie potrafił złapać. Zadowolił się „ITV”. Szedł film. Czterej chłopcy śpiewając i grając na gitarach ciągnęli środkiem ulicy secesyjne łóżko z siedzącą na nim skąpo ubraną dziewczyną. Później był „The News Real”. Relacja z konferencji poświęconej „dorszowej wojnie” z Islandią, maszerujące kolumny protestantów w Irlandii Północnej, piękne dziewczyny w kostiumach kąpielowych opatrzonych numerami, jak samochody na aukcji, spoglądały w kamerę. W wąwozie wyglądającym jak rana leżał odwrócony do góry kołami rozbity pociąg, podobny do dżdżownicy. Biały koń wygrywał na wyścigach...

Wyłączył. Przez chwilę siedział bez ruchu. Sięgnął po pierwszą z brzegu książkę i zaczął czytać. Nie rozumiał ani słowa. Gryzące, bolesne myśli już nacierały. Poszedł do kuchni i zrobił jajecznicę z jedyne go jajka, jakie zostało w lodówce. Zmusił się do jedzenia.

„Bywało już tak z tobą, stary. Bywało, ale potem brałeś się w garść. Więc teraz... powinienś... Ale jej nie ma... Pamiętasz słowa Ojca: »Naszą rodzinę zawsze cechował optymizm«. Zużyłem już cały, ojczu. Nic nie zostało. Tyle razy trzeba było wszystko zaczynać na nowo. Prostować się... Zresztą... mama nie była zbyt radosna, a ja przecież... Wybacz, ale musiałem także coś po niej...

Plotę. Jakie to wszystko będzie miało znaczenie po dziesięciu latach? A po dwudziestu?... Karina będzie wtedy miała... Psiakrew, naucz się bimbać, lekceważyc nawet to odrętwienie dłoni! Przecież nie jesteś skrzypkim!

Panie redaktorze, z pana to niewąski demagog. Coś pan sobie wyobrażał wtedy w Czorsztynie z tą dziewczyną z wycieczki? Pamiętasz pan? Tu w tym kraju wymiana partnerów to normalka. Ogłaszają się, łączą w kluby. Mężowie odstępują żony, te znowu mężów. A w ogóle to nie szalej pan! Nic się nie dzieje. Fakt, że pocałowała tę żabę w usta, nic nie znaczy.

A o co chodzi? Wierzysz jeszcze w „powinowactwo dusza? Jesteś śmieszny. Jako bohaterkę tego, co piszesz, obierasz sobie zwykłą... No, już dobrze. Ani słowa.

Sforsowałem to przeklęte kolano. Znowu boli. Dlaczego nie telefonuje? No, dlaczego? Nie podniosłeś słuchawki. O kobietę należy walczyć, jasne? Ile ty masz lat, że o tym nie wiesz? Na ambitnych przyszły złe czasy. Teraz zwyciężają wytrwałe kundle.”

Cztery potężne, wodne bicze, wytryskujące z luf podobnych do dział przeciwpancernych, sieką zwały piasku. Strugi wody odrywają całe bryły, rozbijają je, by już po chwili zmieszane, scalone w jeden rwący potok niknąć w kanale wiodącym gdzieś w dół, razem ze swym piaskowym ładunkiem.

Podsadzka. Sześciu robotników, wśród których znajduje się Hilda, zajętych jest spychaniem piasku do krateru ogromnego wykopu.

Wszyscy pracują pospiesznie. Świeci słońce i w jego blasku połyskują łopaty. W oddali wieże wyciągowe kopalni. Dwaj niemieccy strażnicy z karabinami grają w karty, siedząc na skraju urwiska.

Rozległy, głęboki wykop sięga aż do granic horyzontu. Tu i ówdzie na jego dnie połyskują tafle stawów i „bagrów” o wysokich brzegach.

Niemłody mężczyzna, który siedząc w niewielkiej, oszklonej kabinie celuje uderzeniami wodnych armatek, ćmi papierosa i przygląda się kąpiącym.

Urwiskiem w jego kierunku wspina się człowiek w roboczym kombinezonie z oliwiarką w dłoniach. Na ramieniu ma skrzynkę z narzędziami.

Spojrzenia dwóch mężczyzn spotykają się.

– Który to jest? – pyta operatora przybyły.

– Ta dziewczyna – człowiek w oszklonej kabinie wskazuje Hildę ruchem głowy.

– Dziewczyna? – młody mężczyzna, który właśnie odstawił skrzynkę z narzędziami, zdaje się być zdziwiony. – No, dobra – mówi krótko i bierze łopatę. Zaczyna, osuwając się na piasku, schodzić do pracujących na skarpie.

Jest już wśród nich. Strażnicy kwitują jego podejście krótkim, uważnym spojrzeniem.

– Co jest? – woła jeden z nich pod adresem przybysza.

– Co ma być? – odkrzykuje. – Pomogę im trochę, bo pracują, jakby chcieli, a nie mogli!

Zabiera się do kopania. Odcina swą łopatą duży blok piasku. Niepostrzeżenie zbliża się do kąpiącej dziewczyny. Hilda jest spocona z wysiłku. Pracuje, nie unosząc głowy.

– Nie ma zimy, co? – zaczyna mężczyzna – Spociłaś się jak w lipcu.

– Jak wcześniej spada śnieg, to potem nieraz... – odpowiada dziewczyna. Spogląda uważnie.

– Kop dalej! Nie patrz! – rzuca nieznajomy. – Że podsadzka niesie ten cholerny piasek tam, gdzie wybrano węgiel, to chyba wiesz? Teraz odwróć się, jakbyś szukała nowego miejsca do kopania! Obok tego niskiego domku, po drugiej stronie drogi, jest właz do kanału. Tam wyjdziecie i tam będzie czekał na was samochód i nasi ludzie. Punktualnie o drugiej w nocy. Możemy tam stać nie więcej niż dziesięć minut. Wy będziecie mieli do przejścia niedaleko... ale... pod prąd. Ciśnienie wody będzie najniższe między godziną drugą a drugą piętnaście. Powtórz!

– Między drugą a drugą piętnaście – mówi Hilda samymi wargami.

– W porządku. Masz jakieś pytania? Kop!

– Nie.

– Pamiętaj... – mężczyzna przerywa nagle. – Rady nie mogła dać, to pomagam! – wykrzykuje nienaturalnie pod adresem strażnika, który zbliżył się do nich niespodziewanie.

Niemiec nie odpowiada. Spogląda na nich zmrużonymi oczyma. Mężczyzna oddala się. Kopie teraz w odległości paru metrów od Hildy. Wachposten raz jeszcze przystaje i obserwuje ich uważnie. Pracują oboje nie unosząc głów.

„Finał... No, ale są przecież granice ludzkiej wytrzymałości. Pełzam, kalecząc dłonie. Szczyt wysoki, a nie mam maski tlenowej. Nie rozklejaj się! Każdy człowiek przeżywa rozczarowania. Nie ty jeden. Tak już jest – wielkie szczęście i fart, wielkie draństwo i podłość. Zresztą, czego chcesz? Nie myśl o sobie. Wiesz, że jesteś silny. Jeszcze ten raz... Teraz oni, tam pod ziemią, oni są najważniejsi! Myśl o nich. Myślę. Chcę, aby byli szczęśliwi. Godni są tego. Co to znaczy, być czegoś godnym? Panie »profesoro-redaktorze«, pan się jednak rozkleja i zaczyna rozumować jak bohaterka powieści dla panienek lub jak polityk wymyślający nowe, wzniosłe slogany i hasła, mające zapewnić mu popularność. Czy godni czegoś otrzymują to, na co zasługują? Pan jest harcerzyk, i to przedwojenny, panie redaktorze. Życia tato nie zna...

Jest zakręt. Nowy. Do przebycia, poruczniku! Bądź przygotowany na najgorsze. Skacz! Jeśli ci się to uda na jednej nodze, to jesteś dobry. Ale nauczyłeś się już przecież... skakać. Idzie ci coraz lepiej,

Miłość przypomina rozwlekłą partię szachów. Teraz skoczysz koniem trojańskim. Tak, kiedy wróci Karina, zaproś ją jak gdyby nigdy nic na kolację do tej francuskiej restauracyjki na Colney Hatch Lane i wtedy, przy winie, opowiedz jej o swoim pisaniu. A ona... Nie będziemy teraz o tym myśleli, chłopie, bo nic nie uda się nam napisać. Przecież na najbliższych stronach ma się nieodwołalnie zdecydować... Wiesz, co zrobisz? Pójdiesz teraz grzecznie na jednego drinka do baru obok stacji Highgate. To fajne miejsce. Przystaniesz tam i pogadasz z kimś o pogodzie, o życiu, o dziwkach i to będzie dobre. W tej chwili najpotrzebniejsze. Wychodź, rozumiesz?!”

Noc, obok wjazdu do kanału Piotr oraz dwaj jeńcy z obozu.

– Gdzie ona jest, do cholery?! – jeden z mężczyzn spogląda na zegarek. – Nie możemy czekać. Za chwilę puszczają więcej wody!

– Jeszcze moment! – szepcze Piotr.

– Na miłość Boską! Liczy się każda sekunda. Wachposten robią teraz obchód z psami!

—Poczekajcie! – Piotr zaczyna pełznąć na czworakach w stronę najbliższej sterty drzewa. Rozgląda się. Nie widzi nikogo. Pełźnie dalej. Za następną, w załomie drewnianych bali, znajduje Hildę.

– Co się stało? – przypada do niej.

– Nic. Piotr, ty musisz iść sam, rozumiesz? Ja zostanę tutaj... nie mogę... – szept dziewczyny jest urywany. – Błagam cię, idź! Dla mnie nie ma ucieczki.

– Co ty wygadujesz? Boisz się?!

– Tak.

– Kocham największego tchórza na świecie – Piotr próbuje żartować. – Chodź!

– Nie. Ty nic nie wiesz. Ja jestem... Idź! Ja chcę żyć. Stamtąd już nie wrócę. Ja..

– Będziesz żyć. Słuchaj! Tamtych dwóch przy kanale ryzykuje życie dla nas. Rozumiesz? – życie!

– Tak – Hilda podnosi się.

Dobiegają do stojących przy włączu.

– Szybciej, ty kurwo! – rzuca zduszonym szeptem młodszy z jeńców. Piotr uderza go w twarz. – Coś ty powiedział?!

– Idiota, słowo daję! Włóżcie już! Niech was nie widzę! – uderzony trzyma się za policzek. – Kiedyś ci oddam! Romantyk!

– Zwariowaliście?! Włóżcie! – komenderuje drugi. – Pamiętajcie, jeśli nie złapiecie liny za pierwszym razem, to to będzie wasz ostatni. Poniesie was z piaskiem w dół kopalni. Powodzenia!

Najpierw Piotr, a potem Hilda zsuwają się do kanału. Wściekłe uderzenie pędzącej wody sprawia, że prawie tracą równowagę.

Chwytają linę.

– Idź za mną! – Piotr stara się przekrzyknąć szum. Woda zalewa mu głowę, dławi.

Chwyta Hildę jedną ręką, pomagając jej walczyć z prądem. Posuwają się cal po calu, trzymając linę. Prąd jest przeciwko nim. Jeniec otacza dziewczynę ramieniem, próbując jakoś łapać powietrze. Dostrzegają światło. Zbliżają się do niego z każdą chwilą.

– Już niedaleko! – krzyczy Piotr. Dochodzą. O dwa metry przed nimi tańczy szarpana prądem sznurowa drabinka.

– Wchodź! – Kerns wskazuje ją Hildzie. Lecz ta zatrzymuje się niespodziewanie. — Wchodź na miłość Boską!

– Nie – Hilda zaczyna się cofać. Woda bije ją w twarz. – Ja... ja... muszę wrócić. Idź, Piotr! Błagam! – cofa się nieustannie, trzymając liny. Nie odrywa oczu od twarzy Piotra.

– Co ty robisz?! – Piotr zaczyna posuwać się w jej kierunku. Woda bije go w plecy, zalewa głowę, przemieszcza ręce. Posuwa się po omacku.

– Hilda, wracaj! – wyciąga rękę, próbując zagarnąć ją ramieniem. Woda zalewa ich głowy. Jest blisko dziewczyny, lecz prawie nie widzi jej twarzy.

– Idź, kochany, najmilszy. Idź sam! – Hilda wskazuje mu kierunek ręką.

– Wracaj! Oszalałaś?! – Piotr rzuca się naraz w jej kierunku, pragnąc ją uchwycić. Zatrzymuje się nagle i obiema rękami przybliżyła ku oczom koniec liny. Przez moment zdaje się nie pojmować. Trzymając koniec liny jedną ręką, wyrzuca drugą tak daleko, jak potrafi. Nie znajduje.

– Hilda! – krzyczy w rozpacz. – Hilda! – trwa jeszcze w tej pozycji, wyjąc jak zwierzę.

Zawraca i idzie pod prąd. Zbliżyła się do drabinki i wspina się coraz wyżej. Osłepia go promień światła.

Dwie pary rąk wyciągają go na powierzchnię. Dwaj mężczyźni w cywilnych ubraniach spoglądają mu prosto w twarz.

– Kerns? – pyta jeden z nich. – A gdzie ta dziewczyna? Miało być was dwoje. Przy okazji – moje pseudo – „Cichy”.

– Jestem sam – mamrocze Piotr.

– Dalej, szybko! – mówi drugi z mężczyzn. Biegną w kierunku ciężarówki stojącej w dole. Śnieg zacina w twarze.

Piotr odwraca się. Nikłe światełka wydobywają z ciemności wieże i budynki kopalni.

– Jest cholernie późno! Co się pan wlecze?! – popędza „Cichy”. Piotr wsiada do ciężarówki. Zaczyna przebierać się w cywilne ubranie. Przeciera szybę samochodu i ogląda się. Ciężarówka jedzie coraz szybciej. „Cichy” przekazuje mu instrukcję. Drugi z mężczyzn podaje mapę i dowody.

– Nazywa się pan Johann Krause, urodzony w 1920 roku w Monachium. Wraca pan do rodziny z sanatorium. Proszę powtórzyć!

– Nazywam się Johann Krause, urodzony w 1920 roku w Monachium. Wracam do rodziny z sanatorium. Nazywam się Johann Krause, urodzony... – powtarza Piotr.

Zbliżyła twarz do szyby i wygląda. Kopalni już nie widać. Koniec.

„Woda kapie w kuchni. Trzeba dokręcić kurek. Dlaczego wszędzie tak ciemno?”

Już nic. Zegar nad kominkiem stanął. O nakręceniu tego na ręku także zapomniałeś. Koniec. Po wszystkim. Sprawa została załatwiona. Położyć się, nie myśleć! Zaraz... może by zegarynkę? ...I po co ci czas? Co za znaczenie ma któraś tam, kolejna godzina?

Kładź się, stary... Odpocznij! Drzysz, telepiesz się... Do czego to podobne? Tej nocy zaśniesz na pewno bez pigułek. Odwaliłeś kawał roboty. Psycholodzy twierdzą, że po czymś takim człowiek osiąga... osiąga... No, czytałeś o tym kiedyś – ...satysfakcja, spokój wewnętrzny...

Jak nagle zrobiło się pusto! Niczego nie ma!

Uspokój się. Tamci dwoje rozstali się na zawsze. Zniknęli, ale to nie powód, abyś... Nie ma ich, nie było, rozumiesz?... Oni nie istnieli. Musisz się jakoś... urządzić! Zaczynaj! – Najpierw prześcieradło. Tak... Zabawne. Kiedy się pochylasz, wszystko zaczyna wirować. Byłoby to... byłoby to miłe, gdyby nie nadmiar śliny... w ustach. Nic już nie boli. Jest dobrze, miękko... Cisza, a jednocześnie gdzieś w głowie salwy pneumatycznych młotów...

Puste, wojenne Brighton. Szwendający się po plaży roześmiani chłopcy w niebieskich mundurkach. Wyglupy. Posting do Hacknall. Ćwiczebne loty w »tiger-moths«. I zaraz – pożar! To już później, bo na Wellingtonie. Ceglaste płomyki skaczą po całej powłoce. Siedzisz w ogonie i widzisz wszystko lepiej niż inni. Głos Dudziaka zacinający się w słuchawce: »Tu

niedaleko kanał! Skakać od razu!« Zaraz potem intercome przestaje działać. Płomienie coraz większe... Według instrukcji należy...

Skąd tu tyle »flaku«? Łupią, aż miło... Trzeba by...

Nie, to młoty. Stukają nieopisanie blisko. Szarpnięcie.

– Dudziak, do cholery, czego ty znowu?...

– Nie poznajesz mnie? – zdumiony nieco, dziewczęcy głos. Ona. Jej oczy, policzki, wargi... Znowu dzień, niezmiernie jasny, zbyt chyba intensywnie podświetlony słońcem.

Trzeba natychmiast odwrócić poduszkę! Tam gdzie leżałeś ustami ku dołowi, widnieje mokra, ohydna plama. Nie zdążyłeś. Na pięknej, jasnej twarzy ukazał się już grymas odrazy.

– Odwróć jednak – mówisz bez sensu i przecierasz spuchnięte powieki. Nie robisz najmniejszego ruchu.

Linia jej szyi jest oszłamiająco młoda. Białe zęby objawiają się. Tak właśnie – nie ukazują, a objawiają. To uśmiech. Wciąż pochylony, dostrzegasz przemierzające się stopy w bucikach na wysokich obcasach. Unosisz głowę i nachodzi cię przypomnienie. No, stary, nie jest źle – skończyłeś! Przecież i ty masz powody, aby się uśmiechać. Skąd to uczucie osamotnienia? Ach, Hilda... Myśl teraz o sobie, do pioruna! Tylko o sobie. Dlaczego ona tak patrzy?

– Źle się czujesz? Przestraszyłam się już, że... – „Jej głos brzmi, jak... Zmęczony jesteś i nie potrafisz znaleźć porównania. Brzmi jak wtedy, kiedy ją poznałeś. Jak to było? – Pani głos jest dla mnie – uśmieje się pani – ...jest dla mnie jak wspomnienie dzieciństwa. Moja ciotka śpiewała zawsze rosyjskie romanse i ja wtedy... – Tak? To miłe. Od pewnej chwili śpiewałam zresztą wyłącznie dla pana... Zauważył pan, prawda? Zdażył mnie już pan nawet zdenerwować tą swoją pewnością siebie... Nie znoszę mężczyzn, którzy...”

– Nie czuję się zupełnie dobrze.

„To dzieje się dzisiaj. Londyn. Za oknami dudnienie. Nikt nie śpiewa. Słońce oślepia.”

– Byłeś taki blady...

– To nieważne. Może trochę zmęczony. Słuchaj, skończyłem! I chyba to nie jest złe. To i owo trzeba będzie jeszcze, naturalnie, zmienić, poprawić, ale... jest już wiecha! Dzisiaj ci wszystko opowiem. Albo – lepiej – przeczytam. Zrobimy wieczorem dobrego drinka, zapalimy świece i ja wtedy... Kropelko, tyle mam ci do opowiedzenia! Przed powrotem do domu chcę ci powiedzieć o sobie wszystko. Nie są to sprawy proste, ale myślę... Chyba wyruszymy w końcu tygodnia.

– Dokąd? Zabawny jesteś. Zupełnie jakbyś spadł z księżycy... Zresztą... Gratuluję ci szczerze, z całego serca. Wiem, ile włożyłeś pracy i wysiłku w ten utwór, więc... To ballada, tak? Bardzo się cieszę. Naprawdę. Nie patrz tak na mnie, proszę cię. Właściwie, to się nawet dobrze składa, bo, widzisz, chciałam z tobą już wcześniej... Ale odwlekałam rozmowę, właśnie ze względu na twoją pracę, zdrowie... Widzisz, sama nie wiem, od czego zacząć. To, co mam ci do powiedzenia, będzie dla ciebie chyba... ciężkie, ale ja... myślę, że powinnam ci uczciwie...

Wstał i podszedł do okna. Nie kończące się rzędy kolorowych samochodów trwały przez moment nieruchomo, po czym ruszyły nagłym szarpnięciem.

Urzędnik z biura ubezpieczeniowego, po drugiej stronie ulicy, szedł przed siebie, niosąc ostrożnie szklankę herbaty. Tęga Cypryjka, właścicielka sklepu, układała kalafiory.

– ...U nas nie ma szans. Co to jest Warszawa? Prowincja świata. A tutaj... Derek jest wspaniałym człowiekiem. Myśli tylko o mnie. Wszystko, co robi i zrobił dla mnie dotąd, jest dla mnie... To jest, stało się dla mnie dowodem, że... Ty żyłeś zawsze swoim życiem. Jeśli pomyślałeś kiedyś o mnie, to były to myśli wtórne, nie poświęcone mnie, moim marzeniom i niespełnieniom, lecz widzące mnie i moje problemy poprzez ciebie samego i może, w najlepszym razie, twoją... przeszłość, rodzinę, sprawy związane z tym, że sam nie mogłeś uprawiać sportu. Jesteś wspaniałym, ciekawym, nieraz fascynującym mężczyzną...

– Tak? Dziękuję – uśmiechnął się. Czuł, że gdzieś wewnątrz zaczyna się w nim fala odrętwienia i że idzie, wspina się coraz to wyżej i wyżej.

– Cieszę się, że tak to przyjmujesz – wyjęła papierosa.

Podał jej ogień. Zaciągnęła się.

– W ten sposób, będzie mi łatwiej. Powiem ci, zakochałam się w nim nie od razu. Lecz jego dobroć, ta nieustanna chęć pomocy i wreszcie, nie kryję tego, możliwości i kontakty sprawiły...

– W kim... przepraszam, w kim się... zakochałaś?

– O, bardzo proszę, nie rób tu żadnych min, dobrze? On jest najbardziej taktowny i delikatny ze wszystkich mężczyzn, jakich znałam. Powiedział, że żywi do ciebie głęboki szacunek.

– Dobrze, ale kto to jest? Przez chwilę nie słuchałem uważnie, więc...

– Derek Brems, producent filmowy i reżyser.

– Aha.. Teraz wiem. Przepraszam. Bardzo mu dziękuję za to, co do mnie żywi. A jak bawiłaś się w Brighton?

– Świetnie. Dziękuję. Jeszcze chwileczka. Kiedy spałeś, zdążyłam się spakować. Zaraz idę, ale przedtem...

– Aha, to zostajesz w Londynie?

– To nieważne. Jedziemy do Nowego Jorku. Tymczasem jednak chciałam cię zapytać...

– Wal! – wziął jednego papierosa i zapalił.

– Rozwód chciałabym załatwić „per procura”. Przecież nie wracam do kraju. Nie będziesz stawiał żadnych sprzeciwów? Nie będziemy się już widzieli, więc chciałabym wyjaśnić możliwie wszystko.

– Rozumiem – skinął głową. – Zupełnie oczywiste.

– Nie odpowiedziałeś mi.

– Na co?

– Pytałam, czy zgadzasz się na rozwód „per procura”.

– Zgadzam się.

– Wszystko w naszym mieszkaniu należy właściwie do ciebie, więc...

– No, nie wszystko – zaproponował. – Fortepian, chińskie wazony w twoim pokoju, obrazy, lodówka... A co będzie z sukienkami?

– Jesteś miły. Nigdy ci tego... – spojrzała promiennie, po dawnemu. – Te rzeczy, gdybyś oczywiście chciał... to mógłbyś przesłać do mojej mamy, do Wrocławia. To od niej, więc...

– Jasne. Prześlę.

„Niech ona już sobie idzie! Niech, na rany Chrystusa, zniknie! Chłodny i opanowany do końca, co? Pozujesz na »kamiennego« bohatera westernu? I przed kim? Przed nią? Przed samym sobą? Kernsa już nie ma. Rozpadł się. W tej chwili wynajmuje takie, jak Karina, bogatym turystom czy też gentlemanom, którzy przyjechał na kongresy. Zbija forszę i o »harcerykach« w twoim gatunku nawet nie pomyśli.

Rąbnij, kopnij, wrzaśnij! Powiedz jej, co o tym myślisz!”

– ...A przeżyłam z tobą także dobre, szczęśliwe dni i byłabym podła, gdybym o nich zapomniała. Nie zapomnę, możesz mi wierzyć. Zawsze ten szczęśliwy okres będzie w moim sercu i w mojej duszy...

„Nie. Ja śnię. To nie może być prawdziwe! Wspaniałe oczy spoglądają wciąż jak dawniej. Tylko usta, te poruszające się, wydatne, wargi, które niegdyś... Właściwie w tej chwili bredzą i kłamią tylko one.

Przecież ona nie może tak myśleć! Nie mogło się w niej wszystko naraz zmienić! Ale myśli tak i na to nie ma rady. Teraz, byle szybko. Jak z rwaniem zęba!...”

– Mam jeszcze coś do załatwienia, więc... – przerwał jej. – Przyjechałaś jakimś samochodem?

– Tak. Ale Derek przysłał także swój drugi wóz, duży stationwagen razem z szoferem. Czeka za rogiem. Myślę, że wszystko się zmieści.

– Na pewno. Stationwagen, powiadasz? Zrobiłaś ogromne postępy w angielskim.

– Dziękuję – rzekła bez uśmiechu. Wyszła przed dom i kiwnęła komuś dłonią. Wysoki mężczyzna w szarej liberii pojawił się natychmiast. Zabrał walizki i ruszył przed siebie.

„To jest absolutny, melodramatyczny kicz. Jeszcze jeden w twoim życiu. Czy rozejście się dwojga ludzi musi zawsze wyglądać groteskowo?”

Barbara, w chwili kiedy rozstawaliście się na zawsze, stała także na schodach, otoczywszy ramieniem biednego, ogłupiałego Andrzeja. To, że przed chwilą mówiła o swej miłości do innego, nie przeszkodziło jej w odegraniu sceny »tragiczki«.

Dostrzegł wyciągniętą rękę. Ujął miękkie, uległe palce, takie wspaniałe w czasie zabaw z jego dłońmi. Wsunęły się zaraz.

– Dziękuję ci, że tak to przyjąłeś. Życzę ci szczęścia i powodzenia.

– Dziękuję. Ja tobie także.

„To powiedziała szczerze. Tąpnięcie. Huk. Wałą się ściany. Gasną karbidówki. Ciemność. Węglowy pył dławi gdzieś głęboko w gardle.”

Niezwykle szybko przeszła przez ogródek. Była już przy krzakach opodał płotu. Za chwilę miała zniknąć na zawsze. Cofnął się i patrzył zza firanki. Odwróciła się. Jej twarz gwałtownie wybiegła przed zieloność, powiększyła się i stała się niezmiernie czytelna.

„Dojdzie do tego przekłętego stationwagen i zawróci. Musi to zrobić! Musi! Rozumie przecież, że na całym świecie tylko ona ze mną, stanowimy...”

Nie wróciła. Nie dostrzegł nawet przejeżdżającego samochodu. Widocznie pojechali w górę, Southwood Lane w kierunku Hampstead..

Przypomniał sobie ten pub na wzgórzu, opodał wyjścia ze stacji Highgate. Zaczął od goleń. Ubierał się potem długo i dokładnie. Włożył białą koszulę, a pod brodą zawiązał swój „reprezentacyjny” fular w fantazyjny węzeł.

W granatowej marynarce ze srebrnymi, matowymi guzikami wyglądał całkiem nieźle.

Wyprężył się błazeńsko przed lustrem. Wyszedł przed dom.

Amerikanin, spoglądając przed siebie, stał opodał schodów ze swoim kotem na ramieniu. Słyszając kroki, zawrócił i sięgnął po białą butelkę. Sprawiał wrażenie spłoszonego niespodziewanym spotkaniem.

– When the cat is away, the mice would play – rzekł z porozumiewawczym uśmiechem. – Żona wyjechała, a pan już na podbój świata, co? Wygląda pan świetnie.

– Dziękuję – odparł, ruszając ciężko przed siebie wsparty na lasce. Szedł wolno, wyprostowany, świadom, że sąsiad odprowadza go wzrokiem.

Ziemia zdawała się unosić, to znowu opadać w nieustannym pulsowaniu.

Dopiero za rogiem przystanął, by dać odpocząć sercu.